

# Baśnie



HANS CHRISTIAN ANDERSEN

## Baśnie

TŁUM. CECYLIA NIEWIADOMSKA

### Królowa śniegu

#### I. CZARODZIEJSKIE ZWIERCIADŁO

Żył sobie niegdyś bardzo złośliwy czarodziej. Całą jego przyjemnością było dokuczać ludziom, czynić złe, ze wszystkiego się wyśmiewać i każdą rzecz przedstawiać z najgorszej strony.

Wymyślił wreszcie i zrobił takie sztuczne zwierciadło<sup>1</sup>, iż wszystkie rzeczy piękne i dobre wyglądały w nim szkaradnie, a nawet śmiesznie, ponieważ były wykrzywione, zamazane, niewyraźne — za to złe rzeczy widać w nim było doskonale.

Tym sposobem cały świat w tym zwierciadle był brzydki i zły, a nic na nim nie było pięknego. Czarodziej klaskał w dłonie i śmiał się ze swego figla, a źli jego uczniowie porwali zwierciadło i biegali z nim wszędzie, podstawiając je ludziom zniecka przed oczy i cieszyli się, i śmiali, kiedy przerażony człowiek zasłaniał oczy ręką; a potem nieraz sam nie wiedział, który świat jest prawdziwy: czy ten, który ogląda co dzień, czy tamten, który ujrzał w zaklętym zwierciadle?

I tacy ludzie byli bardzo nieszczęśliwi, a było ich coraz więcej.

Cieszył się zły czarodziej, ale to mu nie wystarczało. Uczniowie jego postanowili zanieść zwierciadło aż do nieba. Niechże i aniołowie spojrzą w nie choć raz jeden. To byłaby uciecha! A może i sam Pan Bóg — —

I zaczęli lecieć do góry. Bardzo im było trudno, a jeszcze z tak ciężkim zwierciadłem — zaledwie mogli utrzymać je w rękach... O, daleko do nieba! Aż im pot okrył czoła, a ręce drżeć zaczęły. Wtem, trrrrach! I ciężkie lustro z takiej wysokości brzdęk aż na ziemię! Naturalnie w mgnieniu oka rozprysnęło się na miliony, miliony drobnych szczątków, na nieskończoną ilość czarodziejskiego pyłku, który rozleciał się na wszystkie strony.

Ale to właśnie było najgorsze nieszczęście!

Zamiast jednego lustra, były ich teraz miliony; rozproszyły się wszędzie, a w każdym najmniejszym kawałeczku, choćby drobnym jak ziarno piasku, widać było świat cały szkaradny, śmieszny, wykrzywiony. Jeżeli taki proszek wpadł komu do oka, to człowiek ten wszystko już widział zmienione i nie mógł dostrzec koło siebie nic dobrego, nic pięknego! Za to najgorsze rzeczy widział jasno i wyraźnie, więc wszystko złem było dla niego.

Gorzej jeszcze, jeżeli okruszyna lustra wpadła komu do serca. Nieszczęśliwy tracił uczucie: serce jego stawało się kawałkiem lodu, nikogo kochać nie mógł, wszyscy byli dla niego obcy, obojętni.

Z większych kawałków porobiono szyby, z innych szkła do okularów, a mnóstwo jeszcze krążyło w powietrzu — wiatr je roznosił wciąż dalej i dalej, i naturalnie coraz więcej ludzi stawało się nieszczęśliwymi kalekami.

A niegodziwych pyłków ciągle jeszcze pełno i zobaczymy, co z tego wynikło.

#### II. SĄSIEDZI

W pewnym bardzo starym mieście, w bardzo wysokim domu na poddaszu mieszkało

Czary, Lustro, Wzrok

Oko, Serce

Sąsiad, Dziecko

<sup>1</sup>zwierciadło — lustro. [przypis edytorski]

dwoje dzieci, każde u swoich rodziców — był to Kaj i Gerda.

W tym mieście było tyle ludzi, że nie mógł każdy dla siebie mieć osobnego domku, a cóż dopiero myśleć o własnym ogródku. Ale że dobrzy ludzie bardzo lubią kwiaty, więc wszyscy hodowali je w doniczkach. I tym sposobem w każdym prawie oknie był ogródek; ale najładniej było u Kaja i Gerdy.

Bo posłuchajcie tylko: w tym wysokim domu na poddaszu każda rodzina miała własną izdebkę z dużym oknem, przez które w lecie można było wyjść na dach albo — wcale nie schodząc ze schodów — przejść z jednego mieszkania do drugiego. Można tu było bawić się na płaskim dachu. Gdy Gerda wyjrzała oknem, widziała Kaja w izbie naprzeciwko. Kiedy słońko przygrzało, dzieci wybiegały na dach i bawiły się doskonale albo siadały na małych stołeczkach i rozmawiały o wszystkim, co je zajmowało.

Były to bardzo dobre dzieci i kochały się jak brat i siostra.

Na wiosnę rodzice Kaja i Gerdy ustawiali na brzegu dachu długie skrzynie, napelnione ziemią; w nich zasiewali potrzebne warzywa i wiele pięknych kwiatów. Tak więc kawałek dachu przed oknami zamieniał się w śliczny, maleńki ogródek.

Im mocniej dogrzewało złote słońko, tym piękniej było w ogródku na dachu. Zielone festony roślin pokrywały drewniane skrzynie i spadały aż na mur domu: różnobarwne powoje otwierały śliczne kielichy pełne rosy; różowy groszek ciekawie wyglądał na wszystkie strony; aksamitne bratki szeroko otwierały wielkie oczy, a drobne stokrotki uśmiechały się wesoło. Oprócz tego w każdej skrzyni rósł wysoki różany krzaczek niby drzewko. Na wiosnę stroił się w zielone listki, a już w maju okrywał ślicznymi kwiatami, których woń rozpyływała się w powietrzu. Gałązki róż ciekawie zaglądały w okna, szeptały cicho drobnymi listkami i kołysały się lekko pod tchnieniem wietrzyka.

Ślicznie tu było w lecie.

Ale w zimie wszystko zniknęło. Biały śnieg pokrywał dachy, a zamknięte okna często zamarzały; wtedy mróz kładł na nie delikatne białe kwiaty, ale nic przez nie widzieć nie było można. A dzieci chciały się widzieć, chciały ciągle wiedzieć o sobie. Więc rozgrzewały pieniądze na piecu i kładły go na szybę. Wtedy wśród białych liści i gałązek tworzył się mały i przezroczysty otwór, w którym zaraz mrugnęło śmiejące się oko Kaja albo Gerdy.

— Pójdź tu do nas! — mówiło oko.

— Dobrze, dobrze!

W lecie tak łatwo było przejść z jednego mieszkania do drugiego, ale w zimie musiały dzieci zbiegać na dół i znów wchodzić na schody tak wysoko! A tam na dole śnieg i wicher!

— Patrz, patrz! Białe pszczoły wyleciały z ula — mówiła stara babka, ukazując wnucze chwiejące się w powietrzu płatki śniegu.

— Pszczoły, pszczoły — powtarzała wesoło Gerda. — A czy mają swoją królową?

— Rozumie się, że mają — odpowiedziała babka. — Największy ze wszystkich płatków, a zawsze tam leci, gdzie śnieg najgęściej pada. Jeśli spadnie na ziemię, wzbija się natychmiast znowu ku ciemnym chmurom i nigdy nie spocznie. Czasem przebiega nocą po ulicach miasta i zagląda do okien, a wtedy wyrastają na nich śnieżne kwiaty i brylantowe liście.

— Tak! Tak! Widzieliśmy! — wołały dzieci, zachwycone słowami babki.

— A czy królowa śniegu mogłaby przyjść tutaj? — zapytała Gerda.

— Ach, niech no tylko przyjdzie! — krzyknął Kaj wesoło. — Posadziłbym ją zaraz przy piecu i roztopiłaby się! Ha, ha, ha!

Babka pogłaskała go lekko po głowie i zaczęła opowiadać co innego.

Raz wieczorem Kaj już na wpół rozebrany wszedł na stołek i wyjrzał przez okrągły otwór na zamrażającej szybie. W powietrzu kołysało się mnóstwo płatków śniegu, a jeden bardzo duży uczepił się na brzegu skrzynki kwiatowej, zaczął rosnąć prędko, coraz większy, wyższy, aż stał się cudną panią w długiej, białej szacie z cieniutkiego, przezroczystego muślinu, obsypanej milionami śnieżnych gwiazdek. Ciało jej było z przezroczystego lodu, białe i połyskujące, a jednak ona żyła. Patrzyła się na Kaja i uśmiechała się do niego, a oczy jej jaśniały jak brylanty. Na koniec skinęła ręką, jak gdyby wzywała go z sobą. Kaj przeląkł się bardzo, zeskoczył z krzesła i uciekł w głąb izdebki, ale zdawało mu się, że wielki ptak jakiś przeleciał koło okna.

Nazajutrz dzień był jasny, pogodny i mroźny, ale wkrótce nastąpiła odwilż, wiatr

Kwiaty, Miasto

Przyjaźń

Rośliny, Kwiaty

Przyjaźń, Zima

Wiosna

przyniósł wieść radosną, że wiosna już blisko, słońce dogrzewało mocniej, śniegi zniknęły bez śladu, trawa pozieleniała, pączki zaczęły pękać, przyleciały jaskółki do gniazd przeszłorocznych i znowu dzieci siedziały na dachu, w ślicznym, małym, wiszącym ogrodzie.

Groszek pachnący spadał w festonach<sup>2</sup> na skrzynie, powoje otwierały śliczne kielichy do słońca, a róże tego roku kwitły bardzo pięknie i drzewka były nimi obsypane.

Gerda z Kajem siedzieli pod krzaczkiem i śpiewali razem ulubioną swoją piosenkę.

Co ja kocham na tym świecie?

Złote słońko, cudne kwiecie!

Boże ptaszki śpiewające,

Jasne rosy, w kwiatach drżące,

Błękit nieba i obłoki,

Cały piękny świat szeroki,

I chatynkę pobielaną,

I mateczkę ukochaną! —

Wszystko kocham serca biciem,

A przestanę chyba z życiem.

Razu jednego dzieci siedziały w ogródku i oglądały bardzo ładną książkę z obrazkami, w której były malowane ptaki i zwierzęta. Na wieżowym zegarze zaczęła bić piąta.

— Aj! — zawołał Kaj nagle. — Coś mnie ukłuło w serce! Coś mi do oka wpadło!

— Może ukłuł cię kolec róży? — rzekła troskliwie Gerda. — Czekaj, zobaczę, co ci wpadło w oko! Nic — nic nie ma.

— Pewno już wyleciało — rzekł Kaj niecierpliwie i odsunął się od dziewczynki.

Niestety, nie wyleciało. Był to właśnie drobniutki pyłek stłuczonego zwierciadła czarodzieja; utkwiał mu w oku i zmienił świat cały, nie pozwalając widzieć na nim nic pięknego, nic dobrego. A co gorsza, pyłek taki wpadł mu w serce, które nagle stało się zimne i twarde, przestało czuć i kochać.

— Czegóż beczysz? — zapytał opryskliwie. — Żebyś wiedziała, jaka jesteś brzydka! A jaka śmieszna, ha, ha, ha! Cóż to za zgnila róża? Pfe! I ta szkaradna! Cała ta skrzynia — stare, brzydkie pudło, tylko ją zrzucić z dachu.

Kopnął skrzynię, zerwał różę i rozdeptał.

— Kaju! — zawołała z przestrachem dziewczynka.

Widząc jej przerażenie, roześmiał się szkaradnie, zerwał jeszcze jedną różę, rzucił ją i wskoczył do swojego okna.

Od tej chwili Kaj zmienił się zupełnie. Kiedy Gerda chciała oglądać z nim obrazki, wzruszał ramionami, mówił, że są brzydkie i wyśmiewał się z każdego. W końcu powiedział, że nie chce się z nią bawić, bo jest głupia jak małe dziecko. Nawet bajki babuni nie podobały mu się; mówił, że są niedorzeczne, zawsze miał jakieś: ale. Nieraz stawał za staruszką, kładł na nos jej okulary i naśladował jej miny i słowa. Tak samo zaczął naśladować innych i nauczył się wkrótce najbrzydszych grymasów i wykrzywiań.

W gruncie rzeczy Kaj nic temu nie był winien, tylko szkaradny pyłek szkła czarodziejskiego, które tkwiło mu w sercu. Z tego to powodu nikogo nie kochał i dokuczał Gerdzie, która była dla niego taka dobra. Ludzie zaczęli mówić, że Kaj jest złym chłopcem i mieli zupełną słuszość, tylko nie wiedzieli, dlaczego jest taki.

Razu jednego w zimie, gdy śnieg padał, przyniósł Kaj na podwórze szkło powiększające i przez nie patrzył na gwiazdki śniegowe, które pokrywały mu ubranie.

— Spójrz, Gerdo — rzekł — jakie ogromne! Niby kwiaty, niby gwiazdy, a jakie sztuczne! To ciekawsze przecież od kwiatów prawdziwych! Tak równo, doskonale ułożone. Szkoda tylko, że topnieją.

Nagle pobiegł na górę, przyniósł swoje saneczki i ciepłe rękawice, oznajmił Gerdzie, że idzie pojeździć saneczkami po rynku i natychmiast zniknął za bramą.

Na rynku była wesoła zabawa. Chłopcy ślizgali się po śniegu w swoich sankach, najśmielsi przywiązywali je do sań wieśniaków i jechali tym sposobem spory kawałek drogi. A co przy tym śmiechu i wrzawie!

<sup>2</sup>spadał w festonach — opadał, tworząc dekoracyjne sploty. [przypis edytorski]

Oko, Serce

Przemiana

Zabawa, Zima

Wtem wjechały na rynek duże, białe sanie zaprzężone białymi końmi. Osoba siedząca w saniach otulona była w ogromne białe futro, a na głowie miała białą futrzaną czapkę. Sanie dwa razy objechały rynek, a tymczasem udało się Kajowi przywiązać do nich z tyłu swoje małe saneczki. Teraz pomknął jak strzała po utartej drodze i wyjechał za miasto. Osoba w sankach odwróciła głowę i przyjaźnie uśmiechnęła się do niego.

Kaj doznawał wielkiej przyjemności, bo nigdy jeszcze nie jechał tak prędko; nie chciał jednak zanadto oddalić się od miasta i po jakimś czasie pragnął odwiązać swoje sanki. Wtedy osoba w saniach odwróciła się znowu i spojrzała tak przyjaźnie, że Kaj zapomniał o wszystkim.

I tak powtórzyło się parę razy.

Śnieg zaczął padać gęsty, pociemniało, Kaj nie widział już nic dookoła prócz kręcących się białych płatków. Puścił sznurek, aby odczepić swoje sanki, ale one jak gdyby przymarzły do wielkich, mknęły jak wiatr za nimi, dalej, dalej, dalej! Kaj krzyknął przerażony, ale nikt mu nie odpowiedział, jakby go nikt nie słyszał. Sanki pędziły ciągle, a śnieg sypał, nic już widać nie było. Chwilami uderzały się o coś gwałtownie, to znów spadały na dół, przeskakiwały jakieś nieznanne przeszkody i sunęły po białej drodze w świat nieznany.

Kaj chciał się przeżegnać, zmówić pacierz, lecz w żaden sposób przypomnieć sobie nie mógł słów *Ojczy nasz* i przychodziła mu na myśl tylko tabliczka mnożenia.

Płatki śniegu padały coraz większe, wyglądały na koniec niby białe ptaszki. Zdawało mu się, że dookoła niego biegą gołębie, kury, gęsi — całym tłumem.

Naraz konie stanęły, sanie się zatrzymały, a siedząca w nich osoba podniosła się i Kaj spostrzegł, że futro jej i czapka były ze śniegu. Była to wysoka dama, wysmukła, olśniewającej białości: królowa śniegu!

— Dobrze jedziemy! — rzekła. — Ale po co masz tam marznąć? Chodź pod moje niedźwiedzie.

Posadziła go w saniach obok siebie, nakryła białym futrem, a jemu się zdawało, że zapada w górę śnieżną.

— Jeszcze ci zimno? — rzekła i pocałowała go w czoło.

Huu! Jakież to był zimny pocałunek! Uczuł lód aż w głębi serca, które — jak wiemy — już miał na wpół zlodowaciałe; przez mgnienie oka zdawało mu się, że umiera, ale to minęło bardzo prędko i zrobiło mu się lepiej. Nie czuł już wcale zimna.

— Moje saneczki! Moje saneczki! — zawołał z wielką trwogą, aby nie stracić ulubionej zabawki. Więc rzucono sznurek od nich białej kurze, aby biegła obok, ciągnąc je za sobą.

Królowa śniegu pochyliła się nad Kajem i pocałowała go powtórnie, a w tej chwili chłopiec zapomniał już o wszystkim: o rodzicach, domu, babce i Gerdzie.

Teraz nie bał się wcale pięknej pani, nie wydawała mu się straszna. Opowiadał jej, co umie, o jakich się uczył krajach i miastach, jak wybornie liczy na pamięć — a ona uśmiechała się do niego.

Wreszcie wzięła go na ręce i wleciała z nim razem wysoko, wysoko, ku ciemnym chmurom, które szarpał wiatr świszczący.

Przelatywali ponad ciemnymi lasami, nad górami, morzami i lądami. Zimny wicher huczał pod nimi w przepaściach, biały śnieg polyskiwał, wyły wilki głodne, krakały stada czarnych kruków — a ponad nimi świecił jasny księżyc.

I tak płynęła długa noc zimowa, a gdy nastąpił ranek, Kaj spał u nóg królowej śniegu.

### III. W OGRÓDKU WRÓŻKI

Jakże smutno i strasznie było biednej Gerdzie, kiedy wieczorem Kaj nie wrócił do domu!

Nikt nie wiedział, gdzie się podział i co się z nim stało. Chłopcy opowiadali, że jeździł po rynku, a potem swoje saneczki uczepił do wielkich sań, które pomknęły za miasto. Tyle go widziano.

Plakali rodzice, babka i Gerda, bo myśleli, że z mostu zsunął się w rzekę i utonął. Gerda płakała gorzko całą zimę.

Wreszcie nadeszła wiosna, zajaśniało piękne słońce.

— Kaj nie żyje! — rzekła do niego Gerda.

— Albo to prawda! — odpowiedziało słońce.

Powróciły jaskółki do gniazd zeszłorocznych.

— Kaj nie żyje! — oznajmiła im Gerda.

Dama

Pocałunek

— Nieprawda! — odpowiedziały jaskółki.

A wtedy i Gerda przestała w to wierzyć.

— Włożę czerwone buciki, których Kaj jeszcze nie widział i pójdę do rzeki zapytać o niego — pomyślała pewnego ranka.

Było bardzo wcześnie, ale wstała zaraz, ubrała się cichutko, żeby nie obudzić babki, włożyła swoje czerwone buciki, leciuchno pocałowała babunię i pobiegła do rzeki.

— Czy to prawda, że zabrałaś mi mojego Kaja? — zapytała niespokojnie. — Oddaj mi go, a dam ci śliczne czerwone buciki.

Zdawało jej się, że fale zaszemrały jakoś dziwnie, jakby się zgadzały na ten układ. Więc co prędzej zdjęła buciki, śliczne, ukochane, czerwone buciki i rzuciła je w wodę.

Buciki upadły niedaleko, a fala wyniosła je na brzeg z powrotem. Rzeka nie chciała przyjąć tej ofiary, gdyż nie mogła oddać Kaja, lecz Gerda inaczej to sobie tłumaczyła. Zdawało jej się, że za blisko brzegu wrzuciła trzewiczki i aby je rzucić dalej, weszła do małego czółenka, które kołysało się na wodzie. Poszła na przeciwny koniec łódki i rzuciła buciki z całej siły, jak tylko mogła najdalej. Tak idąc i poruszając się, mimowolnie chwiała czółenkiem, które nie było przywiązane i zaczęło oddalać się od brzegu. Gerda spostrzegła to i chciała wyskoczyć, lecz była już za daleko. Łódka, porwana prądem, szybko płynęła z biegiem wody.

Wtedy Gerda przełękała się bardzo i zaczęła głośno płakać. Ale nikt jej nie słyszał, tylko gromadka wróbli, które nie mogły dopomóc jej w niczym. Biegły jednak wzdłuż brzegu, jakby ją chciały pocieszyć i wołały bezustannie:

— Ćwir! Ćwir! Ćwir! Jesteśmy tutaj! Nie bój się! Jesteśmy tutaj.

I Gerda uspokoiła się powoli. Czółenka płynęło z prądem, a ona siedziała cichutko, w samych pończoszках i patrzyła w wodę. Czerwone trzewiczki płynęły za łódką, lecz nie mogły jej dogonić, ponieważ prąd bardzo szybko ją unosił.

Prześlicznie wyglądały brzegi rzeki; na zielonych, kwiecistych łąkach pasły się stada owiec, krowy poważnie skubały świeżą, soczystą paszę, stare drzewa rozwijały młode listki, wszystko uśmiechało się w blasku słonecznym.

— Może mnie rzeka zaniesie do Kaja — pomyślała Gerda i przestała się smucić. Usiadła na ławeczce i patrzyła długo na zielone brzegi, które przesuwały się przed nią. Właśnie ujrzała wielki sad wiśniowy, pełen kwitnących drzew, a między nimi malutki domek pod słomianą strzechą<sup>3</sup>, z czerwonymi, żółtymi i niebieskimi okienkami. Dwóch drewnianych żołnierzy stało przed ganeczkiem z bronią w ręku.

Gerda pomyślała, że to żywi ludzie i wołała ratunku, ale naturalnie nikt jej nie odpowiedział. Prąd niósł ją prosto do brzegu, więc zaczęła znów wołać jeszcze głośniej.

Wtem drzwi domku się otworzyły i wyszła z niego zgarbiona staruszka, podpierając się kijkiem i drepcząc ku furtce. Na głowie miała duży słomiany kapelusz, pomalowany w bardzo piękne kwiaty.

— Ach, biedne dziecko! — zawołała stara. — Skądże się wzięłaś na tej bystrej rzece, która cię tak daleko w świat uniosła?

Drepcząc prędko, staruszka zbliżyła się do brzegu, zaczęła o czółno swoim zakrzywionym kijkiem i przyciągnęła je do łądu. Podała dziewczynce rękę i pomogła jej wyskoczyć na ziemię.

Ach, jak przyjemnie zrobiło się Gerdzie, gdy znów uczuła pod nogami twardą ziemię! Bała się jednak trochę nieznaną staruszki.

— Kto jesteś, moje dziecko i skąd się tu wzięłaś? — pytała znów kobieta, uważnie patrząc na dziewczynkę.

Wtedy Gerda opowiedziała jej wszystko i pytała, czy nie wie co o Kaju.

Staruszka nie wiedziała, ale była tego zdania, że Kaj może się znaleźć, a tymczasem zaprosiła dziewczynkę do ogródka, pozwoliła jej zrywać kwiaty i jeść wiśnie, żeby tylko nie była smutna.

Potem weszły do domku. Przez wysokie okienka czerwone, żółte i niebieskie, dziwne światło wpadało do izdebki. Na stole w dużych koszach stały prześliczne wiśnie, a staruszka pozwoliła jeść Gerdzie, ile tylko zechce.

Wiśnie były wyborne, Gerda głodna, więc jadła, uśmiechając się z zadowolenia. Staruszka

<sup>3</sup>strzecha — dach kryty słomą lub trzciną. [przypis edytorski]

Ofiara

Woda, Rzeka

Wiosna

Ogród

Czary

złotym grzebieniem cesała jej złote włosy. Cesała je długo, długo, w dziwnym blasku czerwonych i niebieskich szybek, a Gerda zapomniała o Kajju, babce i rodzicach, bo grzebień był zaczarowany, staruszka ta zaś była wróżką.

— Dawno już mieć pragnęłam taką miłą, dobrą dziewczynkę — mówiła łagodnym głosem — zobaczysz, jak ci u mnie dobrze będzie.

Potem Gerda została w izdebce, a staruszka wyszła sama do ogródka, dotknęła swoim kijem każdego krzaczka różanego i wszystkie natychmiast zapadły się w ziemię. Zrobiła to dlatego, ażeby Gerda na widok róż nie przypomniwała sobie Kaja.

Teraz dziewczynka wybiegła także do ogródka. Ach, jak tu było ślicznie i przyjemnie! Tyle kwiatów, a każdy inny! Tyle barw, blasku, woni. Prawdziwie był to czarodziejski ogród: rosły w nim wszystkie kwiaty, jakie tylko są na świecie i wszystkie kwitły jednocześnie. Gerda biegała pomiędzy grządkami, śmiała się i śpiewała, dopóki słońce nie skryło się poza wielką, starą wiśnię. Wtedy położyła się spać w czystym łóżeczku, na czerwonej jedwabnej poduszeczce, na której wyhaftowane były piękne, błękitne fiołki. Zasnęła też spokojnie, jak królowna, a w nocy śniła sny słodkie i miłe.

Nazajutrz z rana obudziła się wesoło i bawiła znowu cały dzień w ogródku, wśród najpiękniejszych kwiatów, w ciepłym blasku słońca — i tak upływały dni jeden po drugim.

Gerda знаła teraz wszystkie kwiatki, ale chociaż miała ich tutaj tak wiele, ciągle jej się zdawało, że jeszcze jakiegoś brakuje. Tylko nie mogła sobie przypomnieć którego.

Wtem raz na słomianym kapeluszu wróżki spostrzegła malowaną różę. Zdziwiona i szczęśliwa, zaczęła natychmiast szukać w ogródku kochanego kwiatka: rozglądała się wokoło, pochylała nad grządkami, lecz ani jednej różyczki nie było.

Wówczas gorzko płakać zaczęła. Jej łzy gorące padały na ziemię i przesiąkły przez nią, aż zwilżyły ukryty w tym miejscu krzak róży. I nagle cudny, świeży, okryty wonnym kwieciem, wystrzelił znów nad ziemię, a Gerda objęła go rączkami, pieściła i całowała śliczne róże. I przypomniwała sobie tamten krzaczek na poddaszu i przypomniwała sobie znowu Kaja.

— Och, jakże dawno ja tu jestem! — zawołała. — A miałam szukać Kaja. Moje śliczne różyczki, czyż nie wiecie, gdzie on się podział? Czy myślicie, że umarł?

— O, nie! — odparły róże. — Byłyśmy przecie pod ziemią, tam go nie ma.

— Dziękuję wam — zawołała uszczęśliwiona Gerda i pobiegła do innych kwiatków, aby się czegoś o Kajju dowiedzieć.

Lecz daremnie pytała. Kwiatki uśmiechały się wszystkie do słońca i śpiewały mu swoje pieśni i opowiadały mu swoje powieści, które podobały się bardzo dziewczynce, lecz o Kajju nie dowiedziała się niczego.

— Na próżno je pytam — pomyślała wreszcie. — One kochają tylko swoje powieści i pieśni, nie mam tu na co czekać.

Podniosła spodniczkę, aby lepiej biec mogła i pośpieszyła do furtki.

Ale furka zamknięta była na klucz. Wtedy zaczęła mocno szarpać klamkę, aż zardzewiały zamek ustąpił pod naciskiem i drzwi się otworzyły. Gerda wyszła prędko i bosymi nóżkami biegła co tchu po twardej, kamienistej drodze, obawiając się pogoni. Trzy razy obejrzała się za siebie, a nie widząc nikogo, usiadła na chwilę na wielkim kamieniu, kiedy jej sił zabrakło.

Teraz dopiero obejrzała się dokoła: lato minęło dawno, późna jesień była na świecie, powiędły kwiaty i pożółkły łąki, ale w ogrodzie wróżki, gdzie kwiaty kwitną wiecznie, nic o tym nie wiedziała.

— Boże! Boże! Ileż ja czasu straciłam — narzekała Gerda. — Oto już późna jesień, trzeba spieszyć bardzo, zanim zima powróci.

I wstała, by iść dalej.

Szła bosymi nóżkami po kamienistej drodze, a dokoła było smutno i ponuro. Czula wielkie zmęczenie, ale się nie zatrzymywała. Z wierzb przydrożnych padały długie, żółte liście lub ciężkie krople chłodnej rosy. Na tarninowych krzakach były jeszcze jagody, ale tak cierpkie, że wykrzywiały usta.

Szaro i smutno było na szerokim świecie, otulonym w szare, ciężkie, ołowiane chmury.

Łzy, Wspomnienia

Podróż

#### IV. U KSIĘŻNICZKI

Długo szła tak Gerda, w końcu zmęczyła się bardzo i usiadła znowu pod drzewem. Właśnie pierwszy śnieg pokrył ziemię i bosa nożyny dziewczynki poczerwieniały z zimna. Wtem tuż przed nią stanęła duża, szara wrona: popatrzyła na nią, pokręciła łebkiem, podleciała w prawo i w lewo i zawołała: „Kra! Kra!”

Znaczyło to: „Dzień dobry, kochana dziewczynko, musisz być bardzo biedna, kiedy w takie zimno sama idziesz w świat szeroki. Gdzież ty idziesz, dziewczynko? Czego szukasz?”

Gerda zrozumiała, co chce powiedzieć wrona i tak jej była wdzięczna za współczucie, tak się jej ciepło zrobiło w serduszku, że natychmiast opowiedziała jej całą historię i spytała zarazem, czy nic nie wie o Kajku.

Wrona kręciła łebkiem w zamyśleniu, podlatywała na prawo i lewo i powtarzała jak gdyby do siebie:

— A może? A być może? A kto wie? Kto wie? Kto wie?

— Widziałś go! — zawołała uszczęśliwiona Gerda i zaczęła całować i ścisnąć wronę tak gwałtownie, że o mało jej nie udusiła.

— Spokojnie! Spokojnie! — powtarzała wrona. — Powiedziałam: kto wie! Może — może! — ale on dawno zapomniał o tobie. I przy tym tak mi trudno mówić twoim językiem. Co innego, gdybyś mogła rozmawiać ze mną po wroniemu, wtedy bym ci dokładnie opowiedziała wszystko.

— Ach, nie umiem! — z żalem szepnęła Gerda. — Babka umiała dobrze, ale się nie nauczyłam. Czemuż się nie nauczyłam!

— Kra! Kra! Nic nie szkodzi — rzekła wrona. — I tak się rozumiemy. Będę mówiła, jak potrafię.

I zaczęła opowiadać:

— W tym państwie, gdzie jesteśmy, rządzi bardzo mądra, bardzo mądra księżniczka. Razu jednego przyszło jej do głowy, aby sobie wybrać męża. Ale chciała takiego męża, który by umiał odpowiadać na wszystkie jej pytania, a nie nudnego mruka, co się odezwać nie umie i tylko udaje pana. Gdy powiedziała o tym swoim damom dworu, ucieszyły się wszystkie i wychwalały ją za ten mądry pomysł. Wtedy ogłoszono w gazetach, że każdy młodzieniec, który pragnie się ożenić z księżniczką, może przyjść do pałacu, a jeśli potrafi odpowiedzieć na jej pytania, może zostać jej mężem.

Oj, żebyś wiedziała, co się wtedy działo, jakie tłumy cisnęły się do zamku! Ale cóż, nikomu jakoś się nie wiodło. Na ulicy wszyscy rozmawiali głośno, klócili się, krzyčili, obracali językami, jakby mieli za to obiecaną nagrodę, ale ktokolwiek minął zamkowe podwórze, zobaczył straż wspaniałą, postrojoną służbę, wielką tronową salę i piękną księżniczkę, zapominał języka w gębie, stawał jak słup niemy i zamiast odpowiedzi, powtarzał pytania księżniczki. To naturalnie było bardzo nudne, więc żadnego wybrać nie chciała.

— A Kaj? — przerwała nieśmiała Gerda.

— Otóż właśnie, moja kochana, dwa dni tak upłynęły, aż trzeciego przyszedł pieszo chłopczyk z ogorzalą twarzą, długimi włosami, bardzo biednie ubrany.

— To Kaj! — zawołała, klaszcząc w ręce, Gerda.

— Na plecach miał tornister — ciągnęła dalej wrona.

— Ach, nie, to były pewno jego sanki. Właśnie z sankami zginął.

— Ha, może sanki — zgodziła się wrona. — Dobrze się nie przyglądałam. Poszedł śmiało ku schodom, a gdy zobaczył strażę, spojrzął zdziwiony i zaraz powiedział: „To musi być okropnie nudno, tak stać tu ciągle!” Następnie wszedł do sali. Buty jego skrzypiały strasznie, ale widać było, że sobie z tego nic nie robi.

— O, to z pewnością Kaj! — krzyknęła Gerda. — Właśnie miał skrzypiące buty, jeszcze nowe, które mu babka kupiła.

— Bardzo być może — potwierdziła wrona. — Szedł do samej księżniczki i nie zmieszal się wcale, chociaż ogromna sala pełna była dworzan, urzędników i dygnitarzy<sup>4</sup>, każdemu umiał odpowiedzieć, no i dostał księżniczkę.

— To z pewnością Kaj — rzekła uszczęśliwiona Gerda. — On był zawsze ogromnie mądry, umiał liczyć na pamięć nawet z ułamkami. O, zaprowadź mnie do pałacu!

<sup>4</sup>dygnitarz — osoba piastująca ważny urząd, dostojnik. [przypis edytorski]



— Bah! — zakrakała wrona. — Łatwo to powiedzieć. Przecież takiej obdartej i bosej dziewczynki nie wpuszczą do królewskiego pałacu!

— Powiedz tylko Kajowi, że tu jestem, a sam przyjdzie po mnie natychmiast.

— Zaczekaj tu przy płocie — rzekła wrona i poleciała do pałacu.

Ciemno już było, kiedy powróciła.

— To wszystko na nic — rzekła. — Boso cię tu nie wpuszczą, straż i lokaje bardzo zważają na nogi. Ale nie płacz. Poradzimy jakoś na to. Mam w pałacu krewnego, który jest w wielkich łaskach u księżniczki i zna wszystkie zakątki jak swoje własne gniazdo. On otworzy ci małą furtkę i ukrytymi schodami zaprowadzi prosto do sypialni księżstwa.

— O, moja droga wrono! — cicho szepnęła Gerda, idąc do zamku długą, cienistą aleją, w której liście spadały z drzew jak krople deszczu. A kiedy w zamku pogaszone światła, weszły przez małą furtkę, tylko przymkniętą z lekka.

Serce Gerdy uderzało mocno z niepokoju i szczęścia. Czasem zdawało jej się, że robi coś złego, ale chciała się tylko przekonać, czy to naprawdę Kaj. Chyba nie rozgniewa się na nią, ale będzie szczęśliwy, że aż tutaj do niego przyszła, że opowie mu o rodzicach.

Na koniec weszła z wroną na małe boczne schodki. Na szafie w korytarzu stała nocna lampa, a na pierwszych schodkach krewny wrony, kruk czarnopióry. Gerda ukloniła mu się, jak umiała.

Kruk uważnie popatrzył na nią i odezwał się wreszcie:

— Pójdę naprzód, a wy za mną. Droga prosta i nikogo na niej nie spotkamy.

— A mnie się zdaje, że ktoś za nami idzie — powiedziała Gerda i obejrzała się z trwo-

Sen

gą. W istocie przesunęło się coś szybko po ścianie jak gdyby cienie jeźdźców, psów i koni.

— To sny o polowaniu śpieszą do księcia pana i księżniczki — uspokoił ją kruk natychmiast.

Mijali szereg przepysznych<sup>5</sup> pokoi, których ściany obite były czerwonym, błękitnym lub żółtym atlasem<sup>6</sup>, sztuczne kwiaty pokrywały je wieńcami, wszędzie lśniły kosztowne sprzęty i klejnoty; wreszcie stanęli w królewskiej sypialni. Tu sufit przypominał piękną koronę<sup>7</sup> palmy o wspaniałych, szklanych liściach, a na środku, na grubej łodydze ze złota, wisiały dwa łóżeczka w kształcie lilii: jedno białe, gdzie spoczywała księżniczka, drugie purpurowe, gdzie może Kaj sypiał.

Gerda pochyliła się nad nim ciekawie i zobaczyła jego opaloną szyję. Ucieszona, krzyknęła głośno; sny natychmiast pomknęły wzdłuż ściany z pokoju, a książę się obudził, podniósł głowę i — to nie był Kaj.

Z drugiej lilii wychyliła się główka księżniczki, która patrzyła także, co się stało.

Gerda zaczęła płakać i opowiedziała wszystko od początku, nie zapominając o wielkiej przysłudze, jaką oddali jej kruk i wrona.

— Biedne dziecię — rzekła z litością księżniczka. — Nie martw się, nie gniewamy się na ciebie, ani na wronę, ani na kruka. Chcę nawet wynagrodzić ich za dobre serce. Odtąd mają prawo przebywania w zamku i otrzymają żywność z naszej kuchni, ale muszą nam przyrzec, że bez naszej wiedzy nie wprowadzą więcej nikogo do zamku.

Książę oddał Gerdzie swoje własne łóżko i życzył, żeby w nim spała spokojnie, a zmęczona dziewczynka na wygodnej, ciepłej pościeli przytuliła znużoną główkę do poduszki, złożyła rączki i szepnęła tylko:

— O, jacyż dobrzy ludzie i zwierzęta! — i w tej chwili zasnęła.

Nazajutrz księżniczka dała jej prześliczną aksamitną suknię i prosiła bardzo, żeby na zawsze została w pałacu. Ale Gerda poprosiła tylko o wózek i konika, a także o parę bučików, gdyż musiała wędrować dalej i szukać Kaja po szerokim świecie.

Więc dostała ciepłe ubranie, bučiki i mufkę<sup>8</sup>, a gdy się posiliła, stanęła przed bramą śliczna złocona karetą, zaprzężona w pięknego konia, woźnica i lokaj mieli złote korony na liberii<sup>9</sup>. Sam książę i księżniczka umieścili ją w karetce i żegnali, życząc wszystkiego

<sup>5</sup>przepyszny — tu: piękny, bogaty. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>atlas — miękka tkanina, która ma jedną stronę błyszczącą, a drugą matową. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>korona — tu: szczyt liści. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>mufka — kawałek futra zszytego w kształt walca z dwoma otworami po bokach, służący niegdyś do ochrony dłoni przed zimnem. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>liberia — mundur noszony przez służbę; uniform. [przypis edytorski]

dobrego. A Gerda płakała i dobra wrona także. Usiadła obok dziewczynki w karecie i odprowadziła ją prawie trzy mile. Dalej bała się jechać, więc sfrunęła na gałąź wysokiego drzewa i trzepotała skrzydłami tak długo, póki mogła dojrzeć złocistą karetę błyszczącą w promieniach słońca.

Gerda jechała dalej sama jedna, lecz się nie obawiała głodu ani zimna, gdyż karetę zaopatrzona była w żywność; stały w niej kosze ciastek, pierników, owoców — dzielny konik biegł szybko, więc myślała sobie, że chyba teraz musi znaleźć Kaja.

## V. MAŁA ZBÓJNICZKA

Złocista karetę wjechała do ciemnego lasu i między drzewami świeciła jak słońce. Zobaczyli to rozbójnicy i wybiegli z gęstwiny.

— Złoto! Złoto! — krzyczeli i rzucili się na karetę, uchwycili konia za cugle<sup>10</sup>, pozabijali służbę i wyciągnęli na drogę przerażoną Gerde.

— Ach, jaka biała, tłusta, orzeszkami karmiona! — zawołała chciwie stara rozbójnica z rozkochaną głową, strasznymi oczyma i żółtą, pomarszczoną twarzą. — Musi być smaczna jak młode jagniątko, to będzie dopiero uczta.

Wyciągnęła zza pasa wielki nóż błyszczący i podniosła rękę, aby zabić biedną Gerde — lecz w tej chwili krzyknęła okropnie, gdyż mała rozbójniczka, jej córeczka, którą niosła na plecach, do krwi ugryzła ją w ucho i bijąc matkę nogami po plecach, krzyczała przeraźliwie:

— Nie dam jej zabić! Nie zabijaj! — wołało dzikie, rozpuszczone dziecko. — Ja chcę, żeby się ona ze mną bawiła! Ja chcę jej muffki i ładnej sukienki i chcę, żeby ze mną spała.

Stara zbójnica pozwałała swojej córeczce na wszystko, więc schowała na powrót nóż na dawne miejsce, otarła z krwi ucho i umieściła dziką dziewczynkę w karecie razem z Gerdą. Potem jeden ze zbójców siadł na koźle<sup>11</sup>, zaciął konia i popędzili jak wiatr po kamieniach, dołach, górach, między drzewami, zaczepiając o gałęzie i nie zważając na nic.

Mała zbójniczka śmiała się głośno z radości i tupała nogami. Była ona w tym samym wieku, co Gerda, ale większa i cięższa, z dużą i czerwoną twarzą, czarnymi włosami i czarnymi, błyszczącymi oczyma. Kiedy nacieszyła się jazdą, objęła w pół Gerde i powiedziała wesoło:

— Nie bój się, nie dam cię zabić, chyba że się na ciebie rozgniewam. Oni muszą mnie słuchać! Ty pewno jesteś księżniczką?

— Nie — odrzekła dziewczynka i ze łzami w oczach opowiedziała jej swoją historię: jak bardzo Kaja kocha i pragnie go znaleźć, ale nie wie zupełnie, gdzie go szukać.

Mała zbójniczka słuchała ciekawie, a oczy jej świeciły jak dwa ognie. W tej chwili powóz stanął, gdyż wjechali na dziedziniec zbójckiego zamku.

Był to wielki budynek, stary, brudny, odrapany, pełen dziur i szczelin, w których gnieździły się kruki i wrony. Ogromne buldogi, straszne potwory z otwartymi paszczami, jakby chciały natychmiast rozszarpać i pożreć przybyłych, biegały i skakały po podwórzu, ale żaden nie szczekał, bo im nie było wolno.

W zamku, w olbrzymiej okopconej sali o czarnych ścianach i kamiennej podłodze, płonął wielki ogień, a dym kłębamii wznosił się do góry i osiadał na suficie, poczerniałych ścianach i dziurami w murze wychodził na zewnątrz. Przy ogniu w dużym kotle gotowała się zupa, a zajace i króliki piekły się na rożnach.

— Dziś będziesz spała ze mną i z moimi zwierzątkami! — rzekła zbójniczka, gdy się obie z Gerdą najadły i napiły, a potem poszły do swego kącika, gdzie było posłanie ze słomy przykryte kobiercami. Nad nimi we framugach i na grzędach gnieździły się stada gołębi, które udawały śpiące, lecz poruszyły się trochę i każdy jednym okiem spojrzał na dziewczynki.

— To moje leśne gołębie — rzekła rozbójniczka. — Wszystko to moje, co tu wkoło widzisz. — I wzięła w rękę jednego gołębia, potrząsając go i dmuchając, aż zaczął trzepotać skrzydłami.

— A to mój ren<sup>12</sup> kochany — dodała, pokazując ogromnego rena, przywiązanego na

Niebezpieczeństwo

Córka, Matka

Zamek

Przemoc

<sup>10</sup>cugle — pasy, służące jeźdźcowi do kierowania koniem; inaczej: wodze, lejce. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>koźiol — tu: siedzenie dla woźnicy. [przypis edytorski]

sznurze uczepionym do błyszczącej miedzianej obrączki, którą miał na szyi. — Co wieczór udaję, że go chcę zabić moim nożem, a on bardzo się tego boi.

Wyjęła zaraz wielki nóż świecący, wyostrzyła go o ścianę i pociągnęła renowi po szyi. Zwierzę stało spokojnie ze spuszczoną głową.

— Czy ty sypiasz z tym nożem? — spytała z obawą Gerda.

— Zawsze sypiam z nożem w rękę — odparła zbójniczka. — Nikt nie wie, co się może zdarzyć w nocy. A teraz mi opowiedz raz jeszcze historię o małym Kajju i o tym, jak go szukasz po szerokim świecie.

I Gerda znowu zaczęła opowiadać. Leśne gołębie słuchały ciekawie, a zbójniczka oparła głowę na kolanach dziewczynki i trzymając nóż w rękę, zasnęła tak mocno, że chrapała, aż się rozlegało. Gerda nie mogła zasnąć: nie wiedziała przecież, czy jej nie zabiją, a prócz tego przy ognisku w drugim kącie sali zbójcy krzyczeli, śpiewali, pili, przeklinali, a stara rozbójnica podkasała suknie, tańczyła, wykrzykiwała straszne słowa i fikała koziołki.

Okropny to był obraz i Gerda patrzyła nań z przerażeniem.

— Grr! Grr! — zagruchały tymczasem gołębie. — Widziałyśmy twojego Kaja. Biała kura ciągnęła jego sanki, a on z królową śniegu siedział w wielkich saniach i pędził jak wichur przez las ku północy, kiedy spałyśmy w gniazdach. Królowa śniegu tchnęła na nas mrozem i oprócz nas dwojga wszystkie gołębie pomarły. — Grr! Grr!

— Co wy mówicie? — spytała Gerda. — Jaka królowa śniegu? Czy naprawdę wiecie co o Kajju?

— Jechała lasem do krainy lodów, gdzie wieczny śnieg i zimno, i mróz nieustanny. Tam ma swoje królestwo. Spytaj rena.

— Tak, tak — potwierdził ren, wstrząsając głową. — Śnieg i lód, białe pola, wielkie białe pola, lód bez końca, błyszczący i przejrzysty, piękny, wspaniały kraj! Tam na samej północy, na biegunie<sup>13</sup> jest stolica królowej śniegu; tam jej lodowy pałac, lśniący jak brylanty, przejrzysty jak kryształ.

— O, Kajju! Kajju! Kajju! — zawołała dziewczynka, aż obudziła zbójniczkę, która groziła jej pięścią ze złości.

— Będziesz ty cicho — mruknęła z gniewem. — Czy chcesz, żebym cię zabiła nożem?

Dopiero gdy dzień się zrobił, opowiedziała Gerda wszystko, co słyszała w nocy, a zbójniczka wysłuchała opowieści uważnie i w zamyśleniu potrząsała głową.

— Może — może — szeptała. — Czy to prawda, renie? Czy znasz kraj wiecznych lodów?

— A któż go może znać lepiej ode mnie — odparł ten z błyszczącymi jak ogień oczyma. Tam przecież się urodziłem i wyrosłem, tam biegałem po wielkich, śnieżnych polach.

— Słuchaj — rzekła zbójniczka do Gerdy — wszyscy nasi ludzie poszli na wyprawę, matka została w domu, ale ona się upije przy śniadaniu i mocno zaśnie. Wtedy będę mogła zrobić coś dla ciebie.

I tak się wszystko stało. Przy śniadaniu stara zbójnica napiła się z wielkiej flaszki i natychmiast usnęła. Wtedy zbójniczka zbliżyła się z nożem do rena i rzekła:

— Lubię cię straszyć, dotykając nożem twojej szyi, dziś jednak zrobię co innego. Oto przetnę twój powróż i wypuszczę cię na wolność, abys wrócił do kraju wiecznych lodów; ale musisz zanieść tę dziewczynkę do pałacu królowej śniegu, gdzie znajdzie swego Kaja. Wiesz dobrze, o co chodzi, bo wczoraj opowiadała głośno tę historię, a ty lubisz słuchać, co mówią.

Ren podskoczył z radości i gotów był zaraz do drogi. Więc zbójniczka zaczęła ubierać Gerdę.

— Masz tu swoje buciki — powiedziała. — Nie możesz jechać boso, bo zmarzłabyś. Są one bardzo ciepłe, wykładane futrem. Mufki ci nie oddam, ponieważ jest bardzo ładna i ogromnie mi się podoba, ale masz za to wielkie rękawice matki, które ci osłonią ręce aż po łokcie. Włóż je tylko.

Gerda chciała dziękować zbójniczce, lecz rozpląkała się z wielkiej radości.

<sup>12</sup>ren — renifer, ssak podobny do jelenia zamieszkujący północne, podbiegunowe regiony Europy, Azji i Ameryki. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>biegun — miejsce na kuli ziemskiej najbardziej oddalone od równika; tu oznacza najzimniejsze miejsce na ziemi. [przypis redakcyjny]

— Tylko mi nie bec, bo tego nie lubię! — zawołała dzika dziewczynka. — Masz tutaj zamiast siodła wygodną poduszkę, a żebyś nie była głodna, dam ci na drogę szynkę i dwa bochenki chleba. Wszystko to przymocowałam do rena. I ciebie też przywiążę bardzo mocno, żebyś z niego nie spadła. Tylko mi zaraz miej wesołą minę, bo nie cierpię głupich beków.

Posadziła Gerdeę na poduszce i przywiązała ją mocno do rena, potem otworzyła drzwi, zawołała na buldogi, a gdy weszły do sali, myśląc, że jeść dostaną, przecięła sznur, na którym ren był uwiązany i zawołała głośno:

— No, teraz w drogę! Hop! Hop! Z całej siły! A pamiętaj sobie, żeby Gerdzie się co nie stało.

Gerda na pożegnanie wyciągnęła do niej małe rączki w ogromnych rękawicach, a ren ruszył z kopyta i pędził jak huragan przez lasy i pola, płoty, rowy, zarośla, bagniska i stepy, dalej, dalej i dalej...

Wilki wyły, wrony i kruki krakały, na niebie błyszczwały gwiazdy i księżyc, a daleko na północy ukazywało się czerwone światło, pełne dziwnego blasku.

— Widzisz zorzę północną<sup>14</sup>, która płonie tam w moim kraju, w kraju wiecznego lodu! — szeptał ren zachwycony i pędził jeszcze szybciej, dzień i noc bez wytchnienia.

Na koniec, kiedy chleby zostały zjedzone, a z szynki nie pozostało ani śladu, ukazał się przed nimi biały kraj wiecznego lodu.

## VI. LAPONKA I ESKIMOSKA

Zatrzymali się nagle przed niepozornym domkiem. Była to chatka tak niska, że dach opierał się na ziemi, a drzwi stanowił otwór, przez który mieszkańcy musieli wpełzać do środka na brzuchu. W chatce nie było nikogo oprócz starej Laponki<sup>15</sup>, która gotowała rybę nad lampą napelnioną tranem.

Ren opowiedział jej swoją historię, która wydawała mu się najważniejszą, a potem zaczął mówić o Gerdzie, ponieważ dziewczynka była tak zziębnięta, że sama opowiadać nie mogła.

— Ach, biedaki! — rzekła Laponka, wysłuchawszy wszystkiego uważnie. — Daleka, bardzo daleka jeszcze przed wami droga. Więcej niż sto mil lecieć musicie na północ, bo tam dopiero, na samym biegunie królowa śniegu ma swój pyszny<sup>16</sup> zamek, w którym zorza północna pali się co wieczór wspaniałymi ogniami. Nie mam w domu papieru, więc na suszonym sztokfisz<sup>17</sup> napiszę wam list do pewnej bardzo mądrej Eskimoski<sup>18</sup>, która mieszka niedaleko pałacu królowej i może wam więcej pomóc ode mnie.

Potem dała Gerdzie jeść, pić, a gdy dziewczynka posiliła się i ogrzała, Laponka napisała list na suszonym sztokfiszu, oddała go Gerdzie i kazała dobrze pilnować. Następnie przywiązała ją znowu do rena, a ten szybko puścił się w drogę.

I pędzili znowu na północ bez wytchnienia i odpoczynku. Drogę wskazywały im wspaniałe blaski ogni, płonących w pałacu królowej, które na ciemnym niebie rozlewały się w zorzę czerwoną.

Wreszcie stanęli przed chatką Eskimoski. Tu drzwi nie było wcale, więc musieli zapukać do komina. Wpuszczono ich niezwłocznie.

Wewnątrz chaty było tak strasznie gorąco, że Eskimoska, mała, tłusta i bardzo brudna kobiecina, chodziła w lekkiej sukni. Zaraz też rozwiązała Gerdzie jej sukienkę, zdjęła jej buciki i ciepłe rękawice, a renowi położyła na głowie kawał lodu, gdyż inaczej nie mogliby tu wytrzymać.

<sup>14</sup>zorza północna — zorza polarna, kolorowe zjawisko świetlne występujące na niebie głównie podczas długich nocy polarnych za kołem podbiegunowym. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Laponia (Saami) — region w północnej Europie, obejmujący swoim zasięgiem Półwysep Kolski w Rosji oraz północne tereny trzech państw skandynawskich: Finlandii, Szwecji i Norwegii. Laponia zamieszkała jest przez rdzenną ludność Północy — Lapończyków (Saamów). [przypis edytorski]

<sup>16</sup>pyszny — tu: wspaniały. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>sztokfisz — ryba morska, zwykle dorsz, rozcięta, wypatroszona oraz wysuszona na powietrzu i słońcu (przygotowane w ten sposób ryby spożywa się głównie na Islandii i w Norwegii). [przypis edytorski]

<sup>18</sup>Eskimosi — Inuici (nazwa własna: Inuit, Inuitowie); grupa rdzennych ludów obszarów arktycznych i subarktycznych Grenlandii, Kanady, Alaski i Syberii. W XVI wieku wśród białych upowszechniła się nazwa Eskimosi — o tyle niewłaściwa, co zagadkowa etymologicznie. Początkowo uważano, że wywodzi się od wyrażenia „zjadacze surowego mięsa”, obecnie przypuszcza się raczej, że nazwa ta ma inne pochodzenie. Inuici alaskańscy nie tylko tolerują, ale nawet wolą nazwę Eskimosi. [przypis edytorski]

Potem wzięła rybę i zaczęła czytać list Laponki.

Przeczytała go raz i drugi i zamyśliła się głęboko. Ren zbliżył się do niej i mówił z prośbą w głosie.

— Wiem, że jesteś bardzo mądra i masz wielką władzę, że rozkazujesz wiatrom, które są ci posłuszne, daj więc Gerdzie takiego napoju, żeby była silniejsza od dwunastu mężczyzn i mogła pokonać królową śniegu.

— Siłę dwunastu mężczyzn! — powtórzyła Eskimoska z uśmiechem, kiwając głową. — Na cóż by się to zdało? Czyż królową śniegu pokona siła dwunastu mężczyzn?

Potem wzięła z półki duży kawał zwiniętej skóry, rozłożyła ją z wielką uwagą i patrzyła na dziwaczne znaki i litery, które ją pokrywały, z takim natężeniem, że grube krople potu wystąpiły na jej czoło.

Ren kręcił się koło niej nieustannie, potrzącał ją rogami, ocierał się bokiem i patrzył w oczy błagalnie, aż Eskimoska zaprowadziła go wreszcie do kąta, a kładąc mu na głowę świeży kawał lodu, szepnęła bardzo cicho:

— Kaj jest naprawdę u królowej śniegu, ale jemu tam dobrze. Zdaje mu się, że jest w najpiękniejszym kraju, i że mu nigdzie lepiej być nie może. Wszystko to stąd pochodzi, że drobne okruszyny czarodziejskiego zwierciadła utkwily mu w oku i w sercu. A dopóki tkwić tam będą, nikt go nie uratuje, bo królowa śniegu ma nad nim władzę i może go zatrzymać gwałtem. A zresztą choćby i wrócił do ludzi, to będzie dla nich obcy, bo nic dla nich nie ma; nie potrafi nawet być wdzięcznym Gerdzie za jej miłość i poświęcenie.

— Więc cóż począć? — rzekł ren strapiony.

— Trzeba go uleczyć, trzeba wyjąć mu z serca i z oka szczątki czarodziejskiego zwierciadła.

— A jak to zrobić?

— Nie wiem. To nie moja sprawa.

— Więc nie chcesz pomóc Gerdzie? Nie możesz jej dać żadnej władzy?

— Zmiłuj się, renie, powiedz, cóż ja jej więcej dać mogę nad tę władzę, którą sama posiada? Czyż nie widzisz jej siły i potęgi? Czyż nie widzisz, że ludzie i zwierzęta służą jej i wypełniają jej wolę? Czyż nie widzisz, że bosa i uboga, pół świata już przebyła, a wszyscy jej pomagają i nic się jej oprzeć nie może? Takiej władzy my jej nie damy. Takiej władzy nie może dać jej nikt na świecie i od nas ona jej nie potrzebuje, bo źródło potęgi ma we własnym swym sercu, a tym źródłem jest dobroć, miłość i niewinność. Jeśli te trzy klucze nie otworzą przed nią pałacu królowej śniegu i nie ocalą Kaja, to my także uczynić tego nie zdołamy.

A teraz słuchaj jeszcze, co ci powiem. O dwie mile stąd zaczyna się ogród królowej. Tam zaniesiesz dziewczynkę i zostawisz ją przy dużym krzaku, który stoi na śniegu, odkryty czerwonymi jagodami. Ale już z nią nie rozmawiaj i wracaj tu co prędzej.

Eskimoska posadziła Gerdę na renie, przywiązała ją dobrze, a poczciwe zwierzę pomknęło natychmiast.

— Ach, moje buciki! Moje rękawice! — zawołała Gerda, gdy mróz ostry owiał jej bosc nożyny i zatamował prawie oddech w piersi.

Ale ren nie śmiał się wrócić, ani zatrzymać i biegł naprzód, co miał siły, aż stanął na granicy ogrodu królowej, przy wielkim krzaku okrytym czerwonymi jagodami.

Tu zсадził Gerdę na ziemię i pocałował ją w usta, a z oczu popłynęły mu wielkie łzy.

Potem zawrócił i znów biegł przed siebie, wcale się nie oglądając.

A biedna Gerda została na śniegu sama jedna, bosa, bez rękawic i bucików, wśród wichru i straszego mrozu.

Zaczęła biec naprzód, jak mogła najprędzej. Ale natychmiast zastąpił jej drogę cały tłum płatków śnieżnych. Nie spadały one z nieba, gdyż niebo było jasne i pogodne, oświetlone płonąca zorzą, lecz unosiły się nisko nad ziemią i powiększały się coraz bardziej w miarę jak zbliżały się ku niej.

Wtedy przypomniała sobie dziewczynka, jak oglądała z Kajem płatki śniegu przez szkło powiększające. Tamte jednak były inne i nie takie wielkie. Te wyglądały strasznie, jak żywe istoty: były to rzeczywiście przednie strażki królowej śniegu. Ich postaci były dziwaczne i groźne: niby ogromne, białe i kolczaste jeże — to kłęby żmij i węzów o syczących paszczach — to niby małe, grube niedźwiedziątka o nastroszonej sierści. A wszystkie bia-

Serce

Potwór

łe, lekkie, świecące, ruchliwe, budzące strach brzydota i tym, że żywe, a przecież to płatki śniegu.

Dziwne, szkaradne wojsko.

Gerda w trwodze zaczęła się modlić. Ale mróz był tak wielki, iż własny jej oddech, wychodząc z ust, stawał się dla niej widzialny, zmieniał się w gęstą parę i otaczał ją jakby obłokiem. I nagle w tym obłoku ujrzała małe aniołki, które krążyły koło niej, spuszczały się ku ziemi, a gdy jej dotknęły, rosły szybko i otaczały ją jak groźne wojsko. Każdy miał hełm na głowie, w ręku tarczę i włócznię.

Było ich coraz więcej, a kiedy Gerda skończyła pacierz, już otaczał ją cały legion tego cudownego wojska. Teraz rozpoczął się bój z potwornymi płatkami śniegu. Wojsko anielskie rąbało i siekło na drobne szczątki szkaradne istoty, które zaczęły się cofać w popłochu i Gerda biec mogła prędzej bez przeszkody. Aniołkowie głaskali jej nóżki i ręce i nie czuła już mrozu, aż stanęła przed samym pałacem królowej.

A tymczasem zobaczmy, co tam robił Kaj. O Gerdzie nie myślał wcale i nie przypuszczał, że stoi w śniegu przed pałacem.

Anioł, Modlitwa, Walka

## VII. W PAŁACU KRÓLOWEJ ŚNIEGU

Ściany pałacu były z olbrzymich zasp śnieżnych, w których wichry wywierciły drzwi i okna. Przeszło sto sal znajdowało się w tym gmachu, a największa miała kilka mil długości. Oświetlała je piękna zorza, kładąc na białym śniegu czerwone i żółte blaski, toteż w wielkich komnatach było pusto, cicho, jasno i mroźno.

Nigdy w tej białej olbrzymiej przestrzeni nie słyszano śmiechu ani wesołego głosu, nie było tu nigdy rozgłośnej zabawy, choć północne niedźwiadki i inne stworzenia mogły wyprawiać najświetniejsze bale w takich wspaniałych salach przy muzyce wichru. Nie wchodziły tu jednak nigdy — nigdy! W pałacu królowej śniegu było pusto i zawsze cicho. Cicho codziennie o jednej godzinie zapalała się zorza, a następnie gasła, cicho błyszcząły białe, śnieżne ściany, cicho w środku leżało wielkie lodowe jezioro. Przejrzysty lód spękany był w tysiące kawałków, ale wszystkie były podobne do siebie, zupełnie jednakowe. A na środku jeziora, na wysokim lodowym tronie siedziała królowa śniegu, gdy gościła w swoim królestwie.

Przeźreń, Zamek

Mały Kaj był siny z zimna, prawie czarny, ale nie wiedział o tym i nie czuł wcale chłodu, gdyż królowa śniegu zamroziła pocałunkami nawet dreszcze w jego ciele, a serce jego stało się kawałkiem lodu. Biały, zimny, śnieżny pałac wydawał mu się najwspanialszym królestwem na świecie, z podziwem patrzył na wysoki tron lodowy i bawił się u stóp jego, układając z kawałków lodu wszystko, co mu się tylko podobało. Tak właśnie dzieci bawią się klockami, budując wieże i przeróżne gmachy. Kajowi klocków nie zabrakło nigdy; były przejrzyste, o ostrych krawędziach, zimne i jednakowe; mógł je układać całe życie w rozmaite figury, litery, desenie, a wszystko, co ułożył, wydawało mu się mądre i doskonale i nic w tym nie chciał zmienić, ani zepsuć.

Pozory, Zabawa, Dziecko

Więc były na lodzie kwadraty, trójkąty, liczby i wyrazy: śnieg, jezioro, królowa i bardzo wiele innych. Nie mógł tylko ułożyć wyrazu „kocham”, choć królowa mu powiedziała:

— Jeśli zdołasz ułożyć ten wyraz, będziesz wolny, a ja daruję ci cały świat i nowe łyżwy.

Więc Kaj pragnął bardzo ułożyć dziwne słowo, a nie umiał. On, taki mądry, nie wiedział, jak zacząć.

Tymczasem ciepły wiatr wionął z południa i królowa śniegu wstała z wysokiego tronu.

— Muszę śpieszyć do ciepłych krajów — powiedziała — trzeba znowu nakryć moje czarne garnki (to znaczy: wulkany). Pobielę im trochę głowy, a cytryny i winogrona poumierają na ten widok.

I zniknęła w tumanach<sup>19</sup> śniegu.

Kaj został sam w olbrzymiej, pustej sali. Zrobił sobie z kawałków lodu wygodne siedzenie, usiadł, patrzył na ułożone przed sobą litery, milczał, myślał i siedział nieruchomy, sztywny, zimny i siny, jak zamrznięty.

<sup>19</sup>tumany — kłęby. [przypis edytorski]

Wtedy właśnie Gerda weszła do pałacu. Ostry wicher z przeciągłym jękiem rzucił się ku niej, aby ją zatrzymać, ale zaczęła modlić się goręcej i wiatr ucichł, i przypadł spokojnie ku ziemi, jakby kładł się do snu.

Gerda weszła do olbrzymiej sali, pustej, białej i cichej. Nagle zobaczyła Kaja. Poznała go natychmiast. Z okrzykiem radości pobiegła ku niemu, obie ręce zarzuciła mu na szyję i mocno przyciskając go do serca, wołała uradowana:

— Kaju! Kochany Kaju! Znalazłam cię przecież!

Lecz Kaj siedział cichy, sztywny, nieruchomy — a taki zimny!

Gerda wybuchnęła płaczem. Jej łzy gorące padały mu na piersi, przenikały mu do serca, roztopiły lodową bryłę i splukwały z niej okruszynę czarodziejskiego zwierciadła, które było przyczyną całego nieszczęścia.

I nagle serce zabiło mu mocniej, zimny dreszcz przebiegł ciałem, zdumiony podniósł oczy na Gerdę, a ona zaczęła śpiewać:

Co ja kocham na tym świecie?

Złote słońko, jasne kwiecie!

Boże ptaszki śpiewające...

Łzy, Czary

A kiedy wymówiła słowa: „Wszystko kocham serca biciem, a przestanę chyba z życiem!” — Kaj przypomniał sobie nagle krzaczek róży, dom, rodziców, babkę, Gerdę i wszystko, co się stało i zrobiło mu się tak smutno, tak smutno w tej wielkiej, białej, pustej, strasznej sali, że wybuchnął ogromnym płaczem, a ze łzami spłynął natychmiast i drugi okrusz szkła czarodziejskiego, który mu tkwił w oku.

Wówczas dopiero poznał naprawdę Gerdę i wydawała mu się tak piękną jak dawniej i uczył, że ją kocha tak mocno jak dawniej i aż krzyknął z radości i objął ją także rękami. I ściskali się serdecznie oboje, płacząc i śmiejąc się razem ze szczęścia.

Po raz pierwszy w białym pałacu, u stóp tronu królowej śniegu rozległy się nieznanne tu głosy wesela; toteż zdumione lodowe jezioro pękać zaczęło z wielkiego podziwu, a kawałeczki lodu, dotąd nieruchome, kręciły się w szalonym tańcu, podskakując i uderzając o siebie, aż zmęczone upadły znowu i same ułożyły się w ten dziwny wyraz, za który Kaj miał otrzymać wolność, świat cały i nowe łyżwy.

W pałacu królowej śniegu, na lodowym jeziorze, u stóp wysokiego lodowatego tronu, jaśniał w blaskach zorzy północnej nieznanemu tu, tajemniczy wyraz:

»Kocham«.

A dzieci stały przy nim uśmiechnięte, opromienione złotem i różowym światłem. Gerda pocałowała Kaja w twarz — a sina twarz jego stała się rumianą — pocałowała go w oczy i stały się znowu jasne i błyszczące — całowała mu ręce i stały się silne — całowała mu nogi i utraciły sztywność i stały się zdrowe, i Kaj powstał z lodowego krzesła, rażny, zdrów, silny i dobry jak niegdyś.

Teraz mogła powrócić i królowa śniegu; był zupełnie wolny! Wolność jego jaśniała u stóp wysokiego tronu tajemniczym wyrazem w blaskach północnej zorzy.

Dzieci wzięły się za ręce i wyszły z okropnego pałacu. Rozmawiały o domu, rodzicach i babce, o kwiatach na dachu i o krzaczku róży, a gdzie się zwróciły, uciszały się wiatry i słońce wychylało się z ciemnych obłoków.

Gdy stanęły przy krzaku z czerwonymi jagodami, zastały tam dwa reny: stary ren przyprowadził towarzysza. Dobre zwierzęta zanosły Gerdę i Kaja najpierw do starej Eskimoski, gdzie dzieci wygrzały się w gorącej izbie, a następnie do Laponki, która przygotowała im na drogę nowe suknie<sup>20</sup> i powiedziała, którędy iść mają.

Oba reny odprowadziły dzieci do granicy swego kraju i pożegnały tam, gdzie zniknęły śniegi, a ziemię i lasy okrywa świeża zieloność.

— Bądźcie zdrowi! — Bądźcie zdrowi! — powiedziały sobie nawzajem.

W powietrzu zaświergotały małe ptaszki, las zaszemrał młodymi listeczkami i na małym, ślicznym koniku wyjechała spomiędzy drzew jakaś dziewczynka w czerwonej czapce i z pistoletem za pasem.

Pamięć

Miłość

Pocałunek, Wolność

<sup>20</sup>suknie — tu: ubrania. [przypis edytorski]

Była to mała zbójniczka na kucyku, którego Gerda dostała od księżniczki wraz ze złocistą karetą.

Gerda i zbójniczka poznały się natychmiast i wydały okrzyk radości.

— Znalazłaś Kaja! — wołała ucieszona zbójniczka.

— Powracamy do domu! — odpowiedziała szczęśliwa Gerda. — Dziękujemy ci za wszystko. Chciałabym podziękować też księżniczce, wronie i krukowi.

— Księżniczka wyjechała w daleką podróż.

— A wrona?

— Wrona nie żyje. Kruk nosi po niej żalobę.

— Pozdrów go od nas — rzekła ze smutkiem Gerda.

— Bądźcie zdrowi! — rzekła zbójniczka i serdecznie uściskała małych wędrowców.

A dzieci szły, trzymając się za ręce i rozmawiając o tym, co kochały. Dokoła nich budziła się ze snu przyroda, na niebie jaśniało słońce, na łąkach pachniały kwiaty, na polach kołysały się zielone fale zboża, las szumiał, świergotały ptaki.

Tak zbliżyły się do wielkiego miasta. Dzwony odezwały się z wieży kościelnej i dzieci poznały ten dobrze znany głos. I poznały ulice, domy, sklepy, bramy.

Ściskając się za ręce, biegły do swego domu, po znanych schodach, na znane poddasze, do izdebki, gdzie upłynęło im dzieciństwo.

Nic się tu nic zmieniło: sprzęty stały na swoim miejscu, na zegarze posuwały się wskazówki, a wahadło biegło w tę i ową stronę, powtarzając tym samym jednostajnym głosem: tik-tak!

Wchodząc we drzwi, zauważyły dopiero, jak urosły w przeciągu tego czasu. A tam, przy oknie, stały ich małe krzeselka! Babunia siedziała na starym fotelu i modliła się z książki, a słońce oblewało złotym blaskiem jej siwą głowę.

Jak tu ślicznie, jak jasno, jak wesoło!

O pałacu królowej śniegu zapomnieli. Usiedli znowu na małych stołeczkach jak dawniej i spojrzeli na drewnianą skrzynkę, w której rosły powoje i groszki pachnące. Na krzaczkach róż rozwinęły się prześliczne kwiaty i zdawały się uśmiechać do nich, nachylając różane główki w stronę okna.

A dzieci zaśpiewały razem:

Co ja kocham na tym świecie?

Złote słońko, cudne kwiecie!

Boże ptaszki śpiewające,

Jasne rosy, w kwiatach drżące,

Błękit nieba i obłoki,

Cały piękny świat szeroki,

I chatynkę pobielaną,

I materinkę ukochaną!

Wszystko kocham serca biciem,

A przestanę chyba z życiem!

## *Kwiaty Idalki*

— Moje śliczne kwiaty zupełnie powiędły! — zawołała Idalka zasmucona. — Wczoraj wieczorem jeszcze były takie ładne, a dziś zwiesiły główki, opuściły liście. Co to ma znaczyć? Dlaczego to, Fredziu?

Ostatnie zapytanie zwróciła do studenta, który siedział na sofie. Nie darmo pytała go o to: Fredzio wiedział wszystko. Umiał opowiadać prześliczne historie, wycinać różne figle: serduszka z tańczącymi w środku dziewczynkami, kwiaty i wspaniałe zamki, w których się otwierały drzwi i okna. Był to nie lada student.

— Dlaczegoż dzisiaj te kwiaty tak zwiędły? — powtórzyła, wskazując bukiet na stole.



— Nie wiesz, dlaczego? — rzekł Fredzio. — Twoje kwiaty były dziś w nocy na balu i dlatego teraz pospuszczały głowy. Są zmęczone.

— Co też ty mówisz, Fredziu. Przecież kwiaty tańczyć nie umieją.

— Tak myślisz? A ja twierdzę, że tańczą prześlicznie, prawie co noc, kiedy my śpimy, wyprawiają sobie bale i bawią się wybornie.

— A dzieci na takim balu być nie mogą?

— Owszem — odparł Alfred — bywa ich nawet zwykle dosyć dużo: pączki róż, konwalijki ledwie rozwinięte, stokrotki polne.

— I gdzież one tańczą?

— Czy pamiętasz zamek królewski za miastem, gdzie jest ten duży ogród, pełen kwiatów? Karmiłaś tam labędzie, czy pamiętasz? Przyływały do ciebie i chwyciły okruchy chleba, które rzucałaś do wody. Tam właśnie odbywają się zwykle te bale.

— Ach, wiem! Byłam tam właśnie wczoraj z mamą, ale nie widziałam już liści na drzewach, ani kwiatów w ogrodzie. Gdzież się podziały wszystkie? W lecie tyle ich było.

— Są teraz w zamku — odparł student. — Powinnaś wiedzieć o tym, że skoro tylko król ze swoim dworem powraca do stolicy, wszystkie kwiaty uciekają z ogrodu do zamku, gdzie bawią się wybornie. Najpiękniejsze dwie róże zasiadają wtedy na tronie i są królem i królową. Znasz kogucie grzebienie, te czerwone? One stają po obu stronach, niby szambelanowie. A reszta kwiatków rozpoczyna tańce. Śliczne fiołki udają młodych marynarzy, a hiacynty i krokusy — młode panny. Tulipany zasiadają na fotelach, niby poważni ojcowie, a czerwone lilie, jak troskliwe mamy, uważają na wszystko i pilnują przyzwoitości i porządku.

— I nikt im nie zabrania tak się bawić w pałacu króla? — spytała Ida.

— Prawie nikt o tym nie wie, moja droga. Zdarza się czasem, że stary burgrabia, który czuwa nad zamkiem, zechce po nocy przejść się po pokojach. Ale cóż? Ma on wielki pęk kluczy u boku. Skoro tylko kwiaty usłyszą brzęk kluczy, chowają się za firanki i siedzą cichutko, ostrożnie wysunawszy główki. — Tu pachną kwiaty! — mówi do siebie burgrabia, ale jest bardzo stary i nic dojrzyć nie może.

— Ach, to ślicznie! — zawołała Ida, klasnąwszy w dłonie. — Mój drogi, mój drogi, czy ja bym tego zobaczyć nie mogła?

— Dlaczegoż nie, Idalko? Zajrzyj tylko przez okno do zamku, skoro będziesz w ogrodzie, a zobaczysz sama to wszystko. Ja dzisiaj tak zrobiłem: żółta lilia leżała wyciągnięta na sofie, to była dama dworu.

— A kwiaty z ogrodu botanicznego, czy także tam mogą przychodzić? To chyba dla nich za daleko?

— Cóż znowu, Idalko — przecież mogą fruwać. Czyś nie widziała nigdy prześlicznych motylków, żółtych, czerwonych, białych? Prawda, jakie niektóre podobne do kwiatków? Bo też to naprawdę kwiaty. Oderwały się od łądźki i zatrzepotały w powietrzu płatkami, niby skrzydełkami. Wtedy zaczęły fruwać. A ponieważ były grzeczne, pozwolono im fruwać dzień cały, zamiast siedzieć cicho na łądźce; tym sposobem nabrały wprawy, a płatki ich stały się naprawdę skrzydełkami. Sama to widziałaś zresztą.

— Ach, tak! Ach, tak! — szeptała zdumiona Idalka.

— Może być zresztą, że kwiaty z ogrodu botanicznego nie były dotąd jeszcze nigdy w królewskim zamku i nie wiedzą, że tam się można w nocy tak dobrze zabawić. Dlatego coś ci powiem... To się dopiero zdziwi profesor botaniki, który tu obok mieszka! Znasz go przecież? Kiedy będziesz w jego ogródku, szepnij któremu kwiatkowi o balu w zamku królewskim, on to opowie innym i wszystkie tam polecą. Pan profesor przychodzi sobie do ogrodu, a tu nie ma ani jednego kwiatka! I nie będzie wiedział, gdzie mu się podziały?

— Ale jakże kwiatek powtórzy to innym? Przecież kwiaty mówić wcale nie umieją!

— Nie umieją mówić — odpowiedział Fredzio — ale się doskonale porozumiewają znakami. Czy nie widziałaś nigdy, gdy wietrzyk zawieje, jak one nachylają się ku sobie, dotykają się główkami, a wszystkie zielone listki trzepoczą przy tym w różne strony. Tak właśnie rozmawiają. I to wszystko jest dla nich zrozumiałe, jak dla nas głos i wyrazy.

— A profesor czy rozumie te ich znaki?

— Naturalnie. Razu jednego wchodzi sobie rano do ogrodu i widzi, jak wielka porczywa daje listkami znaki gwoździłkowi. — Ach, jakiś ty śliczny! — mówi. — Jak ja

cię kocham! — Nie podobało się to panu profesorowi i z całej siły uderzył pokrzywę po liściach, które zastępują jej palce. Możesz sobie wyobrazić jak się sparzył. Od tego też czasu nie śmie jej nawet dotykać.

— Ha, ha, ha! — śmiała się Idalka.

— Jak można kłaść dziecku w głowę takie rzeczy? — oburzył się stary radca, bardzo nudny, który właśnie przyszedł z wizytą i wygodnie usiadł na sofie.

Radca nie lubił Fredzia i zawsze coś mruczał pod nosem, gdy on wycinał dla Idy zabawne, śliczne figurki: człowieka, wiszącego na gałęzi, z sercem w ręku (to był złodziej, co kradł serca), czarownicę, galopującą na miotle i niosącą męża na nosie.

— Co za głupstwa! — mówił radca, który nie mógł tego znieść. — Jak można kłaść dziecku w głowę takie rzeczy! Takie fantazje wcale sensu nie mają.

Lecz Idalka wołała wierzyć studentowi, bo zresztą to, co mówił radca, było zupełnie niezrozumiałe. Kto by na niego zważał? A Fredzio opowiada takie zabawne historie, o których ona potem musi długo myśleć.

Spojrzała znów na swoje kwiatki: zwiesiły główki, gdyż były zmęczone; rozumie się, jeżeli całą noc tańczyły! Mogły być nawet chore.

Wzięła bukiet z wazonikiem i poszła do innych zabawek, ustawionych w kącie na małym stoliczku. Było ich tam bardzo dużo i na ziemi pod stolikiem i w szufladzie. Lalka Zosia spała już w swoim łóżeczku, lecz Idalka ją obudziła.

— Musisz wstać, Zosiu — rzekła — i ustąpić na tę noc łóżka, kwiatkom. Są chore i potrzebują wypoczynku, a ty sobie możesz poleżeć w szufladzie.

I wyjęła z łóżeczka lalkę, która zrobiła minę bardzo niezadowoloną, ale ze złości nie powiedziała ani słówka.

Potem ułożyła kwiaty na poduszce i okryła je kołderką.

— Teraz leżcie sobie i odpoczywajcie, a ja wam przyrządzę herbaty, żebyście się napiły i do jutra były zdrowe — powiedziała.

Zasunęła starannie firanki nad łóżkiem, aby im słońce z rana nie świeciło w oczy i odeszła na palcach.

Przez cały wieczór wciąż myślała o tym, co jej Fredzio opowiadał, a nim się położyła sama do łóżeczka, zbliżyła się cichutko do okna, na którym stały śliczne kwiaty mamy: tulipany i hiacenty, odsunęła firankę i szepnęła im z uśmiechem:

— Wiem, że będziecie na balu tej nocy.

Ale kwiaty udały, że nic nie rozumieją, żadnym listkiem nie poruszyły, Idalka wiedziała jednak, co ma o tym myśleć.

Długo dziś nie mogła zasnąć, bo wciąż myślała, jakby to było przyjemnie popatrzeć na śliczne kwiaty, tańczące w zamku królewskim. Ach, żeby to zobaczyć choć raz jeden!

— Czy też moje kwiatki naprawdę tam będą? — szepnęła cichuteńko i zasnęła.

W nocy się obudziła. Śniło jej się o kwiatkach, o Fredziu i nieznośnym radcy, który na wszystko wygadawał. W pokoju było cicho: na stoliku paliła się nocna lampka, ojciec i mama spali.

— Czy też moje kwiaty leżą jeszcze w łóżeczku Zosi? — pomyślała. — Ach, jak bym się chciała przekonać!

Podniosła się troszeczkę i spojrzała na drzwi uchylone do drugiego pokoju. Tam były jej kwiaty i wszystkie zabawki. Zaczęła nasłuchiwać i zdawało jej się, że ktoś tam ślicznie gra na fortepianie, ale tak delikatnie i cichutko, jak jeszcze nigdy dotąd nie słyszała.

— To pewno kwiaty tańczą! — szepnęła z zachwytem. — Ach, mój Boże, jakże bym chciała to zobaczyć!

Nie śmiała jednak podnieść się z łóżeczka, aby nie zbudzić mamy.

— Może one tu przyjdą — pomyślała znowu. Ale kwiaty nie przychodziły. Muzykę słychać było coraz lepiej, śliczną, ale cichutką.

Na koniec Ida dłużej wytrzymać nie mogła. Wyszła pomalutku z łóżka i na palcach podeszła do drzwi uchylonych. Zajrzała. Co za widok! Ach, cóż tam zobaczyła!

Nocnej lampki nie było w sąsiednim pokoju, ale księżyc świecił przez okno prześlicznie i było też tak jasno, jak w dzień biały. Wszystkie tulipany i hiacenty z okna stały na środku naprzeciwko siebie, w doniczkach nie pozostał ani jeden. Pomiedzy nimi kręciło

się i uwijało całe mnóstwo przeslicznych kwiatów, trzymając się listeczkami, jak za ręce i zwracając w takt muzyki w tę lub inną stronę. Niepodobna opisać, jak to było piękne!

Na fortepianie grała żółta lilia, którą Ida niedawno poznała w ogrodzie. Fredzio powiedział zaraz: — Patrz, jaka podobna do panny Karoliny. — Ale wszyscy się z niego śmiali. Tymczasem żółta lilia była rzeczywiście do panny Karoliny niezmiernie podobna, szczególnie teraz, kiedy pochylała to na prawo, to na lewo podłużną żółtą głowę, wybijając nią takt muzyki.

Małej Idalki nikt nie zauważył. Wtem wielki, niebieski krokus wskoczył na stół z zabawkami, odsunął firanki od łóżeczka lalki i chore kwiaty natychmiast powstały, okazując uśmiechem i ruchami, że już odpoczęły i mają ochotę tańczyć znowu razem z innymi.

Więc kominiarczyk ze stłuczonym nosem, który siedział zawsze w kącie, wyskoczył i kłaniając się uprzejmie kwiatom, zapraszał je do tańca. Wcale nie wyglądały na zmęczone, sfrunęły ze stolika i zaczęły kręcić się w kółko.

Coś upadło na podłogę. Idalka podniosła oczy — to różga karnawałowa, która widać uważała, iż zalicza się także do kwiatów. Była zresztą bardzo ładna przybrana w kwiaty papierowe i mogła się wszystkim podobać, choć na jednej z gałązek siedziała woskowa laleczka w kapeluszu z szerokim rondem, takim samym, jak nosił radca. Różga biegła prosto przez środek pokoju, przytupując do taktu, gdyż tańczyła mazura. Inne kwiaty nie lubiły tego tańca, ponieważ były za lekkie i nie mogły przytupywać.

Nagle woskowa lalka w kapeluszu z szerokim rondem stała się długa i gruba, zaczęła się wykręcać na swojej gałązce i krzyżeć głośno: — Jak można kłaść dziecku w głowę takie rzeczy? To fantazja bez sensu! — I podobna była zupełnie do radcy.

Lecz papierowe kwiaty zaczęły uderzać ją po długich nogach, że skurczyć je musiały i stać się znowu mała. Było to bardzo śmieszne. Różga wywijiała w kółko coraz lepiej, a nieznośny radca musiał tańczyć z nią razem, choć się kurczył i rozciągał bezustannie w swym kapeluszu z szerokim rondem.

Nareszcie inne kwiaty wstawiły się za nim i papierowe róże przestały uderzać po długich nogach twardymi listkami. Najlitościwsze były chore kwiaty z łóżeczka Zosi.

W szufladzie z zabawkami dało się słyszeć pukanie. Kominiarczyk natychmiast pośpieszył na brzeg stolika, położył się na brzuchu i z całej siły zaczął wyciągać szufladkę. Udało mu się wreszcie. Zosia wysunęła głowę i zaraz się podniosła, bardzo zadziwiona.

— To tutaj bal? — spytała. — A dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

— Czy chcesz ze mną tańczyć? — szepnął kominiarczyk.

— Jeszcze czego! To mi tancerz! — odpowiedziała dumnie i odwróciła się plecami.

Usiadła sobie na brzegu szuflady, oczekując, aż który z kwiatów przyjdzie ją zaprosić. Ale żaden nie przychodził. Zaczęła chrząkać głośno: — Hm! hm! — To wszystko jednak na nic się nie zdało, nikt na nią nie uważał. A kominiarczyk ze stłuczonym nosem tańczył sam i bardzo ładnie.

Widząc, że kwiaty na nią nie zważają, lalka z wielkim hałasem umyślnie spadła na podłogę.

Natychmiast wszystkie otoczyły ją troskliwie, podnosząc i dopytując się, czy nie zrobiła sobie jakiej krzywdy. Szczególniej kwiaty, które spały w jej łóżeczku, były uprzejme i dziękowały jej serdecznie, że na jej pościeli odpoczęły wygodnie przed balem. Wzięły ją za obie ręce i wyprowadziły na środek pokoju; tu księżyc najjaśniej świecił i najpiękniej było tańczyć. Reszta kwiatów otoczyła ją ogromnym kołem i wszyscy kręcili się tak leciuchno i ślicznie jak prawdziwy rój motylków.

Wtedy lalka rozweseliła się zupełnie i powiedziała kwiatom, że mogą spać w jej łóżeczku, bo jej w szufladzie zupełnie dobrze.

— Dziękujemy ci, dobra Zosiu — rzekły kwiatki — ale my już niedługo żyć będziemy. Umrzemy jutro. Powiedz Idalce, żeby pochowała nas w ogródku, obok kanarka, to obudzimy się w lecie i będziemy jeszcze piękniejsze.

— Ach, nie — zawołała lalka. — Po co macie umierać? — I całowała je serdecznie po kolei.

Wtem otworzyły się drzwi do salonu i tańcząc wbiegło mnóstwo najpiękniejszych kwiatów. Ida w pierwszej chwili nie mogła zrozumieć, skąd one się tu wzięły, ale odgadła zaraz: to pewno były kwiaty z królewskiego zamku.

Na czele szły dwie precudne róże w złotych koronach: to król i królowa. Potem śliczne, pachnące gwoździki; lewkonie kłaniały się na wszystkie strony i uśmiechały się słodko. Za nimi szła muzyka: wielkie maki i piwonie wygrywały z takim zapalem na strączkach, że poczerwieniały całkiem z wysilenia. Hiacynty fioletowe i pierwiosnki dzwoniły znowu tak prześlicznie, jakby miały prawdziwe dzwonki. Cudowna to była muzyka!

Całe mnóstwo kwiatów wpłynęło z salonu i tańczyły wszystkie razem: stokrotki z fiołkami, złocenie z konwalia, rezedza z groszkiem pachnącym, bławatki, bzy, bratki, róże — wszystkie się całowały i tańczyły, że rozkosz była patrzeć.

Na koniec księżyc pobladł i zmęczone kwiaty powiedziały sobie — Dobranoc!

Ida także cichutko powróciła do łóżeczka, wsunęła się pod kolderkę i zasnęła. Wtedy śniło jej się znowu wszystko, co widziała.

Nazajutrz z rana pobiegła natychmiast do stolika z zabawkami zobaczyć, co robią kwiaty w łóżku Zosi. Odsunęła firanek — leżały spokojnie, ale zupełnie zwiędły. Zosia była w szufladzie, gdzie ją ułożyła wczoraj, tylko okropnie zaspana.

— Czy pamiętasz, co mi miałaś dziś powiedzieć? — spytała Ida.

Ale Zosia zrobiła, bardzo niemądrą minę i nie odpowiedziała ani słówka.

— Wcale nie jesteś dobra — rzekła Ida — przecież wszystkie tańczyły z tobą!

Odwróciła się od lalki, wzięła bardzo ładne pudełko papierowe, malowane i włożyła w nie zwiędłe kwiaty.

— Będzicie miały prześliczną trumienkę — powiedziała. — Chłopcy przyjdą po południu i pomogą mi was pochować w ogrodzie, obok kanarka, żebyście obudziły się w lecie jeszcze piękniejsze niż teraz.

„Chłopcy” — byli to mali kuzynkowie Idy, Janek i Stefan. Dostali właśnie od ojca bardzo piękne nowe łuki i przyszli je pokazać Idalce. Dziewczynka opowiedziała im zaraz historię zmarłych kwiatów, więc zajęli się ich pogrzebem. Obaj szli naprzód, każdy z lukiem na ramieniu, a Idalka za nimi, niosąc kwiaty w ładnym pudełku. W ogrodzie wykopali dół pod drzewem, dziewczynka pocałowała kwiaty, potem złożyła pudełeczko w ziemi i usypali nad nim niewielką mogiłę.

Na pożegnanie chłopcy wystrzelili z luków, gdyż nie mieli armat, ani innej broni.

## Krasnoludek

W pewnym dużym mieście, na lichym poddaszu mieszkał prawdziwy student: *prawdziwy* — to znaczy, że był ubogi i kochał naukę. Na dole w tym samym domu mieszkał prawdziwy kupiec, a tu *prawdziwy* znaczy, że posiadał sklep duży, pełen dobrego towaru i dom, który także był jego własnością.

U kupca też zamieszkał krasnoludek, czyli kobold, bo różnie w różnych krajach nazywają te maleńkie istotki, w dzień starannie ukrywające się przed nami, a w nocy czuwające nad naszą pracą i majątkiem, jak niewidzialne duchy opiekuńcze. Ludzie też bardzo cenią pomoc krasnoludków i starają się pozyskać ich przyjaźń przez dary, jakie dla nich zostawiają.

Złym ludziom krasnoludki pomagać nie lubią, a nawet często szkodzą, aby ich ukarać; nie mieszkają też u nich. Dlatego stały pobyt krasnoludka szczęście i zaszczyt przynosi domowi, bo zarazem świadczy o jego zacności.

Nasz krasnoludek zamieszkał u kupca, bo tu było wygodnie, ciepło i dostatnio, a każdego roku na gwiazdkę zastawiano dla niego w sklepie obok kasy na czyściuteńkiej serwecie całą miseczkę miodu i oselkę najlepszego, świeżutkiego masła. Stać było na to kupca, ale krasnoludek umiał ocenić tę pamięć i trzymał się sklepu, sumiennie chroniąc od zniszczenia to, co w nim było najdroższego.

Raz wieczorem wszedł student tylnymi drzwiami od podwórza, aby sobie kupić świecę i kawałek sera. Nie miał kogo przysłać po to, więc sam przyszedł: zabrał sprawunki, zapłacił, a kupiec i kupcowa skinęli mu życzliwie na dobranoc. Było to bardzo uprzejmie z ich strony, gdyż kupiec miał sklep własny i dom cały należał do niego, a kupcowa posiadała jeszcze dar wymowy. Pod tym względem niełatwo jej było dorównać.

Student uklonił się też bardzo grzecznie i szedł ku drzwiom, lecz stanął i zaczął uważnie czytać kartkę papieru, w którą mu ser zawinięto. Była to kartka z bardzo starej książki, której ludzie nie powinni byli niszczyć — gdyż zawierała prawdziwą poezję.

— Mam tego więcej — odezwał się kupiec. — Jakaś staruszka przyniosła mi cały zeszyt tych kartek za odrobinę kawy. Daj mi pan parę groszy, a oddam ci resztę.

— O, tak! — zawołał student. — Nie mam wprawdzie pieniędzy, lecz daj mi pan te kartki zamiast sera. Wystarczy mi chleba na wieczerzę. Grzechem byłoby zniszczyć taką książkę. Jesteś pan dobrym kupcem i zacnym człowiekiem, lecz na poezji znasz się chyba tyle, co ta stara beczka od papierów w kącie.

Było to powiedziane niezbyt grzecznie, szczególnie względem beczki, która mogła się obrazić, ale kupiec się rozśmiał i student śmiał się także — przecież to tylko żarty.

Krasnoludek jednak oburzył się, że biedny student, który nie ma kawałka sera na wieczerzę, śmie mówić podobne rzeczy człowiekowi mającemu w sklepie masło śmietankowe i tyle nieporównanych przysmaków.

Toteż gdy noc nadeszła, sklep zamknięto i wszyscy spokojnie zasnęli, wyszedł krasnoludek ze swojej kryjówki, udał się do sypialnego pokoju i wziął od pani dar wymowy. We śnie go wcale nie potrzebowała, a on mógł po kolei obdarzać nim różne przedmioty, które tym sposobem równie dobrze, jak pani kupcowa, wypowiadały swoje myśli i uczucia. I to też było dobrze, iż tylko kolejno mogły się posługiwać własnością swej pani, gdyż inaczej mówiłyby wszystkie razem i byłby straszny hałas.

Najpierw krasnoludek oddał dar wymowy beczce, w której mieściły się stare gazety.

— Czy to prawda — zapytał — że nie wiesz, co znaczy poezja?

— Jeszcze bym tego nawet nie wiedziała! — odrzekła beczka. — Poezja to jest przecież to, co tak nierówno drukują zawsze u spodu w gazetach, a niekiedy wycinają potem nożyczkami. Ale to bardzo rzadko i mogę cię zapewnić, iż więcej poezji znajduje się we mnie w tej chwili, niż w tym dumnym studencie. A przecież ja jestem tylko ubogą beczką w porównaniu z naszym panem, zamożnym kupcem.

Następnie krasnoludek oddał dar wymowy młynkowi od kawy nowego systemu. No, ten przynajmniej nie marnował czasu, kiedy mógł mówić. Potem pożyczona tak niewinnie własność pani udzielona została beczce masła i kasie z pieniędzmi; wszyscy jednak podzielali zdanie beczki od papierów: widocznie miała ona dużo doświadczenia, i można jej było zaufać. Bo przecież jeżeli wszyscy mówią jedno i to samo, to musimy im przyznać słuszność.

— No, teraz mogę śmiało odpowiedzieć studentowi — rzekł do siebie krasnoludek i nie zwlekając ani chwili, wymknął się na schody na strych prowadzące.

W lichej izdebce świeciło się jeszcze. Krasnoludek zajrzał przez dziurkę od klucza i zobaczył, że student czyta podartą książkę, którą nabył<sup>21</sup> w sklepie za kawałek sera.

Ale jakaż tu jasność koło niego! Olśniewający promień tryska z kartek książki, niby pień drzewa rozwija się ku górze na tysiące gałęzi nad głową studenta, a każdy listek na nich pełen cudownego blasku, a kwiat każdy, jak śliczna, żyjąca twarz dziecka, dziewczicy, bohatera, a owoc — to gwiazda. I wszystko śpiewa, dzwoni jakąś pieśń nadziemską, której dźwięki płyną jak słodka muzyka.

O takiej wspaniałości nie śniło się nawet nigdy krasnoludkowi, nie byłby uwierzył, że coś podobnego można zobaczyć na świecie, a tymczasem tutaj — w ubogiej izdebce...

Patrzył i patrzył przez dziurkę od klucza, wspinając się na palce i nie mogąc pojąć ani nacieszyć się taką pięknnością.

Na koniec światło zgasło. Może student zamknął książkę, a może mu się świeca wypaliła i poszedł spać. Krasnoludek jednakże nie odchodził od dziurki, gdyż cudowne pieśni i nadziemskie muzyka brzmiały w izdebce ciągle, niby boska kołysanka dla wybranego ducha.

— Nie przeczuwałem nawet, że tu takie czary! — szepnął wreszcie maleńki. — Mógłbym się tu przenieść i zamieszkać zupełnie...

Zaczął myśleć o tym, gdyż był istotą rozważną i mądrą. Na koniec westchnął.

— A miód! — szepnął ze smutkiem. — Do jedzenia nic tu nie ma.

I szedł po schodach na powrót do kupca.

<sup>21</sup>nabyć — kupić. [przypis edytorski]

W samą porę powrócił, gdyż niewstrzemięzliwa beczka byłaby zupełnie zużyła dar wymowy pani kupcowej. Wygadała już wszystko, co się w niej mieściło, zaczynając od wierzchu, a teraz właśnie zamierzała powtórzyć jeszcze to samo na nowo, zaczynając od spodu dla większej dokładności. Krasnoludek spiesznie odjął jej mowę i zwrócił pani kupcowej, w której ustach mogła wypocząć do rana.

Od tego czasu jednak cały sklep od kasy aż do najciemniejszej drzazeczki tak mocno uwierzył w rozum beczki od papierów, iż wszystkie sprzęty powierzały jej swe sekrety, otaczały ją szacunkiem niewypowiedzianym, a kiedy wieczorami kupiec czytał głośno wiadomości z gazet codziennych, były pewne, iż wypowiada myśli ich czcigodnej sąsiadki.

Ale krasnoludek już teraz nie słuchał ciekawie i spokojnie tych rozmów wieczornych: on — skoro tylko błysnęło światelko w oknie na górze — śpieszył do dziurki od klucza, jak gdyby go kto ciągnął na łańcuchu. Tam ogarniało go dziwne uczucie wielkości i potęgi, jakby widział Boga samego, wśród burzy stąpającego po bałwanach morskich.

I zapominał, gdzie jest i co widzi, lzy płynęły mu z oczu, a serce wzbierało mu uczuciem dziwnie słodkim i radosnym. Jakimże szczęściem byłoby dla niego usiąść obok studenta pod drzewem jasności i widzieć, co on widzi i czuć, co on czuje! Lecz tego mu nie wolno, on przyjął gospodę u kupca, tam jego miejsce, a tu może tylko patrzeć z daleka przez dziurkę od klucza.

Nadeszła jesień; w sieni było bardzo zimno, wiatr wdierał się przez szpary i ciął krasnoludka jak ostrym nożem, lecz on czuł ból i zimno dopiero wtedy, gdy zagasło światło w lichej izdebce, gdy ucichły pieśni, które mu zabierały całą duszę.

Hu, wtedy czuł, że zimno! Kurczył się we czworo i ostrożnie zsuwał się znowu po schodach do ciepłego swego kącika. Tutaj było przyjemnie i wygodnie i mógł się wyprostować, ogrzać zziębnięte nogi.

A kiedy przyszło Boże Narodzenie, w sklepie przy kasie, na czystej serwecie, stała miseczka miodu i oselka masła. To mi kolęda — na cały rok wystarczy do spiżarni!

Kupiec był znowu górą w sercu krasnoludka.

Pewnej nocy zbudził go hałas okropny: stukano w okiennice gwałtownie, stróż nocny trąbił, uderzono w dzwony, rozległo się wołanie: „gore, gore<sup>22)</sup>”

Wszyscy zerwali się ze snu strwożeni. Gore? Gdzie gore? Całe miasto w ogniu! Dom sąsiada się pali!

Pani kupcowa tak się przestraszyła, że wyjęła z uszu co prędzej kolczyki, aby schować je do kieszeni. Kupiec wybierał ważniejsze papiery, patenty i świadectwa; służąca ratowała jedwabną mantylkę<sup>23)</sup>, którą za ostatnie zasługi kupiła; każdy najdroższą rzecz pragnął ocalić.

Krasnoludek poskoczył czym prędzej na górę do izdebki studenta, który stał spokojnie w otwartym oknie i patrzył na ogień, szalejący w domu sąsiada. Niech sobie patrzy — on pochwyił książkę, która leżała otwarta na stole, schował do swojej czerwonej czapeczki i trzymał mocno oburącz na głowie.

Teraz niech reszta spłonie: skarb najdroższy uratowany i nie zginie, póki żyje opiekuńczy duch tego domostwa, mały krasnoludek. On go w niebezpieczeństwie uchronić potrafi, oho! Już jest na dachu, siedzi na kominie i, przyciskając mocno czerwoną czapczkę, patrzy na dom płonący.

I tak siedział, póki nie ugaszono ognia. W tej chwili wiedział dobrze, co najbardziej kocha, co mu jest tutaj najdroższym na świecie, komu służy — o, wiedział.

Ale kiedy ogień ugaszono, powrócił do rozsądku. Tak, to bardzo piękne i bardzo drogie — ale...

— Muszę służyć im obu — rzekł na koniec. — Zupełnie kupca porzucić nie mogę, przez wzgląd na miód i masło!

<sup>22)</sup>gore (daw.) — pali się. [przypis edytorski]

<sup>23)</sup>mantylka (z łac. *mantellum*: okrycie) — rodzaj welonu, szala zarzucanego na głowę i ramiona, wykonanego z koronki a. cienkiej tkaniny. [przypis edytorski]

# Ropucha

Studnia była głęboka i na długim sznurze musiano spuszczać wiadro, aby dosięgło wody; ciężko też było pełne wyciągnąć do góry i ręka zabolala, zanim stanęło na zrębie. Woda w studni była chłodna, a przezroczysta, jak kryształ, ale słońce w jej zwierciadle nie przeglądało się nigdy; żaden promyk nie dosięgał do dna studni, choć zaglądał do środka ciekawie, podziwiając zielony mech i wodorosty, którymi porastały kamienne jej ściany.

W studni mieszkała z dawna cała rodzina ropuch. Dostały się tu przed laty przypadkiem, dzięki babce, która przyjechała w wiadrze i nie miały zamiaru powracać na ziemię. Zielone żabki, które jeszcze dawniej założyły tutaj swoje państwo, gościnnie powitały przybyszów, uznały w nich krewnych i nazwały ich gośćmi. Ale goście osiedlili się jakos na dobre utrzymując, że nie tak łatwo o przyjemniejsze mieszkanie na świecie, że tutaj mają zupełną swobodę, mogą przebywać z równym bezpieczeństwem i w wodzie i na lądzie. Lądem nazywały one wilgotne i porośnięte mchem kamienie, stanowiące ściany studni.

Razu jednego babka ich, stara ropucha, dostała się przypadkiem wraz z wodą do wiadra. Nie wiedziała, co począć, kiedy ciągnięto ją w górę. Nagle oślepiający blask słońca pozbawił ją prawie wzroku, uczuła ból w oczach, a więc przerażona wyskoczyła z wiadra, uderzyła o kamień i z wielkim pluskiem i hałasem wpadła znowu do wody. Przez trzy dni po tym wypadku leżała chora na ból krzyża, ale przyszła do siebie i odzyskała zdrowie.

Rozumie się, że niewiele mogła ona opowiedzieć wnukom o tej podróży i o nieznanym świecie, który się rozpoczynał poza studnią, to wiedziała jednakże, czego się domyślały zresztą wszystkie żaby, że świat inny istnieje tam na górze. Mogłaby ona coś o nim powiedzieć, gdyby naprawdę chciała, ale nie lubiła mówić i nawet na pytania zwykle odpowiadała milczeniem.

— Gruba, niezgrabna, brzydka — mówiły o niej żabki zielone z niechęcią — z pewnością i jej dzieci będą kiedyś takie.

— Być może — odpowiedziała urażona ropucha, lecz w głowie jednej w nas mieści się klejnot niezmiernej ceny, może w mojej własnej. A z was żadna nie posiada nic takiego.

Żabki zielone szeroko otworzyły oczy, słuchając o drogocennym klejnocie, ale spostrzegłszy, że młode ropuchy patrzą na nie z wielką dumą, wykrzywiły się pogardliwie i umknęły w głąb studni.

Ropuszka tymczasem kiwała głowami i wyciągały tylne nogi na znak zadowolenia; każde myślało, że zapewne ono ma w głowie drogi klejnot i postanawiało bardzo ostrożnie obchodzić się ze swoją osobą.

Przez kilka dni zaledwie ośmielały się skakać, a karki tak im zeszywniały od prostego trzymania głowy, że długo znieść tego nie mogły. Otoczyły więc babkę i zaczęły pytać: co to jest klejnot? dlaczego tak drogi? i dlaczego dumne być z niego powinny?

— Klejnot — odparła babka — jest to coś tak wspaniałego, że się wcale opisać nie da. — Temu, kto go posiada, sprawia rozkosz niewymowną, w innych zaś budzi zazdrość. Zresztą nie pytajcie mnie więcej, bo nie już nie odpowiem.

— To już wiem teraz, że ja nie mam w głowie klejnotu — zawołała najmłodsza i najbrzydsza z ropuch, tak szkaradna, że trudno było patrzeć na nią. Skąd by się we mnie wzięła rzecz tak droga? A jeżeli w innych ma to budzić zazdrość, to mnie by nie cieszyło. Nie chcę żadnego klejnotu, wolałabym wydostać się tam, na brzeg studni i świat zobaczyć. To musi być coś cudownego!

— Zostań, gdzie jesteś, kiedy ci tu dobrze — odrzekła stara — tu przynajmniej znasz wszystko i nie potrzebujesz się niczego obawiać. Uważaj tylko, żeby wiadro cię nie potrafiło, bo mogłoby cię zabić, a gdyby cię przypadkiem zacerpnęli z wodą, pilnuj się dobrze, żebyś nie wypadła. Nie każdy umie tak, jak ja, zręcznie wyskoczyć, a złamać nogę niewielka przyjemność.

— Kwak, kwak! — potwierdziła mała ropucha, co znaczyło w jej języku: — Ach, ach, moja babciu!

Z każdym dniem jednak goręcej pragnęła wydostać się na górę; tęsknota do jasnego, nieznanego świata, który olśniewa blaskiem — jak mówiła babka — wzrastała w niej

codziennie, snu ją pozbawiała, nie dawała spokoju. Toteż gdy dnia pewnego pełne wody wiadro zatrzymało się na minutę przy kamieniu, gdzie żabka rozmyślała, siedząc na mchu zielonym, nie zawahała się ani sekundy i wskoczyła do wody. Nie miała nawet czasu zastanowić się nad tym, co zrobiła, gdy olśnił ją blask wielki i jednocześnie prawie wyleciała z wiadra na wilgotną ziemię.

— Tfy, cóż za potwór! — zawołał parobek, który wylewał wodę.

I kopnął ropuchę butem z drewnianą podeszwą tak mocno, że ogłuszona upadła o kilka kroków, między gęste pokrzywy.

Kiedy przyszła do siebie, ujrzała dokoła las cienkich lodyg i zielonych liści, przez które przedzierały się plamki złociste. I zrobiło jej się tak miło, jak ludziom, kiedy w cienistym lesie widzą złote słońce, przeświecające przez gęstwinę liści.

— O, tu ładniej, niż w studni! — zawołała zachwycona — tutaj chciałabym przeżyć całe życie.

I położyła się na mokrej ziemi, pod liśćmi pokrzywy. Tak przeleżała godzinę, dwie prawie. Ale ciekawość znowu budzić się zaczęła.

— Co też tam dalej być może? — myślała. — Kiedy aż tutaj doszłam, muszę spróbować jeszcze zejść i trochę dalej. Czemuż bym nie miała poznać całego świata?

I posuwając się szybko, jak mogła, doszła do drogi.

Oblało ją słońce gorące, jasne, kurz obsypał całą, kiedy na drugą stronę w poprzek przechodziła.

— Tutaj to prawdziwie sucho — rzekła do siebie. — Strasznie sucho. Aż dusi!

Przedostała się wreszcie na drugą stronę drogi, gdzie był rów dość wilgotny i głęboki. Nad rowem rosły niezapominajki, spireje, białe ciernie, a na płocie pięły się dzikie powoje, osypane bladoróżowymi kwiatami. Motyl zleciał z kwiatka i usiadł na drugim. Ropucha myślała, że to kwiat oderwał się od lodygi i wleciał do góry, aby z wysoka lepiej świat obejrzyć. To wydawało jej się całkiem naturalne.

— O, gdybym ja tak unosić się mogła! — pomyślała z zazdrością. — Kwak, co za wspaniałości! Jakże ten świat piękny.

Osiem dni szczęśliwych przeżyła ropucha w rozkosznym rowie, gdzie nie brakowało żywności ani wygod. Dziewiątego dnia jednak powiedziała sobie: — Pójdźmy dalej. — Wprawdzie — czyż mogła znaleźć coś na świecie piękniejszego i wspanialszego? Czegoż jej tu brakowało? Chyba towarzyski, choćby zielonej żabki. Właśnie ostatniej nocy wydawało jej się, że wiatr przynosi dobrze znane głosy, zwiastujące bliskość krewniaków.

— Co to za życie! — rozmyślała sobie. — Wydostać się ze studni, odpocząć w pokrzywach, przeżyć taką suchą i palącą drogę, wreszcie ten rów wspaniały! Ale to nie dosyć. Dalej, naprzód! Muszę odnaleźć ropuchy, albo zielone żabki; sama natura wystarczyć nie może, każdy potrzebuje towarzystwa!

I wyruszyła dalej.

Przez łąkę doszła do dużego stawu, zarosłego trzcina i zaczęła przechadzać się dookoła.

Inne żabki zauważyły ją wkrótce.

— Dzień dobry. Jak się tu pani podoba? Przepraszam, może panu? Zresztą to wszystko jedno, każdy gość mile jest u nas witany.

Zaprosiły ją zaraz na wieczorny koncert w domowym kółku. Amatorskie siły, wiele zapału, na drobiazgi trzeba być wyrozumiałym. Co się tyczy przyjęcia: staw pełen czystej wody i co sobie kto znajdzie. Jak w domu, bez ceremonii.

I znowu zabawiła ropucha dni kilka, w przyjemnym towarzystwie. Po czym zapragnęła iść dalej. Czuła dziwną tęsknotę do czegoś lepszego a nieznanego.

— W drogę! — rzekła sobie.

Tyle rzeczy miała jeszcze do poznania! Nad nią świeciły gwiazdy jak złote iskierki, księżyc i słońce wypływały na niebiosa, posuwały się wyżej, wysoko i zniżały na powrót.

— Kto wie, czy ja i teraz nie jestem w studni — myślała żaba — prawda, większej i piękniejszej, ale zawsze głębszej. Chciałabym się znowu wydostać tam, na górę! Och, jak tego pragnę! Jaka tęsknota pociąga mnie; dalej, wyżej, bez końca!

Spojrzała na błyszczący, jasny księżyc w pełni i pomyślała znowu:

— A może to jest wiadro, które się spuszcza na dół? Gdybym w nie skoczyć mogła, gdzie by mnie wyniosło? A może słońce jest tym wielkim wiadrem?



Takie błyszczące i takie ogromne! Tam mogłybyśmy pomieścić się wszystkie. Trzeba tylko nie ominąć sposobności i uważać. Trudno to dosyć, bo oślepią blaskiem, ale kto chce coś poznać...

O tak mi w głowie coś świeci chwilami! Jaśniej niż klejnot, o którym mówiła nam babka. Tego nie mam z pewnością, ale co mi po nim? Nie rozumiem, jaką rozkosz sprawiać może. Ach, i nie myślę o nim wcale. Dalej, dalej w drogę, do szczęścia, do światła! Czuję w sobie wielką wiarę, chociaż i obawę razem. Co mnie znów czeka? Byle naprzód, prosto!

Posuwając się z wolna, jak każda ropucha, nasza znajoma znalazła się wreszcie na drodze, wzdłuż której po obu stronach ciągnęły się ludzkie mieszkania, otoczone kwiatowymi i warzywnymi ogródkami. Zatrzymała się na grządce kapusty, aby odpocząć trochę.

— Co tu stworzeń na świecie, których nie znałam dotąd! — mówiła sobie — i jaki ten świat niezmierny! A jaki piękny! Nie powinien tylko siedzieć wciąż na jednym miejscu, kto chce go poznać. Jak tu zielono! — dodała wesoło, rozglądając się po główkach kapusty.

— Wiem o tym — odpowiedziała gąsienica, siedząca na młodej główce. — Mój liść jest tu największy, zasłania pół świata, ale mnie to nic nie szkodzi.

— Ko, ko, ko! — zagdakały kury, zbliżając się do grzędy i obchodząc ją wkoło. Kogut szedł na czele, a że wzrok miał doskonały, z daleka ujrzał grubą gąsienicę na pomarszczonym liściu i dziobnął ją zaraz tak mocno, że upadła na ziemię i wyla się z bólu. Kogut spojrział na nią najprzód jednym okiem, następnie drugim, gdyż nie wiedział, co to ma znaczyć i co może wyniknąć z takiego kręcenia.

— To mimowolnie — pomyślał na koniec i podniósł głowę, aby ją dziobnąć raz drugi. Przestraszona ropucha pośpieszyła biedaczce na pomoc i znalazła się nagle przed dziobem koguta.

— A to co? — rzekł prak zdziwiony. Cóż za potwór? Nędzne stworzenie ma widać obrońców!

I odwrócił się pogardliwie.

— Nie ma się o co dobijać — dodał jeszcze, odchodząc. — Zielony jakiś okruc. A kręci się... jeszcze by mnie w gardle drapało.

Tak mądre zdanie przekonało od razu wszystkie kury i żadna nie spojrzała nawet na gąsienicę, oddalając się w stronę przeciwną.

— A to się wykreściłam! — zaśmiał się zielony robak. — Nigdy w niebezpieczeństwie nie trzeba tracić przytomności. Wiedziałam, że ich odstraszyć potrafię.

Z zadowoleniem spojrzała na żabę, ale zaraz westchnęła.

— Cały kłopot, że teraz trudno będzie znowu na liść się dostać. Ha, cóż robić! I z tym przecież dam sobie jakoś radę. Nie od parady mam głowę na karku. Ale gdzież on się podział?

— Tu jest — rzekła ropucha, ze współczuciem patrząca na słabe małeństwo. — Bardzo mi przyjemnie, że moją brzydotę dopomogłam pani w tej biedzie. Kogut widocznie przestraszył się mojej osoby.

— Cóż to ma znaczyć? — spytała dumnie gąsienica. — Sama się obroniłam od koguta i pomocy od nikogo nie potrzebowałam. Ale jesteś rzeczywiście tak szkaradna, że niemiło patrzeć na ciebie. Proszę cię więc, odejdz stąd i zostaw mnie w spokoju. Oto mój liść. Zaraz się na niego dostanę. Dobrze mówi przysłowie, że najlepiej w domu. Każdemu najprzyjemniej u siebie. Ale muszę wejść trochę wyżej.

— O, tak, wyżej! — powtórzyła z westchnieniem ropucha — Każdy chce wyżej. I ona czuje to wielkie pragnienie, tę tęsknotę, która mnie naprzód popycha. Tylko biedaczka w złym dzisiaj humorze. I nie można się dziwić: taki przestach! Wszyscy dążymy naprzód, wyżej, wyżej!...

I starała się podnieść głowę tak wysoko, jak pozwalała na to krótka, sztywna szyja.

Na dachu chaty w gnieździe zaklekotał bocian, potem zaklekotała pani bocianowa. Żaba wypukłe oczy zwróciła w tę stronę.

— Ach, ci dopiero wysoko mieszkają! — zawołała z zachwytem. — Kto by się tam mógł dostać!

Na podwórzu przed chatą stało dwóch studentów. Jeden z nich był poetą, drugi przyrodnikiem, jeden pięknymi słowy opisywał wszystko, co wzrusza, cieszy, boli lub

zachwyca — drugi we wszystkim szukał początku i prawdy. Obaj byli dobrzy i poczciwi chłopcy, chociaż na każdą rzecz zapatrywali się odmiennie.

— Patrz no, jaka ropucha — rzeki nagle przyrodnik — pyszny egzemplarz! Mam wielką ochotę włożyć ją do spirytusu.

— Masz już dwie przecież w spirytusie — odparł poeta — pozwólże tej oddychać jeszcze czystym powietrzem i cieszyć się, że żyje.

— Kiedy taka brzydka. Prawdziwy okaz.

— Znajdziesz więcej takich. Gdybyś wiedział przynajmniej, że znajdziesz w jej głowie ten bezcenny klejnot, no, kto wie, czy wtedy sam bym ci nie doradził otworzyć jej czaszkę.

— Klejnot! Ach, ty poeto! Zawsze wolisz baśnie od nauki i prawdy.

— Nie — odparł poeta — prawda jest piękna, więc ją kochać muszę, ale sam powiedz, czyż to nie piękne podanie, że ropucha, ten najbrzydszy z naszych płazów, często ma w głowie klejnot niezmiernej wartości? W podaniach ludu nieraz kryje się myśl wielka i poetyczna. Czyż i ludzie tacy, jak np. Ezop, nie mieli...

Zaba nie słuchała więcej, nie rozumiała tej mądrej rozmowy; poskoczyła dalej, nie wiedząc nawet, że szczęśliwie uniknęła śmierci w spirytusie, i zastanowiła się nad jednym słówkiem, które ją uderzyło.

— I ci mówili także o klejnocie — rzekła do siebie — babka wie to dobrze i zna wiele rzeczy. Bardzo jest mądra. Szkoda, że nic mówić nie chce. A co do mnie, cieszę się, że nie posiadam tego skarbu w głowie, bo mógłby mnie tylko narazić na nieprzyjemności.

W bocianim gnieździe bocian przemawiał do dzieci, które ciekawie z góry przypatrywały się studentom.

— To są ludzie, najmądrzejsze na świecie stworzenia. Wiele rzeczy umieją, chociaż — rozważywszy, co umieją bociany, można się przekonać, że w niejednym ich przewyższamy. Mowa na przykład. Bardzo są z niej dumni, patrzcie tylko, jak prędko ruszają ustami. A jednak — moim zdaniem, co wart taki język, którego o dzień drogi już nikt nie rozumie? Bocian rozmówi się wszędzie z bocianem; na północy, w Egipcie na południu, w zimnych i ciepłych krajach, wszędzie jednakowo wypowiadamy swoje myśli. To jest język!

I latać ludzie nie mogą w powietrzu, jak my, bociany. Wprawdzie urządzili sobie jakieś linie i drogi, po których z szybkością mogą przenosić się z miejsca, na miejsce, ale — po pierwsze, co to za wygoda i co za porównanie z naszym lotem? A po wtóre — ileż widziałem wypadków, roztrzaskanych pociągów, pozabijanych ludzi! Brr! Aż mnie mrowie po dziobie przechodzi. Zresztą świat bez ludzi mógłby się obejść zupełnie. My nie odczulibyśmy wcale braku. Byle tylko zostały żaby i robaki.

— To mi mowa! — rzekła ropucha, która wysłuchała, jej z wielkim podziwem od początku do końca. — Bocian jest najmądrzejszą istotą na świecie. A jak wysoko mieszka. Nikogo jeszcze tak wysoko nie widziałam. I pływać może w powietrzu! — zawołała zdumiona, widząc, jak wzniósł się z rozpostartymi skrzydłami.

Tymczasem w gnieździe pani bocianowa zaczęła opowiadać dzieciom o Egipcie, gdzie się miały udać na zimę. Mówiła im o długiej, dalekiej podróży, o rzece, która kraj cały zalewa i zostawia muł niezrównany, pełen przewybornego pokarmu. Ropucha słuchała z wielką ciekawością tych opowieści nowych, a zachwycających.

— Muszę się dostać do Egiptu — pomyślała. — Muszę poznać ten kraj cudowny! Tyle rzeczy na świecie jest jeszcze do poznania! Żeby mię tylko bocian zechciał zabrać. Tak bym mu była wdzięczna. Ach, wiem, że się dostanę w ten lub inny sposób, bo wszystko mi jakoś wiedzie się na świecie. Wierzę teraz, że wszystko tutaj zrobić można, jeśli się szczerze pragnie, jak ja, całym sercem. O, wolę to pragnienie moje nieskończone, które mi rozkosz sprawia, niż najdroższy klejnot.

Nie domyślała się, że to pragnienie, które ją wечно naprzód i wyżej pociąga, że ta tęsknota do rzeczy nieznanych, wielkich i pięknych, jest właśnie klejnotem, który jaśniał w jej głowie blaskiem siły i radości.

Nagle tuż obok siebie ujrzała bociana, który otworzył dziób, aby ją porwać.

Więc marzenie spełnione!

Dziób zamknął się mocno, wiatr zaświszczał w uszach, ból przeniknął ciało, ale leciała w górę, może do Egiptu, wyżej i wyżej!

Z oczu jej trysnęły promienie iskier, a z paszczy szerokiej wyrwał się krótki okrzyk:

— Kwak... ach!

I ropucha nie żyła. Z ciała uleciało życie, z oczu trysnęły iskry. Gdzież są teraz?

Zabrały je promienie słoneczne, zabrały drogi klejnot z głowy ropuchy. I dokąd go zaniósł?

Pytaj o to poety. On jeden tylko widzi i rozumie te tajemnice, on ci odpowiedzieć może. On ci odpowie w baśni. A wiesz, co odpowie?

— Szukaj go w słońcu!

Szukaj, choć blask cię olśniewa. Nie wszystko widzieć możemy oczyma ciała naszego, ale kiedyś, kiedyś, ujrzemy może cuda, które dziś przeczuwa tylko tęsknota jakaś i pragnienie, ukryte niby klejnot tajemniczy w duszy człowieka.

## Len

Lato. Szumią lasy, kołyszą się zboża, pachną łąki kwieciste. Len zakwitł. Całe pole błękitnieje. Na zielonych łodyżkach patrzą w niebo kwiatki, drobne, błękitne, lekkie, delikatniejsze od skrzydeł motyla. Słońce je pieści, grzeje swymi promieniami, a chmury poją deszczem. I dobrze, miło zielonej roślince, jak dziecku, gdy je matka umyje, nakarmi i pocałuje.

Len był bardzo szczęśliwy.

— Mówią ludzie, że jestem piękny i wysoki — powtarzał sobie — że będzie ze mnie piękna sztuka płótna. Jak to przyjemnie. Na pewno jestem najszczęśliwszy w świecie! Tak mi dobrze. Nie jestem niczym i coś ze mnie będzie. Jak słońce ładnie świeci, jaki deszczyk słodki, ożywczy, ciepły! Szczęśliwy jestem, ogromnie szczęśliwy, najszczęśliwszy na świecie!

Usłyszały jego słowa kolki w płocie i rozśmiały się głośno.

— Co ty dzieciaku wiesz o szczęściu i o świecie? — zawołały. — Co ty znasz? Co widziałeś? My to co innego, stoimy tu tak dawno, mamy doświadczenie. Zaśpiewamy ci piosenkę, która cię wiele nauczy.

I zaczęły żalonym chórem:

Stuk — puk, stuk — puk,

Błysnęło!

Stuk — puk, stuk — puk,

Zniknęło...

I nie ma nic —

I nie ma nic!

Tak ze wszystkim na świecie, mój kochany.

— Nie, nie, nieprawda, wcale wam nie wierzę — odpowiedział len wesoło. — Dobrze i pięknie na tym Bożym świecie. Co rano słonko wstaje takie promienne i jasne lub z chmury deszczyk spada ożywczy, przyjemny i czuję, jak mi daje nowe siły, życie. Czuję, że rosnę, kwitnę, żem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy!

Lecz dnia pewnego przyszli ludzie i wyrwali len z korzeniami; to było bolesne. Zastopiono go w wodzie, gnieciono, dręczono jak męczennika. Straszne rzeczy!

— Ha, trudno! Zawsze dobrze być nie może — myślał z westchnieniem. — Czasem cierpieć trzeba, żeby się czego dowiedzieć na świecie. Będę mądrzejszy.

Mogło mu jednak zbraknąć cierpliwości, gdyż było coraz gorzej: palono go na słońcu, bito, łamano, skrobano — nie wiedział nawet, jak nazwać te męki, które znosił bez końca. Co dzień co innego. Zatknięto go na koniec na przęślicę, a wrzeczono furczęć zaczęło i okręcać około siebie długą nitkę. Biedny len w tym chaosie myśli zebrać nie mógł.

— Byłem dawniej szczęśliwy — mówił sobie, cierpiąc — trzeba pamiętać o tym i pocieszać się w smutku choć wspomnieniem szczęścia. Nic wiecznie trwać nie może. Powiniennem być zadowolony ze swego losu. Powiniennem.

I powtarzał to sobie najusilniej jeszcze wtedy, kiedy go rozciągnięto na warsztacie tkackim. Stuk — puk, stuk — puk... i z drewnianej ramy wysuwała się długa, piękna sztuka płótna. Wszystek len na nią wyszedł.

Lato

Szczęście, Pokora

Szczęście

Cierpienie, Pokora,  
Mądrość

Cierpienie

Vanitas, Pokora

— Ależ to cudowne! — zawołał w uniesieniu radości. — Tego się nie spodziewałem! Nie byłbym wierzył nawet. Co za szczęście! Co za szczęście! Tak, tak:

Stuk — puk, błysnęło!

Miały słuszność kołki w płocie:

Stuk — puk, stuk — puk,  
Błysnęło!

Nieskończona ich piosenka, ale zaczyna się dobrze. Jak w bajce. Czary, czary! Stuk — puk i jestem oto sztuką płótna. Dawniej nie wiedziałem nawet, co to znaczy sztuka płótna. A warto było cierpieć. Teraz dopiero naprawdę jestem najszczęśliwszą na świecie istotą. No i wart jestem więcej, niż tam niegdyś na polu. Cóż znaczy jakaś drobna, słabiutka roślinka, choćby z niebieskim kwiatkiem? Któż wtedy dbał o mnie? Kto mię pielęgnował? Tylko chmury poczciwe poiły mnie deszczem, tylko słońko pieściło mnie światłem złocistym. A teraz co innego: jestem sztuką płótna i proszę spojrzeć jaką! Mocną, długą, cienką, a co za białość! Wszyscy mnie też cenią, wszyscy mi usługują i troszczą się o mnie; dziewczęta rozścielają mnie co dzień na słońcu, co wieczór polewają czystą, świeżą wodą. A co się przy tym nasłucham ich pochwał! Najstarsza gospodyni powiedziała, że w całej wiosce nie ma piękniejszego płótna. Czyż można być szczęśliwszym na świecie?

Przemiana

Niedługo jednak trwały chwile wypoczynku. Wzięto płótno do domu, pokrajano nożyczkami, kluto igłą, przewracano i gnieciono — nie było to zbyt przyjemne, ale zrobiono z niego dwanaście pięknych, mocnych sztuk bielizny, której nie mogą nazwać. Cały tuzin.

— Patrzcież państwo! Więc takie było moje przeznaczenie. Teraz dopiero wiem przecie, czym jestem i na co zostałem stworzony. Być na świecie użytecznym i potrzebnym — oto prawdziwa rozkosz, to największe szczęście. Jest nas dwanaście sztuk, lecz wszystkie razem stanowimy całość, jednym jesteśmy tuzinem, jedno mamy zadanie życia. I szczęście nasze jest wielkie, największe!

Szczęście

Wiele lat upłynęło. Płótno się podarło.

— Wszystko się skończyć musi — powiedziały sobie wszystkie sztuki bielizny, której nie mogą nazwać. — Cóż robić? Gdyby to było w naszej mocy, służyłybyśmy chętnie jeszcze bardzo długo. Ale sił już nie mamy.

Vanitas

Nie miały sił. Podarto je też na kawałki, poszarpano. Były pewne, że nadeszła ostatnia godzina ich bytu na tym świecie, gdyż wrzucono je w kocioł, gotowano — one same nawet nie wiedziały, co wyrabiano z nimi, aż ocknęły się wreszcie jako piękny, czysty, cienki i biały papier.

— A to mi niespodzianka! Cudowna, boska niespodzianka! — wołał papier uradowany. Odrodziłem się znowu i jeszcze piękniejszy, cieńszy i bielszy. Teraz będą pisali na mnie i nowej nabiorę wartości. Co za szczęście, co za szczęście niewypowiedziane!

Przemiana

Naprawdę wielkie szczęście spotkało nasz papier, gdyż napisano na nim rzeczy dobre i mądre. Jedna niewielka plamka atramentu nie popsuła znaczenia prześlicznych powieści i wierszy, których ludzie słuchali z zajęciem, a słuchając, stawali się rozumniejszymi i lepszymi, niż przedtem. Bo w słowach, napisanych na naszym papierze, kryło się błogosławieństwo i szczęście.

Książka, Słowo

— Czyż mogłem marzyć o podobnym losie tam, na zielonym polu, patrząc w niebo kwiatkiem maleńkim, niebieskim? — myślał len wzruszony. Czyż mogłem marzyć — wtedy, że będę niósł ludziom radość i wiedzę? Sam dzisiaj jeszcze dobrze tego nie rozumiem, a jednak jest to prawdą, nie złudzeniem. Bóg dobry zna me siły i wie, że sam z siebie do czynów wielkich niezdolny, a przecież wiedzie mnie coraz wyżej, do większych godności i do wyższego szczęścia. Tyle już razy myślałem, że pora skończyć piosenkę, którą śpiewały mi znajome kołki w płocie:

Stuk — puk, stuk — puk,  
Zniknęło...

— Lecz nie, przygasa tylko, by jaśniej błysnąć, życie, które Bóg wlał we mnie. I staję się coraz lepsze i pożyteczniejsze, a ja — coraz szczęśliwszy. Teraz zapewne wysła mnie w drogę daleką, dokoła świata, aby wszyscy ludzie usłyszeć mogli słowa, które na mnie napisano. Nie może być inaczej. Te prześliczne myśli bardziej mnie zdołają dzisiaj, niż błękitne kwiatki niegdyś na polu. O, szczęśliwy jestem, najszczęśliwszy na świecie.

Książka, Słowo

Nie wysłano jednak w daleką drogę cennego papieru, lecz oddano do drukarni, gdzie wszystkie myśli, które były na nim napisane, przedrukowano w książki, w setki i tysiące książek, a te rozbiegły się zaraz po świecie, gdyż tym sposobem więcej mogły przynieść ludziom przyjemności i pożytku, niż jeden podróżujący bez końca rękopis.

— Tak rzeczywiście jest daleko lepiej i rozsądniej — pomyślał papier. — Że mi to wcześniej do głowy nie przyszło! Zostanę sobie w domu i będą mnie tutaj szanowali, niby starego pradziadka tych wszystkich pięknych książek. W drodze mógłby spotkać mnie jaki wypadek i nie objechałbym ziemi dokoła. A przecież jestem czymś godnym szacunku i wielkiego poszanowania: na mnie spoczywały oczy tego, który pisał te mądre wyrazy; każdy wyraz sphywał na mnie prosto z jego myśli i serca. O, jestem szczęśliwy!

Tymczasem zwinięto papier w grubą rolkę i wrzucono do skrzyni, pełnej przeróżnych szpargałów.

Mądrość, Przemiana

— Po pracy należy mi się odpoczynek — pomyślał papier — bardzo mi tu dobrze. Mogę przynajmniej pomyśleć o sobie, zastanowić się nad tym, co zawieram. Teraz dopiero zaczynam rozumieć i coraz lepiej pojmować to wszystko, co napisano na mnie. A znać samego siebie — to pierwszy krok do mądrości. Ciekawym bardzo, co się jeszcze ze mną stanie? Naturalnie, że pójdę dalej i stanę się znowu czymś lepszym; wszystko postępuje naprzód i wszystko doskonali się na świecie, tego już mię nauczyło doświadczenie.

Znowu czas jakiś upłynął, nim otwarto starą skrzynię, wyjęto z niej wszystkie papiery i złożono na kominku, ażeby je spalić. Miały one niegdyś wielką wartość i dlatego ludzie nie chcieli sprzedać ich handlarzom do owijania masła albo cukru. Niech lepiej spłoną w ogniu.

Ogień

Dzieci obstały kominek gromadką. Chcą patrzeć, jak się papier palić będzie. To tak wesoło, ładnie: płomień wzbija się w górę, migoce, przygasa i bucha znowu; a potem iskiereki złociste, jak błyskawice, jak węże, ślizgają się po zwęglonych, czarnych szkieletach papieru. Wysypały się nagle gdzieś ze środka, niby dzieci ze szkoły, biegną, gasną, nikną. A teraz jeszcze jedna... To pan nauczyciel. Ha, ha, ha, nauczyciel!

Dzieci klaszczą w ręce, śmieją się wesoło, skaczą dokoła kominka.

Ogień

Rolka starego papieru od razu stanęła w ogniu. — Ach! — krzyknęła słabym głosem — i płomień ogarnął ją nagle, gwałtownie i buchnął w górę. — Ach! — jęknęła jeszcze po raz ostatni, lecz w tej samej chwili wstęgi ogniste strzeliły wysoko, tak wysoko, jak nigdy nie sięgały drobne błękitne kwiatki, a płomień gorący zajaśniał i zaświecił takim blaskiem, jakim nie świeciło nigdy piękne, białe płótno. Na jedno mgnienie oka wszystkie napisane na papierze literki stały się czerwone, jakby przemawiały ognistymi słowami, a potem zgasły z trzaskiem.

— Wznoszę się ku słońcu! — zabrzmiały wśród płomieni jakby setki głosów, w jeden chór zespolonych i przez czarny komin iskry i płomień wzlatywały szybko, wyżej, wyżej, ku niebu.

Ogień

Wzlatywały istotki lżejsze od płomienia, mniejsze od iskry, niewidzialne dla oka ludzi, a liczniejsze niżli kwiatki błękitne na polu, które niegdyś uśmiechały się do słońca. Krążyły one chwilę nad ogniskiem, a gdzie leciuchnym ciałem dotknęły popiołu, tryskał snop iskiek. Dzieci klaskały w dłonie i śpiewały, skacząc:

Stuk — puk, stuk — puk,  
Błysnęło!  
Stuk — puk, stuk — puk,  
Zniknęło...  
I nie ma nic!  
I nie ma nic!

Lecz niewidzialne, leciuchne istotki, lżejsze od płomienia, a mniejsze od iskry, zaprzeczyły wesoło:

— Nieprawda, nieprawda! Piosenka źle się kończy. Nic nie gaśnie, nic nie ginie na tym świecie i to cud najpiękniejszy! My o tym wiemy, myśmy to poznały i teraz dopiero jesteśmy szczęśliwe, najszczęśliwsze! Wyżej, wyżej, ku niebu! Kto wie, co nas czeka!

Ale dzieci słów tych usłyszeć nie mogły i nie byłyby rozumiały ich znaczenia, choćby je nawet słyszały.

## Matka

Przy kolebce chorego dziecka siedziała matka bardzo niespokojna o swoje ukochane maleństwo. Ze smutkiem patrzyła na bladą twarzyczkę i zamknięte oczy dzieciny, z niepokojem śledziła jego ciężki oddech, to znów zwracała oczy łez pełne ku niebu.

Wtem ktoś zapukał do drzwi. Był to ubogi staruszek otulony derką, jaką otulają konie, gdyż na świecie mróz był potężny, a wiatr ostry siekł po twarzy jakby nożem.

Dziecię zasnęło właśnie, a że staruszek drżał z zimna, więc pocziwa kobieta prędko zagrzała piwa, aby ubogi miał się czym rozgrzać choć trochę. Usiadł on obok kołyski dziecięcia i patrzył na nie długo i uważnie; matka usiadła także z drugiej strony i gładziła chudą, maleńką rączynę.

— Prawda, że ono wyzdrowieje? — rzekła. — Jak ci się zdaje? Przecież Bóg jest dobry, więc mi go nie zabierze?

Staruszek skinął głową jakoś dziwnie i nic nie odpowiedział. Po twarzy kobiety łzy spływały powoli, pochyliła głowę i zasnęła.

Przez trzy dni i trzy noce czuwała przy dziecku, a teraz zasnęła na jedną chwileczkę. Zbudziła się natychmiast przestraszona, drżąc z zimna.

— Co to jest? — zapytała, oglądając się na wszystkie strony. Staruszek zniknął i dziecinka nie było w kołysce: zabrał je z sobą.

Stary zegar w kącie odezwał się głuchym mručeniem, ciężka waga osunęła się do samej ziemi i — bum! Upadła. Stary zegar stanął.

Biedna matka z krzykiem wybiegła z pokoju, wołając dziecka swego.

Ale nikogo nie było na ulicy, tylko śnieg biały, miękki.

Pod ścianą jednak siedziała kobieta w długiej, żałobnej sukni.

— Nie wołaj nadaremnie — rzekła cichym głosem. — Śmierć była w twoim domu. Widziałam, jak wychodziła stamtąd z małym dzieckiem: zabrała je. Biegnie ona prędkiej od wiatru i burzy, a co raz weźmie, tego nie zwraca już nigdy.

— Powiedz mi tylko, którą drogą poszła — pytała nieszczęsna matka. — Powiedz tylko w którą stronę, a ja ją znajdę!

— Wiem, w którą stronę poszła — odparła czarno ubrana kobieta — mogę ci wskazać jej drogę, ale musisz mi przedtem zaśpiewać wszystkie te śliczne piosenki, które śpiewałaś co dzień przy kolebce swego dziecięcia. Polubiłam je bardzo; jestem ciemną nocą i przychodziłam tu co wieczór słuchać twojego śpiewu; słuchałam do rana i patrzyłam na łzy twoje, gdy śpiewałaś.

— Zaśpiewam ci je wszystkie, wszystkie co do jednej, lecz teraz nie zatrzymuj mnie, o nocy ciemna! Pozwól mi śpieszyć, pozwól biec za dzieckiem.

Lecz noc siedziała cicha i milcząca.

Wtedy biedna matka załamała ręce i zaczęła śpiewać, płacząc. Pływały śliczne pieśni, ale łez płynęło więcej. W końcu noc rzekła:

— Idźże teraz na prawo, aż do jodłowego lasu. Tam zniknęła śmierć z twą dzieciną.

Kobieta pobiegła. Las był ciemny, ale ścieżkę widzieć było można, więc śpieszyła. W głębi lasu jednakże drogi się krzyżowały, rozchodziły w strony przeciwne i biedna nie wiedziała, którą obrać. Wtem spojrzała na krzak cierniowy, na którym, zamiast liści i kwiatów, wisały sople zmarzniętego szronu.

— Czy nie widziałeś, w którą stronę poszła śmierć z moim dzieckiem? — zapytała matka.

— Widziałem — szepnął krzak — nie powiem ci jednak, dopóki mnie nie ogrzejesz na swej piersi. Przemarzłem aż do rdzenia, w lód się zmienię za chwilę.

Nie namyślając się, biedna kobieta przycisnęła do piersi nagi krzak cierniowy. Ze zranionego ciała krople krwi spływać zaczęły, krople krwi ciepłej. Lecz z nagich gałązek wystrzeliły listeczki, potem pączki białe i krzak cierniowy zakwitł pośród zimy, tak gorącym było serce biednej matki.

Wtedy wskazał jej drogę, którą śmierć poszła z jej dzieckiem.

I biegła znowu, a biegła tak długo, aż niezmierne jezioro zagrodziło jej drogę. Nie było na nim łodzi ani statku. Cienka powłoka lodu mostu zastąpić nie mogła, ale nie pozwalała przepłynąć na stronę przeciwną. Co tu począć? Matka dostać się tam musi; bo tam jej dziecię!

Upadła na ziemię i zaczęła pić wodę. Wypić jezioro całe? Czyż człowiek podola? Ale ona myślała, że cud stać się może.

— Nie, tego nie dokążesz — rzekło jej jezioro — starajmy się lepiej coś na to poradzić. Ja lubię bardzo perły, na dnie mam skarb cały, lecz twoje oczy są piękniejsze od wszystkich; takich czystych i jasnych pereł nikt nie widział. Oddaj mi je. Za to zaniosę cię do ogrodu śmierci; znajdziesz tam wszelkie kwiaty i rośliny, a każda z nich to życie człowieka.

— Czegoż bym nie oddała, aby ocalić dziecko — rzekła biedna kobieta. — Wypłacę oczy moje, byleś mnie zaniosło do straszego ogrodu śmierci.

I płakała tak bardzo, że jasne jej oczy wypłynęły i wpadły do wodnej otchłani; a wówczas fale podniosły ją lekko i płynęła, bujając się na nich łagodnie, aż do przeciwnego brzegu. Tu wznosił się gmach dziwny: niby zamek, niby ogród, pełen gór i przepaści.

Nieszczęśliwa matka widzieć go jednak nie mogła, gdyż zostawiła oczy na dnie głębokiego, zielonego jeziora.

— Gdzież mam teraz szukać śmierci, która zabrała mi dziecko? — zawołała głosem żalonym.

— Nie powróciła jeszcze — odparła jej stara siwa niewiasta, która czuwała tutaj nad kwitnącymi roślinami. — Ale skąd się tu wzięłaś, żyjąca istoto? Kto ci pokazał drogę, kto cię przywiódł?

— Bóg dobry mnie tu przywiódł. On jest miłosierny i ulitował się nad sercem matki. I ty się ulitujesz. Powiedz mi, gdzie dziecię moje?

— Tęgo nie wiem — odpowiedziała staruszka — nie znam go przecież, a ty nie masz oczu, więc jakże je poznać możesz? Wiele drzew i kwiatów tej nocy powiędło i śmierć nadleci wkrótce, aby je z tego ogrodu usunąć. Zapewne między nimi jest dziecię twoje. Wiesz przecie, że każdy człowiek ma drzewo swoje albo kwiatek drobny w ogrodzie śmierci; rośliny te z pozoru nie różnią się niczym od zwykłych roślin ziemskich, ale w każdej z nich bije serce. Może rozpoznasz bicie serca swego dziecka? Ale co mi dasz za to, jeżeli ci powiem, jak należy dalej postąpić?

— Nic nie mam — rzekła matka — ale gdybyś chciała, na koniec świata poszłabym za ciebie.

— Co mi po tym, moja droga? — Nie mam tam interesu. Oddaj mi lepiej swoje czarne włosy. Ja ci dam za to moje siwe, więc tak wiele nie stracisz.

— Tylko to? Ach, najchętniej! — I z radosnym pośpiechem oddała biedna matka swe czarne warkoczki, a w zamian otrzymała siwe włosy starej kobiety.

Następnie weszły razem do ogrodu śmierci, gdzie rosło mnóstwo krzewów różnorodnych, drzew, kwiatów polnych, wodnych, ogrodowych, silnych, wspaniałych, zdrowych i bladych, wędnących. Tu delikatne i wonne hiacynty pod szklanymi kloszami, tam czerwone piwonie; do łodyg lilii wodnych czepiały się raki, wysmukłe palmy wysoko wznosiły pyszne korony, dalej dęby, sosny i słabiuchne mietliczki, tymianek drobny; goździki i ciernie, grzyby, mchy i paprocie, mnogość i różnorodność nieprzebrana.

A najlichsza trawka miała imię swoje, każda była życiem człowieka, w każdej biło serce, dopóki żył człowiek, do którego należała. Były tu wielkie drzewa w małych doniczkach, które rozsadzały siłą swych korzeni i były wątłe kwiatki w ziemi tłustej, mchem otulone, dzwonami szklanymi nakryte. Jedne rosły na lodzie, inne na spiekłej ziemi, inne czepiały się nagich skal.

Matka szła pochylona, przykładając ucho do najmniejszej roślinki, nasłuchując długo, z trwogą ogromną; wreszcie wśród milionów, milionów serc poznała uderzenia serca najdroższej swej dziecińcy.

— To ono! — zawołała, osłaniając ręką drobny bławatek, który zwiesił główkę, po-  
bladły i znużony.

— Nie dotykaj kwiatka! — rzekła staruszka — stań tylko przy nim i czekaj, aż śmierć  
powróci ze świata. Nadbiegnie lada chwila. Wtedy nie pozwól jej wyrwać roślinki z ziemi,  
ale zagroź, że powyrywasz wszystkie inne kwiaty. Tego się będzie bała, gdyż jest odpo-  
wiedzialna przed Panem Bogiem za ich życie i nie wolno jej zniszczyć żadnego, dopóki  
nie otrzyma na to pozwolenia.

Wtem przebiegł mroźny powiew po ogrodzie i niewidoma zgadła, że to śmierć po-  
wraca.

— Skąd się tu wzięłaś? — spytała zdziwiona. — Jak mogłaś znaleźć drogę i przybyć  
tak prędko, przedziej ode mnie?

— Jestem matką — odpowiedziała nieszczęśliwa.

Śmierć wyciągnęła do bławatka długą kościstą rękę, lecz matka osłoniła go obu dłoń-  
mi, starając się nie dotknąć żadnego listeczka. Wtedy śmierć dmuchnęła chłodem na jej  
ręce i opadły bezwładnie, jak dwie skorupki lodowe.

— Mnie nie zwyciężysz — rzekła.

— Bóg cię zwyciężyć może.

— Pełnię tylko Jego wolę. Jestem Bożym ogrodnikiem i pielęgnuję tutaj Jego kwiaty,  
dopóki każe; a potem przesadzam je stąd do piękniejszego, rajskiego ogrodu, w dalekim,  
nieznanym kraju. Nie mogę ci powiedzieć jednak, co się tam z nimi dzieje.

— Oddaj mi dziecko moje! — zawołała matka. — Oddaj mi je natychmiast! —  
I z jękiem upadła i płakała głośno, boleśnie.

Nagle podniosła się i pochwyciła dwa piękne kwiaty, które rosły blisko.

— Oddaj mi dziecko moje! — powtórzyła — bo wyrwę i poniszczę... te rośliny!  
Zniszczę wszystkie kwiaty twoje, jeżeli mnie doprowadzisz do rozpacz!

— Nie dotykaj ich! — zawołała śmierć poważnie. — Tak nieszczęśliwa jesteś i tak  
cierpisz, a chcesz inne matki podobnie nieszczęśliwymi uczynić?

— Inne matki — szepnęła z przestachem kobieta i odsunęła się zaraz od kwiatów.

— Masz tutaj swoje oczy — mówiła śmierć dalej — wyjęłam je z jeziora, nie wiedząc,  
że należą do ciebie. Weź je. Piękniejsze są teraz, niż były; weź je i spojrzij w te studnię  
głęboką. Tam zobaczysz, coś chciała uczynić wbrew woli Bożej.

W głębokiej studni widać było obraz życia ludzkiego: jeden jasny i szczęśliwy, błogo-  
sławiony przez Boga i ludzi, pełen radości cichej; drugi pełen nędzy, bóleści i udręczenia.

— Którego z kwiatów jest ten jasny obraz? — pytała matka. — Którego ten straszny?

— Tego ci powiedzieć nie mogę. Wiedz jednak, że jeden z nich jest przyszłością twego  
dziecka.

Wtedy nieszczęsna matka załamała ręce.

— Którego? — pytała. — O, powiedz mi, który! Ocal niewinne dziecię! Ja nie chcę,  
aby ono w życiu tak cierpiało! Zanieś je lepiej do raj, do Boga. Zapomnij o łzach moich,  
ocal moje dziecię!

Śmierć patrzyła na nią.

— Więc czegoś chcesz? — szepnęła. — Czy mam ci oddać dziecię, czy zanieść je do  
kraju nieznanego, dalekiego?

Wtedy matka upadła na kolana i modliła się płacząc, z wzniesionymi ku niebu rękoma:

— Nie słuchaj mnie, o Boże! Ja nie wiem co dobre, ja nie wiem, czego pragnę. Niech  
się stanie wola Twoja!

I uleciała śmierć z duszą dziecięcia w kraj daleki, nieznanany...

## *Bąk i piłka*

Bąk i piłka leżały w drewnianym pudełku z innymi zabawkami. Bąk rzekł do piłki:

— Czy nie zechciałabyś się ze mną ożenić, ponieważ i tak mieszkamy razem w tym  
pudełku?



Ale piłka, która była obszyta safianem<sup>24</sup>, nie raczyła mu nawet odpowiedzieć.

Nazajutrz chłopczyk, właściciel zabawek, obejrzał zepsutego trochę bąka, usiadł na ziemi, wyjął pudełko z farbami, pomalował go na żółto i czerwono, umocował lepiej sztyfcik mosiężny pośrodku i bąk błyszczał jak złoto, kiedy go nakręcił i puścił na podłodze.

— Spójrz na mnie — rzekł bąk do piłki. — Czy widzisz, jak wspaniale wyglądam? Cóż ty na to? Może byśmy się dziś ożenili albo choć zaręczyli? Pomyśl, czy można dobrać lepszą parę: ty skaczesz a ja tańczę. Jesteśmy dla siebie stworzeni i szczęśliwszych małżonków nie znajdziesz na całym świecie.

— Tak myślisz? — odpowiedziała dumnie piłka. — A czy wiesz, do kogo mówisz? Zrobiono mnie z safianowych pantofli pana radcy. Takich miałam rodziców! A wewnątrz mam korek hiszpański!

— A mój krążek jest mahoniowy — odparł bąk — i sam burmistrz mnie wytoczył na swojej amatorskiej tokarni. Nie dotknęła mnie ręka rzemieślnika, pochodzę z najlepszego domu w całym mieście.

— Tylko czy można ci wierzyć? — zauważyła piłka wahająco.

— Bodaj<sup>25</sup> by mi pękł sznurek! Bodaj bym się więcej nie ruszył z tego miejsca, jeżeli kłamię!

— Pięknie umiesz się bronić — rzekła piłka — ale nie mogę. Doprawdy, nie mogę. Jestem prawie zaręczona z jaskółką. Ile razy podlecę w ogrodzie w powietrze, zawsze wysuwa małą główkę z gniazdka i pyta: „Czy się zgadzasz?” Zgodziłam się w głębi hiszpańskiego korka i uważam to za dane słowo. Więc widzisz, że nie mogę. Ale ci przyrzekam zawsze pamiętać o tobie.

— Wiele mi z tego przyjdzie! — mruknął bąk urażony i odtąd już z sobą nie rozmawiali.

Pewnego dnia chłopczyk wziął piłkę z pudełka. Bąk widział, jak wysoko wleciała w powietrze, jak ptak prawdziwy; w końcu zniknęła mu z oczu gdzieś w górze. Potem spadła na dół, a ile razy dotknęła ziemi, wlatywała znowu, nie wiadomo, czy z tęsknoty do jaskółki czy dlatego, że miała korek hiszpański wewnątrz.

Dziewiąty raz jednakże podrzuciona, piłka wleciała niezmiernie wysoko i już nie wróciła. Chłopczyk szukał jej długo, nareszcie zaprzestał.

— Wiem ja dobrze, gdzie ona! — szepnął bąk z westchnieniem. — Dostała się na pewno do gniazda jaskółki, pobrali się i są szczęśliwi.

Im więcej myślał o tym, tym więcej żałował, że stracił piłkę, którą kochał coraz bardziej. Kochał właśnie dlatego, że jej dostać nie mógł. Pogardziła nim, taka lekka, taka piękna, z safianowych pantofli pana radcy.

Zdrów był jednak z tą miłością i kręcił się szybko, ile razy puszczono go na mocnym sznurku; tylko piłka w marzeniach wydawała mu się coraz piękniejsza.

Kilka lat upłynęło mu w takiej tęsknocie — zestarzał się. Wtedy pozłożono mu krążek, i był znowu tak piękny, że trudno sobie wyobrazić. Tańczył wybornie, brzęczał głośno i wesoło. Wszyscy go podziwiali.

Lecz raz sznurek się zerwał, bąk podskoczył w górę — i zniknął.

Szukano go dokoła, zagłędano nawet do piwnicy — nadaremnie.

Gdzież się schował?

Nikt nie zgadł, że wpadł do śmietnika, gdzie leżał między głębami kapusty i starym gruzem, który wyrzucono z rynny.

— No, pięknie się ubrałem! — mruknął z niezadowoleniem. — Leżeć pomiędzy podobną hołotą! Za parę dni będę wyglądał jak ona. Obedrą ze mnie złoto... Straszne rzeczy!

To mówiąc, spojrzął zezem na głąb kapuściany z szeroką szczerbą w boku i na jakiś dziwny, kulisty przedmiot przypominający zwiędłe, przegniłe jabłko. Ale nie było to jabłko, tylko stara piłka, która przez długi czas leżała w rynnie, skurczyła się i zgniła od wilgoci.

Zabawa

Miłość niespełniona

Duma

Miłość

Tęsknota, Miłość  
niespełniona

<sup>24</sup>safian (z wł. *saffiano*) — cienka, miękka, wyprawiona garbnikami roślinnymi i barwiona skóra cielęca, kozia lub barania, z której wykonywano rękawiczki, pantofle i inne wytworne wyroby. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>bodaj — niech, oby. [przypis edytorski]

— Dzięki Bogu, że przecież jest tu ktoś, z kim można porozmawiać przyzwoicie — rzekła piłka, przyjaźnie patrząc na złocony krążek. — Jestem właściwie zrobiona z safianu, piękne rączki mnie szyły: wewnątrz mam hiszpański korek, choć to dziś trudno poznać. Byłam niegdyś prawie zaręczona z jaskółką, ale wpadłam do rynny i przez pięć lat cierpiałam tam okropne męki. Pięć lat dla młodej piłki to bardzo długi czas.

Bąk nic nie odpowiedział. Leżał teraz cichuteńko i myślał o swojej miłości. Tak, nie mógł wątpić — to ona, ta sama, jego ukochana piłka! Ale któż by ją poznał dzisiaj?

Wtem służąca ze śmieciami przysłała do śmietnika i spostrzegła złocony krążek.

— Bąk, bąk się znalazł! — zawołała głośno i wyjęła go spośród niewłaściwego otoczenia.

Na piłkę nie zwróciła najmniejszej uwagi, a co gorsza, wierny bąk przestał odtąd myśleć o niej i nie wspominał nigdy o swojej miłości. Trudno być stałym, jeśli ukochana przeleży pięć lat w rynnie i cierpi tam okropne męki. A do spotkania w śmietniku lepiej się nie przyznawać.

Miłość

Miłość, Przemijanie, Wstyd

## Historia roku

Był styczeń. Od rana srożyła<sup>26</sup> się straszna zadyмка, śnieg pędził przez ulice całymi chmurami, sypał z dachów, uderzał w szyby, bił przechodniów po twarzy, to znowu wirował w powietrzu, wichrem kręcony. Ludzie biegli skuleni, śpiesząc niesłuchanie, mrużąc oczy, wpadając na siebie co chwila i ostrożnie rozchodząc się w strony przeciwne, aby nie upaść od zdradzieckich, silnych porywów wiatru. Powozy i konie wyglądały jak cukrem posypane, lokaje odwracali się bokiem do wiatru, stangreci<sup>27</sup> wytężali siłę i uwagę, aby kogo nie przejechać, choć konie posuwały się bardzo powoli, tonąc w głębokich zaspach.

Prawdziwa burza śnieżna.

Uspokoila się wreszcie pod wieczór, odmieciono ścieżki pod ścianami domów, ale tak wąskie, że jeśli na której spotkało się dwóch ludzi, to stali dość długo naprzeciw siebie, gdyż żaden z nich nie miał odwagi wstąpić w śnieg głęboki.

Wieczór był już pogodny, ani cienia wiatru, niebo czyste, jakby kto wymiółł obłoki, usypane gwiazdami, które świeciły tak jasno, jak gdyby je wyczyszczono świeżo podczas burzy. Mróz ścinał śnieg, który skrzypiał pod stopami. Nad ranem był tak twardy i ścięty skorupą lodową, że wróble mogły skakać po nim, szukając pożywienia, którego nie było.

— Pi, pi! — odezwał się jeden żałośnie — to mi piękny Rok Nowy! Stary był daleko lepszy i mógł sobie zostać jeszcze. Ten mi się wcale nie podoba i mam chyba prawo na niego narzekać.

— Tak, tak — potwierdził drugi — ludzie narobili tyle hałasu, witając go aż wystrzałami. Nie wiedzieli sami, co robić z radości, że sobie stary poszedł. Ja cieszyłem się także razem z nimi, bo myślałem, że zaraz nastąpią dni ciepłe — a tymczasem nic z tego! Zimniej jeszcze, niż było. Ludzie widocznie pomylili się w rachunku.

— Naturalnie — pisał trzeci, stary, mądry, wróbel, nieco siwy na czubku. — Ludzie myślą się bardzo często. Zrobili sobie coś takiego, co nazywają kalendarzem i zdaje im się, że cały świat będzie stosował się do ich wynalazku. A świat ma swoje prawa. Kiedy nadejdzie Wiosna, wtedy się zacznie Rok Nowy: tego nikt nie odmieni i ja też tak czas liczę.

— Ale kiedyż ta Wiosna przyjdzie? — dopytywały inne.

— Przyjdzie ona, kiedy bociany powrócą; na pewno czasu określić nie można, a szczególnie tu w mieście — tu o tym nikt nic nie wie — na wsi lepiej się znają na tych rzeczach. Może lepiej tam się udać i zaczekać na nią? Zawsze ona tam bliżej.

— Bardzo to pięknie — pisał inny wróbel, który skakał dokoła, ćwierkając coś sobie, ale dotąd nie odywał się wyraźnie. — Bardzo to piękny pomysł — powtórzył — może dowiedzieć się tam czegoś pociesającego, ale ja nie polecę. Mam tutaj w mieście wiele dogodności, których bym nie znalazł na wsi. Niedaleko, na przykład, mieszkają tu ludzie, którzy sobie wymyślili bardzo rozsądną zabawkę: zawiesili na murze kilka doniczek od

<sup>26</sup>srożyć się — tu: występować z wielką siłą, gwałtownie, groźnie. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>stangret — woźnica, furman. [przypis edytorski]

kwiatów w ten sposób, że wielki otwór przylega do ściany, a tylko mały w denku zwrócony jest na świat. Przez ten mały otworek można się dostać do środka i mieć bezpieczne schronienie przed śniegiem. Gdzież na wsi znajdę podobne mieszkanie? Tutaj bardzo nam dobrze i wygodnie z dziećmi, a chociaż wiem, że ludzie nie zrobili tego dla nas, tylko dla własnej przyjemności, pochwalić ich za to muszę. Sypią nam też czasem okruszyny chleba, gdyż przyjemnie im patrzeć, jak kręcimy się i zajadamy. To wszystko są ważne rzeczy i nie można ich porzucać lekkomyślnie. Toteż pewna jestem, że mój mąż zostanie w mieście, więc naturalnie i my zostaniemy.

— A my lecimy na wieś dowiedzieć się czegoś o wiosnie — zaszczebiotało chórem kilka młodych wróbli i odleciały zaraz.

Na wsi mróz był większy, a wiatr ostry i przenikliwy pędził białe tumany przez pola śnieżyste. Drogą na wozie jechał chłop w kozuchu i czapce baraniej, bijąc się po ramionach, aby rozgrzać ręce w grubych, ciepłych rękawicach; bat spokojnie leżał obok; chude konie biegły w kłębach ciepłej pary.

Śnieg skrzypiał pod kołami, a wróbli skakały za wozem, zziębnięte i zmęczone.

— Pi, pi! Kiedyż tam przyjdzie znowu Wiosna? Pi, pi! Tak długo już na nią czekamy!

— Długo, długo! — powtórzył jakiś głos przeciągłe, który zdawał się płynąć z pobliskiego wzgórza, podobnego do góry śnieżnej.

Może to było echo, a może głos starca, siedzącego na wzgórzu mimo wichru i zamieci: w białej odzieży, cały śniegiem osypany, zdawał się białym królem, który z wysokiego tronu patrzy na swoje państwo. Białe włosy spadały mu aż na ramiona, biała broda pierś zasłaniała i tylko jasne oczy świeciły jak gwiazdy lodowe.

— Co to za starzec? — świergotały wróbli.

— Ja wiem! Ja wiem! — zakrakał stary kruk na płocie, ptak niezmiernie rozumny, który też nie gardził najdrobniejszym ptaszkiem, bo wiedział, że wszystkie równe są w oczach Boga. — Ja go znam — odpowiedział też wróblom — to Zima. To staruszek Rok Stary, który nie umarł wcale, chociaż tak napisano w kalendarzu, ale jako opiekun młodej Wiosny oczekuje tu na nią. Hu! co za mróz. Zimno wam, dzieciaki?

— O, zimno! Ale wszyscy świadczcie teraz, że miałem słuszną mowę, że kalendarz to wymysł ludzi, którzy chcą rządzić Naturą, a naprawdę sami o niczym nie wiedzą. My się z nią lepiej znamy, my, jej dzieci.

Upłynął tydzień, drugi, trzy tygodnie. Żadnej zmiany. Staw wielki, zamarznęty, partrzał w niebo martwą żrenicą: w powietrzu unosiły się mgły wilgotne, zimne: ciemne chmury wron bez krakania, milczące przeciągały ponad białą ziemią. Wszystko spać się zdawało.

Wtem błysnął promień słońca, przemknął po jeziorze, które zajaśniało, niby żywe srebro; białosc pól pociemniała, wierzchołki pagórków wysunęły się ciekawie spod śniegu. Lecz biała postać starca pozostała wyczekująca na najwyższym wzgórzu, z oczyma zwróconymi w stronę południową. I patrząc tam, nie widział, jak kobierzec Zimy zniknął nieznacznie, cieniał, tonął w ziemi, aż tu i ówdzie ukazały się miejsca zielone, na których zaroilo się zaraz od wróbli.

— Kiwit! kiwit! Czy to Wiosna już przybywa?

— Wiosna! — powtórzyło długie, długie echo, a wiatr niósł je daleko, przez łąki i pola, przez lasy ciemne, pełne mchów zielonych, które garbiły się na starych drzewach.

Nagle z południa, w jasnym blasku słońca ukazały się dwa pierwsze bociany; niosły na skrzydłach dwoje ślicznych dzieci: chłopczyka i dziewczynkę. Stały na łące, a dzieci zeskoczyły z nich leciuchno i tuląc się do matki-ziemi, ucałowały ją na powitanie.

Potem szły dalej, wzięwszy się za ręce, a gdzie stąpały ich nóżki małeńkie, kwiat wyrastał spod śniegu. Pełne uśmiechów biegły wesoło do wzgórza, gdzie siedział biały starzec i radośnie rzuciły się ku niemu.

Ale w tej samej chwili gęsta mgła wilgotna zakryła wszystko: nic nie było widać. Wtem zahuczał gwałtownie wiatr potężny, uderzył czołem w ciężki płaszcz mgły szarej, rozerwał go, poszarpał. Zajaśniało słońce ciepłe i jasne; z wysokiego wzgórza zniknął starzec, Rok Stary, a dwoje ślicznych dzieci zajęło jego miejsce.

— To mi Rok Nowy! — zaśpiewały wróbli. — To prawdziwy Rok Nowy! Ten nam zapłaci za wszystkie przykrości, jakie wycierpiałymy pod rządami Zimy. To Rok Nowy!

Wszystko dokoła stroiło się i zieleniło; gdzie zwróciły się oczy ślicznych dzieci, tryskały pączki zielone z gałązek, podnosiła się trawka zielona ku górze, zieleniały pola uprawne. Dziewczynka rozśmiała się i drobnutką rączką rzuciła pierwszą garść kwiatów na ziemię: miała ich tyle na lekkiej sukience! Sypała hojnie pełnymi rączkami, a wciąż ich miała mnóstwo nieprzebrane: podniosła się na koniec i obłoki kwiatów rzuciła precz, daleko, na grusze, jabłonie i drzewa owocowe, które stanęły białe jak pod śniegiem, nawet ich listków zielonych widać nie było.

Dzieci klaskały w ręce. Całe stada ptasząt unosiły się ponad ich główkami, a wszystkie szczebiotały: Wiosna! Wiosna! Wiosna!

Ślicznie było na świecie. Z chat wychodziły siwe staruszki, zgarbione, pomarszczone i prostowały się na ciepłym słońcu, i wygrzewały się w jego promieniach, i z rozkoszą patrzyły na pola i łąki, na żółte kwiatki, rozsiane tak hojnie, jak za dni ich młodości. Wszystko jak było dawniej, piękne, świeże nowe. Błogosławiona Wiosna!

Las ciemny jeszcze, pączki tylko na gałęziach, ale duch życia i tu już przeniknął, pachnie w powietrzu.

Niebieskie fiołki wysuwają kępami swoje wonne główki z zielonego ukrycia, a dalej prymulki, konwalia biała, zawilec gajowy, sasanki, każde źdźbło trawy pełne sił i soków.

Para dzieci na wzgórzu rośnie także szybko, śmiejąc się i śpiewając: płyną daleko wesołe ich głosy.

Ciepły, łagodny deszczyk spadł na ziemię, ożywia na niej wszystko: każda kropelka to błogosławieństwo; wiele ich pada i na głowy dzieci, ale nie czują tego, bo lży deszczu na ich twarzy mieszają się ze łzami szczęścia. Dzieci złączyły usta pocałunkiem i las zazielenił się w tej samej chwili.

Dzieci wstały z pagórka, wypoczęły i wyrosły. Jakie duże! To już para narzeczonych. Ujęli się za ręce i jak do ślubu idą, strojni w kwiaty, wśród kwiatów. Las rozwiesił nad nimi zielone sklepienie, na cichej ścieżce tylko promienie słoneczne i plamy cienia igrają z wietrzykiem. Jaki rozkoszny zapach młodych liści, jakie powietrze czyste i orzeźwiające! Pośród sitowia szemrze po kamieniach strumyk przejrzysty: jak wąż błyszczą łuską, tak on odbija promienie słoneczne, gdy się wychyli z gąszczy i przemyka po jaśniejszej polanie.

Wszystko żyje, drga życiem, wszystko się rozwija, rośnie, rozlewa wonie, jak uśmiech szczęścia i czuje w sobie nieśmiertelność.

Skowronek dzwoni wysoko nad polem, kukulka woła głośno, zlewają się w cudowną harmonię radosne głosy wilgi, czyżyka, kosa, pliszki małej. Wiosna, Wiosna! Wierzba tylko nie zdjęła z pączków rękawiczek z ciepłej, białej bawełny: bardzo jest przezorna, ale to nudne!

Upłynęły dni, tygodnie...

Coraz cieplej: gorące prądy płyną przez łąki i pola, żółkną zboża. Na cichych jeziorach rozpostarły się szerokie liście wodnych lilii, pod którymi szukają cienia drobne rybki podczas skwarne południa. I cisza. Tylko brzęczenie owadów, wytrwale pracujących koło kwiatów; tylko blask, upał.

Na skraju lasu, skąd widok rozległy na chaty wiejskie, kąpiące się w słońcu, na sady i ogrody, girlandy róż świeżych jak rumieniec dziewczęcia, na owocowe drzewa i wiśnie czerwone, soczyste, ciężkie wśród zielonych liści — na skraju lasu siedziała niewiasta. Piękna jest, młoda. Znamy ją: to ona przybyła tak niedawno jako dziecię małe, sypiąc kwiaty. Teraz wzrok jej śmiały zdaje się mierzyć czarne, ciężkie chmury, które się wznoszą z trzech stron coraz wyżej, wyżej, jak skały, jak góry olbrzymie. Niby wezbrane, czarne, skamieniałe morze, schylają się nad lasem i ku niemu płyną.

W lesie umilkło wszystko, jak przez czary; wietrzyk nawet swawolny poruszyć się nie śmie, siedzi gdzieś przyczajony: żaden listek nie drgnie, ucichły świągotliwe ptaki. Cisza, cisza... W całej naturze cisza i oczekiwanie pełne skupionej, milczącej powagi.

A ludzie śpieszą. Na drogach, na ścieżkach pełno jezdnych i pieszych, każdy pod dach dąży, szuka schronienia.

Rozjaśniło się nagle, jakby słońce pękło i błysnął płomień straszliwy, niszczący, oślepiający wszystko... I znowu ciemność, tylko grom potężny ozwał się groźnie, głucho.

Woda strumieniem spływa z niebios na ziemię. Światło i ciemność, cisza i grom znowu. Kwitnąca trzcina chwieje się na ciemnym błocie, jak rozbujane morze, las tonie

w ulewie, mgle, smugach deszczu: światło i ciemność co chwila; cisza i gromy, niby skał łamanie.

Trawy i zboża przylgnęły do ziemi, jakby przybite, jakby się już nigdy podnieść nie miały po straszliwej klęsce.

Lecz oto strugi wody zmieniają się w krople, błysnęło słońce, niebo uśmiecha się znowu, na każdym listku perły i diamenty, ptaki śpiewają, rybki wyglądają z wody, mkną w różne strony z podwójną szybkością, brzęczą komary nad wilgotną łąką.

Nad brzegiem morza, na wielkim kamieniu usiadło Lato, silny, dorodny mężczyzna, o mokrych włosach po świeżej kąpeli. Woda spływa z niego, lecz słońce go grzeje; czuje się odmłodzony, pełen siły. I cały świat dokoła czuje się młody i silny, bogaty, piękny, pełny darów bożych.

Piękne, gorące lato!

Słodki zapach płynie z pola koniczyny, miodowy zapach; roje pszczoł brzęczących uwijają się nad nim, gromadzą zbiory. Koląca jeżyna kamień ofiarny oplótła zielenią, kamień obmyty deszczem i słońcem oblany. Tu pszczoł królowa śpieszy ze swym rojem złożyć ofiarę z wosku i miodu słodkiego. Lato przyjmuje ją wdzięcznie wraz z żoną; oni lepiej od ludzi pojmują Naturę i więcej widzą.

Błysnęły złote gwiazdy na wieczornym niebie, zajaśniał promieniami złoty krzyż na szczycie wieży kościelnej: jasny księżyc świeci między wieczorną zorzą a jutrzeńką. To Lato!

Upłynęły dni znowu, upłynęły tygodnie.

Jasne sierpy żniwiarzy błysnęły po polach, w sadach gałęzie drzew gną się ku ziemi pod ciężarem owocu, chmiel rozwiesza bogato swe kiście pachnące, pod liśćmi leszczyny kryją się gniazda orzechów.

Tu zasiadł mąż i żona już nie dzieci i nie młodzieńcy, silni, piękni, dojrzały ludzie. Patrzą na świat dokoła, rozmawiają.

— Jakież bogactwo wszędzie! — szepnęła kobieta. — Błogosławieństwo Boże! Dostatnio, miło, dobrze, a jednak — a jednak — ja sama nie wiem, czemu tęsknię do spoczynku, do spokoju, do ciszy. Nie umiem określić dobrze tego dziwnego pragnienia!... Patrz, tam orzą znowu! Ludziom nigdy nie dosyć, zawsze pożądają więcej. Patrz, bociany idą z daleka za pługiem, ptaki egipskie, które nas przyniosły tu jako dzieci. Czy pamiętasz tę chwilę? Nasze przybycie tutaj? Przynieśliśmy blask słońca, zieloność i kwiaty: i wszystko było takie strojne, świeże. Dziś pociemniało, wiatr rozmiata liście, szczerniały lasy, utraciły barwy, nie zdobią ich w tym kraju złociste owoce...

— Chcesz złota i purpury? — zapytało Lato i wyciągnęło ramię ku polom i lasom. A w tejsze chwili bogactwo barw nowych okryło wszystkie drzewa: krzaki róż zajaśniały głogiem purpurowym, winnice okryły się złotem i szkarłatem, z drzew kasztanowych spadał deszcz ciemnych owoców, w lasach zakwitły powtórnie fiołki.

A Królowa Roku była blada i milcząca.

— Zimno! — szepnęła. — Wiatr chłodny. Nocami pada mgła wilgotna. Zimno mi, tęskno — do naszej ojczyzny!...

I smutnymi oczyma żegnała bociany, lecące na południe, żegnała każdego i smutnie ku nim wyciągała ręce.

Odleciały. Na drzewach, dachach domów gniazda puste; w jednym wyrasta wysoki kłos żyta, w innym rzepak kwitnący. Wróble krążą ponad nimi.

— Pi, pi! A gdzie to państwo gospodarze? Niewygodnie im tutaj? Wiatr za chłodny? Więc kraj ten opuścili? Szczęśliwej podróży!

Las zmienia barwy; żółknie i ciemnieje: liść spada suchym deszczem, wiatr jesienny świszcząc, porywa resztę.

Późna jesień. Królowa Roku spoczywa znużona na posłaniu z mchu i siana, smutnie patrzy w gwiazdy. Mąż stoi przy niej. Wiatr ostry przemknął pomiędzy drzewami i zabrał chmurę liści; na gałęzce obnażonej usiadł motyl, może ostatni motyl tego roku.

Upłynęły dni i tygodnie.

Mgła wilgotna i chłodna, owijała ziemię mokrą chustą, wiatr niósł lodowe igły, noce stały się długie, ponure. Pan, władca roku, sam stanął wśród pola; biały włos mu opada na ramiona, ale on nie wie o tem, myśli, że to płatki śniegu, które z chmur spadają i cienką warstwą okryły już pola.

Dzwon z kościółka ogłosił wieczór wigilijny.

— Oto dzwon Narodzenia — szepnął do siebie Król Roku. — Za chwilę mój następca przyjdzie na świat, a ja będę mógł odejść, tak jak żona moja. Na spoczynek ku jasnym gwiazdom!

Pod zieloną sosną, na której śnieg leżał, w głębi lasu stał Anioł z białymi skrzydłami i zwiastował młodym drzewkom wesołą nowinę.

— Radość ludziom i ptakom, i drzewom zielonym, i wszelkiej żyjącej na ziemi istocie! — wyrzekł starzec na wzgórzu, skąd panował wzrokiem nad całą okolicą. Dla mnie wybiła godzina spoczynku — nowy Król i Królowa otrzymują berło, władzę nad światem.

— Władza, przy tobie jeszcze — odpowiedział Anioł — ona, a nie spoczynek jeszcze twym udziałem. Czuwaj, aby śnieg, leżąc na ziemi, ogrzewał młode zasiewy. Spełniaj obowiązek już nie jako władca, ale jako podwładny. Ucz się żyć nie dla siebie, o sobie zapomnij! Godzina wyzwolenia dla ciebie wybije, kiedy się wiosna zjawi.

— Kiedyż ona przyjdzie? — zapytała zima.

— Gdy bociany powrócą.

Na wysokim pagórku siedzi starzec pochylony, w białej odzieży; długie białe włosy spadają mu na plecy, biała broda piersi osłania. Ciężar przebytych dni spoczął na barkach jego i przygniótł je mocno, lecz władza jego potężna jak wichur, co burzę niesie śnieżną, jak lodu okowy.

Siedzi na wzgórzu przygarbiony, cichy i patrzy na południe, jak jego poprzednik. Śnieg skrzypi, a lód trzeszczy pod nogami, żyłwy rysują błyszczącą powierzchnię zamarzonego jeziora. Kruki i wrony tworzą plamy czarne na białym śniegu — i cisza. Zima ścisnęła pięść i lód grubiej, łączy mocno ląd z lądem.

Wtem z miasta przyleciały stadem wróble i zobaczywszy starca, zapytały:

— Kto to?

A kruk na płocie, ten sam albo inny, lecz zupełnie podobny, odpowiedział znowu:

— To Zima, to Rok Stary: nie umarł on wcale, chociaż tak napisano w kalendarzu, lecz oczekuje tu na młodą Wiosnę, której jest opiekunem.

— A kiedyż ona przyjdzie? — dopytywały się wróble. — I my czekamy na nią, bo z nią zaczną się lepsze czasy, lepsze panowanie. Stary już do niczego.

Starzec w zadumie patrzył na las poczerniały, огоłocony z liści, na gałęzie nagie, ale kształtne i silne, pnące się ku górze, i głowa z wolna na pierś mu opadła. A nad lasem zawisła mgła zimna, lodowa i powoli spuszczała się ku ziemi.

Tymczasem stary władca snił o dniach młodości, o dniach poczucia siły i dniach szczęścia; a nazajutrz o świcie las stał jak marzenie, biały i czysty, strojny brylantami szronu, uroczy niby zaklęte królestwo.

To sen zimowy.

Słońce otrząsnęło biały szron z gałęzi.

— A kiedy przyjdzie wiosna? — świergotały wróble.

— Wiosna! — powtórzyło echo od pagórka. — Wiosna! — rozległo się w lasach bezlistnych. — Wiosna! — mknęło przez pola daleko, bez końca.

Słońce błysnęło cieplej, śnieg pociemniał, ścieniał, ptaki zaświergotały:

— Wiosna! Wiosna! Wiosna!

Wysoko od południa leci pierwszy bocian, drugi tuż za nim; na szerokich skrzydłach niosą dwoje dzieci. Zatrzymały się na szerokiej łące, dzieci witają ziemię pocałunkiem, a potem śpieszą do białego starca. Mgła zasłoniła wszystko. Czy wraz z nią wiatr uniośł sędziwego władcę, który siedział na pagórku?

Śladu po nim nie pozostało.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze! — szczebiotały wróble. Wszystko to bardzo pięknie, lecz zupełnie nie podług kalendarza, który wszystko przekręca.

## Motylek

Motyl chciał wybrać sobie piękną żonę, więc naturalnie zwrócił się do kwiatów.

W ogrodzie było ich pełno. Spojrzał ciekawym wzrokiem i zauważył zaraz, iż każdy stoi na swojej łądze skromnie i prosto, jak młoda panienska. Wszystkie zresztą były ładne i podobały mu się, więc wybór był trudny. Co tu robić?

Nie lubił się zastanawiać i rozważać długo. To takie nudne rzeczy! Uciekał zawsze od wszystkiego, co było podobne do pracy i teraz postanowił się wyręczyć.

Udał się do „Margeritki”, która — jak wiadomo — jest dobrą wróżką, złożył pocałunek na każdym płatku jej białej korony, bo z natury był czuły i serdeczny, a potem przemówił:

— Najdroższa, najmądrzejsza pani Margeritko, wiem, że nikt nie dorówna ci w mądrości, że umiesz przepowiadać przyszłość. Bądź więc tak dobra i powiedz mi, który kwiatek mam wziąć za żonę? Nie chciałbym się oświadczać nadaremnie. Ty wiesz, który mnie kocha, więc za twoją radą pójdę bez namysłu.

Ale Margeritka nic mu nie odpowiedziała. Była obrażona, że ją nazwał „panią”, kiedy też należała do młodych panienek; przecież to powinien wiedzieć! Przy czym tylko starsze całuje się w płatki korony, na znak uszanowania, ale z panienkami tak postępować jest nieprzyzwoicie.

Więc nie odpowiedziała.

Motyl zapytał raz, drugi i trzeci — na próżno. Bardzo go to zdziwiło, ale bał się nudów i kazania, więc odleciał, nie przepaszając. I sam da sobie radę.

Był to piękny dzień wiosny. Bieluchne konwalie i śliczne dzwonki tylko co się rozwinęły. Motyl przypatrywał im się z każdej strony.

— Bardzo ładne, śliczne! — mówił do siebie — jasne i niewinne, ale... podlotki, pensjonarki. Wolałbym coś poważniejszego.

Lilie wabiły go czystym kielichem, ale były za duże i trochę za sztywne; fiołki niepozorne i sentymentalne; kwiat lipy pospolity i bezbarwny, a przy tym krewni, krewni! Zbyt liczna rodzina nie należy do rzeczy pożądaných. Kwiat jabłoni jest piękny, przypomina różę, ale bardzo nietrwały; dziś jest, jutro nie ma, lada wietrzyk go zdmuchnie — któż się żeni na dzień jeden?

Groszek to co innego — bardzo miłe kwiatki! Takie młode gosposie, a jednakże pełne wdzięku. Powab i cnota razem, nic lepszego nie znajdzie. Postanowił się oświadczyć.

— Wtem tuż około wybranego kwiatka, na zielonym strączku spostrzegł jakieś płatki pokurczone, żółte.

— Co to jest? — zapytał.

— To moja siostra starsza — odpowiedział kwiatek.

— Aha! — zawołał motyl i uciekł co prędzej, gdyż nie chciał, aby jego przyszła żona podobna była do zwiędłego groszku. Po prostu się przestraszył.

Na płocie piął się powój, ale piękne kwiaty tylko przez kilka godzin w dniu stały otwarte, a potem się skręcały, jak sznureczki. Zresztą dokoła pełno różnych kwiatów, lecz wybór trudny: każdemu można coś zarzucić.

Upłynęła wiosna, kończyło się lato, motyl nie wybrał sobie dotąd żony.

Jesień w nowe barwy przybrała ogrody, otworzyła nowe pączki, kwiaty okazały, nie lękające się wiatru i chłodu. Lecz nie miały zapachu.

A motyl teraz właśnie przekładał nad wszystko przyjemny zapach; on mu przypominał wiosnę. Astry i georginie były piękne, ale nie miały w sobie uroku młodości ani rozkosznej woni.

Wtedy postanowił się zwrócić do mięty, która rosła nisko przy ziemi.

Nie miała ona kwiatów, ale sama kwiatem była pachnącym od końca łodyżki do każdego listka. Jakiż kwiat najpiękniejszy równać się z nią może?

— Tę wybiorę — postanowił motyl nieodmiennie.

Zbliżył się i oświadczył jej swoje zamiary.

Ale mięta stała sztywna, niewzruszona, długo milczała, w końcu rzekła:

— Chcesz przyjaźni, to dobrze. Ale na tym koniec. Jestem stara i ty także, po co my mamy z siebie robić pośmiewisko? W naszym wieku przyjaźń wystarczyć powinna.

I tak został motyl na koszu i nie znalazł żony. Sam sobie winien. Po co wybierał tak długo?

Nadeszły zimna, deszcze, ani sposób pokazać się w letniej sukni. Na szczęście motyl dostał się przypadkiem do ciepłego pokoju, gdzie było jak w lecie. — Tutaj żyć można!

Rozprostował skrzydła i podleciał w górę, prosto do okna. Życ przecież niepodobna w kącie, trzeba mieć trochę światła i swobody, a przy tym choć mały kwiatek.

Ale dzieci pochwyciły go natychmiast, obejrzały go na wszystkie strony z podziwem i uznaniem, a następnie przekłuły szpilką i umieściły w pudełku, między innymi okazami.

— No, teraz siedzę jak kwiat na łądźce — rzekł do siebie. Nie jest to bardzo przyjemnie, ale mi przypomina stan małżeński. Kto się ożeni, musi także osiąść na jednym miejscu.

I tym się pocieszył.

— Nieszczególna pociecha — zauważyły złośliwe rośliny doniczkowe.

Motył jednak nie zważał na nie. Za wiele przebywały z ludźmi i to im przewróciło w głowie.

## Calineczka

Pewna dobra kobieta bardzo pragnęła mieć małe dziecko, ale nie wiedziała, skąd by je wziąć. Poszła więc do czarownicy i rzekła:

— Tak bym chciała mieć małe dziecko. Powiedz mi, co tu robić, żeby je miała?

— O! To nietrudno — odpowiedziała czarownica — mogę ci doskonale poradzić. Masz tu ziarno jęczmienia — ale to nie jest takie zwyczajne ziarno, które sięją w polu albo sypią kurom na pokarm; zasadź je starannie w doniczce do kwiatów, a zobaczysz, co z tego będzie.

— Dziękuję — rzekła poczciwa kobieta i zapłaciła jędzy dziesięć groszy, bo tyle to ziarno kosztowało.

Po powrocie do domu, zasadziła je starannie w doniczce od kwiatów i zaraz pokazała się mała roślinka, okryła się pięknymi listkami, a w środku wyrósł jakiś kwiat złotopurpurowy, podobny do tulipana, tylko zamknięty jak pączek.

— Cóż to za prześliczny kwiat! — rzekła kobieta i tak była zachwycona, że całowała złote i czerwone płatki. W tej samej chwili jednak kwiat z wielkim łoskotem otworzył się i w środku, na zielonym dnie kielicha, gdzie zwykle mieści się słupek kwiatowy, stała sobie prześliczna mała dziewczynka.

Nazwali ją Calineczką, gdyż była maluchna<sup>28</sup> jak młoda pszczołka, tylko daleko zgrabniejsza.

Kobieta wzięła zaraz łupinkę orzecha, ażeby w niej urządzić kolebkę dla swego dzieciątka; fiołkowe płatki posłużyły za sienniczek, a jeden płatek róży za kołderkę.

W nocy Calineczka spała wybornie, a w dzień się bawiła na stole. Dobra kobieta postawiła na nim talerz z wodą, otoczony wiankiem kwiatów, których łądźki były zanurzone w wodzie; listek tulipana zastępował łódkę, dwa pręciki kwiatowe stanowiły wiosła i Calineczka pływała sobie po talerzu od jednego brzegu do drugiego. Ślicznie to wyglądało!

Umiała też śpiewać tak ładnie, że nie można tego opisać.

Jednego razu w nocy, kiedy Calineczka spała sobie spokojnie w kołysce na stole, przez wybitą szybkę wskoczyła do pokoju ropucha. Szkaradne to było stworzenie: ciężkie, grube, mokre — i bardzo ciekawe. Zaraz spostrzegła Calineczkę śpiącą pod różanym płatkiem.

— Hm, hm! — mruknęła — bardzo ładna żona dla mojego synka.

I razem z kołyską zabrała dziecinę, wyskoczyła do ogrodu i zaniósła ją do swego mieszkania.

Znajdowało się ono w czarnym, gęstym błocie nad strumieniem. Syn ropuchy brzydzy był jeszcze od matki, chociaż bardzo do niej podobny.

— Koak, koak, brekekeks! — tyle tylko umiał powiedzieć, gdy ujrzał Calineczkę.

— Nie mów tak głośno — szepnęła mu matka — obudzisz ją i może nam uciec, bo jest lekka jak puszek łąbędzy. Trzeba ją przenieść na liść wodnej lili, aż na środek

Porwanie

<sup>28</sup>Nazwali ją Calineczką, gdyż była maluchna (...) — imię pochodzi od anglosaskiej miary długości: tzw. cal odpowiadał początkowo potrójnej długości ziarna jęczmienia średniej wielkości; cal stanowi 1/12 stopy i w przeliczeniu ma ok. 2,5 centymetra. [przypis edytorski]



strumyka. Tam będzie jak na wyspie, a tymczasem przygotuję dla was mieszkanie w głębi błota.

Po powierzchni strumienia pływały zielone, okrągłe liście wodnych lili. Ropucha wybrała największy, który zarazem leżał najdalej od brzegu, i na nim umieściła łupinę orzecha ze śpiącą Calineczką.

Kiedy dziewczynka zbudziła się rano i zobaczyła, gdzie jest, zaczęła płakać. Wokoło była woda głęboka, ani sposób dostać się z listka do brzegu.

A ropucha tymczasem urządzała w głębi błota mieszkanie dla młodej pary. Przyozdobiła ciemną i szkaradną jamkę trzcina i wodnymi roślinami, ażeby się synowej podobała, popłynęła wraz z synem do listka, aby przenieść kolebkę panny młodej.

Ujrawszy Calineczkę, ukloniła jej się w wodzie bardzo głęboko i rzekła chrapliwym głosem:

— Oto mój syn, mościa panno<sup>29</sup>; zamierza ożenić się z tobą i właśnie urządzamy wam wspaniałe mieszkanie w głębi błota.

— Kok, koak, breke-ke-keks — powiedział syn ropuchy.

Zabrali piękną kołyskę i odpłynęli znowu, a Calineczka usiadła na liściu i płakała okropnie, bo nie chciała mieszkać u brzydkiej ropuchy i być żoną jej syna.

Małe rybki, co pływały w wodzie koło listka, słyszały całą przemowę ropuchy, a teraz im przykro było słuchać płaczu dziecka. Więc wychyliły główki nad powierzchnię wody, aby zobaczyć młodą narzeczoną; ale na widok prześlicznej dziewczynki tak im się jej żal zrobiło, że postanowiły ją obronić.

— Nie bój się — powiedziały — nie dostanie cię brzydka ropucha.

Zebrały się wszystkie razem dookoła łodyżki, na której się trzymał listek, i przegryzły go ostrymi ząbkami. Listek popłynął z prądem strumyka daleko i ropucha już go dogonić nie mogła.

Calineczka cieszyła się bardzo z tej podróży. Wszystko bawiło ją niezmiernie: mijają wsie i miasta, łąki, pola, lasy, a ptaki na gałązkach przyglądały jej się i śpiewały wesoło:

— Patrzcie, patrzcie tylko, jaka prześliczna dziewczynka! A jaka malusieńka!

Calineczka uśmiechała się do nich nawzajem, ale listek płynął dalej, aż do innego kraju.

Prześliczny biały motyl usiadł na listku lilii, aby się lepiej przyjrzeć maleńkiej dziewczynce. Słońce świeciło ślicznie, woda błyszczła jak srebro, wszystko jej się podobało. Zdjęła swój pasek i przywiązała nim motyla do listeczka. Teraz popłynęła jeszcze prędzej.

Wtem — och, jak się przełękła! Chrabąszcz ogromny porwał ją z listka i uniósł het, wysoko, na drzewo.

Najbardziej jej żal było pięknego motyla, którego przywiązała do listeczka: jeśli się nie urwie, umrze chyba z głodu.

Ale niedobry chrabąszcz nie troszczył się o to. Posadził ją wysoko na wygodnym liściu, przyniósł jej miodu z kwiatów i powiedział, że jest bardzo, bardzo ładna, chociaż niepodobna wcale do chrabąszcza.

Wkrótce zaczęły schodzić się inne chrabąszcze, mieszkające w pobliżu, aby zobaczyć Calineczkę. Gospodarz sadzał gości na najpiękniejszych liściach.

— Ach, jakąż ona biedna: ma tylko dwie nogi! — zawołała jedna młoda chrabąszczówna.

— A różków wcale nie ma — dorzuciła druga.

— A jaka cienka w pasie! Fe, podobna do człowieka!

— Szkaradna! — zdecydowały wszystkie razem.

Naprawdę Calineczka była bardzo ładna i taką się wydała chrabąszczowi, który porwał ją z listka lilii. Ale gdy wszyscy zaczęli ją ganić, też uwierzył, że jest brzydka, i już chciał jej się pozbyć. Odnosił ją więc na łąkę i posadził na polnym kwiatku, żeby tylko nie mieć jej w domu i żeby sąsiedzi nie śmiali się z jego gustu.

Calineczka płakała bardzo, że jest taka brzydka, iż chrabąszcz nawet nie chce patrzeć na nią. Ale cóż miała robić? Przecież naprawdę była bardzo ładna.

Uroda

Uroda, Plotka, Sąsiad

<sup>29</sup>mościa panno — dawny zwrot grzecznościowy, skrót od: miłościwa panno. [przypis edytorski]

Całe lato przeżyła mała dziewczynka sama jedna w wielkim lesie; z trawy uplotła sobie wygodne łóżeczko i zawiesiła je pod listkiem koniczyny dla ochrony od deszczu. Żywiła się sokiem kwiatów, a piła rosę, która stała co rano na trawie, liściach i kwiatach.

Tak upłynęło jej lato i jesień. Ale nadeszła zima, długa, mroźna zima. Wesołe ptaszki odleciały sobie do ciepłych krajów, kwiaty powędły, drzewa stały nagie, ogołocone z liści, nawet listek koniczyny, pod którym uczepiła swe łóżeczko, zwiędł, skruszył się i opadł. Zimno jej też było strasznie, bo sukienki zupełnie się na niej podarły, a sama była taka maleńka i drobna. Zmarznie chyba.

Wkrótce i śnieg zaczął padać, a każdy płatek śniegu znaczył dla niej tyle, co dla nas pełna taczka, bo przecież była tylko Calineczką. Otuliła się w suchy listek, ale ten pękł zaraz i znowu drżała z zimna.

Tuż koło lasu rozciągało się pole rozległe, niegdyś zbożem okryte; teraz zboże zżęto od dawna i spod śniegu wyglądały tylko nagie, suche źdźbła twardej słomy. Dla takiego maleństwa stanowiły one las prawdziwy; dziewczynka przesuwiała się pomiędzy nimi, drżąc z zimna, potykając się o grudki ziemi lub zapadając w śnieg niewiele grubszy od kożuszka na śmietance.

Na koniec doszła do mieszkania bogatej myszy polnej, która miała tu pod ziemią swoją norkę. Ciepło tam było i bardzo wygodnie: izba obszerna, kuchnia i spiżarnia pełna zboża.

Calineczka stanęła we drzwiach jak żebraczek i cieniutkim głosikiem poprosiła o ziarno żyta lub jęczmienia, gdyż od dwóch dni nic nie jadła.

— Biedne stworzenie — rzekła myszka litościwie — chodźże<sup>30</sup> do ciepłej izby, zjemy razem podwieczorek.

Maleńka dziewczynka podobała się jej bardzo, toteż powiedziała do niej przed wieczorem:

— Możesz zostać u mnie przez zimę, tylko musisz mi za to utrzymywać porządek i czystość w mieszkaniu, a w chwilach wolnych opowiadać ciekawe historie, które niezmiernie lubię.

Calineczka naturalnie zgodziła się z największą chęcią i tym sposobem miała zapewnić sobie dobry byt przez całą zimę.

— Będziemy mieli dzisiaj odwiedziny — rzekła mysz dnia pewnego. — Co tydzień odwiedza mnie bogaty sąsiad. Ho, ho, to pan! Mieszkanie ma większe ode mnie. Co za salony! A chodzi w aksamitnym futrze. Gdyby się z tobą ożenił, zrobiłabyś los<sup>31</sup>, moja droga. Tylko że ślepy jest, nic nie widzi. Musisz mu opowiedzieć najpiękniejszą ze swoich bajek.

Calineczka nie troszczyła się jednak o to, czy się podoba sąsiadowi, który był zwyczajnym kretem.

Zjawił się wkrótce w swoim aksamitnym futrze, a mysz polna przyjęła go bardzo uprzejmie. Był niezmiernie bogaty i bardzo uczony: mieszkanie miał ogromne, dwadzieścia razy większe od norki myszy polnej, i mógł mówić o wszystkim. Nie lubił tylko słońca i kwiatów, których nie widział nigdy; złe też miał o nich zdanie.

Calineczka śpiewała piosenkę o chrabąszczu, a potem o chłopczyku, co grał na fujarce, i kret się w niej zakochał. Nie mógł zapomnieć jej głosu i myślał, jakby to było przyjemnie mieć żonę, która by mu tak śpiewała. Ale nic o tym wszystkim nie powiedział, gdyż był bardzo przezorny.

Niedawno zbudował sobie właśnie nowy korytarz od swojego domu do mieszkania myszy i pozwolił obu damom spacerować po nim do woli. Ostrzegał tylko, żeby się nie przestraszyły martwego ptaka, który tam leży na środku. Musiał niedawno umrzeć, bo jest jeszcze cały, z dziobem, z piórkami — i pochowano go w tym samym miejscu, gdzie kret przekopał swój korytarz.

Zaraz nawet zapragnął pokazać to wszystko gościnniej gospodyni i milej śpiewaczce, wziął więc w pyszczek kawałek spróchniałego drzewa i szedł naprzód, oświecając<sup>32</sup> im posępną drogę. Kiedy doszli do miejsca, gdzie leżał martwy ptak, podniósł nos w górę

Dom, Grób

Ptak, Odrodzenie

<sup>30</sup>chodźże — czasownik z partykulą wzmacniającą -że; znaczenie: chodź koniecznie. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>zrobiłabyś los — wygrałabyś los na loterii; zapewniłabyś sobie los. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>wziął więc (...) kawałek spróchniałego drzewa i szedł naprzód, oświecając im (...) drogę — drewno w procesie rozkładu (próchnienia) wytwarza fosfor, dlatego w ciemności próchno świeci zielonkavo-niebieskawym promieniowaniem. [przypis edytorski]

i odrzucił ziemię: przez otwór, który powstał tym sposobem, wpadł błady promyk słońca i oświetlił leżącą na ziemi jaskółkę. Biedactwo przytuliło do boków skrzydełka, nóżki skurczyło i schowało w piórka, główkę przechyliło gdzieś na bok, że nawet widać jej prawie nie było, i leżało sztywne, bez życia. Widocznie mróz ją zabił.

Calineczce okropnie żal się zrobiło ptaszyny: wszystkie ptaszki lubiła bardzo za to, że w lecie tak ślicznie śpiewają. Ale kret był innego zdania.

— Teraz już śpiewać nie będzie — rzekł, trącając ją nogą pogardliwie — nędza to straszna urodzić się ptakiem. Dzięki Bogu, z moich dzieci żadne nim nie będzie. Cóż posiada takie stworzenie oprócz swego „kiwit, kiwit!” bez wartości? Przyjdzie zima i z głodu umiera.

— Bardzo rozsądne słowa — potwierdziła mysz poważnie. — I cóż ptakowi z tego śpiewu i świergotu, kiedy nadejdzie zima? Marznie i głód cierpi. To nic wesołego.

Calineczka nie wyrzekła ani słowa, ale kiedy się tamci odwrócili, pochyliła się nad jaskółką, odgarnęła piórka i ucałowała ją w zamknięte oczy.

„Może to ona w lecie tak ślicznie śpiewała nad moim listkiem koniczyny? — pomyślała sobie w duszy. — I tyle jej zawdzięczam przyjemności! Biedna, biedna ptaszyna!”

Kret tymczasem zatknął znowu otwór ziemią i odprowadził damy do mieszkania.

Ale w nocy Calineczka wcale nie mogła zasnąć; ciągle myślała o niezwywym ptaszku, jakby czuł jeszcze zimno. Podniosła się na koniec, uplotła cichutko ciepły dywanik z siana, wymknęła się na korytarz i okryła nim jaskółkę. Przyniosła jeszcze potem suchych kwiatów, które znalazła w norce, i podesłała je z boków ptaszкови, aby mu cieplej było i wygodniej.

— Żegnam cię, piękny ptaszku! — rzekła ze łzami w oczach. — Dziękuję ci za wszystkie przesłizne piosenki, których słuchałam w lecie, kiedy drzewa były zielone, a kochane słonko tak jasno i ciepło świeciło. Och, żegnam cię!

I z płaczem przytuliła główkę do martwego ciała zmarzniętej jaskółki. A w tej samej chwili podniosła się przestraszona: ptaszek żył jeszcze! Uczuła leciuchne bicie jego serca. Skostniał widać i zdrętwiał od chłodu, a teraz pod wpływem ciepła przychodzi do siebie.

Gdy w jesieni jaskółki odlatują do ciepłych krajów, zdarza się, iż niektóre słabsze lub zbyt młode nie mogą lecieć z nimi, sił nie mają. Zostają więc, ale padają od chłodu zeszywniałe na ziemię, śnieg je okrywa potem i umierają.

Calineczka drżała ze wzruszenia i ze strachu. Co ona poczyni teraz z takim wielkim ptakiem! Jak mu poradzi? A ratować go trzeba!

Nabrała jednak niedługo odwagi.

— Co tylko mogę, zrobię dla niej — rzekła — podzielę się tym wszystkim, co dostałam od litościwej myszy. Ach, żebym tylko mogła ją ocalić!

Pobiegła znów do norki i przyniosła cały pęk suchych kwiatów, miękkich niby wata, otuliła ptaszynę, jak mogła najlepiej, i przykryła ją liściem miętowym, który jej samej dotąd służył za kołderkę.

Następnej nocy wymknęła się znowu. Jaskółka już ożyła, ale była jeszcze bardzo osłabiona; z trudem otworzyła na chwilkę powieki i spojrzała na Calineczkę, która stała z kawałkiem spróchniałego drzewa, bo nie miała innej latarki.

— Dziękuję ci, śliczne dziecię — rzekła słabym głosem. — Tak się tutaj ogrzałam! Wkrótce powrócą mi siły i wylecę znowu na jasne, ciepłe słonko.

— Och! — szepnęła Calineczka. — Nie ma teraz słonka jasnego! Zimno na świecie, śnieg okropny pada, nikt tam wyżyć nie może. Zostań więc lepiej w tym ciepłym łóżeczku, a ja pielęgnować cię będę, ile mi tylko sił stanie.

Przyniosła jaskółce wody na suchym listeczku, ptaszek się napił i opowiedział jej, jak to się stało, że z innymi do ciepłych krajów nie odleciał. Skrzydełko miał zranione o cierń ostry, więc latać dobrze nie mógł. Potem przyszło zimno, nie mógł znaleźć pożywienia i upadł zmęczony na ziemię. A co się dalej stało, nie pamiętał — nie wiedział, jakim sposobem dostał się pod ziemię.

Przez całą zimę dziewczynka troskliwie opiekowała się biedną jaskółką, lecz musiała ukrywać swój dobry uczynek przed kretem i myszą polną, którzy nie lubili ptaszków.

Kiedy wróciła wiosna i ciepłe słonko zaświeciło znowu, jaskółka pożegnała Calineczkę, która otworzyła jej otwór w sklepieniu, starannie zatkany przez kreta. Natychmiast jasne i ciepłe promienie wślizgnęły się do środka i rozweseliły posępne podziemie.

Ptak

— Leć ze mną — rzekła serdecznie jaskółka. — Usiądź na mnie, a zaniosę cię daleko, do zielonego gaju. Tam żyć będziemy razem i będzie nam przyjemnie i wesoło.

— Nie mogę — odpowiedziała Calineczka — byłoby bardzo smutno myszy polnej, gdybym ją tak porzuciła.

— Więc bądź zdrowa, kochana, dobra Calineczko! — zaszczebiotała wesoło jaskółka i przez słoneczny otwór wleciała ku górze i zniknęła w ciepłym blasku.

Dziewczynka została sama i długo patrzyła za nią ze łzami w oczach. Tak polubiła ptaszka!

— Kiwit, kiwit! — rozległo się znów nad otworem, ale cień tylko przemknął i zniknął natychmiast.

Smutno teraz było maleńkiej. Mysz jej nie pozwalała oddalać się z norki, a dokoła rosło zboże takie gęste i wysokie, że dla Calineczki stanowiło las prawdziwy, w którym nie widać jasnego słoneczka.

Tęskniła więc do światła i do słońca.

— Winszuję ci, moja droga — rzekła dnia pewnego stara mysz z zadowoleniem — kret oświadczył się o twoją rękę i będziesz panią, co się zowie. Wielkie to szczęście dla takiej ubogiej dziewczyny! Trzeba tylko niezwłocznie zająć się wyprawą, bo do takiego domu musisz wejść zaopatrzona w bieliznę i wszelkie ubranie.

I zasiadła Calineczka do wrzeciona, a mysz najęła jeszcze cztery duże pająki, ażeby przędły dla niej dniem i nocą. Poczciwie się zajęła losem ubogiej sieroty.

Kret odwiedzał je każdego wieczora i codziennie narzekał na palące słońce. Ono to zamieniło ziemię w pył i kamień, a ludzie byli temu radzi i nazywali latem tę nieznośną porę roku. Ale lato przeminie, przyjdzie jesień chłodna i wtedy dopiero wyprawą wesele. Teraz o tym myśleć nie warto.

Dziewczynka okropnie się bała tej jesieni, bo nie miała ochoty zostać żoną kreta. Taki nudny, niezgrabny, ślepy; nie lubi słońca, kwiatów!

Co dzień o wschodzie i zachodzie słońca stawała przed norką myszy i z tęsknotą patrzyła w górę, gdzie szumiały kłosa, jak las gęstego zboża. A ile razy wietrzyk je rozdzielił tak, że mogła zobaczyć kawałek błękitu, ogarniał ją żal niezmierny i myślała o szczęśliwej i wesołej jaskółce. Jak ona buja swobodnie, daleko! Żeby ją znów zobaczyć na chwilę! Ale zapewne nigdy jej więcej nie spotka...

Jesień nadeszła wreszcie i wyprawa była gotowa.

— Za cztery tygodnie wesele — powiedziała mysz polna z radością.

Wtedy Calineczka rozplakała się na dobre i przyznała się myszy, że nie chce być żoną takiego nudnego kreta.

Mysz rozgniewała się strasznie.

— A to co za głupota! — zawołała. — Słyszał kto coś podobnego! Radzę ci po dobru, wybij sobie z głowy taki śmieszny upór, bo cię sama ukaszę białymi ząbkami. Także grymasy! Taki bogacz, uczony, o wszystkim mówić może! A futro aksamitne? Sama królowa nie ma podobnego. Kuchnia, piwnica pełna. Dziękuj Bogu za takie szczęście!

Nastąpił dzień wesela. Kret wyszedł po narzeczoną, aby ją zabrać do siebie. Odtąd będzie mieszkała głęboko pod ziemią i nie zobaczy już nigdy słońca, bo kret go znieść nie może. Biedna dziewczyna pochyliła główkę i wyszła raz ostatni pożegnać świat boży.

— Żegnaj mi, słonko złote! — zawołała i wyciągnęła rączki. — Żegnaj, słonko miłe!

Z jednej strony światło dziwnie przeglądało przez las żółtych słomek, więc poszła w tę stronę kilka kroków i ujrzała, że zboże tu już żółte, i krótkie źdźbła tylko wyglądały z ziemi. Ale słońce przyświecało za to bez przeszkody i widać było wszystko dokoła.

— Żegnaj mi, żegnaj, słonko! — powtarzała.

Objęła mały, czerwony kwiatusek i szeptała ze łzami:

— Pozdrów ode mnie jaskółkę. Może zobaczysz ją kiedy. Pożegnaj ją ode mnie.

— Kiwit, kiwit! — rozległo się tuż nad jej główką. Podniosła oczy: jaskółka krążyła tuż nad nią.

Ucieszyła się bardzo, spostrzegłszy dziewczynkę, i natychmiast usiadła przy niej. A Calineczka zaczęła jej mówić, że ma zostać żoną szkaradnego kreta i mieszkać odtąd głęboko pod ziemią, gdzie słońce nigdy nie dochodzi.

Przy tych słowach rozplakała się serdecznie.

Małżeństwo, Panna młoda,  
Mąż, Poświęcenie, Smutek

— Nie płacz — rzekła jaskółka. — Zima już nadchodzi i wybieram się w podróż do cieplejszych krajów; leć ze mną. Usiądziesz mi na grzbiecie pomiędzy skrzydłami i uciekniemy obie od brzydkiego kreta i jego ciemnego mieszkania. Uciekniemy daleko, za góry, za morza, gdzie słońce jaśniej, cieplej jeszcze świeci, gdzie kwitną cudne kwiaty. Leć ze mną. Tyś mi ocaliła życie, gdy leżałam zziębnięta w ciemnym lochu, ja bym cię chciała ocalić od kreta.

— Dobrze, polecę z tobą — rzekła Calineczka.

Jaskółka przytuliła się do ziemi, dziewczynka weszła na nią i przywiązała się paskiem do mocniejszych piórek. Potem ptaszek wzleciał w powietrze i płynął ponad lasami, morzami, wznosił się ponad góry, wiecznym okryte śniegiem. Tam było zimno, lecz dziewczynka skryła się pod skrzydełką ptaszka i tylko małą główkę wysunęła, aby widzieć te cuda, jakich pełno na świecie bożym.

Doleciały na koniec do cieplejszych krajów. Tutaj słońce świeciło jaśniej i goręcej, niebo było wyższe i dziwnie błękitne, a po rowach i płotach rosły najpiękniejsze zielone i granatowe winogrona. W lasach było pełno cytryn i pomarańcz, w powietrzu zapach kwiatów, prześliczne dzieci biegały po drodze, goniąc się z motylami.

Ale jaskółka leciała wciąż dalej, gdzie jeszcze piękniej było, jeszcze cieplej.

Zatrzymała się wreszcie nad dużym, błękitnym jeziorem, otoczonym drzewami zielonymi, wśród których widać było biały pałac marmurowy. Wino oplatało wysokie kolumny wkoło pałacu, a w górze pod dachem kryły się gniazda jaskółek.

— Oto mój dom — rzeki ptaszek. — Ale nie wypada, abyśmy mieszkali razem. Zresztą nie ma potrzeby. Gniazdo nie urządzone odpowiednio, byłoby ci w niem ciasno, niewygodnie i za wysoko. Wybierz sobie lepiej który z tych wspaniałych kwiatów, co tu rosną na klombach, a od razu tam cię zaniosę, i będzie ci dobrze, jak w raj.

Calineczka klasnęła w dłonie.

— Ach, to będzie prześlicznie!

I wybrała wielki kwiat biały, rosnący między odłamami skruszonej przez czas kolumny. Jaskółka podfrunęła i posadziła dziewczynkę na błyszczącym, zielonym listku. Calineczka natychmiast chciała wejść do kwiatka, aby wypocząć po długiej podróży, lecz jakże się przestraszyła i zdziwiła, kiedy ujrzała wewnątrz małego człowieka, podobnego do siebie, tylko w złocistej koronie i z przejrzystymi skrzydłami u ramion. Ciało jego było także przezroczyste, jak gdyby z najpiękniejszego kryształu, oczy jak dwie iskierki, a strój tak wspaniały, jakiego dotąd jeszcze nigdy nie widziała.

Był to duch tego kwiatu, elf maleńki. Każdy kwiatek w tym kraju miał takiego ducha, który w nim mieszkał; w jednym chłopcy, w innych dziewczynki; ale ten był królem elfów.

— Ach, jaki on prześliczny! — szepnęła Calineczka do jaskółki.

Maleńki król przestraszył się wielkiego ptaka, lecz gdy ujrzał śliczną dziewczynkę, tak się ucieszył, że zapomniał zupełnie o strachu. Zdjął natychmiast z głowy swą złotą koronę, podał ją Calineczce i zapytał, czy chce być jego żoną, królową wszystkich kwiatów?

To przecież co innego, niż szkaradny syn ropuchy lub kret w aksamitnym futrze.

— Ach, czy ja jestem warta? — szepnęła zawstydzona Calineczka.

— Jesteś warta, bo jesteś dobra, śliczne dziecko, inaczej nie pokochałby cię ten ptaszek wielki i nie przyniósł aż tu na skrzydłach. Kto umiał zdobyć przyjaźń jaskółki, ten godzien zostać królową elfów.

Cóż to było za szczęście!

Ze wszystkich kwiatów wyfruwały lekkie, przejrzyste duchy, pojedynczo lub parami i śpieszyły złożyć królowej życzenia i cudne dary. Najbardziej ucieszyła ją jednak para przezroczystych skrzydeł wielkiej muchy; zaraz je przywiązano do ramion dziewczynki i mogła, jak inne elfy, przelatywać z kwiatka na kwiatek. Cieszyła się tym niezmiernie.

A jaskółka usiadła na swoim gniazdeczku i śpiewała jej pieśń weselną. Śpiewała jak najpiękniej, lecz smutno jej było, że się musi rozstać z Calineczką.

— Nie będziesz się nazywała odtąd Calineczka — przemówił mąż do królowej — nie podoba mi się to imię. Będziesz nazywała się Maja.

Przez całe lato jaskółka cieszyła się wielkim szczęściem młodej pary i śpiewała jej cudne piosenki. Lecz przyszedł na nią czas odlotu.

— Bądź szczęśliwa! Bądź zdrowa! — powtarzała smutnie, wybierając się w podróż daleką.

I przyleciała z powrotem do Danii, do swego gniazdka nad oknem człowieka, który wam opowiedział tę bajeczkę.

— Kiwit! Kiwit! — zawołała.

I stąd znamy całą historię.

## *Polny kwiatek*

Posłuchajcie bajeczki.

Niedaleko od gościńca, za zieloną łączką, stał drewniany dworek wiejski pośród dużego ogrodu, otoczonego zielonymi sztachetami. Dworek wyglądał bardzo ładnie wśród zieleni, na ogrodzonych grządkach kwitły najpiękniejsze kwiaty, a na łączce, nad rowem, między najbujniejszą, ciemnozieloną trawą zakwitł polny kwiatek — o złocistym środku i śnieżnobiałych płatkach gwiaździstej korony. Ciepłe, ożywcze słońce zlewało nań promienie równie szczodre, jak na kwiaty ogrodowe, więc skromna roślina nie czuła się bynajmniej pokrzywdzona; nie myślała też o tym, że jej nikt nie widzi w trawie nad rowem, że jest nędznym kwiatkiem, pogardzonym od ludzi; nie — polny kwiatek był zadowolony ze swego losu, odwracał ku słońcu złocistą główkę, patrzył na nie z miłością, z wielką rozkoszą pił światło i ciepło i słuchał śpiewu skowronka wysoko unoszącego się pod obłokami.

Szczęśliwym był kwiatek polny. — Tak jasno, uroczyście i pięknie dokoła, chyba to święto wielkie — myślał sobie. A tymczasem był to zwykły poniedziałek i wiejskie dzieci uczyły się w szkółce, głośno powtarzając za nauczycielem wyrazy i całe zdania. I polny kwiatek uczył się prawd wielkich o Bogu i Jego dobroci od słońca, od błękitu powietrza, od trawy zielonej, od wszystkiego, co otaczało go dokoła. I wdzięczny był małemu skowronkowi, że to wszystko tak pięknie wyśpiewał tam w górze, co on czuł tylko niejasno w milczeniu. Spojrzył na ptaszka z nieśmiałym podziwem i ogromną miłością: on tam buja wysoko, swobodny, rozgłośny, umie wyrazić, co czuje! W sercu polnego kwiatka nie było zazdrości, tylko wielka cześć dla skowronka.

— Bóg jest dobry dla wszystkich — myślał sobie — pozwala mi widzieć te cuda i słyszeć pieśni niebiańskiego ptaka; słońce ogrzewa mnie i poi światłem, wiatr pieści i całuje. Jakież to hojne dary!

W ogródku za sztachetami było wiele kwiatów pięknych, wspaniałych i dumnych, a te pyszniły się najbardziej, które najmniej miały zapachu. Piwonie nadymały się, jak mogły, i stroszyły jaskrawe płatki swoich koron, aby się wydać większymi niż róże. Nie od wielkości jednak zależy wartość rośliny. Różnobarwne tulipany stały wysokie, sztywne i wyprostowane, połyskując wyniosłe złotym i purpurą. Rozumie się, iż w stronę łąki żaden z nich nie raczył spojrzeć, a polnym kwiatkiem pogardzały z duszy, ale on patrzył na nie z podziwem, z zachwytem.

— Jakież one piękne! — myślał sobie znowu. — To dla nich pewno śpiewa tam w górze skowronek; ach, pewno dla nich zniża się teraz ku ziemi, chce zobaczyć je z bliska. Jak to dobrze, że wyrosłem niedaleko i mogę im się przyjrzeć, a dzięki im zobaczyć milego skowronka! O, Bóg jest dobry!

Wtem — kiwit! kiwit! — i małeńki, szary ptaszek usiadł na łące, na zielonej trawie, tuż obok polnego kwiatka. Cóż to była za radość! Kwiatek prawie stracił przytomność.

A skowronek skakał po trawie dokoła i szczebiotał: — Jak tu ślicznie, jak miękko, jak zielono. A to co za kwiatusek ze złotym serduszkim, w srebrzystej sukni? Podobasz mi się, kwiatku, bardzo jesteś ładny.

Niepodobna wypowiedzieć, jak szczęśliwym był wtedy kwiatek. Ptaszek go dotknął swoim małym dzióbkiem, zaśpiewał mu coś słodko, zaświergotał i znów uleciał w błękitne niebiosy.

Upłynęło zapewne z pół godziny, zanim kwiatek ochłonął wreszcie ze wzruszenia i nieśmiało spojrzył na kwiaty w ogrodzie. One przecież musiały widzieć jego szczęście, co mówią na to? Czy cieszą się z nim razem?

Lecz tulipany stały sztywne i wyprostowane, dumne jak pierwiej, a piwonie pogardliwie odwróciły się w stronę przeciwną. Całe szczęście, że nie mogły nic powiedzieć: byłby się biedny kwiatek nasłuchiwał rzeczy nieprzyjemnych. Tymczasem spostrzegł tylko, iż są w złym humorze i było to dla niego przykre.

Na ścieżce w ogródku ukazała się dziewczynka. Miała w ręku nóż ostry i ścinała nim dumne tulipany jeden po drugim, składając je następnie do fartuszka.

Polny kwiatek aż zbladł z przerażenia.

— To okropne! — szepnął sobie w głębi duszy. — Otóż i po nich! Takie piękne kwiaty! Co za szczęście, że ja nie rosnę w ogrodzie, że jestem mały i ukryty w trawie.

Dziewczynka z tulipanami zniknęła od dawna, a on jeszcze zapomnieć nie mógł o ich smutnym losie. A zarazem był wdzięczny Bogu, że go nie uczynił wielkim i wspaniałym. Na koniec, gdy słońce zaszło, stulił białe płatki i zasnął cicho, marząc aż do świtu o skowronku, słońcu, błękicie i piękności świata.

Nazajutrz obudził się kwiatek szczęśliwy i wyprostował swoje białe płatki, kąpał je w świetle, w czystym i ciepłym powietrzu. Wtem usłyszał głos znany, śliczny głos skowronka, lecz czemu dzisiaj smutny? I skąd płynie? Nie z góry, nie ma w obłokach wdzięcznego śpiewaka — w ciasnej klatce zamknięty, wisi w otwartym oknie i śpiewa, płacze głosem. Śpiewa o swobodzie, o dniach szczęścia, kiedy unosił się w górę wolny, wesoły i patrzył na pola, młodym zbożem okryte, śpiewa o kwiecistych łąkach i złotych niwach, które wiatr kołysze, o pięknym, pięknym świecie.

O, nic dziwnego, że smutno było skowronkowi: on na to już z wysokości patrzeć nie może...

Słyszając to, kwiatek posmutniał zupełnie. Zapomniał o słoneczku, o błękitnym niebie, miłym wietrzyku i trawce zielonej, o niczym myśleć nie mógł, tylko o skowronku. — Biedny, o biedny ptaszek! I jak mu dopomóc? Jak mu osłodzić dolę?

Nic, nic nie mógł wymyślić kwiatek polny i było mu tak smutno jak więźniowi w klatce.

Tymczasem wyszło z ogrodu dwóch chłopców, z których jeden miał w ręku duży nóż błyszczący, podobny do tego, którym dziewczynka wczoraj ścięła tulipany. Zatrzymali się niedaleko rowu i zaczęli rozmawiać:

— Tutaj jest bardzo piękny kawałek murawy dla skowronka — rzekł jeden i pochylił się, aby wyciąć nożem czworokątny zielony kobierczyk. Polny kwiatek stał zdziwiony w pośrodku tego kwadratu.

— Wyrwij ten kwiatek — odezwał się drugi.

Zadrzał kwiatek: ma umrzeć? On żyć teraz pragnie, żeby razem z murawą dostać się do klatki uwięzionego ptaszka.

— Nie trzeba — odparł pierwszy — bardzo tu z nim ładnie, niechaj sobie zostanie.

I został kwiatek polny wśród zielonej trawy, którą wysiano klatkę niewolnika.

Biedny ptaszek uskarżał się ciągle na krzywdę, wołał, aby mu zwrócono swobodę, bił skrzydełkami o żelazne pręty ozdobnej klatki. Kwiatek patrzył na to, lecz mówić nie mógł, nie umiał pocieszać przyjaciela.

Tak pół dnia upłynęło.

— Wody tutaj nie ma — zaczął się skarżyć ptaszek. — Ani kropli wody! Wszyscy sobie poszli i nie zostawili mi nawet czystej wody na ochłodę. W gardle mi zaschło, czuję ogień w piersi, brak mi powietrza, oddychać nie mogę... duszno... umieram. O, jak smutno żegnać ciepłe i jasne słońce, świeżą trawkę i cały świat ten piękny i szczęśliwy, który Bóg stworzył! Niedobrzy są ludzie!

Usiadł na spodzie klatki, na murawie, aby ochłodzić trochę rozpalone ciało na świeżej, wilgotnej trawce. Wtem spostrzegł polny kwiatek. Uśmiechnął się do niego i gorącym dzióbkiem dotknął srebrzystych i chłodnych płateczków.

— I ty uschniesz w niewoli, biedaku — rzeki smutnie. — Ciebie i ten mały kawałek murawy dano mi za świat odebrany. Ale czyż mi zastąpisz, ty kwiateczku mały wszystkie łąki pachnące? Patrząc na ciebie, widzę tylko coraz lepiej, jak wiele miałem, jak wiele straciłem.

— Ach, żebym mógł go pocieszyć choć słówkiem — myślał kwiat polny. Ale nie mógł nawet poruszyć żadnym płatkiem swej korony. Tylko zapachem silniejszym niż

zwykle wyrażał najserdeczniejsze współczucie. Zauważył to ptaszek i chociaż dręczony pragnieniem skubał zieloną trawkę i łamał wilgotne ździebelka, nie dotknął kwiatka.

Wieczór się zbliżył, ale nikt nie przyszedł, nikt nie podał kropli wody skowronkowi. Toteż osłabł zupełnie, skrzydełka jego drgnęły kilka razy, wyprostował sztywne nóżki, jeszcze ostatni raz chciał się odezwać, lecz z gardziółka wybiegło tylko kilka słabych i smutnych dźwięków. Potem zamknął oczki, główka opadła na miękką murawę, a serce bić przestało. Ptaszek nie żył.

Kwiatek polny pochylił nad nim złotą główkę, nie stulił białych płatków, jak wczoraj wieczorem, lecz je zwiesił bezwładnie, żałośnie ku ziemi.

Na drugi dzień dopiero wbiegli do pokoju chłopcy, a zobaczywszy nieżywego ptaszka, głośno płakać zaczęli. Potem wyprawili mu pogrzeb wspaniały; w pięknym czerwonym pudełku złożyli go w ziemi w ogrodzie i grób ozdobili pięknymi kwiatami. Za życia zapomniano o nim, cierpieć musiał głód i nędzę, lecz po śmierci oddawano mu hołdy królewskie, a mogiłę jego oblewano łzami.

Kwiatek polny wraz z kawałkiem pożółklej murawy wyrzucono na drogę. Nikt nie pomyślał o nim, nie pamiętał, nie troszczył się o tego, który przez całe życie kochał boskiego śpiewaka, a w godzinę śmierci osładzał mu ostatnie chwile.

## Brzydkie kaczątko

Prześlicznie było na wsi. Lato gorące, pogodne, żółte zboże na polach, owies jeszcze zielony, na łąkach wielkie stogi pachnącego siana, a bociany przechadzają się powoli, na wysokich, czerwonych nogach i klekoczą po egipsku<sup>33</sup>, bo takim językiem nauczyły się mówić od matek. Dokoła wielkie lasy, cieniste, szumiące, a w nich głębokie i ciche jeziora. Prześlicznie i cudownie było na wsi.

Na pochyłości wzgorza jasne słońce oświetlało stary zamek z wieżycami i gankami, otoczony murem i szeroką wstęgą wolno płynącej wody. Z muru zwieszały się pnące rośliny, a wielkie liście łopianu schylały się aż do wody. I było pod nimi cicho i ciemno, jak w cienistym lesie.

Pod jednym z takich liści młoda kaczką usłała sobie gniazdo i siedziała na jajach. Nudziło jej się bardzo, bo żadna z sąsiadek nie miała chęci w tak piękną pogodę rozmawiać z nią o tym, co słychać na świecie. Każda wołała pływać po przejrzystej wodzie, pluskać się i osuszać na ciepłym słończku, a tylko ona jedna, jak przykuta, siedzi w cieniu na gnieździe.

Skonczyło się wreszcie jej udręczenie, jajka zaczęły pękać i główka pisklęcia co chwila wysuwała się z innej skorupki, oznajmiając ciekawym głosikiem, że żyje.

— Pip, pip! — wołały wszystkie.

— Kwa, kwa! — odpowiedziała im poważnie matka, a maleństwa zaczęły jej głos naśladować, opowiadając sobie, co widzą dookoła, i rozglądając się na wszystkie strony.

Matka pozwalała im mówić i patrzeć, ile im się podoba, bo kolor zielony bardzo zdrowy na oczy.

— Ach, jaki ten świat duży! — wołały kacząta, dobywając się z ciasnej skorupy i prostując z przyjemnością nóżki i skrzydełka.

— Nie myślcie, że to cały świat widać z tego gniazda — rzekła matka — ho, ho! Ciągnie on się ogromnie daleko, jeszcze za tym ogrodem, za łąką proboszcza, het, het! Ale nigdy tam nie byłam. Czyście już wszystkie wyszły ze skorupki? — dodała, wstając. — Jeszcze nie! Największe ani myśli pęknąć. Ciekawam bardzo, jak długo będę na nim tu pokutowała<sup>34</sup>! Przyznam się, że mam tego już zupełnie dosyć.

I usiadła z gniewem na upartym jajku.

— A cóż tam słychać u was, kochana sąsiadko? — spytała stara kaczką, która wybrała się wreszcie w odwiedziny do młodej matki.

Wieś, Lato

Matka, Nuda

Obraz świata

<sup>33</sup>bociany (...) klekoczą po egipsku — na zimę bociany odlatują do ciepłych krajów, m.in. do Egiptu, a następnie dalej w głąb Afryki. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>pokutować — tu: tkwić (na jajku), musieć wysiadywać. [przypis edytorski]



— Z jednym jajkiem mam kłopot: ani myśli pęknąć. A tak jestem zmęczona! A inne dzieci ślicznie się wykluły, zdrowe, żwawe, żółciutkie, aż przyjemnie patrzeć. Ładniejszych kacząt w życiu nie widziałam.

— Pokaż no<sup>35</sup> mi to jajko, które pęknąć nie chce — rzekła sąsiadka. — Ho, ho! Takie duże! To indycze jajko. Znam się na tym, bo mi się niegdyś zdarzyło wysiedzieć takie. Nie ma z tego pociechy; wody się obawia, pływać nie umie. Namęczyłam się i namartwiłam nad nim. Wszystko na próżno: niczego nauczyć nie można. Pokaż no jeszcze jajko. Tak, tak, to indycze. Zostaw je i zajmij się lepiej swoimi. Czas puścić dzieciaki na wodę.

— Nie — odparła kaczka — posiedzę jeszcze; tak długo siedziałam, wytrwam parę dni dłużej.

— Jak chcesz, moja kochana.

I siedziała kaczka cierpliwie, aż pękło i wielkie jajo.

— Pip, pip! — odezwało się piskłę i prędko wydostawać się zaczęło ze skorupki. Było bardzo duże i brzydkie! Kaczka patrzyła na nie z ciekawością i uwagą.

— Ogromne piskłę — rzekła wreszcie — i do żadnego z moich niepodobne. Czyżby to rzeczywiście było indycze jajko? No, o tym się przekonamy: musi iść do wody, choćbym je miała wciągnąć za łeb własnym dziobem!

Nazajutrz była prześliczna pogoda. Gładka powierzchnia wody błyszczła jak lustro i prawie zapraszała do pływania. Kaczka z całą rodziną wybrała się do kąpieli i na dalszą wycieczkę. Plusk!... I skoczyła w wodę.

— Kwa, kwa! — zawołała i dzieci zaczęły skakać za nią jedno po drugim; na chwilę kryły się w wodzie z łebkami, lecz zaraz wypływały, poruszały zgrabnie i szybko nóżkami i radziły sobie tak dobrze, że przyjemnie było patrzeć.

Brzydkie kaczątko pływało z innymi.

— To nie indycze — rzekła do siebie kaczka — umie pływać i jak jeszcze! Może najlepiej ze wszystkich. Jak prosto się trzyma, a jak doskonale przebiera nogami. To moje własne dziecko. Nie jest ono nawet tak brzydkie, jeśli się dobrze przypatrzeć, tylko za duże trochę... no, bardzo duże.

— Kwa, kwa! — odezwała się znów głośno — za mną, dzieci! Muszę was w świat wprowadzić, przedstawić na dworze kaczym; tylko trzymajcie się koło mnie blisko, żeby was kto nie zdeptał; a najbardziej strzeżcie się kota.

Przepłynąwszy kawałek drogi, kaczki wyszły znów na ląd i dostały się na kaczce podwórze. Hałas tu był niesłychany, gdyż dwie rodziny kłóciły się zapamiętale o główkę węgorza, którą tymczasem w zamieszaniu kot rozbójnik pochwycił.

— Tak to bywa na świecie — rzekła kaczka i obtarła dziób o piasek, gdyż sama miała apetyt na główkę.

— A teraz naprzód! Równo poruszać nogami, a tej pięknej kaczce ukłonie się grzecznie, tak, głową; to bardzo znakomita osoba; jest Hiszpanką i dlatego taka tłusta. Widzicie na jej nodze ten czerwony znaczek? To największe odznaczenie, jakie kaczkę od ludzi spotkać może: oznacza ono, że nie wolno jej wyrządzić żadnej krzywdy, więc też wszyscy ją szanują. No, dalej, dalej, nogi rozstawiać szeroko, nie do środka; kaczka dobrze wychowana powinna umieć chodzić. Patrzcie zresztą na mnie. A teraz się ukłonie i powiedzcie: kwa, kwa!

Kaczątka wypełniły rozkaz matki. Inne kaczki otoczyły je dookoła i przypatrywały się nowym przybyszom.

— Jeszcze nas, widać, mało! — rzekła wreszcie jedna. — Niedługo miejsca dla wszystkich zabraknie. Ach, pfe! A cóż to znowu? Patrzcie tylko, patrzcie, jak to kaczę wygląda! Nie mogę znieść widoku takiego brzydactwa.

Podbiegła do brzydkiego kaczęcia i ze złością uszczypnęła je z całej siły w szyję.

— Daj mu pokój<sup>36</sup> — zawołała gniewnie matka — przecież nikomu nic złego nie robi.

— Ale jest takie wielkie i takie dziwaczne, że nie można patrzeć na nie. Po co takie stworzenie między nami? Każdy ma prawo dać mu poznać, co sobie o nim myśli.

Narodziny

Matka

Matka

Obcy, Przemoc

<sup>35</sup>pokaż no — czasownik z partykułą wzmacniającą *no*; znaczenie: pokaż koniecznie. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>daj mu pokój — daj mu spokój. [przypis edytorski]

— Ładne masz dzieci — rzekła stara kaczka z czerwonym strzępkim na nodze — można ci powinszować. To duże tylko jakoś ci się nie udało. Czy nie można by go trochę przerobić?

— Zdaje mi się, że nie można, proszę jaśnie pani — odrzekła kaczka skromnie. — Nie jest ono ładne, ale posłuszne, dobre i doskonale pływa, mogę powiedzieć nawet, że najlepiej ze wszystkich. Mam nadzieję, że wyrosnie z tej brzydoty i będzie mniejsze z czasem. Za długo siedziało w jajku i dlatego takie niezgrabne.

Dziobnęła je po szyi, wyprostowała piórka, pogładziła. Niewiele to jednak pomogło.

— To kaczor — rzekła jeszcze — więc da sobie radę, zwłaszcza, że będzie silny.

— Inne dzieci bardzo ładne, bardzo ładne. No, możecie już odejść. Bądźcie tu jak u siebie, moje małe. A jeśli wam się zdarzy znaleźć główkę węgorza, możecie mi ją przynieść.

I kaczęta były jak u siebie w domu.

Tylko jedno brzydkie kaczątko popychano, szczypano, odpędzano, a znęcały się nad nim nie tylko kaczki, ale nawet i kury.

— Za duże jest — powtarzali wszyscy bez wyjątku, a stary indyk, który przyszedł na świat z ostrogami i wyobrażał sobie, że jest królem, nastroszył wszystkie pióra niby żagle, aż mu się końce skrzydeł po kamieniach darły, poczerwieniał na szyi, głowie, aż po oczy i patrzył na nie z groźnym oburzeniem. Biedne kaczątko samo nie wiedziało, czy ma przed nim uciekać, czy zostać na miejscu. Było mu bardzo smutno, że jest takie brzydkie, lecz cóż na to poradzi?

Tak upłynął dzień pierwszy, a następne były coraz gorsze. Brzydkie kaczątko zewsząd odpędzano, nawet własne rodzeństwo stroniło od niego i życzyło mu nieraz, żeby je kot porwał. Matka zaczęła wstydzić się go także.

— Idź-że sobie ode mnie — powtarzała coraz częściej. — Czego się przy mnie płączesz!

Kaczki je biły, kury je dziobały, nawet dziewczyna, która jeść ptactwu dawała, odrzucała je nogą.

Uciekło wreszcie i przedostało się przez płot na drugą stronę, w krzaki. Gdy upadło na ziemię, przestraszone ptaszki frunęły i uciekły.

— To dlatego, że jestem takie brzydkie — pomyślało kaczątko i zamknęło oczy, aby nie widzieć przez jedną chwilę. Lecz skoro odpoczęło, zerwało się znowu i biegło dalej, dalej, aż do wielkiego błota, gdzie mieszkały dzikie kaczki. Tutaj noc przepędziło<sup>37</sup>.

Nazajutrz dzikie kaczki zaczęły mu się przypatrywać.

— Coś ty za jedno? — pytały zdziwione. A kaczątko kłaniało się na wszystkie strony, jak umiało i mogło.

— Jesteś potwornie brzydkie — rzekły dzikie kaczki — ale cóż nam z tego? Bylebyś nie zechciało żenić się w naszej rodzinie, nic nam do twej urody.

Rozumie się, że biedne pisklę nie myślało o małżeństwie. Chodziło mu tylko o to, aby się mogło przespać w gęstej trzcinie i napić wody z błota.

Tęgo mu nie broniły dzikie kaczki, i przebyło dni parę w tym cichym ukryciu.

Razu pewnego z sąsiedniego stawu przyleciały dwa gąsiory, jeszcze bardzo młode, gdyż niedawno wykluły się z jajek, ale właśnie dlatego dość zarozumiałe. Popatrzyły one na kaczątko ciekawie, a jeden odezwał się:

— Jesteś tak brzydki, kochany kolego, że nie potrzebujemy obawiać się ciebie, więc jeśli zechcesz, możesz lecieć z nami na nasze błoto. Tam dopiero życie! Nie brak i młodych, ślicznych, białych gąsek. A jakie wszystkie wesołe, rozmowne, jak pięknie śpiewać umieją! Mój drogi, zakochasz się z pewnością i choć jesteś tak brzydki, kto wie, czy się której nie spodobasz.

— A ja myślę... — zaczął drugi.

Wtem — pif-paf! I obaj dorodni młodzieńcy padli nieżywi w błoto, które się zaczerwieniło od krwi rozlanej.

— Pif-paf! — rozległo się znowu — pif-paf — i całe stado dzikich gęsi uniosły się w powietrze ponad trzcinę. Ale teraz dopiero zaczęła się strzelanina! Było to wielkie polowanie: strzelcy otoczyli błoto, niektórzy nawet siedzieli na drzewach, rosnących na

<sup>37</sup> noc przepędziło — tu: spędziło noc. [przypis edytorski]

wybrzeżu. Smugi dymu rozciągały się nad wodą i zasłaniały wszystko. Plusk, plusk, i psy myśliwskie zaczęły przebiegać wśród trzciny, chwytając nieszczęśliwych zbiegów. Sądny dzień!

Biedne kaczę, odwróciło głowę, aby z wielkiego strachu schować ją pod skrzydło, ale w tej samej chwili ujrzało przed sobą straszliwą paszczę z wiszącym językiem i oczy, niby dwa ognie złośliwe. Pies rzucił się na kaczę, zęby mu błysnęły, wtem — plusk, plusk! Poszedł sobie w inną stronę.

— O, dzięki Bogu, że jestem tak brzydkie! — zawołało kaczątko. — Pies mnie nawet tknąć nie chciał.

I zamknąwszy oczy, leżało cichutko, przytulone do trzciny, pośród huku wystrzałów, duszącego dymu i świszczącego śrutu, który śmierć roznosił.

Późno uciszyło się na krwawym stawie, lecz wystraszone kaczę jeszcze przez kilka godzin nie śmiało ruszyć się z miejsca. Na koniec cisza je uspokoiła, podniosło głowę, otworzyło oczy, a nie widząc nikogo, zaczęło uciekać, ile mu sił starczyło, dalej, dalej, dalej!

W drodze zaskoczyła je okropna burza. Pioruny były, deszcz lał strumieniami, a wicher miotał biednym pisklęciem, jak listkiem. Nigdy w życiu nic podobnego nie widziało, i zdawało mu się, że to koniec świata.

Co począć? Gdzie się schronić?

Wieczór już zapadł. Brzydkie kaczę upadało ze znużenia, kiedy ujrzało wreszcie małą chatkę. Była ona tak stara, nędzna, pochylona, iż dlatego tylko stała, że nie wiedziała, w którą stronę się przewrócić. Kaczę przytuliło się do ściany chatki, ale wiatr w nią uderzał z taką gwałtownością, iż wydawało się, że lada chwila je zabije.

Więc ma tu zginąć?

Wtem spostrzegło, że drzwi chaty wisiały tylko na jednej zawieszce, skutkiem czego pod spodem utworzyła się szpara, przez którą można było wsunąć się do środka. Uczyniło to spieszenie, choć z niemałym trudem.

W chatce mieszkała stara kobiecina z kotem i kurą. Kot umiał mruczeć, wyginać grzbiet w pałąk, a nawet sypać iskry trzaskające, lecz na to trzeba było pod włos go pogłaskać. Staruszka go kochała i nazywała wnukiem. Kura zносиła jajka, a że miała nogi nadzwyczaj krótkie, staruszka ją przeważała swoją córką Krótkonóżką.

Z rana zauważono zaraz obecność kaczkę, i kura zagadała, a kot zaczął mruczeć.

— Co to jest? — rzekła stara, patrząc na nowego gościa.

Wzrok miała bardzo słaby, więc wydało jej się, że to jest duża kaczkę, która się przybłąkała podczas burzy.

— A to szczęśliwie! — rzekła — będziemy mieli teraz i kacze jaja. Żeby tylko nie był kaczor. Ha, trzeba się przekonać, poczekajmy.

Minęły trzy tygodnie, a kaczycy jaj nie ma, Staruszka już przestała się ich spodziewać. Kot był w tej chatce panem, kura panią, i oni tu rządzili.

— My i ten świat — mówili, co miało oznaczać, że się uważają za coś lepszego od świata. Kaczę chciało wyrazić inne zdanie pod tym względem, lecz kura się rozgniewała.

— Umiesz znosić jajka? — rzekła.

— Nie.

— No, to się nie odzywaj, z łaski swojej.

— Umiesz mruczeć, grzbiet wyginać, iskry sypać? — zapytał kot z kolei.

— Nie.

— No, to siedź cicho, kiedy mówią rozumniejsi od ciebie.

I kaczątko usiadło w kącie, smutne i zawstydzone.

Wtem przez drzwi otwarte wpadła smuga światła, wiatr przyniósł zapach wody, trzciny, tataraku, i kaczę opanowała taka chęć pływania, że zwierzyło się z tego kurze.

— A to co! — rzekła kura. — Nic nie robisz, i dlatego ci takie głupstwa przychodzą do głowy. Noś jajka, albo mrucz sobie, a zaraz wywietrzeją<sup>38</sup> ci fantazje.

— Kiedy to tak przyjemnie — zapewniało kaczę — zanurzać się, wypływać, pluskać w czystej wodzie, a potem skryć się głęboko i widzieć, jak woda zamyka się nad głową.

Burza, Żywioly

Kot

Kot

<sup>38</sup>wywietrzeją — tu: zaraz ci przejdą. [przypis edytorski]

— O tak, to wielka rozkosz! — zaśmiała się kura. — Zupełnie zwariowałeś, mój drogi. Zapytaj kota — przecież mądrzejszego stworzenia nie ma na świecie — zapytaj, czy lubi pływać albo zanurzać się w wodzie? O sobie już nie mówię, ale możesz spytać naszej pani. Żyje tak długo na świecie i jest bardzo rozumna. Nie znam rozumniejszej nad nią. Więc zapytaj, czy to przyjemnie zanurzać się z głową w wodzie i czy ma ochotę pływać.

— Nie rozumiecie mnie — rzekło kaczątko.

— My ciebie nie rozumiemy? Doprawdy? Więc któż cię może zrozumieć? Czy sobie nie wyobrażasz czasem, ty głuptasie, żeś mądrzejszy od kota, albo od naszej pani? O sobie już nie mówię. Nie bądź tak zarozumiałe, moje dziecko, i dziękuj Bogu za te dobrodziejstwa, które ci tu wyświadczone. Mieszkasz w ciepłej izbie i masz towarzystwo, z którego mógłbyś skorzystać bardzo wiele. Ale na to trzeba słuchać i rozważać, a nie bajać<sup>39</sup> bez sensu. Powiem ci otwarcie, że niezbyt przyjemnie żyć z tobą pod jednym dachem. Możesz mi wierzyć. Zresztą mówię ci o tym przez życzliwość. Przyjaciół ma obowiązek mówić prawdę w oczy, chociażby przykrą była. Radzę ci też szczerze: naucz się znosić jajka, albo mruczeć, albo sypać iskry. Inaczej nic z ciebie nie będzie.

— Pójdę sobie w świat chyba — rzekło kaczątko.

— Otwarta droga, nikt cię tu nie zatrzymuje.

I poszło sobie kaczątko. Pływało po wodzie, pluskało, zanurzało się głęboko, ale zawsze było samo — inne pływające ptaki unikały go z powodu brzydoty.

Tymczasem nastąpiła jesień. Liście na drzewach pożółkły, ściemniały i zaczęły opadać; wiatr kręcił je w powietrzu i niósł gdzieś daleko, aby porzucić znowu. Powietrze stawało się chłodne, wilgotne, ciężkie chmury przesunęły się nisko po niebie, niosąc deszcze i śniegi, zasłaniając słońce. Wrony krakały z zimna. Dreszcz przebiega na samą myśl o takim czasie.

I brzydkiemu kaczątku było coraz gorzej. Chłodno, głodno i nikogo, kto by polubił je szczerze. Bo takie brzydkie! A nie tylko brzydkie, lecz takie duże i takie odmienne od wszystkich, wszystkich ptaków. Do nikogo, do nikogo niepodobne.

A każdy szuka podobnych do siebie.

Razu jednego pływało po wodzie. Słońce chyliło się ku zachodowi, niebo było czerwone, niby w ogniu. Wtem spoza lasu podniosło się stado wielkich, wspaniałych ptaków. Podobnie pięknych kaczątko nie widziało dotąd: leciały niby chmurki śnieżnobiałe, spokojne, wdzięczne i majestatyczne. Były to odlatujące łabędzie. Nagle wydały ton długi, przeciągły, tak dziwny! Poruszyły spokojnie silnymi skrzydłami i wzniosły się wysoko, aż pod chmury i płynęły tak dalej, dalej, w nieskończoność.

Łabędzie opuszczały kraj chłodny przed zimą i śpieszyły za słońcem, tam, gdzie ono świeci jasno i ciepło, gdzie błękitne wody nie zamarzają nigdy. Kaczątko patrzyło za nimi z zachwytem, z nieopisanym uczuciem tęsknoty, a gdy znikły, wydało okrzyk silny i przenikliwy, aż samo się przestraszyło swego głosu.

I zaczęło się kręcić w kółko jak szalone, wyciągając szyję i podnosząc krótkie, niezgrabne skrzydła. O, co to za męka! Nigdy nie zapomni tych wspaniałych ptaków i nigdy ich nie ujrzy! Zniknęły, zniknęły!

Z rozpaczy zanurzyło się do dna samego, a kiedy wypłynęło znowu na powierzchnię, nie wiedziało, co się z nim dzieje. Ptaki, królewskie ptaki, piękne ptaki! Nie wiedziało, jak się one nazywają ani dokąd lecą, a jednak pragnęło złączyć się z nimi i lecieć tak samo, daleko i wysoko, razem z nimi!

Było to śmieszne i głupie pragnienie, bo jakim prawem ono, takie brzydkie, które się cieszyć powinno, gdy kaczkę chciał z nim przestawać...

— Ale tamte ptaki!...

Nadeszła zima surowa i mroźna. Zamarzły wody. Na małym kawałku, który wolnym został, musiało kaczątko pływać bezustannie, aby uchronić go od zamarznięcia. Mimo to wolna przestrzeń zmniejszała się po każdej nocy. Bo co dzień zimniej było, mróz się wzmagał, lód trzaskał dookoła na małym otworze, który pozostał jeszcze. Kaczątko bez odpoczynku poruszać musiało nóżkami, ażeby nie przymarznąć. Lecz i to nie pomogło: zmęczone, ustalo, a wówczas lód uwięził je jak w kleszczach.

Zobaczył to nazajutrz z rana jakiś wieśniak, rozbił lód butem z drewnianą podeszwą, a ptaka zabrał do siebie, do chaty.

<sup>39</sup>bajać — opowiadać bajki. [przypis edytorski]

Przyjaźń

Samotnik

Jesień

Obcy

Zima

Kaczę w ciepłe przyszło do siebie i dzieci zaraz chciały się z nim bawić; ale ono myślało, że mu chcą zrobić co złego i zaczęło uciekać, przewróciło garnek z mlekiem i rozlało je na podłogę. Gospodyni z rozpaczy załamała ręce, chciała złapać szkodnika, aby go ukarać. Przestraszone kaczę wpadło w kubel z wodą, potem w naczynie z mąką, wytarło się o sadze w okopconym piecu. Gospodyni krzyczała i goniła za nim, dzieci ze śmiechem przewracały się jedno przez drugie, kaczę skakało po półkach, po garnkach, podfrowało aż do pułapu, wreszcie przez drzwi otwarte wypadło do sieni, a stamtąd na dwór.

Można wyobrazić sobie, jak wyglądało. Umączone, mokre, powalane sadzami, w nastrozonych piórach, a przy tym upadające ze znużenia. Lecz nie myślało o tym; ostatnim wysiłkiem dostało się pomiędzy krzaki, rosnące niedaleko, i jak nieżywe przykucnęło w śniegu.

Za smutno byłoby opisywać wam to wszystko, co nieszczęśliwe kaczę wycierpiało podczas mroźnej i długiej zimy. Głód, chłód, ani ciepłego schronienia, ani żywności, ani przyjaciela.

Leżało pośród trzciny, kiedy słońce znowu zaczęło jaśniej i cieplej przyświecać. Zanuciły skowronki, powracała wiosna.

I kaczątko odżyło: z każdym dniem powracały mu stracone siły, aż rozpostarło skrzydła jakieś wielkie, jakby nie swoje, zaszumiło nimi i poleciało wysoko, daleko, prowadzone jakąś tęsknotą nieznaną do świata, do wszystkiego, co na nim jest piękne.

I nie spoczęło, aż na wielkim stawie, w dużym ogrodzie, gdzie ptaki śpiewały wesoło, drzewa jaśniały świeżą zielonością, biała czeremcha<sup>40</sup> rozlewała zapach i zwieszała tak nisko swe cienkie gałązki, iż zanurzały się w wodzie przejrzystej.

Ślicznie tu było. Każda trawka, kwiatek, każdy listek na drzewie zdawał się śpiewać radośnie: — Wiosna powraca, wiosna, wiosna, wiosna!

Wtem spoza gęstych krzaków naprzeciwko wypłynęły trzy wielkie wspaniałe łabędzie. Rozpostarły białe skrzydła niby żagle i płynęły lekko po błękitnej wodzie, z szyją wygiętą wdzięcznie i wzniesioną głową, spokojne, dumne i majestatyczne.

Na ten widok dziwny smutek i tęsknota ogarnęły biedne kaczę. Oto królewskie ptaki, które raz widziało i ukochało tak silnie od razu.

— Popłynę do nich — pomyślało nagle — niech mnie zabiją za moje zuchwałstwo, że śmiem zbliżyć się do nich, tak potwornie brzydkie. Niech mnie zabiją! Wszystko mi już jedno. Lepiej być zabitym przez te cudne ptaki, które kochać muszę, niż szczypanym przez kaczkę, dziobanym przez kury, potrącanym i odpychanym przez wszystkie zwierzęta i ludzi. O lepiej, lepiej umrzeć!

I tak popłynęło naprzeciw łabędzi, które, ujrawszy przybysza, potężnie zaszumiły skrzydłami i skierowały się prosto ku niemu.

— Zabijcie mnie! — zawołało brzydkie kaczę i pochyliło głowę, oczekując śmierci.

Ale cóż to? Cóż widzi w zwierciadlanej fali? Wszakże to jego obraz? Jego własny! Jego! To już nie brudnozare, brzydkie i niezgrabne kaczę, to łabędź biały! Kaczę stało się łabędziem!

Chociaż się urodziło pomiędzy kaczkami, lecz z łabędziego jaja, więc i ono także łabędziem stać się musiało koniecznie.

W tej jednej chwili zapomniało nagle o nędzy, o cierpieniach, czuło się tylko szczęśliwe niezmiernie i po raz pierwszy radośnie witało świat piękny, życie i braci łabędzi, które pływały wkoło, oglądając towarzysza i pieszczotliwie głaszcząc go dziobami.

Kilkoro dzieci wbiegło do ogrodu i zaczęło z brzegu rzucać w wodę bułki i smaczne ziarenka. Wtem jeden chłopczyk zawołał:

— Nowy łabędź nam przybył! Nowy łabędź!

Inne dzieci także zaczęły klaskać w ręce i skakać, powtarzając:

— Łabędź nam przybył! Łabędź! Jaki śliczny! Najpiękniejszy, najpiękniejszy!

I rzucały ciastka i bułkę do wody, sprowadziły rodziców i wszyscy przyznali, że nowy łabędź był najpiękniejszy ze wszystkich.

Stare łabędzie pokłoniły mu się z dobrocią i uznaniem.

Bezdomność, Cierpienie

Wiosna

Przemiana

Szczęście

<sup>40</sup>czeremcha — rodzaj drzewa, kwitającego w kwietniu i w maju; drobne białe kwiatki, rosnące nie pojedynczo, ale całymi gronkami, wydzielają bardzo silny, słodki zapach. [przypis edytorski]

Wtedy zawstydzony i wzruszony razem, ukrył głowę pod skrzydło, nie wiedząc, co począć. Czuł się tak bardzo, tak bardzo szczęśliwy! Myślał o tym, jak niedawno i jak długo cierpiał z powodu swej brzydoty, jak nie miał nikogo, kto by chciał być jego bratem, przyjacielem, a teraz — bratem jest ptaków królewskich, jak one piękny, może najpiękniejszy! Świat cały zdaje się śpiewać pochwały jego piękności, czeremcha przesyła mu słodki zapach, słońce promienie złote, woda go pieści dotknięciem, przyjaźnie odbija jego obraz. O, jak miłe jest życie!

Rozpostarł<sup>41</sup> skrzydła, które zaszumiały głośno, podniósł do góry szyję wdzięcznym ruchem i z głębi serca zawołał radośnie:

— Nie marzyłem o takim szczęściu — nie marzyłem!

## *Dziewczynka z zapalkami*

Zimno było, śnieg padał, ściemniało się coraz bardziej, wieczór się zbliżał. Ostatni dzień roku skończy się niedługo.

Zima. Przez ulice zasypane śniegiem, w zmroku idzie dziewczynka bosa, z gołą głową i coś niesie w fartuszku. Dlaczego bosa? To cała historia. Rano miała pantofle, stare i zniszczone, za duże na nią, stare pantofle matki, ale je pogubiła. Dwa powozy nadjeżdżały właśnie z stron przeciwnych, a ona chciała prędko przebiec przez ulicę; biegła co sił, słyszała straszny tętent kopyt, turkot kół, tuż za nią — ach, uciekła przecież, ale boso. Jeden pantofel tak zginął, że go nie mogła znaleźć wśród ciemności, a drugi porwał jakiś chłopiec i ze śmiechem uciekł daleko.

Więc szła boso biedna dziewczynka po śniegu, a nogi jej zsiniały i poczerwieniały. Jedną ręką ścisnęła czerwony fartuszek, w którym niosła kilkanaście paczek zapalek na sprzedaż, a w drugiej ręce miała jedną paczkę i tę podsuwała nieśmiało przechodniom, aby zwrócić na siebie ich uwagę. Ale nikt po nią nie sięgnął, nikt dzisiaj nic nie kupił jeszcze od dziewczynki, nie miała ani grosika zarobku.

Drżała z zimna i głodu, idąc z wolna przez ulice, podobniejsza do cienia, niż do żywego dziecka. Białe płatki śniegu osiadały jej na długich, jasnych włosach, które ciepłym płaszczem osłaniały plecy i szyję dziewczynki. Ładnie jej było w tym złocistym płaszczu ze srebrzystymi gwiazdami nad czołem, lecz nie myślała o tym. Więcej zajmował ją przyjemny zapach pieczonej gęsi, który co chwila uderzał jej głodem zaostrzone powonienie. Ludzie żegnali stary rok wesoło, a ona taka głodna i zziębnięta...

Usiadła wreszcie. Tak była zmęczona, że nie mogła iść dalej. Osiadła w kąciku między dwoma domami, z których jeden więcej występował na środek ulicy. Ciemno tu było, więc nikt jej nie widział. Zresztą tak się skuliła, skryła pod spódniczkę zziębnięte nogi, ażeby je rozgrzać... Ale jakże się rozgrzać na śniegu i mrozie? A do domu wrócić nie miała odwagi: nie sprzedała ani jednego pudełka, jakże wracać bez pieniędzy? Ojciec czy ojczym obilby ją pewno... A zresztą czyż tam ciepłej? Wiatr mroźny świszcząc przez otwory w dachu, choć zatkali największe słomą i gałganami. Nie ma po co wracać do domu.

Zziębnięte ręce skostniały jej prawie, nie ma siły utrzymać w nich paczki zapalek. A gdyby zapaliła jedną dla rozgrzania? Tylko jedną zapalkę.

Na wspomnienie ciepła już nie ma siły oprzeć się pokusie. Jedna zapalka tylko. Wyjmuje ostrożnie, trzask... i płonie! Cóż za wesołe światło, jasne i ciepłe, ach, jak grzeje w ręce! Cudowny płomyk!

Wydało jej się nagle, że siedzi przed ciepłym, żelaznym piecem na świecących nóżkach, z mosiężnymi drzwiczkami. Ach, jak ciepło! Jak grzeje duży, jasny płomień, jak wesoło się pali! Wyciągnęła nóżki spod cienkiej sukienki, aby je ogrzać także, lecz w tej samej chwili — zapalka zgasła; zniknął piec żelazny i wesołe ognisko, a w ręce dziewczynki pozostał tylko mały kawałek spalonego drewnianka.

Dziewczynka zapaliła drugą bez namysłu. Jasne światelko padło na mur szary, który w tym miejscu stał się przezroczysty, niby muślin cieniutki. I ujrzała w głębi duży, jasny pokój, stół nakryty czystym, bielutkim obrusem, na nim talerze, szklanki, a na samym

<sup>41</sup>Rozpostarł — rozłożył. [przypis edytorski]

środku ogromna gęś pieczona na półmisku, pachnąca, nadziewana jabłkami, śliwkami. Gęś poruszyła się nagle, zeskoczyła na ziemię z nożem i widelcem w zarumienionej piersi i zaczęła posuwać się w stronę dziewczynki...

Wtem zapalka znów zgasła i zamiast ciepłego pokoju, dziecko miało przed sobą mur szary, wilgotny i ciemny.

Śpiesznie zapaliła trzecią. Płomyk strzelił w górę, zamigotał i rozprysnął się na wszystkie strony, iskrząc się w powietrzu niby świeczki na choince. Ach, choinka! Tuż przed nią stoi wspaniała, wielka, jaśniejąca światłami, piękniejsza i strojniejsza od tej, którą widziała przez szklane podwoje w mieszkaniu bogatego kupca. Ileż świeczek! Tysiące! Takie ciepłe, jasne. Dziewczynka wyciągnęła ku nim obie rączki... a wtem zapalka zgasła. Ale maleńkie iskierki unosiły się w górę, coraz wyżej, wyżej i zajaśniały między gwiazdami na niebie. Och, jedna spadła, i smuga ognista zagasła za nią.

— Ktoś umarł — cicho szepnęła dziewczynka, bo słyszała od babki, którą kochała bardzo, że kiedy gwiazda spada, to dusza człowieka odlatuje z ziemi do nieba.

Znów zapłonęła zapalka i w świetle, które zajaśniało, dziewczynka ujrzała tę najdroższą babunię, całą jaśniejącą ciepłym, łagodnym blaskiem. Staruszka z miłością patrzyła na wnuczkę, uśmiechała się do niej.

— O, babciu, weź mnie z sobą! — zawołało dziecko. — O, weź mnie, babciu! Ja wiem, że ty znikniesz, skoro zapalka zgaśnie, jak zniknął piec ciepły, gęś i choinka. O, nie znikaj, babciu!

Drżącą z pośpiechu i mrozu rączyną zapaliła dziewczynka całe pudełko od razu, tak bardzo chciała zatrzymać babunię. I buchnął jasny płomień, jaśniejszy od słońca, i babka nigdy tak piękna nie była, tak płomienna i jaśniejąca. Uśmiechnęła się znowu do małej dziewczynki i wzięła ją na ręce. Teraz podniosły się obie wysoko, coraz wyżej, ku gwiazdom, ku światłom wspaniałym, gdzie nie ma głodu, chłodu ani trwogi, aż przed tron Boga.

Nazajutrz w kąciu pod murem, ujrano zmarznięte ciało dziewczynki. Na twarzy miała uśmiech na ustach, w dłoni spalone pudełko zapalek. Dzień noworoczny powitał ją blaskiem jasnego słońca, ludzie ze współczuciem patrzyli na drobne biedactwo.

— Chciała się ogrzać — rzekł ktoś, pokazując na spalone zapalki.

Nikt się nie domyślił, co widziała przed śmiercią w świetle tych kilku drewniek i w jakim blasku wstąpiła do nieba w objęciach zmarłej babki.

## *Czerwone buciki*

Była sobie mała dziewczynka, bardzo uboga i ładna. Nazywała się Karusia. W lecie chodziła boso, a na zimę miała duże drewniane saboty. Ale w tych było jej zimno, o zimno! Aż małe nożyny stawały się całkiem czerwone.

Pocziwa szewcowa ulitowała się nad nią i ze starej czerwonej chustki uszyła jej pantofelki. Były brzydkie i niezgrabne, ale z dobrego serca pochodziły i dziewczynka ucieszyła się niezmiernie.

Właśnie iść miała na pogrzeb matki, kiedy szewcowa przyniosła jej ten podarunek; włożyła je natychmiast na boscie nożyny i szła tak ucieszona, iż zapomniała zupełnie, że w ubogiej trumnie spoczywa jej matka.

Jakaś niemłoda pani jechała powozem i zdjęła ją litość nad biedną dziewczynką. Rzekła więc do proboszcza:

— Zabiorę tę małą, chcę się nią opiekować.

Zrobiła to przez dobroć, lecz Karusia pewna była, że tak ją zachwyciły czerwone trzewiczki. I później tak myślała, chociaż dobra pani powiedziała, że są szkaradne i kazała je spalić.

Odtąd Karusia była zawsze czysto i porządnie ubrana, uczyła się czytać, szyć i wszystkiego, co jest dziewczynce potrzebne, a ludzie mówili o niej, że jest ładna.

Lecz Karusia wierzyła temu, co jej mówiło zwierciadło, a ono jej szeptało co chwila zdradziecko: — Jesteś piękna, prześliczna, najpiękniejsza w świecie!

Raz przyjechała do miasta królowa z małą córeczką i stanęły w zamku. Ciekawi ludzie zbiegali się zewsząd, żeby zobaczyć królową i królowną, ale najwięcej po to, żeby się przekonąć, jak obie są ubrane. I Karusi o to najwięcej chodziło, toteż nie wiedziała, co robić z radości, gdy ujrzała na ganku młodzieuchną królowną, bez korony i berła, lecz w białej sukience i czerwonych bucikach.

Cóż na świecie równać się może z czerwonymi bucikami!

Karusia marzyła o nich bez ustanku.

Wyrosła wreszcie, stała się panienką. Zbliżał się dla niej dzień niezmiernie uroczysty, kiedy miała przystąpić do pierwszej komunii. Ksiądz tłumaczył jej długo święte obowiązki względem Boga i bliźnich, które od tej chwili spełniać powinna chętnie i świadomie; dobra pani ucałowała ją jak matka. Dostała nową suknię, i poszły obydwie do sklepu szewca po buciki.

Karusi aż się w głowie zakręciło, gdy ujrzała w szklanych szafach dookoła tyle bucików zgrabnych, świecących, prześlicznych. Dobra pani nie mogła doznawać tej przyjemności, gdyż była już wiekowa i słabo widziała. A pośrodku stała para najpiękniejszych pantofelków z czerwonej skórki, takich jak miała królowna. Szewc zrobił je także dla jakiejś księżniczki, ale były za małe.

— Czy to lakierki? — zapytała dobra pani. — Tak się świecą!

— Nie lakierki — odpowiedziała Karusia. — Na moją nogę doskonale!

I dobra pani kupiła śliczne pantofelki, nic nie wiedząc, że są czerwone, gdyż nie byłaby nigdy pozwoliła w takim dniu uroczystym ubrać się Karusi w czerwone pantofelki do kościoła.

Kiedy szła, wszyscy ludzie patrzyli na jej małe nóżki i cieszyło ją to niewypowiedzianie. W kościele o niczym innym też myśleć nie mogła, zdawało jej się nawet, że wykute twarze na nagrobkach w przedsionku patrzą na jej nogi, że o nich tylko śpiewają na chórze, że dlatego jest dzisiaj cała uroczystość i święto. Święto czerwonych bucików!

Po południu dobra pani dowiedziała się od ludzi, że Karusia była w czerwonych bucikach w kościele i gniewała się o to bardzo. Tłumaczyła dziewczynce, jak jest lekkomyślna i zapowiedziała, żeby odtąd nigdy nie ważyła się w nie ubrać do kościoła.

Następnej niedzieli poszły znów na nabożeństwo. Karusia przedtem oglądała długo czarne buciki, następnie czerwone i znowu czarne, w końcu — włożyła czerwone buciki.

Dzień był prześliczny, ale trochę kurzu, toteż zanim doszły do bramy cmentarza, trzewiki były dobrze zapyłone. W bramie stał jakiś staruszek o kuli z długą rudą brodą i spytał z ukłonem, czy może dobrej pani oczyścić buciki? Karusia podstawiała zaraz swoją nóżkę, ale starzec spojrział na nią jakoś dziwnie i mocno potrząsnął głową:

— Piękne pantofelki do tańca! — powiedział. — No, siedźcie mocno!

I uderzył je ręką po podszwie.

Dobra pani za tę posługę wsunęła ubogiemu w rękę parę groszy i, nie wiedząc o niczym, weszła do kościoła z wychowanką.

Znowu ludzie patrzyli na małe nóżki i czerwone buciki, patrzyły na nie wszystkie twarze świętych i sam ksiądz przed ołtarzem. Karusia sama patrzyła co chwila na końce swoich nóżek i nie mogła się modlić, ani myśleć o niczym innym; nie słyszała nawet, co się dokoła niej dzieje.

Bo w sercu miała tylko czerwone buciki.

Skończyło się nareszcie nabożeństwo. Wszyscy wyszli z kościoła. Powóz dobrej pani oczekiwał na nią i wsiadła zaraz, gdyż czuła się trochę zmęczona. Karusia chciała wsiąść także, lecz żołnierz o szczudle z rudą brodą spojrział na jej pantofelki i zawołał:

— Patrzcie, jakie ładne buciki do tańca!

I Karusia już nie mogła się powstrzymać i musiała zaraz tańczyć przed kościołem, choć jej wstyd było ludzi. Nogi podnosiły się same i tańczyły bez końca, aż woźnica zszedł z kozła, złapał tańczącą Karusię i zaniósł do powozu. Dobra pani czym prędzej zdjęła jej buciki, i dopiero wtedy nogi uspokoiły się zupełnie.

Odtąd zamknięto w szafie czerwono buciki, lecz Karusia często do nich zaglądała i nie mogła nigdy dość się napatrzeć.

Tymczasem dobra pani zachorowała ciężko i mówili doktorzy, że już wyzdrowieć nie może. Potrzebowała jednak troskliwej opieki, a nie miała nikogo z krewnych. Ale miała



Karusię, którą wychowała przecież od dziecka jak matka rodzona, więc mogła się spodziewać, że ta wychowanka odwdzięczy się jej teraz.

W tym samym czasie przypadał bal w mieście, na który już od dawna była Karasia zaproszona. Czyż miała się wyrzec zabawy? A czerwone buciki?

Poszła do zamkniętej szafki, wyjęła pantofelki, oglądała je długo, przymierzyła wreszcie i już zdjąć nie miała siły. Ubrała się przedziutko i wybiegła z domu, nie myśląc o obowiązku i o chorej, poczciwej swojej opiekunce.

Tańczyć tylko, tańczyć, tańczyć w czerwonych bucikach!

Lecz źle jej się powiodło: już nie miała swojej woli, nogi jej nie słuchały. Gdy chciała na prawo, buciki zwracały ją na lewo, do drzwi, ze schodów, prosto na ulicę; tańcząc, biegła przez miasto, aż do ciemnego lasu i tu tańczyła jeszcze bez końca, bez końca!

W lesie ciemno, ponuro, a wrócić nie może. Coś zajaśniało pomiędzy drzewami... Czy to księżyc? Nie, to ubogi staruszek na szczudle, z rudą brodą, stoi oparty o drzewo, patrzy na nią i kiwa głową.

— Co za prześliczne buciki do tańca!

Teraz Karusia przełękała się nie na żarty, chciała zdjąć pantofelki, ale — ani sposób: przyrosnięte do nogi. Zerwała pończochy, a buciki zostały i nie mogła przestać tańczyć ani na minutę.

Przebiegła las tańcząc, potem pola, łąki: tańczyła w dzień i w nocy, podczas burzy i upału, ale w nocy najgorzej było.

Zmęczyla się już strasznie, nogi ją bolały, a tutaj ani chwili wypoczynku. Schroniła się na cmentarz, lecz i tu tańczyć musi pomiędzy grobami; chce usiąść na którym — na próżno, nadaremnie! Ach, choćby w kościele chwilę wypoczynku!

Ale we drzwiach świątyni ujrzała białego anioła, ze skrzydłami u ramion i mieczem w prawicy, jak anioł we drzwiach raj.

— Idź sobie tańczyć — rzekł jej głosem smutnym — skoro nic nie ma dla ciebie na świecie oprócz zabawy i stroju! Idź tańczyć — dodał groźnie — skoro nie pamiętasz...

Dalej nie słyszała, gdyż czerwone buciki uniosły ją tymczasem sprzed kościoła na drogę, het, przez pola, dalej, dalej, dalej, jak wiatr kręcący się w kółko bez końca.

Wtem usłyszała smutny śpiew i dzwony. Ze znanego jej domu wynoszono trumnę, obsypaną kwiatami. Dobra pani już nie żyła!

Wtedy Karusia pojęła, dlaczego anioł Boży nie wpuścił jej do kościoła. Była przeklęta, przeklęta, przeklęta! Sam Pan Bóg ją odtrącił od swojego progu.

Ale tańczyć musiała. Tańczyć w dzień i w nocy, po ostrych cierniach i twardych kamieniach, które jej nogi krwawiły boleśnie.

Ach, wypoczynku!

Wtem ujrzała domek, stojący na uboczu w ciemnym lesie. Zapewne kat tu mieszkał.

Zapukała w okno.

— Wyjdź, wyjdź do mnie! — wołała. — Ja wejść nie mogę do ciebie, muszę tu tańczyć, tańczyć bez wytchnienia.

— Nie wiesz chyba, kto jestem — odpowiedział jej głos z chaty — że pukasz do mnie. Ja ścinam ludziom głowy, jeśli zasługują na to; czy słyszysz, jak mój topór zadzwonił na ścianie?

— Nie ścinaj mi głowy — rzekła ze smutkiem Karusia — bo chcę pierwszej odpokutować za grzechy, ale utnij mi nogi, żebym nie tańczyła więcej, utnij razem z czerwonymi bucikami.

I kat uciął jej nogi razem z czerwonymi bucikami, które nie zatrzymały się ani na chwilę, ale tańczyły dalej, unosząc przez pola małe nóżki Karusi.

A kat wystrugał jej nogi drewniane, nie bardzo zgrabne, ciężkie, które szły powoli i chętnie się zatrzymywały. Nauczył ją także psalmu pokutnego, jaki śpiewają grzesznicy od króla Dawida, i poszła Karusia przez step, przez las, przez pole.

— No, teraz wycierpiałam już dosyć za grzechy — pomyślała. — Pójdę wreszcie do kościoła, żeby widzieli ludzie, że jestem pobożna, i że Bóg mnie nie odepchnął.

I skierowała się w stronę kościoła, ale przy bramie czerwone buciki ukazały się przed nią razem z jej nogami, tańcząc bez wypoczynku. Zawstydzila się, i przełękała, i poszła znów w inną stronę.

Tak upłynął cały dzień. Karusia płakała i smuciła się bardzo. Ale w niedzielę pomyślała:

— Teraz już na pewno nacierpiałam się dosyć. Tyle łez wylałam! Bóg mi przebaczył, niech to wszyscy widzą. — Lecz przed kościołem czerwone buciki tańczyły znowu. Kiedy je ujrzała, zakryła oczy i uciekła prędko, bo poznała ciężkie swe winy.

Usiadła w ciemnym lesie i myślała nad sobą długo, długo. Bóg i ludzie wyświadczyli jej tyle dobrego, a ona czy spełniła chociaż jeden obowiązek? Co dobrego zrobiła w życiu? Co dobrego?

Przed wieczorem zapukała do plebanii i prosiła pokornie, aby ją przyjęto do służby. Obiecała pracować pilnie i wytrwale, nie dla pieniędzy i nie dla nagrody, lecz, żeby dach pocziwy mieć nad głową i dobrych ludzi koło siebie.

Zlitowano się nad nią i wysłuchano jej prośby. Służyła więc na plebanii, pracowała, modliła się i rozmyślała nad sobą i swoją winą.

W niedzielę poszli wszyscy do kościoła, lecz ona iść nie chciała. Ze łzami w oczach patrzyła za nimi z daleka, a potem zamknęła się w swojej małej izdebce, gdzie prócz łóżka i krzesła nic stanąć nie mogło i modlić się zaczęła z głębi serca.

Wtem w uroczystej ciszy usłyszała głos organów i śpiew pobożny. Ogromne wzruszenie ogarnęło ją nagle. Łzy popłynęły z oczu.

— O Boże, o Boże! Ulituj się nade mną! — wyszeptwała cicho. — Zlituj się, Boże dobry!

Jakaś ogromna światłość zajaśniała przed nią. Podniosła oczy: ach, to anioł Boży o jasnych skrzydłach! Ale zamiast miecza w dłoni ma różdżkę zieloną, kwitnącą, pełną róż świeżych. Dotknął nią sufitu i ten się podniósł w sklepieniu wysokie i okrył złotymi gwiazdami; dotknął ścian — i rozszerzyły się na wszystkie strony, i ujrzała przed sobą znany ołtarz, księdza, znane obrazy, ławki, kościół cały, pełen modlących się, pobożnych ludzi.

Czy kościół przyszedł do niej, do małej izdebki? Czy ją na skrzydłach przeniósł anioł Boży?

Nic nie wiedziała i nic nie widziała. Była szczęśliwa tylko, była pewna, że Bóg przebaczył jej winy i znowu ma Ojca w niebie i braci na ziemi.

Dobry Bóg, miłosierny!

Organy brzmiały uroczysto i poważnie, chór głosów ludzkich płynął pod sklepienie, słońce świeciło tak jasno i ciepło przez wysokie okna, a złote blaski padały na ławkę Karusi. I była tak szczęśliwa! Zbytek radości przepelniał jej serce i wielka miłość Boga, miłość ludzi i tyle uczuć, że ach, nie pomieści ich serce ludzkie!

Serce Karusi pękło ze zbytku radości, a dusza popłynęła spokojnie po jasnych promieniach słońca wprost aż przed tron Boga. Tam będzie szczęśliwa — czerwone buciki nie staną już nigdy na jej drodze.

## Z jednego gniazda

Pięć ziaren grochu leżało w jednym strąku. Wszystkie były zielone, więc zdawało im się, że cały świat powinien być zielony. To bardzo naturalne.

Strączek rósł, ziarna także: mieściły się w nim, jak mogły, ustawivszy się też w jednym szeregu.

Słońce świeciło i ogrzewało strączek, deszcz go obmywał. Stawał się też coraz większy i błyszczący, jasny w dzień, ciemny w nocy, jak wypada. Ziarna też stawały się z każdym dniem większe, poważniejsze i coraz bardziej zamyślane, bo nie miały nic innego do roboty.

— Czyż tu wiecznie siedzieć będziemy? — zapytało jedno na koniec. — Stwardniemy od takiego ciągłego siedzenia. Tak dłużej być nie może!

Upływały jednak tygodnie, a nic się nie zmieniło, tylko ziarenka pożółkły i strączek był żółty.

— Cały świat będzie żółty — rzekło jedno i było to bardzo trafne spostrzeżenie.

Nagle uczuły jakieś gwałtowne wstrząśnienie: oderwano strączek od łodyżki, przez chwilę ręka ludzka ścisnęła go w zamkniętej dłoni, potem w towarzystwie wielu innych strączków znalazł się w ciemnej kieszeni.

— Zaraz nam otworzą — powiedziały ziarnka i zgadły.  
 — Teraz zobaczymy, które z nas najdalej polecą w świat — odezwało się ziarnko najmniejsze. — Teraz się to okaże.  
 — Co się stać ma, to się stanie — rzekło drugie. — Bóg nad nami.  
 Trrr! — strączek się otworzył i wszystkie pięć ziarek ujrzało światło dzienne.  
 Leżały w ręku chłopca, który im się przypatrywał, a następnie oznajmił, że będą doskonałe do jego pukawki<sup>42</sup>.  
 To mówiąc, wsypał je wszystkie od razu i wystrzelił.  
 — Lecę w świat! Doścignij mnie, jeżeli możesz! — zawołało jedno ziarnko.  
 — Ja do słońca polecę! To jest także strączek i właśnie taki, jakiego pragnąłem dla siebie.  
 — My spać pójdziemy — szepnęły dwa inne i potoczyły się na ziemię.  
 — Ja niewiele potrzebuję — rzekło piąte i, wleciawszy w powietrze, upadło w szparę deski pod oknem poddasza, gdzie było trochę ziemi i zielonego mchu, który otulił gościa.  
 Zatem leżało znowu w niewoli.  
 — Złe przemija — szepnęło.  
 W izdebce pod dachem mieszkała uboga kobieta, która zarabiała jako najemnica, więc wychodziła codziennie od rana, paliła ludziom w piecach, myła i sprzątała, gdyż była pracowita i silna. W pokoiku zostawała jednak jej córeczka, dziecko wątłe i słabowite, a od roku tak słabe, że prawie nie podnosiło się z łóżka.  
 — Pójdzie za siostrą — smutnie powtarzała matka, która niedawno jeszcze miała dwoje dzieci, lecz Bóg jedno jej zabrał, może dlatego, aby ulżyć jej w ciężkiej pracy.  
 Chora dziewczynka sama w ubogiej izdebce przez cały dzień leżała, gdyż nie miała siły się podnieść. A matka musiała pracować.  
 Wiosenny ranek zaświtał na świecie wesoły i słoneczny, złociste promienie zajrzały na poddasze przez maleńkie szybki, jakby chciały zobaczyć, czy ludzie śpią jeszcze. Biedna kobieta właśnie wychodziła z domu.  
 — Mamo — rzekła dziewczynka — patrz no, co to do nas zagląda w okno takie jasne i zielone? Tam, przez najniższą szybę! O, wiatr nim porusza!  
 Były to małe, zielone listeczki, które wyrosły z ziarnka grochu ukrytego pod mchem w szparze deski.  
 — Skąd ono się tu wzięło? — mówiła kobieta. — Będziesz miała teraz za oknem ogródek, który cię rozweseli nieraz i zabawi.  
 I przysunęła łóżko dziecka do okienka, aby lepiej widziało młodą, zieloną roślinkę, ciekawie zaglądnącą przez szybę.  
 Potem wyszła na dzień cały.  
 Wieczorem dziewczynka wesoło ją witała.  
 — Wiesz, mamo — rzekła — pewno wyzdrowieję wkrótce. Słońce tak ślicznie dzisiaj tu świeciło, tak nas ogrzewało troskliwie. Groszek mi w oczach wypuszcza listeczki, rozwija się i rośnie, i ja tak samo czuję w sobie nowe siły i chyba niedługo już wstanę.  
 — Dałby Bóg — rzekła matka, ale temu nie wierzyła. Wetknęła jednak patyczek za deskę, aby młoda roślina, która tak wesoło nasuwała myśli jej choremu dziecku, miała się o co oprzeć. Potem przywiązała cienkie sznureczki do ramy okienka, by miała po czym piąć swoją łodyżkę ta dobra pocieszycielka samotnicy.  
 Groszek rósł szybko, dziewczynka codziennie opowiadała matce o jego piękności, o nowych listkach.  
 — Doprawdy, zakwitnie! — zawołała pewnego ranka ucieszona kobieta, która już sama zaczynała wierzyć, że jej dziecko odzyska zdrowie.  
 Widziała, że od chwili, gdy groszek zajrzał przez małe okienko, chora ożywiła się ogromnie, a od kilku dni sama siadała na łóżku, żeby lepiej widzieć maleńki ogródek z jednego ziarnka grochu.  
 W kilka dni później była niedziela i pogoda. Dziewczynka wstała z łóżka i usiadła przy otwartym oknie na krzeselku przy ciepłych promieniach słońca, a jasne jej oczy z radością i pieśczętą patrzyły na białe, śliczne kwiatki grochu.

<sup>42</sup>pukawka (żart.) — pistolet a. strzelba; tu: o zabawce. [przypis edytorski]

Na koniec wstała z krzesła, oparła się o ramę okna i całowała kwiaty i listeczki uko-  
chanej roślinki. Była wtedy bardzo szczęśliwa.

— Bóg ją tu dla nas posiał — rzekła matka. — Chciał nam dać poznać, że o nas  
pamięta. — I uśmiechnęła się także do kwiatka.

A co się stało z innymi groszkami?

Jeden upadł na dach i gołąb go połknął; jeden upadł na ścieżkę i został zdeptyany,  
potem kury go zjadły; jeden potoczył się w krzaki, ciepło mu tam było pod suchymi  
liśćmi i wilgotno, więc namókł i wypuścił kielek, żeby rosnąć — tymczasem śnieg spadł  
i zmarniał biedaczek od chłodu. Ostatni wpadł do wody, napił się jej bardzo wiele i był  
niezmiernie dumny ze swojej wielkości, aż w końcu pękł.

Żadne ziarno się nie zmarnowało, gdyż nic się nie marnuje na tym świecie, każde  
przyniosło komuś choć mały pożytek, lecz groszek na poddaszu był zwiastunem szczęścia.

## Choinka

Rosła w lesie choinka, mała, ale śliczna. Miała też dobre miejsce: dużo powietrza, słońca  
i przyjemne towarzystwo starszych od siebie jodełek i sosen. Dobrze jej było, a jednak  
marzyła ciągle tylko o tym, aby wyrosnąć i być dużą, wielką. Nic jej przeto nie cieszyło:  
ani piękne słońce, ani powietrze czyste i pachnące, ani zabawy dzieci wiejskich, które  
przychodziły tu zbierać jagody. Biegały wtedy, śmiejąc się, dokoła drzewka, rozmawiały  
wesoło, albo siadały z pełnym garnuszkiem na ziemi i nawlekały czerwone poziomki niby  
korale na cieniutką słomkę.

— Jaka ta mała choinka prześliczna — mówiły często, ale drzewko tylko się o to  
gniewało.

— Długo też jeszcze będę taka mała? — myślało sobie.

Gdyby umiało westchnąć, pewno by wdychało, ale na to było za wcześnie.

W następnym roku było znacznie większe. I znowu rok upłynął, i znowu przybyło  
mu gałęzi i wysokości. Aż poweselało.

— Ach, jakbym chciała już być taka duża jak inne drzewa! — mówiło do siebie.  
— Wtedy bym rozpostarła szeroko konary, a z wierzchołka mogłabym patrzeć w świat  
daleko! Ptaki słałyby gniazda na moich gałęziach, które kołysałabym poważnie, wspianiale,  
z każdym powiewem wiatru! Tak jak inne drzewa.

I znów zaczęło tęsknić i martwić się o to, że tak powoli rośnie. Nie cieszyło go ani  
słonko jasne, ani wesołe ptaki, ani purpurowe i złote chmurki wieczorem i rano po błę-  
kitnym niebie płynące.

Potem nadeszła zima i śnieg biały grubo pokrył dokoła ziemię, iskrząc się w słońcu  
jak drobne diamenty. Wówczas choinka zmniejszyła się bardzo, zaledwo wystawała z tej  
białej pierzynki i nieraz się zdarzyło, iż zając przeskoczył ją w biegu. O, wtedy była strasznie  
oburzona!

Dwie zimy upłynęły znów, ale na trzecią zimę była już taka wysoka, że zające musiały  
obiegać ją wkoło. To było dla niej wielką przyjemnością.

— Ach, rosnać, rosnać, rosnać! — powtarzała. — Być wielką i wspianiałą, to jedyna  
rozkosz, której pragnę bezustannie.

W jesieni zwykle zjawiali się drwale z mocnymi siekierami i padały wtedy najpięk-  
niejsze jodły i sosny. Powtarzała się ta historia każdego roku, a młode drzewka drżały,  
patrząc na to. Bo też widok był smutny. Najwspanialsze drzewa z trzaskiem, z łoskotem  
padały na ziemię, obcinano im piękne, zielone konary i stawały się dziwnie długie, wą-  
skie, nagie; prawie nie można ich było już rozpoznać. Następnie ludzie kładli je na wozy  
i wywozili z lasu, nie wiadomo dokąd.

Co się potem z nimi działo?

Kiedy jaskółki wróciły na wiosnę i poważne bociany, drzewka dopytywały ich cieka-  
wie:

— Czy nie wiecie, gdzie się znajdują nasze siostry? Dokąd je wywieziono? Czyście  
spotkały je w drodze?

Jaskółki nie wiedziały o niczym, lecz bocian jeden zastanowił się nad tym pytaniem, a pomyślawszy chwilę, skinął głową:

— Tak, tak, widziałem. Widziałem na morzu wielkie okręty, kiedyśmy leciały z Egiptu. Na okrętach wznosiły się maszty olbrzymie: to one były! Poznałem nasze drzewa po zapachu. Trzeba im powinszować: po królewsku wyglądały!

— Ach, kiedyż ja wyrosnę tak wysoka, żebym mogła pływać po morzu! — zawołała z żalem sosienka. — Ale co naprawdę znaczy morze i jak ono wygląda?

— Za długo byłoby ci tłumaczyć takie rzeczy, moja droga — rzekł bocian i oddalił się poważnie.

Promienie słońca serdecznym uściskiem objęły młode drzewko.

— Nie marz o dalekiej wielkości — mówiły — ciesz się tym, co posiadasz. Dziękuj Bogu za młodość, za siły, za zdrowie, za życie, które w tobie krąży.

Wietrzyk całował ją i pieścił zielone jej igły; rosa płakała nad nią; ale drzewko nie rozumiało tego wcale.

Przyszła zima.

Około świąt Bożego Narodzenia znowu schodzili się do lasu ludzie i wycinali teraz małe drzewka, nieraz mniejsze i młodsze od naszej choinki. Patrzyła ona też na nie z zazdrością: jadą w świąt, tak daleko! Nikt nie obcina im pięknych gałęzi, wywożą je wraz z nimi, takie śliczne, świeże!

— I dokąd je wywożą? I dlaczego? Są między nimi zupełnie maleńkie i dlaczego nie obcinają im gałęzi?

— My to wiemy! My to wiemy! — zaświergotały wróble. — Widziałyśmy je tam w mieście przez okna. Wiemy, dokąd one jadą. Świetny los je czeka, coś nadzwyczajnego! Tego nawet dobrze opisać nie można. Widziałyśmy je same przez okna: rosną tam na środku ciepłego pokoju, ozdobione świeczkami, błyskotkami, rumianymi jabłkami, piernikami. Ach, co za los wspaniały!

— A potem? — rzekło drzewko, drżąc z ciekawości i wzruszenia. — Cóż się potem z nimi dzieje?

— Więcej nic nie widziałyśmy. Ale to było prześlicznie, prześlicznie!

— Ach, jakżebym pragnęła doczekać się takiego szczęścia! — westchnęło z żalem drzewko wszystkimi igłami. — To piękniejsze jeszcze niż podróż po morzu. Jakże tęsknię do miasta, do ludzi, jak mi tutaj smutno! Może już niedaleko Boże Narodzenie — jestem taka duża i ładna, może mnie zetną w tym roku nareszcie! O, chciałabym już rosnąć w ciepłym, jasnym pokoju, z całą tą świetnością, która się opisać nie da!

— A potem?... Potem nastąpi zapewne coś jeszcze piękniejszego, jeszcze wspanialszego, po cóż by nas inaczej tak strojono? Tak, tak, to początek jeszcze większego szczęścia, którego nawet odgadnąć nie umiem. Ach, co nas czeka w mieście! Tęsknię do tej chwili — pragnę, aby nadeszła!

— Ciesz się słońcem i powietrzem — szepnęły jej bledsze, ale życzliwie promienie. — Ciesz się młodością swoją, ciesz się życiem!

Ale choinka cieszyć się tym nie umiała, rosła tylko i rosła, jak mogła najprędzej. Igły miała pachnące i ciemnozielone, a pień prosty jak strzała. Ludzie, patrząc na nią, mówili:

— Co za śliczne drzewko!

Na Boże Narodzenie ścięli ją też najpierwszą. Ostra siekiera wśliznęła się jej aż do serca i drzewko padło z westchnieniem na biały śnieg brylantowy. Ból ją przeniknął straszny i zemdląca. Rozumie się, iż zapomniiała, że to jej szczęście upragnione; skoro przyszła do siebie, czuła tylko, iż się rozstaje na zawsze ze swym rodzinnym lasem, z pniem, z którego wyrosła; że już nie zobaczy kochanych drzew starych, które ją otaczały od dzieciństwa, ani zielonych krzaków i choinek, z którymi się wychowała, ani świeżych kwiatów znajomych na wiosnę, ani ptasząt śpiewających tak wesoło. Bolesne było pożegnanie, smutny odjazd.

Ocknęła się dopiero wtedy z tego smutku, gdy na podwórzu, gdzie ją wraz z innymi choinkami złożono, usłyszała mówiącego jakiegoś człowieka, który wskazywał na nią:

— Śliczne drzewko, to biorę.

I natychmiast dwóch ludzi w pięknych sukniach ze świecącymi guzikami zaniósło ją do wielkiego, pięknego pokoju.

Ciepło tu było, niby w lecie. Na ścianach wisiały ogromne obrazy w ramach złocistych jak słońce, koło pieca stały wielkie wazy chińskie, na pokrywach których spoczywały lwy poważne; były tam bujające krzesła i meble jedwabiem pokryte, na stołach pełno książek z obrazkami i tysiące kosztownych cacek.

Ustawiono drzewko na środku pokoju, w dużym drewnianym naczyniu, pełnym piasku, ale tego nie było widać, gdyż naczynie osłonięto zieloną materią, a pod nim na podłodze był kwiecisty kobierzec. Wtedy dopiero zaczęła choinka odczuwać znowu szczęście. Drżała z radości. Co to z nią będzie teraz? Panienki i służba przystrajały ją i zdobiły na wyścigi; wieszano na jej zielonych gałązkach siatki złociste, pełne prześlicznych cukierków, pierniki, jabłka złocone, orzechy, różnobarwne błyskotki i cukierki, nici złote i srebrne, podobne do promieni słońca, cudowne lalki, podobne do dzieci, świece i ptaszki, a na najwyższej gałązce umieszczono gwiazdę srebrzystą.

Wyglądała tak wspaniale, że naprawdę opisać trudno; wróble miały słuszną zupełną.

— Wieczorem będzie daleko piękniejsza, gdy zapalimy świece — mówiono dokoła, a drzewko traciło przytomność ze szczęścia.

— Ach, żeby ten wieczór nadszedł już! — wzdychało. — Ach, żeby zapalono moje świece! I co to wtedy będzie? Co się stanie? Może sosny przyjdą z lasu patrzeć na mnie? A wróble będą zaglądały w okna. I wszyscy podziwiać będą moją piękność i moje szczęście. A potem? Czy tu wrosnę mocno w to naczynie i stać będę lato i zimę taka piękna i strojna?

Pięknie marzyła sobie o przyszłości, ale tymczasem bolała ją kora, a tęsknota za lasem sam rdzeń przenikała.

— To nic — myślała sobie — to przemienie.

Wieczorem zapalono na niej świece. Co za blask! Co za jasność! Nic podobnego jeszcze w życiu nie widziała. Wszystkie gałązki jej drżały ze szczęścia tak, że na jednej zapaliły się igielki. To zabolalo ją mocno.

— Pali się! Pali! — zawołały panienki i ogień ugaszono zaraz.

Zmartwiło to choinkę: w tym miejscu była ciemna i spalona, to wcale nieprzyjemnie; chciałyby cała tonąć w jasnym blasku, jak podczas lata w słonecznych promieniach.

Wtem otworzono szerokie podwoje i do pokoju wpadło mnóstwo dzieci, biegnąc prosto do drzewka, jakby je chciały przewrócić. Starsi postępowali za nimi poważnie. Na mgnienie oka stanęła gromadka zdumiona i milcząca przed jarzącą chojną, lecz zaraz wybuchnęła takim krzykiem, że szyby w oknach zdrząły z przestachu. Teraz się zaczął taniec wkoło drzewka, z którego wśród okrzyków zachwytu co chwila zdejmowano jakieś cacko czy błyskotkę.

— Co oni robią? — myślała choinka. — I cóż to będzie?

Świece płonęły jasno, ale zmniejszały się prędko i coraz trzeba było gasić którąś, aby się nie zapaliła gałązka. Na koniec dano dzieciom pozwolenie zabrać z drzewka, co im się tylko podoba. Straszne rzeczy, z jaką chciwością rzuciły się do rabunku! Aż gałęzie trzeszczały. I gdyby choinka nie była przymocowana do sufitu, byłyby ją niezawodnie przewróciły.

Potem tańczyły wkoło z zabawkami i przysmaczkami, które z drzewka oberwały, a na choinkę nikt już nie spoglądał, oprócz starej piastunki, która delikatnie podnosiła gałązki, aby się przekonać, czy gdzie nie zostało jabłko lub cukierek.

— Bajeczki! Bajeczki, dziadziu! — zaczęły wołać dzieci i ciągnęły do drzewka niskiego staruszka, który też usiadł pod nim.

— Teraz jesteśmy w lesie! — rzekł wesoło. — Niechże i drzewko naszej historii posłucha, może mu się to przyda. Ale jedną wam tylko dziś bajkę opowiem, więc o czym chcecie: czy o Rum-Trum rozbójniku, czy o kulawym chłopcu, który spadł ze schodów, ale się potem ożenił z księżniczką?

— O Rum-Trum rozbójniku!

— O kulawym chłopcu! — krzyczały dzieci na wyścigi.

Drzewko tylko milczało, myśląc sobie: — Co to ma wszystko znaczyć? I co ze mną dalej będzie?

A tymczasem dziadunio zaczął opowiadać o kulawym chłopcu, który spadł ze schodów, ale został mężem księżniczki.

Dzieci klaskały w ręce i krzyczały. Chciały potem koniecznie historii o rozbójniku, ale usłyszały dzisiaj tylko jedną.

A drzewko stało cicho i myślało: — O tym mi ptaszki w lesie nigdy nie opowiadały. Kulawy chłopczyk spadł ze schodów, a potem się ożenił z księżniczką. Więc to tak bywa na tym świecie! Nie można wątpić, skoro opowiada taki poważny i siwy staruszek. Ha, któż to może wiedzieć! Nikt swego losu nie przewidzi. Może i ja też spadnę tu kiedy ze schodów, a potem się ożenię z księżniczką.

I zasnęło z miłą nadzieją, że jutro znowu będą przystrajać je cukierkami, świeczkami i złotem.

— Jutro będę jeszcze szczęśliwsza — myślało. — Będę się jeszcze bardziej cieszyła tym wszystkim. A potem znów wysłucham bajki o kulawym chłopcu, a może i o rozbójniku.

Całą noc o tym rozmyślała. Nazajutrz z rana służba weszła do pokoju.

— Przyszli mnie stroić — szepnęło drzewko.

Ale zamiast tego wyniesiono je z pokoju, zwleczono ze schodów i umieszczono w jakimś ciemnym kącie, gdzie nie dochodziło wcale światło dzienne.

— Co to ma znaczyć? — rzekła do siebie choinka. — Co ja tu robić będę? Co ja tu usłyszę?

Przytuliła się do muru i myślała, myślała długo... A czasu miała dosyć, gdyż dni i noce upływały, a nikt do niej nie przychodził. Raz wszedł ktoś, ale po to, żeby postawić przed nią wielką skrzynię. Teraz była tak ukryta, iż mogła sobie wyobrazić, że wszyscy o niej zapomnieli.

— To dlatego, że teraz zima — pocieszała się w tej ciemności. Ziemia jest twarda i śniegiem pokryta, nie mogą mnie zasadzić i trzymają w tym schronieniu aż do wiosny. Jak to dobrze obmyślane! Przekonuję się coraz lepiej, że ludzie są bardzo dobrzy i rozumni! Szkoda tylko, że tu tak ciemno i okropnie pusto. Żeby chociaż zajączka można było zobaczyć — czasem. W lesie było bardzo ładnie w zimie na białym śniegu, kiedy zajączki skakały dokoła, a czasem przeskakiwały i przeze mnie. Ale wtedy nie mogłam znieść tego. Tutaj okropnie pusto i samotnie.

— Pi, pi! — odezwała się nieśmiało myszka.

— Pi, pi! — odpowiedziała jej druga.

Wysunęły się obie z niewidzialnej norki i zaczęły wachać drzewko, obchodząc je dokoła. W końcu wsunęły się między gałązki.

— Straszne zimno — rzekła jedna. — Ale tutaj nieźle, prawda, moja staruszeko z lasu?

— Nie jestem wcale stara — rzekło drzewko. — Wiele znam drzew daleko starszych ode mnie.

— A skąd się tutaj wzięłaś? — zapytały myszy. — I co wiesz? Co widziałaś?

Były obydwie niezmiernie ciekawe i zasypywały drzewko pytaniami.

— Opowiedz nam o wszystkim, co widziałaś na świecie. Gdzie jest najpiękniej? Gdzie jest najprzyjemniej? A czy byłaś w spiżarni, gdzie sery leżą na półkach, a szynki wiszą wysoko na sznurach? Tam jest pięknie! Tam można tańczyć koło sadła: tam najchudsza upaść się może wybornie.

— Nie znam spiżarni — rzekło drzewko — ale widziałam las piękny, gdzie słońce świeci wesoło na sosny zielone i na małe kwiatki; gdzie ptaszki śpiewają przyjemnie przez całe lato.

I zaczęła opowiadać im o swej młodości, o lesie, słońcu, jaskółkach, bocianach. Myszy nic podobnego dotąd nie słyszały i nadziwić się nie mogły.

— Ach, jak ty dużo widziałaś na świecie! — powtarzały co chwila. — Jakie to wszystko piękne! Jak szczęśliwa być musiałaś w tym pachnącym lesie!

— Szczęśliwa? — powtórzyła choinka ze zdziwieniem i pomyślała trochę nad tym wszystkim, co mówiła przed chwilą. — Tak, w gruncie rzeczy były to czasy przyjemne — dodała wreszcie — ale...

Zaczęła opowiadać teraz co innego: jak ją ustawiono w prześlicznym pokoju, przystrójono błyskotkami i świeczkami, jak koło niej tańczono i śpiewano.

— Ileż ty szczęścia doznałaś już w życiu, dobra staruszeko! — dziwiły się myszy.

— Nie jestem wcale stara — broniła się znowu — dopiero tej zimy z lasu mnie zabrano. Przez to przestałam rosnąć.

— Ślicznie opowiadasz — zachwycaly się obie.

Następnej nocy znowu przyszły pod drzewko, a z nimi razem cztery inne myszy, które też chciały posłuchać ciekawych opowieści.

Choinka opowiadała, a im dłużej mówiła, im więcej przypominała sobie własne życie, tym przyjemniejsze jej się wydawało.

— To były dobre czasy — szeptała z westchnieniem, ale mogą powrócić. Kulawy chłopiec spadł ze schodów, a przecież ożenił się potem z księżniczką. Może i dla mnie także księżniczka przeznaczona.

Przyszła jej na myśl młoda, śliczna, zielona brzoźka, która rosła tam w lesie; była ona prawdopodobnie księżniczką.

— Co to za kulawy chłopiec? — dopytywały myszy.

Ona opowiedziała im całą historię, każde słowo pamiętała doskonale, a myszy były tak szczęśliwe, że biegały jak szalone po gałązkach, prawie do samego wierzchołka.

Następnej nocy przyszło ich daleko więcej, a w niedzielę nawet dwa szczury.

Lecz ci panowie osądzili, że historia nie jest bardzo zajmująca, a to zmartwiło myszki, gdyż odtąd i one uważały ją za mniej piękną.

— Czy tylko jedną umiesz bajkę? — dopytywały się szczury.

— Tylko tę jedną. Wysłuchałam jej podczas najpiękniejszego wieczoru w moim życiu; nie wiedziałam wtedy nawet, jak szczęśliwa jestem.

— To bardzo głupia bajka. A nie umiesz żadnej o słonince, o łoju? Żadnej zajmującej, ciekawej, o spizarni?

— Nie — odparło drzewko.

— To dziękujemy za tę! — mruknęły szczury pogardliwie i wróciły do swego towarzystwa.

Myszy zostały chwilę, ale wkrótce odeszły także, a choinka westchnęła smutnie.

— Lubiłam im opowiadać — szepnęła do siebie — lubiłam, kiedy kręciły się po mnie. — Ha, trudno! Wszystko mija. Trzeba się cieszyć nadzieją, że już niezadługo chyba muszą mnie stąd zabrać... Ale kiedy?

Nadszedł na koniec ten dzień pożądany: przyszli ludzie i zaczęli porządkować w komórce. Wielką skrzynię wysunęli, drzewko wyciągnęli z kąta, rzucili na podłogę niezbyt delikatnie, potem służący ściągnął je ze schodów na podwórze i zostawił.

Dzień był jasny, słońce świeciło prześlicznie.

— Więc znowu żyć zaczynam — pomyślało drzewko, czując świeże powietrze i ciepło słoneczne.

Tak prędko się znalazło na podwórzu, że nie miało czasu nawet spojrzeć na siebie — tyle było do widzenia naokoło! Podwórze przylegało do ogrodu, w którym wszystko zieleń się i kwitło: róże jaśniały na giętkich gałązkach, rozlewając zapach cudowny, pachniały lipy, jaskółki latały, ćwierkając głośno: Kiwit! Kiwit! Patrzcie! Patrzcie!

Lecz nie chojna je zajmowała.

— Teraz znowu żyć zaczę — cieszyło się drzewko, prostując i wyciągając zgniecione gałązki. Ale niestety, teraz dopiero spostrzegło, iż były one żółte, suche, prawie nagie. Leżało na śmietniku, między zielskiem i pokrzywami, tylko srebrzysta gwiazda na wierzchołku świeciła w promieniach słońca.

Po podwórzu biegały dzieci, te same, które w wieczór wigilijny tańczyły wkoło drzewka. Jedno spostrzegło jasną gwiazdę na choince.

— Patrzcie, patrzcie! — zawołało — co znalazłem na brzydkiej, poźółklej choince!

I aby zerwać gwiazdkę, stąpało po gałęziach, które łamały się pod nim.

Drzewko spojrzelo na ogród zielony, na kwiaty różnobarwne, jaśniejące w słońcu, a potem na siebie. I zapragnęło wrócić do ciemnego kąta, zostać w nim zapomniane, niewidzialne dla nikogo.

Lecz w pamięci stanęły mu lata młodości, las zielony, znajome jodły i sosenki; potem wigilja, stroje; potem myszki małe, długie opowiadania i bajki o chłopcu kulawym...

Wszystko, wszystko minęło... Wszystko minęło, wszystko!... I nie powróci...

Jakiś człowiek połamał drzewko na kawałki, pomagając sobie siekierą: całą wiązkę gałęzi zaniósł przed ognisko, nad którym wisiał wielki kocioł i rzucał jedno drewno po drugim na ogień, rzucał do ostatniego. A każde z kolei wdychało głęboko, gdy ogarniał je płomień gorący i westchnienie to podobne było do wystrzału.



— Pif, paf! — wołały dzieci, klaszcząc w ręce i biegając koło ogniska. Za chwilę zatrzymywały się znowu, ażeby spojrzeć na ogniste strzały i cieszyć się bez końca.

Ale płonące drzewko westchnieniami tymi żegnało własne życie: żegnało las piękny, zielony, świeży w blasku słońca, cichy w nocy pod niebem gwiazdzistym; żegnało piękny wieczór wigilijny i wszystką radość swoją i nadzieję: żegnało bajkę o kulawym chłopcu, jedyną, jaką w tym życiu słyszało i umiało opowiadać.

I spłonęła ostatnia gałązka choinki.

Dzieci wesoło bawiły się w ogrodzie, najmłodszy chłopczyk przypiął niby order gwiazdę srebrną do piersi i walczył z pokrzywami jak waleczny rycerz.

O choince zapomniano. Nikt nie myślał o niej. Skończyła się jej powieść, jak kończy się wszystko na świecie; nic nie może trwać wiecznie.

## Anioł

— Kiedy dobre dziecko umiera na ziemi, zstępuje z nieba biały anioł boży, łagodnie bierze je w ramiona, rozpościera jasne skrzydła i unosi czystą duszyczkę do Boga. Na pożegnanie przelatuje cicho ponad tymi miejscami, które dziecko za życia lubiło i zrywa najpiękniejsze, najmiłsze mu kwiaty, aby tam na tamym świecie jeszcze pięknie kwitły. Dobry Bóg bierze je z ręki anioła i przyciska do serca, a na najdroższym dla dzieciny kwiatku składa pocałunek. Wtedy zaczyna on także śpiewać chwałę bożą wraz z jasnymi aniołami.

Tak opowiadał anioł czystej duszy dziecka, którą uniósł do nieba; a dziecko go słuchało niby we śnie. Przelatowali cicho niewidzialni nad pięknym miastem, w którym mieszkało za życia i nad ogrodem pełnym ślicznych kwiatów.

— Które chcesz zabrać z sobą, aby je mieć w niebie? — zapytał anioł.

Na jednym z klombów rosła piękna róża, lecz ktoś ją złamał i biedne gałązki wisiały smutnie, pełne wół rozwiniętych pączków, które zaczęły więdnąć.

— Biedna róża — rzekło dziecko. — Zabierzmy ją, w niebie odżyje na nowo.

I anioł zerwał różę, a na czole dziecka złożył leciuchny, słodki pocałunek, tak słodki, że dziecina na wół podniosła znużone powieki i uśmiechnęła się do niego.

Zerwali potem jeszcze wiele kwiatów i nie tylko wspaniałe, ogrodowe, ale i skromne jaskry, polne bławatki i niezapominajki.

— No, mamy dosyć kwiatów — rzekło dziecko i anioł skinął głową, ale nie wleciał ku niebu.

Była to noc pogodna, jasna, bardzo cicha; płynęli niewidzialni ponad wielkim miastem, lecz minęli piękne, bogate ulice i anioł zwrócił lot srebrzystych skrzydeł w stronę ciasnego, ciemnego zaułka, pełnego śmieci, słomy i popiołu. Na środku ulicy leżały skorupy potłuczonych garnków, talerzy, gałgany, kawałki kapeluszy... Nie było to piękne.

Anioł patrzył uważnie na ziemię i wskazał czystej duszyczce dzieciny skorupę stłuczonej doniczki od kwiatka, obok której leżała sucha grudka ziemi z lichą, zwiędłą roślinką. Widocznie usechł jakiś skromny kwiatek i wyrzucono go razem z doniczką na śmieci.

— Zabierzemy go — rzekł anioł — a gdy lecieć będziemy już teraz wprost do Boga, opowiem ci o tej roślince.

I mówić zaczął:

— Tutaj, w tej wąskiej uliczce, w piwnicznej izbie ubogiego domu, mieszkał biedny chory chłopczyk. Od lat najmłodszych nie wstawał z postłania: był kaleką. Kiedy czuł się lepiej, mógł przejść parę razy ciasną izdebkę przy pomocy szczudła; dla niego była to wielka wyprawa. Podczas pogodnych dni letnich niekiedy ciepłe promienie słońca przenikały aż do nędznej izdeбки i padały jasną, ciepłą smugą na podłogę. Wtedy chory chłopczyk siadał w ciepłym blasku i patrzył na swe chude palce, przez które przeświecała krew różowa. To się nazywało, że był dzisiaj na przechadzce.

Nie znał on lasu, ani jego zieloności i świeżej woni, słyszał o nim tylko, gdyż raz syn sąsiada przyniósł mu zieloną gałązkę. Biedny kaleka zawiesił ją sobie nad głowę i zdawało mu się, że siedzi w lesie pod drzewami, słońce prześwieca przez liście zielone, ptaki śpiewają, pachną leśne kwiaty...

Dziecko

Anioł

Kwiaty

Kwiaty

Miasto

Natura

Kaleka

Innego dnia przyniósł mu chłopczyk sąsiada kwiatek polny, przypadkiem wyrwany z korzeniem. Zasadzono go w ziemię w stłuczonej doniczce, lecz przyjął się szczęśliwie, zaczął wypuszczać listki i odtąd kwitł co roku na wiosnę.

Co to była za radość, co za szczęście! Doniczka stała na jedynym oknie, na wprost posłania kaleki i mógł patrzeć zawsze na ten wspaniały swój ogród kwiatowy. Był to jedyny skarb jego na ziemi. Podlewał też roślinkę, pielęgnował i troszczył się, ażeby każdy promyk słońca, który przenikał do nędznej piwnicy, ogrzewał kwiatek swym ożywczym ciepłem.

I polny kwiatek zdawał się wzajemnie dla niego tylko rozwijać się, kwitnąć, rozlewać woń leciuchną. Cieszył oczy dziecka, radował jego serce. Chłopczyk kochał go bardzo i na niego zwrócił ostatnie spojrzenie, kiedy ten świat opuszczał.

Od roku biedny na ziemi kaleka jest szczęśliwym aniołem w niebie; od roku zapomniany kwiatek stał na oknie, zwiędł, usechł i ze śmieciami wyrzucono go w końcu na ulicę. Myśmy go dziś podnieśli, biedny, zwiędły kwiatek, bo więcej on radości rozlał na tym świecie niż najpiękniejsze, najwspanialsze kwiaty królewskiego ogrodu.

— A skąd ty wiesz to wszystko? — zapytało dziecię, które niósł anioł boży.

— Wiem — odparł anioł — gdyż byłem tym biednym kaleką, który umarł w ciasnej izdebce. Więc znam mój kwiatek drogi!

Dziecię szeroko otworzyło oczy i patrzyło w promienną, jasną twarz anioła; wtem otworzyło się niebo przed nimi i wpłynęli do kraju wiecznej szczęśliwości.

Bóg przycisnął do serca duszę zmarłego dziecięcia i natychmiast skrzydełka strzeliły jej z ramion i uleciała ku innym aniołkom, które krążyły wkoło szczęśliwe, śpiewając cudne pieśni.

Bóg przycisnął do serca przyniesione kwiaty, aby odżyły tutaj piękne i szczęśliwe; lecz do ust podniósł tylko zwiędły kwiatek polny, który natychmiast zaczął śpiewać z aniołami, otaczającymi promienny tron Boga. A było ich tak wiele, taka nieskończona mnogość, bliżej i dalej, dalej, gdzie wzrok już nie sięga, a wszyscy równie jaśni i szczęśliwi.

Wszyscy śpiewali razem pieśń cudowną, z którą nie mogą się równać pieśni tej ziemi; śpiewały ją czyste dusze zmarłych dzieci i biedny kwiatek polny wyrzucony ze śmieciami na ulicę.

Kwiaty, Śmierć

Szczęście

Anioł

Dusza

Kwiaty, Niebo

## *Mata syrenka*<sup>43</sup>

Hen, daleko od brzegów, aż na środku morza, gdzie nic nie widać, tylko błękit nad falami, gdzie woda przezroczysta jak kryształ najczystszy, a ciemnoszafirowa jak bławatek, jest głębia niezmierna, otchłań tak głęboka, iż żaden okręt tutaj przystanąć nie może, bo kotwica dna nie dosięgnie.

W tej niezgłębionej otchłani mieszkały piękne Syreny.

Dno piaszczyste i równe pokrywały lasy dziwacznych drzew i roślin, wysmukłych a giętkich, drżących za najlżejszym poruszeniem wody jak żyjące istoty. Pośród drzew przemykały się ryby figlarne, wielkie i małe, zatrzymując się niekiedy na gałązkach niby ptaki na drzewach. A na najgłębszym miejscu stał pałac królewski.

Wspaniały to był pałac władcy morza: mury z koralu, okna bursztynowe, a dach z muszli perłowych, które się otwierały albo zamykały, ażeby wpuszczać lub wypuszczać wodę. W każdej zaś muszli jaśniały perły kosztowne, tak wielkie, jakich żaden z monarchów na ziemi nie posiada w swym skarbcu.

W tym pałacu mieszkał król morza z rodziną. Przed wielu laty owdowiał i odtąd matka jego wychowywała mu córki. Była to pani bardzo poważna i mądra, lecz tak dumna ze swego rodu, że nosiła dwanaście ostryg na ogonie, kiedy najdostojniejszym w królestwie osobom tylko sześć takich ozdób wolno było sobie przypinać. Zresztą zasługiwała na wielkie uznanie, szczególniej za troskliwość, z jaką się zajęła wychowywaniem powierzonych sobie wnuczek.

<sup>43</sup>*Mata syrenka* — baśń ta w źródle, w tłumaczeniu Cecylii Niewiadomskiej, nosi tytuł *Syrenka*; został on jednakże zmieniony na tradycyjnie funkcjonujący w polskiej kulturze. [przypis edytorski]

Księżniczek było sześć, a wszystkie piękne, lecz najmłodsza ze wszystkich najpiękniejsza. Przecudne złote włosy okalały twarzączkę delikatną niby płatek róży, oczy błękitne jak najgłębsza woda, a zamiast nóg — mieniący się srebrem i złotem, łuską pokryty ogon.

Przez cały dzień syreny igrały wesoło w koralowych salach ojcowskiego zamku, których ściany okrywały żywe kwiaty. Otwierano wtedy bursztynowe okna i rybki, jak jaskółki, wpływały do środka, jadły z rąk księżniczek i pieściły się z nimi.

Dokoła zamku był ogród wspaniały, pełen ognistych i błękitnych kwiatów; liście na drzewach były jak płomienie, owoce niby złoto błyszczące, zmienne, w ciągłym ruchu, niby żywe. Grunt stanowił piasek bardzo drobny, błękitnawy jak płomień siarki: wewnątrz zaś wód napelniał jakiś blask łagodny, lekko błękitny, a taki przejrzysty, iż zdawać by się mogło, że to głębia nieba, nie otchłań morską. W dni pogodne widać było w górze słońce niby kwiat purpurowy, z którego kielicha płyną promienie światła.

Każda z księżniczek miała w tym ogrodzie własne grządki, które uprawiała sama, podług swojego gustu. Więc jedna swoim klombom dała kształty wieloryba, druga syreny, a najmłodsza słońca i zasadziła na nich kwiaty purpurowe, promieniście rozstrzelające się ze środka.

Dziwne to było dziecko ta mała królowna — zawsze ciche, zamyślane. Gdy inne siostry dzieliły się chciwie skarbami z rozbitego o skały okrętu, ona wybrała sobie tylko marmurowy, prześliczny posąg chłopca. Umieściła go następnie w ogrodzie na swojej grządce, pod płaczącą wierzbą o purpurowych liściach i złotych gałązkach. Wierzba rozrosła się z czasem cudownie, jej delikatne i giętkie warkoczki spływały aż do ziemi, na piasek błękitny, a poruszając się, tworzyły na nim ruchome plamy ciemnego fioletu; wyglądało to, jakby gałązki igrały z nieruchomymi korzeniami drzewa i chciały się z nimi całować.

Nie było dla niej większej przyjemności, jak słuchać opowiadania o ludziach. Babka po tysiąc razy musiała powtarzać wszystko, co sama wiedziała o świecie, o okrętach, miastach, ludziach i zwierzętach. Najbardziej zachwycało ją to, że na ziemi kwiaty wydają zapach, lasy są zielone, a rybki, które w nich żyją, śpiewają. Jak tam musi być ślicznie i rozkosznie!

Łatwo domyśleć się można, że rybkami matka królewska nazywała nasze ptaki, gdyż inaczej nie mogła nazwać zrozumiale stworzeń, których nie ma w morzu.

— Każda z was to zobaczy — mówiła im zwykle — gdy skończy lat piętnaście. Wtedy będziecie mogły wypływać nocami na powierzchnię morza i przy blasku księżyca patrzeć na okręty, odległe miasta, lasy. Własnymi oczyma ujrzycie wtedy ludzi, poznacie świat inny.

Najstarsza siostra kończyła właśnie rok piętnasty, ale każda następna o rok młodsza była od swojej poprzedniczki, a tym sposobem najmłodsza Syrena jeszcze pięć lat musiała oczekiwać chwili wypłynięcia z głębin na powierzchnię. Lecz siostry przyrzekły sobie opowiadać wszystko, co zobaczą na górze, co im się dnia pierwszego najlepiej<sup>44</sup> podoba, co im się zdarzy.

Powieści babki im nie wystarczały; zawsze te same, nie zaspokajały wcale ich ciekawości i tysiąca pytań, na które odpowiedzieć nikt nie umiał.

A najciekawsza z nich była najmłodsza, która jeszcze najdłuższy czas czekać musiała. Może dlatego była taka cicha i jakby zadumana czy tęskniąca. W nocy stawiała w oknie i przez ciemne wody patrzyła w górę i smutnym spojrzeniem ścigała rybki pluskające w fali. Niekiedy dostrzegła księżyc albo gwiazdy błyszczące słabym i niepewnym blaskiem, lecz znacznie powiększone. Niekiedy ciemny obłok niespodzianie zakrywał przed jej wzrokiem gwiazdziste sklepienie i znikał znów za chwilę; wiedziała wtedy, że nad nią przepłynął wieloryb lub okręt pełen ludzi. Ludzie płynęli nad nią, lecz nie domyślali się, że w głębi morza młoda Syrena z tęsknotą gorącą wyciąga ku nim ręce.

Na koniec z siostr najstarsza w dniu swoich urodzin pierwszy raz wypłynęła na powierzchnię morza.

Gdy powróciła, miała tysiąc wrażeń do opowieści, ale najmiłszym jej się zdawało leżeć w blasku księżyca na piaszczystej ławie, wśród spokojnego morza i patrzeć z daleka na wielkie miasta po brzegach odległych, błyszczące tysiącami światła jak gwiazdami, słu-

<sup>44</sup>co im się (...) najlepiej podoba — dziś poprawnie: co im się najbardziej podoba. [przypis edytorski]

chać dalekiej muzyki i wrzawy, turkotu wozów, gwaru mowy ludzkiej i głosu dzwonów kościelnych...

Siostry słuchały wszystkie zachwycone, najmłodsza tylko księżniczka milczała. A potem późno w noc stała przy oknie i przez ciemne wody patrzyła ku górze, myśląc o wielkich miastach, pełnych wrzawy i turkotu, połyskujących tysiącami świateł i o dzwonach kościelnych, których głos daleki zdawał się płynąć aż do niej przez fale.

Następnego roku druga siostra mogła znowu wypłynąć na powierzchnię wody. Ta wynurzyła się z morskiej otchłani w chwili, gdy słońce miało tonąć w morzu, i ta chwila wydała jej się najpiękniejsza. Niebo jaśniało niby złoto roztopione, a piękności obłoków opisać się nie da. Żłociste, purpurowe i bladuróżowe, płynęły w stronę słońca, a pomiędzy nimi przeciągał długi, biały sznur dzikich łabędzi. Chciała płynąć wraz z nimi, lecz gwiazda ognista właśnie skryła się w morzu, a wraz z nią zagasty blaski fal i obłoków, pociemniało wszystko.

Trzecia księżniczka była odważniejsza, toteż nie zatrzymała się na pełnym morzu, lecz popłynęła aż do ujścia wielkiej, szerokiej rzeki. Tutaj ujrzała zielone winnice, rozpostarte na wzgórzach, zamki i pałace, wynurzające się z leśnej gęstwiny, słyszała głosy ptaków. Słońce paliło tak mocno, że nieraz musiała się zanurzać w chłodnej wodzie, aby odświeżyć trochę twarz i ciało. W małej zatoce spostrzegła gromadkę pluskających się dzieci. Były nagie, bladuróżowe, a zamiast rybiego ogona, miały po dwie podpórki do biegania — pływały jednak doskonale. Chciała się z nimi pobawić, lecz zaraz uciekły przestraszone, gdy ją zobaczyły, a jakieś czarne zwierzę rzuciło się ku niej, ujadając tak strasznie, że uciekła na pełne morze.

Ale nie zapomni tych wspaniałych lasów, winnic zielonych, głosu ptasząt i dzieci ludzkich, tak wesoło pluskających się w wodzie, chociaż miały tylko dwie proste podpórki zamiast pięknego rybiego ogona.

Czwarta z siostr, najmniej śmiała, wolała pozostać na pełnym morzu. Ono wydało jej się najpiękniejsze. Dokoła widok rozległy, bez końca, a nad nią niebo, niby dzwon błękitny. Z dala widziała żagle statków, niby skrzydlate mewy, delfiny pluskały się wkoło na falach, a wieloryby wyrzucały z nozdrzy w górę bijące, potężne fontanny.

Urodziny piątej siostry przypadają w zimie, zobaczyła też ona rzeczy całkiem nowe, niepodobne do tego, co inne widziały. Gdy wychyliła głowę na powierzchnię, ujrzała morze dokoła zielone, a po nim, niby perły, pływały olbrzymie góry lodowe, większe niż kościelne wieże, dziwacznych kształtów, a błyszczące w słońcu niby diamenty. Usiadła na najwyższej, skąd mogła spojrzeniem objąć przestrzeń bez końca. I zaczęła śpiewać. Wiatr igrał z jej długimi złotymi włosami, a strwożeni żeglarze odwracali oczy i odpływali śpiesznie w inną stronę.

Lecz przed wieczorem niebo pociemniało, pokryło się chmurami; grom rozległ się ponury, jasne błyskawice jak złote węże rozdzierały czarne masy obłoków, a morze wzburzone piętrzyło się falami, podnosząc wysoko lodowe skały, mieniące się w świetle ognistych błyskawic. Na okrętach zwijano żagle, przerażenie ogarnęło marynarzy. Ale ona siedziała spokojnie na górze wichrem pędzonej i patrzyła śmiało na błyskawice w chmurach szalejące i szalejące na morzu bałwany.

Zachwyty jednak wszystkich siostr zazwyczaj niedługo trwały. Każda z tęsknotą czekała godziny, w której wypłynie na powierzchnię morza, każda wracała szczęśliwa i dumna, opowiadając nieskończone dziwy o doznanych wrażeniach, ale w krótkim czasie przedstawiały ją zajmować te wycieczki. I po miesiącu każda zapewniała, że pomimo wszystko, najpiękniej jest w domu, na dnie morza, w otchłani.

Niekiedy przed wieczorem starsze siostry wypływały razem na powierzchnię wody, trzymając się za ręce i śpiewając głośno. Głosy miały przecudne i kiedy spostrzegły, że zbliża się burza i niejeden okręt zginie zapewne wśród walki żywiołów, podpływały do statków, aby słodkim śpiewem uspokoić żeglarzy, mówiąc im, jak pięknie tam, na dnie morza, w królestwie ich ojca. Lecz majtkowie śpiewu ich nie rozumieli, brali go za szum burzy i bardziej trwożyli się jeszcze: a piękności otchłani nie poznali także, bo gdy okręt się rozbił, tonęli i tylko martwe ich zwłoki przynosiły fale do królewskiego pałacu z koralami.

A gdy tak siostry wieczorem wesoło, ujawszy się za ręce, płynęły ku górze, młoda Syrena zostawała sama i, stojąc w oknie, patrzyła za nimi. I było jej tak smutno, że chciałaby płakać, ale płakać nie mogła. Syrena łez nie ma i dlatego cierpi bardziej od człowieka.

— Ach, kiedyż skończę już te piętnaście lat! — mówiła sobie. — Kiedyż ujrzę ludzi i świat ten cały, za którym tak tęsknię, który tak kocham, choć nie wiem dlaczego?...

Nadszedł na koniec ten dzień uroczysty.

— Jesteś dorosła — rzekła do niej babka, matka królewska — możesz wypłynąć na górę, ale cię muszę przedtem ubrać odpowiednio. Jesteś księżniczką.

I umieściła jej na złotych włosach wieniec liliowy, lecz nie z żywych kwiatów, o, kosztowniejszy! Każdy płatek kwiatu stanowiło pół perły olbrzymiej, bezcennej; a na ogonie babka przypięła jej osiem srebrzystych ostróg, jak na królewnę przystoi.

— Och, jak to boli! — skarżyła się mała.

— Trudno, moja droga. Jesteś księżniczką przecie i o tym pamiętać powinnaś. Godność twoja wymaga pewnego przymusu.

Syrena tylko westchnęła cichutko. Ona by chętnie odrzuciła cały ten przepych, tę koronę z lilii perłowych, ona wolałaby lekki wianuszek z kwiatów swojego ogródka — lecz jest... księżniczką!

Westchnęła znowu, ale spojrzała na babkę i uśmiechnęła się. Po co ją smucić? Za to, że dobra, że taka troskliwa?

— Bądźcie zdrowi, najdrożsi! — rzekła i leciuchno niby powietrzna bańka podniosła się w górę.

Słońce już zaszło, kiedy wychyliła głowę z wilgotnej fali, lecz obłoki jeszcze płonęły żywym złotem i purpurą ponad zachodem, a na wschodniej stronie już migotała na ciemnym błękicie gwiazda wieczorna. Powietrze było świeże, czyste i spokojne i Syrenka odetchnęła nim pierwszy raz w życiu z niepojętą rozkoszą.

Lecz oto na fali ujrzała okręt, piękny trójmasztowiec; żagle były zwinięte, gdyż najłżejszy wietrzyk nie poruszał powietrza i nie mącił powierzchni wody. Tylko z najwyższego masztu spływała jasna flaga. Na pokładzie za to roilo się od ludzi, majtkowie siedzieli na rejach i linach, muzyka grała, śpiew głużył ją czasem.

Ściemniło się; na statku błysnęły światelka, coraz ich więcej na dole i w górze, różnobarwne, jaśniejące wśród ciemności jak tajemnicze znaki. O, jak ich dużo! Statek jaśnieje i gore, rozlewa blask dokoła. Jakże nie przyjrzeć się z bliska?

Syrena podpłynęła do okna kajuty, a ile razy woda się podniosła, mogła zajrzeć do środka przez szyby przejrzyste. I tutaj pełno ludzi; wszyscy strojni, piękni, lecz najpiękniejszy z nich młody królewicz o wielkich, czarnych oczach i dobrym uśmiechu. Jakież on piękny, jaki musi być dobry! I jaki młody, nie ma więcej nad szesnaście lat, muszą być w równym wieku: jakżeby chciała zbliżyć się do niego, przemówić ludzkim głosem!

Nie wiedziała, że na okręcie obchodzono urodziny królewicza i stąd zabawa, tańce. Na pokładzie wesoło tańczyli majtkowie, a gdy książe wyszedł z kajuty, tysiące rakiet błysnęło w powietrzu i dzień się zrobił nagle. Przerażona Syrena skryła się pod wodę, lecz wypłynęła zaraz i wydało jej się, że z ciemnego nieba spadają w morze wszystkie gwiazdy złote. Nic podobnego nigdy nie widziała!

A to nie koniec — coraz coś nowego: to złote słońce rozpryska się w górze, płyną ogniste ryby, gwiazdy, wstęgi, a wszystko się odbija w spokojnej, lustrzanej powierzchni oceanu. Co za cuda, cuda! Na pokładzie tak jasno, że nie tylko ludzi, ale najcieńszą linę widać z dala. A ludzie tacy piękni. Książe najpiękniejszy, uśmiecha się, życzliwie ściska dłonie majtków, a muzyka rozbrzmiewa i płynie po fali hen, daleko.

Noc płynie, lecz księżniczka zapomniała o tym. Nie myśli o powrocie, nie może odebrać oczu od ludzi i od królewicza. Różnobarwne światła zagasły na statku, nie strzelają rakiety, nie słychać muzyki i śpiewu, lecz w głębi morza szum jakiś się zrywa i płynie z dala stłumiony a groźny. Syrena położyła się na silnej fali i kołysze się lekko, a ile razy woda ją podniesie, zagląda w okna kajuty księżęcej.

Okręt tymczasem poruszył się z miejsca i posuwa się dalej. Wiatr nadyma żagle, fale wzbierają coraz potężniejsze, biegną z głuchym pomrukiem, piętują się i wznoszą. Błysnęło w oddaleniu. Burza idzie.

Okręt mknie coraz szybciej, a Syrena za nim. Ani na chwilę nie spuszcza go z oczu. Bawi ją taka podróż, cieszy ta gonitwa.

Na pokładzie ruch wzrasta, majtkowie zwijają rozpięte żagle, przeciągają liny, gotują się do walki. Statek niknie jak strzała pośród czarnych gór wodnych, które go podnoszą na

szczyt spienionych bałwanów, to znowu strącają w przepaść. Ryk już nie ustaje, bałwany uderzają o siebie z łoskotem, piętrzą się białe grzywy na ich karkach, z trzaskiem padają w nie złote pioruny.

A okręt mknie i ginie, wlatuje i tonie jak błyskawica.

Syrena śpieszy za nim. Ach, jak jej wesoło! Lecz niewesoło żeglarzom na statku: okręt się ślania, trzeszczy, fale uderzają o jego boki z gniewem i wściekłością, rzucają nim jak piłką, wreszcie maszt wielki pada, złamany niby trzcina, okręt pochyla się na bok, woda wdziera się do środka.

Jeszcze chwila — zatonie. Syrena poznała teraz niebezpieczeństwo, sama strzec się musi odpadających szczątków rozbitego masztu, strzaskanych belek, rei, które woda niesie i uderza o siebie. A dookoła ciemno jak w najciemniejszej głębi w noc pochmurną; to znowu błyskawica olśniewa jasnością, i widać jak w dzień jasny najdrobniejszy szczegół. Syrena wzrok natężyła, pragnie przeniknąć ciemności, drży o ludzi, o księcia.

Znowu błyskawica... Piorun uderza w kadłub rozbitego statku, wstrząsa nim... Krzyk rozpaczny... Okręt się zanurza, już nie wypłynie.

A ludzie... królewicz!

W pierwszej chwili z radością prawie pomyślała, że idą do niej, do domu jej ojca, ale natychmiast stanęła jej w myśli, że tam widziała tylko martwe zwłoki. Ludzie widocznie żyć w wodzie nie mogą, a więc — ratunku!

I nie myśląc już o własnym życiu, rzuca się na fale, pomiędzy belki i odłamki masztów. Chciałaby wszystkich ocalić od śmierci, ale sił nie ma. A księżę? A królewicz? Jego choć znaleźć musi! Taki młody jeszcze, miałby umierać? O nie! Ona przecież jemu choć pomoc okazać potrafi, jego ratować będzie!

Tylko go znaleźć trzeba.

Więc szuka z zapalem, zanurza się w odmęty, rozbija bałwany, błaga o pomoc jasnej błyskawicy.

Spostrzega go nareszcie, kiedy wyczerpany, bezsilny, sztywny, z zamkniętymi oczyma, nie mając siły dłużej opierać się śmierci, zapadał w otchłań. Syrena pochwyciła go w ramiona i łagodnie jak dziecko wyniosła z głębi na powierzchnię. Tu odpoczęła. Niechaj ją fale niosą, gdzie im się podoba, ona jak matka piastuje topielca i czuwa nad nim. Teraz już nie zginie.

Nad ranem uspokoiła się burza, uśmierzyły bałwany i rozpierzchnęły chmury. Na wygładzonej toni nie widać śladu wspaniałego okrętu. Na spokojnym niebie jaśniej złoże słońce. Blask jego pada na twarz królewicza i zdaje się oblewać ją życiem, lecz oczy pozostają zamknięte. Czyżby go nie ocaliła?

Biedna Syrena z trwogą pochylila się nad nim, odgarnia mokre włosy z wysokiego czoła i kładzie na nim słodki pocałunek.

— Obudź się — mówi. — Tyłu was zginęło. Serce mię boli, kiedy o tym wspomnę. Żyj choć ty jeden, taki młody, taki piękny! Tyle lat do was tęskniłam, do ludzi, tak was kochałam, nie znając — dzisiaj Kocham was więcej, a ciebie najbardziej. Więc nie możesz umierać.

Przyszedł jej na myśl posąg marmurowy, stojący w jej ogródku i wydało jej się, że młody księżę bardzo do niego podobny. Żeby żył tylko. Lecz cóż ona może uczynić więcej, aby przywrócić mu życie?

Wtem z daleka ujrzała ląd — góry wysokie, śniegiem okryte, jak białe łabędzie, śpiące pod obłokami. A niżej, na wybrzeżu, gaje zielone, cieniste, wśród których mury kościoła czy zamku białe otoczone zielenią pomarańcz i cytryn z owocami złocistymi. U bram ogrodu wznosiły się palmy wysmukłe, dumne, a nieco opodal morze tworzyło tu małą zatokę, spokojną lecz głęboką. Wpłynąwszy do niej, Syrena złożyła ciało młodzieńca na gorącym piasku, tak aby słońce padało na głowę, którą oparła wyżej.

Głos dzwonka rozległ się z białego domu ukrytego w zieleni i w tej samej chwili gromadka dziewcząt wbiegła do ogrodu. Ujrawszy je, Syrena zostawiła księcia, a sama odpłynęła za skały nadbrzeżne, zarzuciła na włosy welon białej piany i niewidzialna patrzyła, co dalej stanie się z królewiczem.

Wkrótce jedna z dziewcząt zwróciła się w tę stronę i z wesołym śpiewem biegła ku brzegowi. Nagle spostrzegła ciało. Krzyknęła z przestachu i zaczęła uciekać. Lecz zaraz powróciła, by zawołać ludzi. Otoczono młodzieńca, zaczęto go trzeźwić i Syrena widziała,

jak otworzył oczy, jak się uśmiechał z wdzięcznością do ludzi, którzy go tu znaleźli. Nie wiedział, że to ona ocaliła mu życie, więc dla niej tylko jednej nie miał wdzięcznego uśmiechu — i smutno jej było.

Widziała, jak go potem wprowadzono do białego budynku pomiędzy drzewami i odgadując, że go prędko nie zobaczy, zanurzyła się w morzu.

Siostry powitały ją z wielką radością, babka uśmiechnęła się zadowolona, gdyż wszyscy niepokoić się już zaczęli, że nie wraca tak długo. Naturalnie zaczęto pytać o przygody, ale Syrena milczała uparcie. Zawsze bywała cicha, zamyślona, lecz teraz stała się cicha i smutna. Dlaczego? Nikt nie wiedział.

A mała coraz bardziej tęskniła do księcia, do ludzi. Raz ich tylko widziała, ale zapomnieć nie mogła i źle jej było w ojcowskim pałacu.

Niekiedy wypływała wieczorami i śpieszyła na miejsce, gdzie zostawiła królewicza. Ale tu pusto było. Ludzie spali nocą. W ogrodzie dojrzewały złociste owoce — czyjeś ręce zdjęły je z drzew obciążonych — śnieg strumieniami spłynął z gór wysokich — ale księcia nie było, ani wieści o nim.

Najulubieńszą jej teraz zabawą było siadać w ogrodzie naprzeciw posągu, który umieściła pod płaczącą wierzwą i patrzeć na prześliczne rysy marmurowe pięknego chłopca, który jej tak bardzo przypominał ocalonego człowieka. Czasem zarzucała mu ręce na szyję i opierała swą złocistą główkę o zimny, twardy kamień. Zanedbała nawet ulubione kwiatki, które rozrosły się dziko i bujnie, oplatały giętkie gałązki wierzbowe i utworzyły wraz z nimi sklepienie, pod którym ciemno było, tajemniczo i dziwnie uroczyście.

Na koniec biedna Syrena nie mogła znieść dłużej tajemnicy i tęsknoty, więc się zwierzyła jednej z sióstr. Ta zaraz powiedziała to innym, ale pod sekretem; te powtórzyły swoim przyjaciółkom, rozumie się, w zaufaniu, a tamte znów nikomu więcej nie mówiły, tylko najbliższemu Syrenom. Jedna z nich знаła kraj, gdzie mieszkał książę, widziała także obchód na okręcie, choć nie ściagała go podczas burzy, a teraz się podjęła pokazać Syrenie, gdzie leży państwo królewicza.

— Więc chodź, siostrzyczko — powiedziały starsze i wzięwszy ją za ręce, wypłynęły razem długim szeregiem opodal od brzegu, na którym wznosił się pałac książęcy.

Teraz zbliżyły się z wolna, ostrożnie, ciekawie przyglądając się wszystkiemu. Pałac był z jasnożółtych, błyszczących kamieni, zbudowany wysoko; marmurowe schody prowadziły do ogrodu i nad morze; dokoła wznosiły się wysmukłe kolumny, między którymi stały, niby żywe, marmurowe posągi. Dach zdobiły błyszczące, złociste kopuły, a przez wysokie kryształowe okna widać było olbrzymie i wspaniałe sale, przybrane kosztownymi obrazami, kobiercami i firankami. Pośród największej sali pod szklaną kopułą była przejrzysta fontanna, rzucając rosę wilgotną na rzadkie rośliny rosnące dookoła. Tęczo-we krople jej w blasku słonecznym napełniały salę czarodziejskim światłem i zdawały się deszczem brylantów i pereł.

Odtąd wiedziała Syrena, gdzie mieszka jej królewicz i tutaj śpieszyła nocami. Przypływała śmiało do samego brzegu, a nawet zapuszczała się w kanał szeroki, który otaczał pałac i siadywała pod otwartym oknem, w cieniu marmurowego balkonu, gdzie trudno było ją dostrzec. Ona widziała księcia, kiedy się przechadzał w blasku księżycy po dużym tarasie lub zamyślony siedział przy otwartym oknie, patrząc w gwiazdziste niebo.

Niekiedy widywała go na pięknej łodzi, płynącej z muzyką, pod jedwabnym żaglem. Wtedy kryła się w trzcinę i słuchała chciwie każdego dźwięku: a gdy wiatr figlarny rzucał na wodę jej przejrzysty welon, to książę myślał, że łabędź zbudzony prostuje białe skrzydła.

Nieraz słyszała rozmowy rybaków wypływających z sieciami na morze: chwalili dobroć księcia, którego kochali. A wtedy serce jej drżało z radości, że ona ocaliła mu życie, choć o tym nikt nie wiedział. Przypomniła sobie noc ową i burzę, i walkę, śmierć okropną tyłu nieszczęśliwych i ocalenie to, radość i smutek.

Coraz więcej kochała ludzi i tęskniła do nich. Chciałaby z nimi zamieszkać na lądzie i nie wracać do morza, gdyż świat ten piękniejszym wydawał jej się od otchłani morskich i pociągał ją z dziwną siłą. A ludzie, czyż nie wyżsi byli nieskończenie od wszystkich innych stworzeń? Na okrętach przebywali oceany, wdzierali się na góry, aż ponad obłoki, ich lądy rozciągały się dalej, niż wzrokiem zasięgnąć można. A lasy, a pola, a kwiaty cudne, bijące fontanny, gwiazdy i słońce, wszystko tu piękniejsze. Ale nie wszystko jeszcze rozumiała, a wiedzieć chciała wiele; siostry nie umiały odpowiadać na jej ciekawe pytania, więc się

udała na koniec do babki. Ona знаła „świat wyższy”, jak nazwała sama to, co się znajdowało ponad morzem.

— Czy ludzie wiecznie żyją, jeśli nie utoną? — spytała pewnego dnia. — Czy nie umierają, jak my, Syreny?

— Owszem, moje dziecko — odpowiedziała babka — umierają także, a nawet życie ich krótsze niż nasze. My żyjemy lat trzysta i dopiero potem zmieniamy się w pianę białą, co stroi bałwany, i nie mamy nawet mogiły. Znikamy bezpowrotnie, gdyż nie posiadamy duszy nieśmiertelnej chociaż niewidzialnej. Życie nasze podobne do życia rośliny, do tego oto wodnego sitowia, które złamane, więdnie i czernieje i nie odzyska nigdy zieloności.

A ludzie mają duszę, która żyje wiecznie, która nie traci życia nawet wtedy, kiedy ich ciało w proch się rozsypie i zgnije. Wtedy ich dusza przez czyste powietrze płynie ku górze, ku gwiazdom błyszczącym. Jak my, wynurzając się z wody, widzimy łądy i miasta i kraje nieznanne, tak dusze ludzkie wstępują po śmierci do miejsc, których my ujrzeć nie możemy.

— Ale dlaczego my nie mamy duszy nieśmiertelnej? — spytała ze smutkiem Syrena. — Ja bym oddała chętnie setki lat mojego życia, żebym chociaż dzień jeden mogła być człowiekiem i mieć nadzieję, że po śmierci jeszcze żyć będę wiecznie w nowym i pięknym świecie.

— O tym nie myśl zupełnie, moje dziecko — odrzekła babka. Na cóż by się to zdało? Pociesz się myślą, żeśmy szczęśliwsze od ludzi i więcej od nich warte.

— Kiedy ja nie chcę umrzeć i stać się pianą morską. To byłoby okropne; nie słyszałabym wtedy szumu fali, nie widziałabym kwiatów ani słońca. Nie chcę być pianą morską. Czy nie ma żadnego sposobu ażebym zdobyć mogła duszę nieśmiertelną?

— Nie — odrzekła babka. — Chyba gdyby człowiek ukochał ciebie więcej, niż ojca i matkę, gdyby zaprzagnął oddać ci swą duszę, a ksiądz w kościele związałby wam ręce i wysłuchał przysięgi, że odtąd na wieki człowiek ten wiernym ci będzie — wtedy połowa jego ludzkiej duszy przeniknęłaby w ciebie i byłaby twoją. I mielibyście jedną duszę wspólną, rozdzieloną do końca życia tu na ziemi. Lecz to się stać nie może. Nasza najpiękniejsza, najwspanialsza ozdoba, śliczny ogon rybi, ludziom wydaje się brzydka, potworna. Nic się na tym nie znają. Dla nich do piękności potrzebne są koniecznie dwa niezgrabne klocki, które nazywają nogami.

Młoda Syrena ze smutkiem spojrzała na swój srebrzysty ogon i westchnęła cicho.

— Nie smuć się — rzekła babka — nie ma o co. Trzysta lat życia! To doprawdy dosyć, żeby używać wszystkiego. A potem spoczynek. Póki żyjemy, bawimy się wesoło. Dzisiaj bal dworski.

Bal dworski urządzono z przepychem, jaki ledwo wymarzyć można. Sala balowa była z czystego kryształu, przezroczystego jak najczystsza woda, sklepienie miała także kryształowe. Dokoła szeregami ustawiono setki olbrzymich muszli, purpurowych i zielonych, w których płonął błękitny ogień tak jasno, iż nie tylko sala była oświetlona, lecz i morze dokoła. Przynęcone blaskiem, jakiego w tej niezmiernej głębi nie rozlewał dzień biały, gromady ryb krążyły wzdłuż ścian kryształowych, mieniając się srebrem, złotem i purpurą. Przez środek sali szerokim kanałem płynęła woda morską i po niej płały Syreny. Muzykę zastępował ich śpiew przecudowny, z którym głos ludzki równać się nie może. Czarodziejskie dźwięki napępniały salę, woda pluskała, migotały światła i śmiech srebrzysty wybuchał co chwila.

Młoda Syrena śpiewała z kolei, i wszyscy zachwyceni bili ogonami, klaskali w ręce. Tak pięknego głosu nawet pośród Syren dawno, dawno nie słyszano. Wszyscy ją podziwiali i wszyscy ją chwalili. Na chwilę uczuła się niezmiernie szczęśliwa: więc nikt nie tylko na ziemi, lecz i w morzu, nie posiada takiego głosu, jaki jej nadała natura? Toż to skarb, toż to szczęście!

Ale cóż jej z tego? Trzysta lat minie i zmieni się w pianę, a głos ucichnie... nie będzie go więcej. Bo nie ma duszy, nieśmiertelnej duszy!

Przyszedł jej na myśl ksiądz, tak dobry, piękny. On ma duszę... I za to kochała go bardziej jeszcze niż dotąd.

Ale nie mogła już tańczyć, smutno jej się zrobiło. Wymknęła się z sali i pośpieszyła do swego ogródka. Tu w cieniu wierzby płaczącej, różowej, przy marmurowym posągu



człowieka, myślała, jakim szczęściem jest posiadać duszę i żyć na wieki, zamiast zamienić się w pianę.

Potężny głos trąb rozległ się wysoko w górze i głucho odbił się w głębi. Syrena podniosła oczy. Tam nad nią przepływał okręt i ludzie. Może to on, królewicz? O, gdyby ją pokochał tak bardzo, jak ona kochała go, gdyby zapragnął jej oddać połowę duszy — ach, wtedy — wtedy...

— Tak dłużej żyć nie mogę — rzekła nagle — uczynię wszystko, aby zdobyć duszę — bez niej życie jest niczym.

I wstała cichutko, a kiedy siostry w sali kryształowej płąsały i bawiły się wesoło, ona postanowiła udać się do wiedźmy, której się zawsze bardzo obawiała, lecz która może znajdzie jaką radę i da jej pomoc.

Nie namyślając się ruszyła w drogę.

Wiedźma morska mieszkała daleko, wśród wirów ryczących i szumiących straszliwie. Syrena nigdy jeszcze nie przebywała tej drogi, nagiej i smutnej; nie było tu kwiatów, ani rośliny żadnej, ani lichej trawki; piasek tylko, kamienie i woda szumiąca i kręcąca się wkoło z taką gwałtownością, że rozkruszyła skały na dnie morza, a wszystko, czego dosięgła, łamała i rzucała do środka wiru, w otchłań czarną. Przez ten szalony prąd trzeba przepłynąć, żeby się dostać do królestwa wiedźmy; a tutaj znowu prowadziła ścieżka przez czarne, wstrętne i gorące błoto, poza którym leżał na koniec dom wiedźmy pośród dziwnego lasu. Składały go polipy czyli pół-zwierzęta, a pół-rośliny, niby wielkie żmije o setkach głów i ramion; każda gałązka była ramieniem polipa, długim i lepkiem, z długimi palcami, wijącymi się na kształt glist ogromnych; i cały twór dziwaczny poruszał się ciągle od ziemi do wierzchołka węzowymi ruchami, splatając, wyciągając okropne ramiona, które schwytaną zdobyc dusiły natychmiast i nie puszczały więcej.

Syrena stała chwilę, przerażona, drżąc cała z trwogi. Serce biło jej gwałtownie. I już chciała powrócić, ale pomyślała o królewiczu i o duszy nieśmiertelnej i nabrała odwagi. Zwinęła mocno swoje złote włosy dokoła głowy, aby jej polipy nie pochwyciły za nie, ręce złożyła na piersi i pomknęła chyżo, jak rybka, zręcznie mijając potworne i złośliwe istoty, które wyciągały w jej stronę ramiona, wijące się straszliwie. I widziała w objęciach ich szkielety ludzi, zwierząt, szczątki statków rozbitych, a nawet Syrenę, która dostała się widać w ich krwawe szpony. To było najstraszniejsze.

Wydostała się wreszcie na wielką, błotnistą polanę pośród lasu, po której pełzało tysiące żmij, zginając swoje żółte brzuchy w szkaradne zwoje. Na środku stał domek wiedźmy, zbudowany z kości topielców. Jędza siedziała na progu z ropuchą, którą z ust swych karmiła; obrzydliwe węże i wszelkie gady cisnęły się do niej, a ona nazywała je swoimi dziećmi i tuliła do czarnej piersi.

— Wiem, po co przyszedł do mnie — rzekła zaraz. — Głupie żądanie, lecz spełnię je chętnie, bo nic dobrego stąd dla ciebie nie wyniknie, moja piękna księżniczko! Ha, ha, ha! chcesz się pozbyć rybiego ogona i mieć dwie nogi, ażeby Królewicz mógł Cię pokochać i dać ci połowę swej duszy nieśmiertelnej. Ha, ha, ha!

Śmiała się tak okropnie, że ropucha i żmije spadły jej z kolan na błotnistą ziemię i wiły się szkaradnie.

— W samą porę przyszedł — zaczęła znowu ze złośliwym wzrokiem — gdybyś spóźniła się o kilka godzin, musiałabyś rok cały czekać na mą pomoc. Ale do wschodu słońca jeszcze dość daleko i mogę przygotować ci potrzebny napój. Popłyniesz z nim do łądu, usiądziesz na brzegu i kiedy ujrzysz słońce wypijesz do kropli. Wtedy twój piękny ogon zmaleje, skurczy się i rozedrze na dwie połowy, z których każda będzie podobna do ludzkiej nogi. Upprzedzam cię jednakże, iż w tej samej chwili uczujesz ból okropny, jak gdyby miecz ostry rozciął ci ciało. I nie ustanie on nigdy. Ludzie będą zachwycać się twoją pięknnością, twe ruchy będą lekkie, pełne wdzięku, ale krok każdy będzie ci sprawiał cierpienie, jakbyś stąpała po ostrym żelazie i krwią broczyła stopy. Teraz już wiesz wszystko — chcesz cierpieć? — żądaj.

— Chcę — rzekła Syrena głosem drżącym, myśląc o królewiczu i o duszy.

— I jeszcze to pamiętaj — zaśmiała się wiedźma — że skoro raz przybierzesz postać ludzką, nie możesz stać się na powrót Syreną. Nigdy już więcej nie wrócisz do morza, nie zobaczysz sióstr swoich, ojca ani babki, a jeśli cię królewicz nie pokocha nad ojca, matkę

i ksiądz wam nie zwiąże rąk przed ołtarzem, to nie zdobędziesz duszy nieśmiertelnej! A gdy królewicz inną zaślubi kobietę, serce ci pęknie, i zmienisz się w pianę znikomą.

— Niech się tak stanie — szepnęła księżniczka, blada jak płatek lilii.

— Dobrze, ale musisz zapłacić mi za to — rzekła znów jędza — a to drogi napój i wiele żądać będę. Na ziemi i w morzu nie ma piękniejszego głosu nad twój i zapewne chciałaś nim oczarować królewicza. Ale głos ten musisz mi oddać. Nic droższego nie masz. Musisz mi nim zapłacić za moją krew własną, z której przyrządzę napój, aby był skuteczny jak cięcie miecza.

— Więc cóż mi pozostanie — szepnęła Syrena — jeśli mi głos zabierzesz?

— Zostanie ci twarz piękna, ruchy pełne wdzięku i oczy, które przemawiać umieją. To dosyć. No, cóż? Straciłaś odwagę? Daj mi język, utnę ci go na zapłatę i zaraz zrobię napój.

— Niech tak będzie — rzekła ze smutkiem Syrena.

Wiedźma natychmiast nastawiła kocioł, który wytarła przedtem pękiem gadzin. — Czystość jest rzeczą piękną — powiedziała ze szkaradnym uśmiechem, potem przebiła pierś własną i kilka kropel czarnej krwi spłynęło do mieszaniny, która wrzeć zaczęła. Para buchała z kotła ciemnymi kłębami, tworząc dziwaczne i straszne postaci, powietrze napęłniły dzikie jęki, a czarownica co chwila rzucała coś jeszcze do kociołka.

Na koniec ogień zagasł i wszystko ucichło; płyn był gotowy, czysty jak woda źródłana.

— Teraz daj język — zawołała wiedźma. — A tu masz napój. Gdyby cię polipy chciały pochwytać — w drodze, rzuć na nie jedną kroplę tego płynu, a ich długie ramiona i palce rozprysną się na tysiące szczątków.

Ale Syrena nie potrzebowała bronić się od polipów, które na widok błyszczącego płynu kryły długie ramiona z największym przestachem. Tak las przebyła, błota gorące i wiry.

Zatrzymała się przed zamkiem ojcowskim. Bal był skończony, pogaszone światła, wszyscy zapewne spali. Nie śmiała wejść do środka: cóż im powie na pożegnanie. Serce pękało jej z żalu. Wstąpiła do ogrodu, zerwała z klombów księżniczek po kwiatku, przesłała im tysiące tkliwych pocałunków i podniosła się w górę.

Słońce nie ukazało się jeszcze nad wodą, kiedy ujrzała pałac królewicza i wstąpiła na szerokie marmurowe schody. Podniosła oczy na gasnący księżyc, potem wypila napój. Ból ostry i palący przeniknął jej ciało, jak gdyby je przecięto ostrym mieczem i upadła zemdlona.

Gdy się ocknęła, słońce płynęło po niebie, a przed nią stał piękny książę. Stał i patrzył zdziwiony na jej pyszne włosy, które osłaniały ją płaszczem złocistym, gdyż żadnej odzieży na sobie nie miała. Spostrzegła jednak zaraz, iż zamiast rybiego ogona, posiada dwie maleńkie nóżki, zgrabne jak u dziecka.

Książę zapytał, skąd się tutaj wzięła, ale nie mogła mu nic odpowiedzieć i tylko smutnie patrzyła na niego błękitnymi oczyma.

Wtedy wziął ją za rękę i zaprowadził do swego pięknego pałacu. Szła obok niego lekka, jak bańka mydlana, ale każdy krok sprawiał jej ból straszny, jakby stąpała po ostrym żelazie.

Wiedźma mówiła prawdę: ludzie podziwiali lekkość jej ruchu, ona tylko jedna wiedziała, jakie sprawia jej cierpienia.

Lecz mniejsza o to: jest tu, obok księcia, którego tak kochała, a może zdobędzie duszę nieśmiertelną.

Dano jej piękne suknie z cienkiego jedwabiu i gdy się w nie przybrała, wszyscy przyznali z zachwytem, że nie widzieli piękniejszej dziewczyny. Nie mogła tylko śpiewać ani mówić.

Niewolnice strojne w jedwabie i złoto śpiewały po kolei przed tronem królewskim, gdzie zasiadł stary monarcha z królową; książę bił im oklaski, dziękował z dobrocią, a Syrena smutnie pochylała głowę, myśląc o pięknym głosie, który jej zabrano. Książę nie dowiędzie się, jaki skarb miała i oddała dobrowolnie, by mogła żyć przy nim, żyć między ludźmi.

Następnie niewolnice tańczyły przy dźwiękach pięknej muzyki. Wówczas i Syrena podniosła rączki w górę i na końcach palców krążyła, lekka jak ptaszek, po sali. Tak nikt tańczyć nie umiał; jej wymowne oczy jaśniały, niby gwiazdy, była tak prześliczna, że wszyscy oniemieli z wielkiego podziwu.

I bili jej oklaski, darzyli uśmiechem, a ona wciąż płynęła po olbrzymiej sali, jakby jej skrzydła wyrosły u ramion. A nikt nie wiedział, jaki ból straszliwy sprawia jej każde najmniejsze stąpienie.

Na koniec książę skinął, aby odpoczęła, pogłaskał ją laskawie po złocistych włosach, powiedział, że ją zatrzyma przy sobie i pozwoli jej sypiać u drzwi swej komnaty, na aksamitnej czerwonej poduszce.

Królewicz lubił biedne nieme dziewczę. Kazał jej zrobić piękną amazonkę i jeździła z nim konno. Na pysznych wierzchowcach mknęli jak wiatr przez pola i łąki zielone, przesuwali się przez lasy cieniste, gdzie na zielonych ścieżkach figlarne gałązki zagradały im drogę. Ptaki śpiewały im pieśni nieznanne, kwiaty pachniały, woda szemrała w strumieniu.

To znów wdzierwała się z księciem na góry wyżej i wyżej, choć białe jej nóżki we krwi broczyły i budziły litość. Ona śmiała się z tego i szła coraz wyżej, aż ponad chmury, które płynęły pod nimi, jak stada ptactwa, odlatującego w dalekie kraje.

Za to gdy noc nadeszła i wszyscy zasnęli w zamku królewskim, ona wstawała cichutko z purpurowej poduszki i biegła nad morze. Tu siadywała smutna na szerokich schodach i zanurzała w chłodnej morskiej wodzie nogi palące ją niby dwie rany.

I siedząc tak, myślała o swojej ojczyźnie, o wszystkich, których zostawiła w głębi.

Razu jednego wypłynęły z toni wszystkie jej siostry; trzymały się za ręce i śpiewały smutnie, bujając się na fali. Skinęła na nie. Poznały ją zaraz i podpłynęły, aby opowiedzieć, jak jej żalują, jak smutno im bez niej.

Odtąd Syreny co noc przyplływały, aby zobaczyć siostrę, a razu jednego ujrzała w dali nawet starą babkę, która już cały wiek nie wypływała z morskiej głębin i ojca w koronie z ogromnych pereł i krwawych koralu. Oboje wyciągali do niej ręce, ale nie śmieli się zbliżyć do lądu jak młode, odważniejsze siostry.

Codziennie droższe stawało się królewiczowi nieme dziewczę, które znalazł przed pałacem o wschodzie słońca, co dzień bardziej je kochał, ale tak, jak się kocha miłe, dobre dziecko. O tym, ażeby z niej zrobić królową, nie myślał nigdy. A przecież musiała być jego żoną, ażeby otrzymać część duszy nieśmiertelnej, inaczej zamieni się w pianę, kiedy on inną zaślubi.

— Czyż mię kochasz? — pytały jej oczy, gdy gładził pieszczotliwie jej włosy złociste albo całował śliczne, białe czoło. — Czy mię nie kochasz nad wszystko na świecie?

— Kocham cię bardzo — odpowiadał książę — bo masz najlepsze serce i podobna jesteś do dziewczęcia, które widziałem raz tylko i zapewne już nigdy nie zobaczę. Płynąłem raz okrętem, który rozbiła burza; fale wyrzuciły mię na brzeg nieznan, u stóp świątyni, gdzie pełniła służbę gromadka dziewcząt. Najmłodsza z nich przypadkiem znalazła mię na piasku i ocaliła mi życie. Widziałem ją tylko dwa razy, ale ją jedną mógłbym kochać na tym świecie więcej niż wszystkich ludzi. Tyś podobna do niej i przy tobie czasem o niej zapominam. Ona służy w świątyni, więc dla mnie stracona; ty mnie pocieszasz po niej i dlatego nigdy nie rozstanę się z tobą.

— Więc nie wie, że to ja mu ocaliłam życie! — pomyślała Syrena. — Nie wie, że ja go wyniosłam z wód toni i złożyłam na brzegu, gdzie stała świątynia. Widziałam przecież wszystko ukryta za skałą, z pianą morską na włosach; widziałam to dziewczę, które kocha więcej ode mnie.

Westchnęła ciężko, lecz płakać nie mogła: Syreny łez nie mają.

— Ale tamta służy w świątyni, sam mówi. Już nie spotka jej w życiu zapewne; a ja tu jestem przy nim, widzę go codziennie, kocham go, życie oddałabym chętnie za jego szczęście!

— Królewicz się żeni — zaczęto szeptać w zamku. — Jedzie w odwiedzin do sąsiedniego króla, aby poznać młodą królową. Wesele będzie wkrótce. Jedzie ze świtą liczną i wspaniałą, na wspaniałym okręcie. Będzie niedługo wesele.

Syrena uśmiechała się na to łagodnie i potrząsała głową; знаła lepiej od innych serce królewicza i wiedziała, co myśli.

— Muszę wypełnić w tym wolę rodziców — powiedział do niej — i odwiedzić króla, sąsiedniego monarchę, który ma piękną córkę. Rodzice pragną, żebym ją poznał, choć nie mają zamiaru przymuszać mnie do małżeństwa. Nie wiedzą, że kocham inną i tej kochać nie mogę. Wolałbym już zaślubić ciebie, złote dziecko, która mi ją tak bardzo przypominasz.

Pogładził złote włosy ślicznego dziewczęcia, ucałował białe jej czoło i uśmiechnął się tak dobrotliwie, iż zaczęła marzyć o niezmiernym szczęściu pozyskania nieśmiertelnej duszy ludzkiej.

— Morza się nie obawiasz, prawda, mała? — spytał, kiedy oboje stali na wspaniałym statku i płynęli do państwa sąsiedniego króla. Książę opowiadał milczącej dziewczynie o przebytych podróżach, burzach, ciszy morskiej, rybach i dziwnych potworach, żyjących na dnie otchłani, które widują nurkowie. A ona uśmiechała się tylko, słuchając, bo ktoś lepiej od niej znać mógł tajemnice morza?

W noc księżycową, kiedy wszyscy spali, nie wyłączając sternika przy sterze, wyszła na pokład i patrzyła w głębię przez wodę, przezroczystszą od kryształu. I wydawało jej się, że na dnie spozstrzega zamek ojcowski i babkę w srebrnej koronie na głowie, patrzącą ku niej z wieży przez fale błękitne. W tej chwili siostry wszystkie wypłynęły i zbliżyły się ku niej, łamiąc ręce. Ona skinęła uśmiechnięta na znak, że jest szczęśliwa, lecz chłopiec okrętowy przybliżył się do niej i przestraszone Syreny tak prędko zanurzyły się w wodę, iż nic dostrzec nie mógł, prócz białej piany morskiej.

Dnia następnego okręt królewicza wpłynął do portu królewskiej stolicy.

Na powitanie uderzono w dzwony, z wież strażniczych rozległy się trąby donośne, wywieszono z okien flagi narodowe, żołnierze stanęli w szeregach pod bronią. Król był serdeczny. Dzień każdy przynosił nowe zabawy i uroczystości: bale, koncerty, wycieczki. Tylko królowny nie było. Mówiono, iż nie wróciła z klasztoru, gdzie była na wychowaniu, aby wyćwiczyć się w cnotach królewskich.

Na koniec przyjechała.

Nikt trwoźniej i goręcej nie pragnął zobaczyć pięknej królowny, jak młoda Syrena — i ujrzała wreszcie: śliczne czarne oczy, ufne i słodkie, twarzyczka dziecięca i dobry uśmiech.

— Jakaż ona piękna! — szepnęła z trwogą, lecz w tej samej chwili serce zamarło w niej i bić przestało.

— To ty! — zawołał z radością królewicz. — Ty, coś mi życie ocaliła, kiedy leżałem martwy na piaszczystym brzegu! Jakże cię Kocham! Ach, jakżem szczęśliwy!

I przycisnął do piersi narzeczoną, a ojciec jej, król stary, płakał z rozczulenia.

Syrena stała blisko i patrzyła. Królewicz zwrócił się do niej z uśmiechem.

— Ciesz się z mojego szczęścia — rzekł radośnie — bo ty kochasz mię także. Wiem, że mnie kochasz bardzo.

Biedna Syrena usiłowała się uśmiechnąć, lecz czuła, że jej serce pęka. Więc nie posiądzie duszy nieśmiertelnej i wkrótce stanie się pianą znikomą!

Dzwony zabrzmiały znowu, strojni heroldowie przebiegali miasto, ogłaszając radosną wieść o zaręczynach pary królewskiej. Ślub miał się odbyć wkrótce.

Dzień ten nastąpił prędko. Na ołtarzach paliły się wonne kadzidła i kosztowne olejki w lampach srebrnych i kryształowych. Królewska para, strojna w perły i diamenty, trzymając się za ręce, stanęła przed księdzem, który na zawsze połączył ich dłonie i dał im błogosławieństwo. Syrena w pięknej szacie jedwabnej ze złotem niosła tren panny młodej, ale nie słyszała, ani wspaniałej muzyki kościelnej, ani pięknego śpiewu i nie widziała całej ceremonii, ani ludzi, którzy tłoczyli się wkoło, bo przed nią stała śmierć nieunikniona i szczęście, które utracić musiała.

Tego jeszcze wieczora królewicz z małżonką odpływał na okręcie, który go tu przywiózł. Cały dwór odprowadził młodą parę do przystani, z balkonów powiewały chorągwie i kwiaty, brzmiały salwy armatnie.

Podniesiono żagle, wiatr wzdął je lekko i statek pomknął po fali.

Na pokładzie zapalono światła, niby gwiazdy różnobarwne, goście tańczyli wesoło, bawiła się załoga i świta książęca.

A Syrenie przypomniawszy się wieczór pamiętny, gdy po raz pierwszy wyjrzała z głębin na świat i ludzi. Witała go wtedy w podobny sposób, jak dzisiaj go żegna, widziała radość, tańce — i śmierć potem.

I sama tańczyć zaczęła z innymi, krążyła jak jaskółka przed burzą i wszyscy podziwiali zdumieni piękność tańca. Każde stąpienie ból jej sprawiało okrutny, ale go dziś nie czuła, bo serce bardziej ją bolało. Oto ostatni raz w życiu ogląda dobrego księcia, którego

tak bardzo kochała, dla którego porzuciła dom ojcowski, opuściła rodzinę, oddała głos swój piękny i cierpiała co dzień nieznośne męki. Po raz ostatni widzi to morze głębokie, gwiaździste niebo, oddycha powietrzem. Nim słońce wzejdzie, ona żyć przestanie — zmieni się w pianę, rozplynie się w nocy wiecznej i ciemnej i nic z niej nie zostanie, bo nie miała duszy. Nie mogła zdobyć duszy nieśmiertelnej!

Do północy brzmiała muzyka na statku, bawiono się wesoło; biedna Syrena bawiła się razem z innymi, chociaż śmierć miała w sercu.

O północy księżę pożegnał załogę i oddalił się z żoną do namiotu, który umyślnie dla nich urządzono. Światła pogasły zaraz, rozeszli się wszyscy, cisza zapanowała na okręcie i tylko sternik czuwał wytrwale u steru.

Syrena wsparta o poręcz pokładu patrzyła na wschód, czekając jutrzeńki: stamtąd wystrzeli pierwszy promień słońca, który ją zabić musi.

Wtem ujrzała nad wodą swoje siostry drogic. Płynęły ku niej. Twarze miały blade, wiatr z ich włosami nie igrał figlarnie: były obcięte.

— Oddaliśmy je wiedźmie! — zawołały — aby cię uratować. Inaczej musiałybyś umrzeć dziś o wschodzie słońca. Patrz, oto nóż, który nam dała dla ciebie. Patrz, jaki ostry! Zanim słońce wzejdzie, musisz nim zabić księcia. A kiedy krew gorąca tryśnie z jego serca na twoje nogi, zrosną się znów w piękny ogon i powrócisz do nas, aby jako Syrena, dożyć szczęśliwie lat trzystu. Tylko śpiesz się, droga! Słońce wzejdzie za chwilę! Babka tak się martwi, że swoje siwe włosy też oddała jędzy. Śpiesz się, najdroższa: Zabij księcia i powracaj. Widzisz różową jutrzeńkę na niebie? Słońce już wschodzi.

Westchnęły głęboko i zanurzyły się w fale błękitne.

Syrena pożegnała je spojrzaniem i udała się do namiotu księcia. Na purpurowym łożu spał spokojnie, z uśmiechem wymawiając przez sen imię żony. Syrena zbliadła bardzo i zadrzała... spojrziała na nóż ostry i na twarz śpiącego, ręka jej się podniosła — i opadła. — Nie! — odrzuciła zabójcze narzędzie precz, daleko, na fale, a gdzie stal ostra uderzyła wodę krew wytrysnęła kroplami wysoko.

Potem pochyliła się cicho nad księciem i dotknęła ustami jego czoła. To pożegnanie. Spojrzała raz jeszcze i wybiegła z namiotu.

Słońce już ukazało rąbek złotej tarczy. Zamknęła oczy i skoczyła w morze.

Na białą pianę morską padły promienie słoneczne i przeniknęły ją światłem i ciepłem. — Syrena ze zdziwieniem uczuła, że żyje, choć ciało jej zniknęło. Ale żyje przecież, bo widzi słońce jasne, a nad sobą rój istot cudnych, świetlanych, tak przejrzystych, że widać przez nie purpurę obłoków i żagle białe. Śpiewają pieśń, lecz głos ich cudny, melodyjny, tak jest subtelny, że go nie uchwyci ucho człowieka ani żadnego ziemskiego stworzenia, jak oko nie uchwyci ich kształtów powietrznych. Płyną bez skrzydeł, lekkością ciał swych unoszą się w powietrzu. I Syrena czuje, że sama staje się taką istotą, że z piany morskiej podnosi się ku nim, równie przejrzysta, lekka i subtelna.

— Gdzież jestem? — zapytała radośnie zdziwiona, a głos jej zabrzmiał tak wdzięcznie i słodko, jak nadziemski muzyka.

— Jesteś wśród cór powietrza — odpowiedziały jej lekkie istoty. Dzieci morza nie mają duszy nieśmiertelnej i zdobyć jej nie mogą własną mocą; tylko miłość człowieka czasem dać ją może, lecz to nie od nich zależy. Córy powietrza też nie mają duszy, ale zdobyć ją mogą przez dobre uczynki. Więc czynimy, co w mocy naszej jest dobrego. Teraz płyniemy do gorących krajów, gdzie zaraza zabija ludzi; tam nieść im będziemy pomoc i ratunek, roznosząc uzdrawiającą woń kwiatów, chłodząc rozpalone od słońca powietrze i wzmacniając orzeźwiającym powiewem chorych i utrudzonych. A która przez lat trzysta, nie ustając w pracy, czyni tyle dobrego, ile tylko może, ta otrzymuje duszę nieśmiertelną zdolną żyć wiecznie, w wiecznej szczęśliwości, jak dusza ludzka.

Ty, siostrzyczko nasza, pragnęłaś całym sercem tego szczęścia, kochałaś i cierpiałaś, umiałaś poświęcić — własne szczęście i życie dla szczęścia człowieka, więc nie mogłaś zostać tylko pianą morską i stałaś się córą powietrza, by z nami pracować przez lat trzysta i otrzymać na wieczne szczęście duszę nieśmiertelną.

Słuchając tych słów, Syrena podniosła na Boże słońce rozjaśnione oczy i po raz pierwszy łąza w nich zaświeciła.

Na statku znowu powstał ruch i życie. Księżę wyszedł z namiotu z młodą żoną, szuka- no jej, wołano. Królówic tylko stał smutny na stronie, patrząc na białą pianę fali zielonej, jakby przeczuwał, że tam się ukryła ta, której wszyscy szukali daremnie.

Syrena, uśmiechnęła się do niego, lekki pocałunek złożyła na czole młodej królowej i popłynęła lekko na rubinowy obłok, który niósł jej siostry, dzieci powietrza, w nieznanie przestrzenie.

## Coś

— Nie mam wielkich pretensji — rzekł najstarszy z pięciu braci — chcę być człowiekiem pożytecznym, chcę być *czymś*. Najskromniejsza nawet praca zasługuje na szacunek, bo coś ludziom przynosi. Ot, na przykład, zajmę się wyrobem cegły, prosta to rzecz, a potrzebna. I już nie będę niczym: choć cegielki zostaną po mnie na świadectwo, że czasu nie marnowałem.

— To mi zajęcie! — zaśmiał się brat drugi. — Trudno naprawdę znaleźć coś prostszego — zwyczajna praca wyrobnika, którą maszyna równie dobrze spełniać może. Co do mnie, inaczej myślę; chcę być *czymś* rzeczywiście i dlatego obieram rzemiosło murarza. To już zapewne co innego: na takim stanowisku nie zastąpi mnie martwe narzędzie. I przyszłość także piękna, bo na nią zasłużę, wznosząc ludziom trwałe i wygodne domy; zostanę z czasem obywatelem miasta, może jakim starszym w radzie albo w cechu, będę miał własną czeladź, dom, każdy się do mnie odezwie z szacunkiem: — panie majstrze! To coś znaczy. Człowiek czuje, że jest przecie *czymś* na świecie.

Trzeci brat lekceważąco wzruszył ramionami.

— I ty niewiele żądasz, mój kochany — rzekł z uśmiechem. — Cóż to jest murarz? Prosty rzemieślnik, nic więcej. Iluż to ludzi w mieście patrzeć będzie na ciebie z góry i uważać cię za coś niższego? Za nic prawie, ot za jakąś tam mrówkę z mrowiska. Ja mam większe pragnienia, chcę czegoś lepszego, chcę się wznieść wyżej, zostać *czymś* naprawdę i dlatego postanowiłem obrać zawód budowniczego. To już jest praca wyższa, umysłowa, i nie każdy jest do niej zdolny. Daje też większe znaczenie temu, kto ją spełniać może. Prawda, że będę musiał przetrwać ciężki termin: włożyć bluzę i czapkę, usługiwać czeladnikom, którzy mi będą jako „chłopcu” rozkazywali — ale to się przecie skończy. Wyobrażę sobie na czas pewien, że wszyscy odgrywamy komedię i basta! A potem pójdę sobie swoją drogą, wstąpię do akademii i otrzymam stopień architekta. To już coś znaczy, znaczy nawet bardzo wiele. Z czasem mogę zostać i wielmożnym panem... Wszyscy się do mnie zwracają o plany, powierzają roboty, a ja nimi kieruję, rysuję, buduję i tak dalej do końca życia. To nazywam być *czymś* na świecie.

— A ja to nazywam: być niczym — rzekł czwarty. — Cóż w twojej pracy jest twego własnego? Nauczono cię w szkole zasad, które potem stosujesz znowu podług przepisanych wskazówek, reguł i zwyczaju. Mnie by to nie wystarczało. Ja chcę sam z siebie tworzyć, czy rozumiesz? Stworzyć coś, czego dotąd nie ma jeszcze. Stworzyć nowy sposób budowania domów, nowe kształty, przepisy, ściśle zastosowane do klimatu i innych warunków miejscowych, do materiału, jaki mam pod ręką, do wzrastających wciąż wymagań ludzi. To będzie moje dzieło, będzie *coś* naprawdę, czego nie było dotąd. A ja będę twórcą!

— Oby tylko szczęśliwym — zauważył piąty brat z niedowierzaniem — oby cię nie zawiodły nowe materiały i wymagania ludzi, które wzrastają co dzień i co dzień się zmieniają. Widzę, że wszyscy czterej ludzicie się i żaden z was nie będzie niczym. Ale róbcie, jak chcecie. Uprzedzam was tylko, że ja inną obrałem drogę. Takich, co śpieszą do pracy, jest wielu. Każdemu pilno zająć ręce albo umysł i już sobie wyobraża, że jest twórcą i o nic więcej nie dba, nic nie pragnie poznać, zgłębić, zrozumieć, ocenić. Otóż ja przede wszystkim chcę wszystko zrozumieć, poznać, ocenić, skrytykować, wskazać, co w tym jest szkodliwego i niewłaściwego. I myślę, że to właśnie jest najważniejsze na świecie i dlatego ja jeden *czymś* będę między wami.

Pozycja społeczna, Praca

Pogarda

Szczęście

Każdy z braci postąpił, jak sobie zamierzał, lecz piąty przede wszystkim zwracał na siebie uwagę. — Mądra głowa! — mówiono o nim. — Temu coś przeznaczono i może zejść daleko. Szkoda tylko, że nic nie robi.

Ale właśnie z tego powodu uważano go za coś lepszego.

Historia to zwyczajna, dawna, jak świat stary i końca nie ma, póki świat istnieje.

Lecz posłuchajmy dalej. Wszak to bajka.

Brat najstarszy, który zajął się wyrobem cegły, zrozumiał w krótkim czasie, iż każda prostokątna, różowa cegielka daje mu grosz zarobku. Mały, miedziany grosik. Ale z wielu groszy powstawał srebrny talar — piękny, duży talar. Ten miał szczególną własność: kto nim zapukał do drzwi piekarza, rzeźnika, krawca — wszystkie otwierały się przed nim gościnnie, wszędzie witały go twarze uprzejme, każdy spełniał z ochotą żądanie czy prośbę szczęśliwego posiadacza tego talizmanu. A źródłem tej pomyślności były skromne cegły. Niektóre wprawdzie kruszyły się czasem, ale i takie można było spożytkować.

Pieniądz

Uboga wdowa Małgorzata chciała zbudować sobie chatkę na wysokiej tamie, zabezpieczającej wybrzeże od morza i jego niszczącej potęgi. Poczciwy ceglarz dopomógł jej w tym przedsięwzięciu i podarował wszystkie pokruszone cegły, a nawet wiele całych, gdyż miał dobre serce, choć prostym był człowiekiem. Biedna kobieta prawie własnymi rękami budowała swą chatkę, która też nie odznaczała się pięknnością; mała, ciasna, niezgrabna, okna miała trochę krzywe, drzwi za niskie, dach lichy, słomiany, niezbyt mocny i niezbyt prosty, ale zawsze była to chata jej własna, jakie takie schronienie przed słońcem i burzą, a widok z niej na morze był wspaniały. Słone fale rozbijały się z szumem o tamę, a kiedy wicher zawył i niósł na wybrzeże wielkie, spienione, ryczące bałwany, padały one czołem u stóp ubogiego domku, niby pokonane, a wściekle olbrzymy, opryskując białą pianą jego ściany, a niekiedy przerzucając ją przez niską strzechę.

Dom

I długo, długo stał domek ubogi, patrząc z wysokiej grobli na morze rozległe, stał jeszcze wtedy, gdy kości człowieka, który nań cegłę wyrabiał, dawno pokryła ziemia.

Przemijanie

Brat drugi został murarzem i dobrze mu się wiodło, gdyż pracował i uczył się wytrwale. Zostawszy czeladnikiem, wziął mały tłumoczek na plecy i z piosenką na ustach wyruszył na zwykłą po świecie wędrówkę. Szedł i śpiewał o swoich zamiarach, pełen wiary w swe siły, pełen zapału młodości i najlepszej otuchy.

Dom

Nie zawiodło go życie: został wreszcie majstrem i budował domy w rodzinnym miasteczku. Co to za przyjemność i zadowolenie! Budował je też starannie, uczciwie, z zamiłowaniem; budował tak dobrze, że wszyscy go używali i potrzebowali, że mu powierzano najlepsze roboty. Toteż po wielu latach z jego domów powstała nowa i piękna ulica, ozdoba miasta. A wówczas wszystkie owe kamienice złożyły się na własny domek pana majstra.

— Jakże to mogły zrobić kamienice? — zapytacie. — Ha, zrobiły, — wiedziano o tym w całym mieście. Ulica majstrowi zbudowała domek.

Nie był on zresztą wielki ani okazały, ot, taki sobie, skromny, z glinianą podłogą, ale wygodny, czysty. A gdy wprowadził młodą żonę do dużego, jasnym słońcem oświetlonego pokoju, zajaśniała gliniana podłoga jak lustro, zaśniły białe ściany, jakby wróżka szczęścia przybrała je w tęczowe wieńce z świeżych kwiatów, rozpromieniło się wszystko dokoła jak w zaklętym pałacu. Bo szczęście zamieszkało w sercach młodej pary i gościło w nich stale. A szacunek otaczał pana majstra; czeladnicy pozdrawiali go uprzejmie i spoglądali z dumą i uszanowaniem na cechową chorągiew, która powiewała ze szczytu jego domu.

Tak, czuł brat drugi, że jest *czymś* na świecie. Ale że był człowiekiem, więc się zestarzał i umarł.

Trzeci brat, jak powiedział, obrał zawód budowniczego. Wprawdzie i on musiał przebyć ciężki termin, ale po ukończeniu akademii został od razu panem budowniczym, wielmożnym panem. Bardzo był dumny z tego i zadowolony. Brat jego w rodzinnym mieście wybudował całą ulicę, ale on dał jej nazwę od swego imienia, bo jego dziełem były wszystkie plany tych pięknych, nowych domów i współobywatele chcieli uczcić jego zasługę. Łatwo się też domyślić, że dom najpiękniejszy na tej ulicy był jego własnością, że dzieci jego nazywano paniętami, a żonę — wielmożną panią. Więc zdobył coś na świecie i coś znaczył — imię jego na wieczne czasy zostało wypisane na rogu ulicy i do dziś dnia żyje w ustach mieszkańców miasta. Żyje dłużej od niego i żyć będzie, Bóg wie jak długo. Toteż powiedział sobie, umierając: — Byłem *czymś* na tym świecie!

A czwarty brat, ów twórca? Ten miał zająć najwyżej, ale na wysokościach łatwo o nie-  
szczęście — niestety, wkrótce się o tym przekonał i zmarł przedwcześnie. Wyprowadzono  
mu jednak wspaniałe pogrzeb z chorągwiemi, z muzyką i kwiatami, wypowiedziano aż  
trzy długie mowy nad jego grobem, w których wychwalano talent i wielkie zamiary  
zmarłego i postawiono mu na grobie pomnik. Zawsze i to coś znaczy.

Piąty brat przeżył wszystkich. I słusznie, bo on przecież miał sędzić o nich, jak sądził  
wszystko na tym świecie i wypowiadał zawsze wyrok ostateczny. Ludzie podziwiali jego  
rozum i krytykę i mówili o nim:

— To otwarta głowa!

Lecz i on umarł w końcu — nie mogło być inaczej — i stanął u drzwi raju, do  
którego dusze ludzkie zbliżają się w porządku, parami. Obok niego stanęła jakaś pokorna  
duszytka i nieśmiało, a z tęsknotą spoglądała na wspaniałe, złociste wrota.

— Postawiono ją przy mnie, widać dla kontrastu — szepnął do siebie krytyk — i to  
mi się należy: cała wartość moja lepiej się uwydatnia obok takiej lichoty. — Któż to  
jesteście, moja kobiecino? — zwrócił się do sąsiadki. — Widzę, że bardzo wam spieszą  
do raju? Ale poczekać trzeba.

Duszytka skłoniła się przed nim do ziemi myśląc, że to sam święty Piotr do niej  
przemawia.

— Ja jestem stara Małgorzata z grobli, jaśnie wielmożny panie — odrzekła z pokorą.  
— Z małej chatki na grobli.

— Aha. I cóżś robiła na ziemi, stara Małgorzato z chatki na grobli? — rzekł krytyk,  
którego już nudziło długie oczekiwanie.

Staruszka popatrzyła nań z wielką pokorą.

— Nic takiego nie zrobiłam — rzekła smutnie — za co bym się mogła spodziewać, że  
przede mną te drzwi otworzą, ale Bóg miłosierny, może łaska Jego nie odepchnie ubogiej.  
Na to tylko liczę.

— A w jakiz sposób rozstałaś się z ziemią, moja kobieto? — pytał znów brat piąty,  
który lubił rzecz każdą zbadać aż do gruntu.

— Czy ja wiem, w jaki sposób się rozstałam — odpowiedziała stara po namyśle. —  
W ostatnich czasach chora byłam ciągle... a nędza, jaśnie panie? To wszystko człowieka  
dobija. Ciężko mi było już podnieść się z łóżka i kiedy przyszło nagle wybiec na chłodne  
powietrze, na śnieg i mróz, musiałam się pewno zaziębić, choć sama nie wiem, kiedy, bo  
nie miałam czasu pomyśleć o tym wszystkim. Tyle trwogi użyłam w ostatniej godzinie  
— ale Bóg łaskaw, łaskaw, wszyscy się uratowali!

— Kto? Cóż to było za zdarzenie?

— Na morzu, jaśnie panie. Myślałam, że pan o tym słyszał. Wiadomo, że mieliśmy  
ostrą zimę tego roku, morze u brzegu zamarzło wybornie i państwo z miasta umyślili sobie  
urządzić na lodzie zabawę. Mówiono, że ma być ślizgawka i tańce, z daleka słychać było  
muzykę i wrzawę, słyszałam je w mojej ubogiej izdebce, chociaż nie miałam siły podnieść  
się z posłania, aby popatrzeć na nich. Na koniec słońce zaszło, ukazał się księżyc, ale  
blady, bez blasku. Wyrzałam przez okno: na lodzie zapalono kolorowe światła, migwały  
cienie, słyszałam śmiech ludzki. Wtem spojrzalam na niebo... Daleko, daleko, gdzie się  
brzeg nieba na wodzie opiera, płynął biały obłoczek z czarną pośrodku plamą. Nie zaraz  
uwierzyłam swoim oczom, jaśnie panie, choć stara jestem i nie darmo przecież od lat tylu  
patrzałam na niebo i morze, ale obłoczek płynął, coraz większy, a czarna plama... Znam  
ją! Zrozumiałam wszystko! Dwa razy w życiu widziałam ją przecież i wiem, co niesie —  
burzę i rozbicie, śmierć dla tych, co się tam bawią wesoło.

A na lodzie całe miasto: starzy, młodzi, dzieci, panie i panowie, śmieją się, tańczą,  
słuchają muzyki, nie wiedzą, co ich czeka. Jak ich ostrzec? Tam nic nie widać — zresztą  
zajęci zabawą, nie myślą o nieszczęściu. Gdybym silna była, gdybym mogła tam pobiec...  
Lecz nogi ciężkie, jak gdyby z ołowiu, ręce mi się trzęsą... Otwieram okno z największym  
wysiłkiem, chcę krzyknąć — ale wrzawa mnie zagłusza, słyszę śpiew, krzyki radości, wesela,  
świst chorągiewek, widzę migotanie światła — a biały obłok płynie coraz większy i czarna  
plama... Już zajął pół nieba.

Krzyknęłam z całej mocy — nikt nie słyszy — za daleko! Co począć? Czyż mam  
patrzeć na ich zgubę? Boże, mój Boże! Każda chwila droga, każda chwila im grozi!

Wtem Bóg miłosierny zesłał mi myśl szczęśliwą: podpałę chatę, niech im znakiem

Mądrość

Pogarda

Pokora

Choroba

Poświęcenie, Ogień, Pożar,  
Niebezpieczeństwo, Śmierć  
bohatera



będzie i głosem przestrogi. Cóż znaczy nędzna chata wobec życia tylu ludzi?

Nie miałam zresztą czasu do namysłu. Rzuciłam spiesznie ogień na posłanie i chciałam wyjść z izdebki. Za progiem jednak upadłam na ziemię i już nie mogłam powstać. Niby przez sen widziałam ogniste języki, wybiegające z okien, skaczące po dachu, we drzwiach nade mną. Aż nagle znad morza krzyk się rozległ potężny, wszyscy w mgnieniu oka porzucili zabawę, by śpieszyć na pomoc biednej staruszce, która się spalić mogła. Dobrzy, poczciwi ludzie. Bóg ich ocalił za to, bo kiedy w jednej chwili zaszumiało morze, łód skruszony pękł z trzaskiem, podobnym do strzałów, niebo i ziemia zmieszały się razem w ciemność i burzę — nikogo już nie było tam na wodzie. I nikt nie zginął — wszyscy ocalili. — Bóg ich ocalił. Dobrzy, poczciwi ludzie!

Ale już potem nie wiem, co się stało; pewno mnie ratowali, a ja się tymczasem obudziłam już tutaj, przed wrotami raj. Mówią, że czasem i dla biednych ludzi Bóg je otwiera, może się zmiłuje nade mną. Bo gdzieżbym się schroniła? Nawet chatki na grobli już tam na ziemi nie mam.

W tej samej chwili zgrzytnął w zamku klucz niebieski, szeroko otworzyły się wrota złociste, a święty Piotr i aniołowie wprowadzili staruszkę do raj. Gdy próg przestępowała, z ubogiej odzieży spadła na ziemię jedna mała słomka... słomka z pościeli, którą podpałiła, aby bliźnim życie ocalić. I oto patrzcie: złociste ździebelko wyrasta w górę, okrywa się liściem i kwiatem szczerozłotym, a żyjącym, świeżym i rośnie, rośnie...

— To skarby, które z ziemi przyniosła staruszka — rzeki anioł, zwracając się do piętego brata i ukazując krzak róży złocistej — to jej czyny, zasługi. Gdzież są twoje? Nic nie zrobiłeś przez całe życie dla nikogo, ani jednej cegiełki. Jakże możesz żądać nagrody? Wiem, że chociaż byś wrócił na świat i pracował, niewiele by twoja praca warta była, ale przy dobrych chęciach można by ją za coś policzyć — wrócić jednak nie możesz...

Staruszka z chatki na tamie słuchała, stojąc na progu raj, a teraz odezwała się z prośbą nieśmiałą:

— Święty panie aniele, brat tego człowieka podarował mi wszystkie pokruszone cegły, a nawet wiele całych, gdyż miał bardzo dobre serce. Było to dla mnie wielkim dobrodziejstwem, bo z czego bym wystawiła sobie chatkę? Czyżby nie można dziś tych wszystkich cegieł policzyć choć za jedną na dobro tej duszy? Wszakże tutaj jest źródło wszelkich łask i miłosierdzia, a oto dusza, która tego potrzebuje.

Anioł łagodnie spojrział na staruszkę.

— Dobrze — rzekł po namyśle — twojej prośbie Pan Bóg dzisiaj nie odmówi, to pierwsza prośba twoja, niechże więc tak będzie. Dla dobrego uczynku brata twego, którego uważałeś za najlichszego tu na ziemi i na prośbę tej oto ubogiej kobiety Pan Bóg cię od wrót raj nie odrzuci. Możesz pozostać tutaj i rozmyślać, jakby naprawić swoje ziemskie życie. Dalej jednak pójść nie możesz, dopóki nie spełnisz czegoś, co by dobrym czynem życia twego nazwać.

— Mógłbym to lepiej wyrazić — pomyślał sobie krytyk, ale nic nie powiedział, a to jego milczenie już coś znaczyło na drodze poprawy.

## Listek z nieba

Wysoko, w przejrzystym i jasnym powietrzu płynął anioł Boży z rajskim kwiatem w ręku. Gdy go podnosił do ust, jeden mały płatek oderwał się leciuchny i jak motyl biały spadał ku ziemi. W zielonym lesie upadł na grunt miękkie i wypuścił korzonek, potem kiełek w górę i zaczął rosnać.

— A to co za przybłęda? — zawołały zdziwione rośliny. — Nikt go tu nie zna, z nikim nie jest spokrewniony, nawet niepodobny do nikogo. Natrętl!

Przypatrywały mu się z daleka z pogardą, ale nawet osty i dzikie pokrzywy rozmawiały z nim nie chciały.

— Musi to być jakiś potwór ogrodowy — zdecydowały po długim namyśle leśne sąsiadki — czego chce tu między nami?

I szydziły z niego pogardliwie, myśląc, że jest potworem, sztucznie wyhodowanym przez człowieka.

Zaświaty

Przemiana, Wdzięczność,  
Korzyść

Brat

— Po coś tu przyszedł? — pytały go osty, o liściach najeżonych ostrymi kolcami. — Każdy powinien żyć pomiędzy swymi.

— Po co tak rozpościerasz swoje pędy? — wołały inne drzewa i rośliny. — Nie przybliżaj się do nas! A może myślisz, że cię będziemy dźwigały?

Nadeszła zima, śnieg pokrył ziemię i rośliny, ale nad listkiem z nieba jaśniał dziwnym światłem, jak gdyby pod nim paliła się lampa i przeświecała przez białe pokrycie. A kiedy wiosna powróciła znowu i śnieg ustąpił, na wilgotnej ziemi ukazał się kwiat cudny, o barwach nieporównanych i prześlicznej woni.

W całym lesie nie było podobnego cudu.

Właśnie przechodził tędy uczony profesor botaniki. Zdziwił go kwiat nieznan, więc go zerwał, obejrzał, pokosztował, powąchał, rozpatrywał przez szkiełka i bez szkiełek, mierzył, ważył, porównywał — nadaremnie: nie mógł zaliczyć go do żadnej klasy, do żadnego rodzaju i gatunku.

— Wyrodek jakiś — rzekł wreszcie poważnie — niepodobna go objąć żadną klasyfikacją, ani mu znaleźć właściwego miejsca. Okaz bardzo ciekawy, lecz nie ma nic wspólnego z naszym roślinnym światem.

— Nie ma nic wspólnego z naszym roślinnym światem! Niepodobna go objąć żadną klasyfikacją! Wyrodek! powtarzały osty i pokrzywy.

Stare drzewa słuchały, lecz milczały same, nie mówiły źle ani dobrze, co jest rzeczą najmądrzejszą na wypadek głupoty.

Biegła przez las dziewczynka uboga, czysta i niewinna. Serce miała gorące, w duszy światło wiary, a jedynym majątkiem jej na świecie była stara Biblia po ojcu, gdzie zawsze w smutku słowa pociechy znalazła.

Dziewczę ujrzło cudowną roślinkę i stanęło zdumione. Jakaż piękna: każdy jej listek zielony rozlewał woń rozkoszną i orzeźwiająca, kwiaty jaśniały w słońcu jak żywe płomienie, a z każdego zdawała się płynąć ku niebu nieskończona, cicha i słodka melodia.

Dziewczę wzruszone ujęło gałązkę i pochyliło ją lekko ku sobie, aby nacieszyć się widokiem kwiatka, odetchnąć jego wonią. I uczuła nagle wielką błogość w sercu i wielkie światło w duszy. Chciałaby zerwać jeden chociażby pączek i mieć przy sobie, ale nie śmiała pozbawić go życia. Zwiędnie w jej dłoni. Więc zerwała tylko maleńki jeden zielony listeczek i włożyła pomiędzy kartki swej Biblii. Tu pozostanie on zawsze jak świeży i pełen cudownej woni.

W kilka tygodni potem dziewczynka umarła, Biblię złożono z nią razem do trumny, a między jej kartkami pozostał zielony, wonny listek rajskiego kwiatka.

W lesie śliczna roślinka bujała wspaniale i dochodziła prawie wielkości drzew starych, choć była wiotka jak młoda gałązka. Ptaki przelotne lot swój wstrzymywały, aby jej pokłon oddać, promienie słoneczne pozdrowiały ją pierwszą co poranka.

— Jakiś obcy przybłęda najwidoczniej — szeptały między sobą osty i pokrzywy — wszystkie włóczęgi znają go wybornie, lecz dla nas to wyrodek.

— Nie powinniśmy znieść go pośród siebie.

I ślimaki leśne opluły go śliną.

Przyszedł pastuch po „ziele” dla trzody i zaczął wycinać nożem osty i pokrzywy. Ściął i cudną roślinkę, wyrwał jej korzenie i zabrał wszystko razem w wielką płachtę.

— Przynajmniej będzie z was teraz pożytek — rzekł, zarzucając płachtę na ramiona.

I stała się roślina, rajska „pożyteczną”.

W tym samym kraju król cierpiał od dawna na smutek nieuleczony i ciężki, który był gorszym od wszelkiej choroby. Różnym sposobem ratować się pragnął: pracował pilnie, wytrwale, odważnie; czytał uczone dzieła: to szukał rozrywki, wesołości — daremnie, nic nie pomagało.

I cierpiał bardzo, bardzo, długie lata i prawie bez nadziei.

Wtem jeden z mędrców, którego gorąco prosił o radę, śle do niego posła z wieścią radosną:

W twoim królestwie, w lesie starym rośnie kwiat rajski o cudownej sile i przymiotach: jego woń, jego widok przywróci ci zdrowie.

Tu następował opis cudownej rośliny tak dokładny, że nie można się było pomylić.

— Tak, to ona! To ona! powtarzali wszyscy, którzy bywali w lesie.

— Tak, tak — powtórzył pastuch — pamiętam, a jakże! Sam związałem ją w płachtę razem z pokrzywami. To już dawno. Nie wiedziałem, żeby takie ziółko mogło przydać się na co innego.

Nie wiedział, nikt nie wiedział: ani uczonego botanik, ani mędrca królewscy. Nikt nie wiedział. Roślina, której niepodobna było objąć żadną klasyfikacją! Cóż z takiej być może?

Szukano nadaremnie: ani jednego listeczka nie można było już odnaleźć w lesie. Jeden był tylko w trumnie ubogiej dziewczynki, lecz o tym nikt nie wiedział.

Król zmartwiony sam udał się do lasu i oglądał miejsce, gdzie wyrósł kwiat rajski.

— Tutaj było dla mnie zbawienie — rzekł smutnie — tutaj dotknęła ziemi nieziemska roślina: święte powinno być to miejsce.

I kazał je ogrodzić pozłacaną kratą, przy której postawiono wartę.

Wtedy uczonego profesor napisał o kwiatku bardzo naukowe dzieło i został za to przez króla odpowiednio wynagrodzony.

Wszyscy więc byli szczęśliwi, król tylko został cierpiący, smutny wielkim smutkiem, który nie ma jasnej przyczyny.

— Ale takim przecie był zawsze — mówił strażnik w lesie, przy pozłacanej kracie.

## U króla Olch

Wielkie jaszczurki szybko przebiegały tam i na powrót po korze starego, popękanego drzewa, a kiedy się spotkały, rozmawiały z sobą po jaszczurczemu, ażeby się mogły zrozumieć.

— Co się tam dzieje w pagórku olszowym? — mówiła jedna. — Co to za stuk i hałas? Już dwie noce z tego powodu nie zmrugałam oka, jakby mię zęby bolały (bo wtedy także nigdy spać nie mogę).

— Coś się tam dziwnego dzieje — rzekła druga. — Co noc otwierają wzgórze i póki kogut nie zapieje, wietrzą wszystko i odnawiają. Ściany domu opierają na czterech czerwonych palikach, aby przewiew był lepszy, a ich dziewczęta uczą się nowego tańca. Coś tam będzie niezwykłego.

— Już o tym rozmawiałam — dorzuciła trzecia — ze znajomym robakiem ziemnym, czyli glistą, którą nazywają dżdżownicą. Właśnie powracał stamtąd. Dzień i noc pracuje on w pagórku olszowym, wzruszając ziemię; słyszał też niemało. Wprawdzie biedne stworzenie nie ma wcale oczu, więc nic nie widzi, ale słuchać umie i macać także. Król Olch spodziewa się znakomitych gości, gości z dalekich krajów, tylko nie wiadomo kiedy. Glista nie umiała mi tego powiedzieć, a może i nie chciała. Wszystkie błędne ogniki zostały wezwane na pochód uroczysty ze światłami: wszystko złoto i srebro, którego niemało znajduje się w pagórku, czyszczą i wystawiają na światło księżycy.

— Co to mogą być za goście? — pytały ciekawie jaszczurki. — Co to wszystko ma znaczyć? Słyszycie, jak znów huczy? Słyszycie, jak brzęczy?

W tej samej chwili pagórek olszowy otworzył się i z wnętrza pustego wybiegła niemłoda już Olszanka. Mknęła jak mgła leciuchna, ścigana wietrzykiem, na czole miała serce bursztynowe na znak godności swej i pokrewieństwa z rodziną króla Olch, w którego domu zastępowała miejsce gospodyni. Ach, jak prędziutko biegła, a prosto nad morze, pewno do Kruka-Ducha z przestrelonym skrzydłem.

Rozumie się. Natychmiast sam zjawił się przed nią, a Olszanka mówić zaczęła:

— Zapraszam cię do króla Olch na noc dzisiejszą, do pagórka olszowego. Ale czybyś nie zechciał oddać nam wielkiej przysługi i poroznosić dalej zaproszenia? Nie masz teraz nic do roboty, a u nas tyle zajęć. Będą goście znakomici, starzy przyjaciele, czarodzieje. Nic dziwnego, że król wystąpić pragnie.

— Kogóż mam zaprosić? — pytał Kruk-Duch ze skrzydłem przestrelonym.

— Na wielki bal prosimy wszystkich, nawet ludzi, jeżeli mówią przez sen albo posiadają jakiś talent, który zbliża ich do nas choć trochę, lecz na pierwsze przyjęcie wybór ma być bardzo trudny: same znakomitości. Poróżniłam się nawet z królem, gdyż nie chciałam, aby zapraszał upiory. Przede wszystkim naturalnie chodzi o Wodnika z córką. Może nie mają ochoty wyjść na ląd, ale przygotowujemy dla nich mokry kamień, a może

coś lepszego jeszcze do siedzenia, więc sędzę, że nie powinni nam odmówić. Pragniemy też zgromadzić wszystkie poważniejsze licha z ogonami, chochliki, koboldy, chciałabym nie pominąć kościelnego karła ani upiora-konia, ani upiora-świni<sup>45</sup>. Mają oni wprawdzie urzędy od ludzi i stąd stosunki z nimi, ale w gruncie rzeczy daleko więcej z nami są zblizeni.

— Krrr! — krzyknął Kruk-Duch i poleciał roznosić zaproszenia.

Na pagórku tańczyły już córki królewskie prześliczny taniec z szalem utkany z promieni księżycy i mgły najlżejszej. Było to czarodziejskie widowisko. Pagórek stał otwarty i widać było wewnątrz olbrzymią grotę, przybraną wspaniale. Podłogę usiano księżycowym blaskiem, a ściany, wyczyszczone sadłem czarownicy, błyszczały niby lampy z żywych kwiatów.

Z kuchni rozchodziły się miłe zapachy: pieczono tutaj młode żabki na patyczkach, przyprawiano sałatę ze ślimaków, szalonego ziela, siemienia grzybowego i wilgotnych nosków mysich; piwo przyniesiono z błotnego browaru, a nakrycie stanowiły zardzewiałe gwoździe i kawałki szkła tłuczonego.

Korona króla, świeżo wyczyszczona, świeciła jaśniej niż rondel miedziany, w sypialni rozwieszono firanki z najcieńszej przędzy pajęczej pozlepianej sztucznie śliną węzową. Wszystko było piękne, nowe, gustowne, ale kosztowało wiele pracy, i nic dziwnego, że hałas podziemny przeszkadzał spać jaszczurkom.

— Ojczulku — zawołała królowa — kiedyż się dowiem, kto są goście znakomici, których się spodziewamy? I po co przyjadą?

— Muszę wam to powiedzieć — odparł król poważnie — czas na to. Dwie z was pragnę wydać za mąż, odbędą się więc zaręczyny. Przyjedzie mój przyjaciel z lat młodości, stary kobold z Norwegii, gdzie w górach Dovre posiada wspaniałe zamki i kopalnie złota, które ukryły się dotąd przed ludźmi. Przyjedzie teraz do mnie z dwoma starszymi synami, których pragnie ożenić. Bardzo to rozumny kobold, a zacny i wesoły, że się z nim rozstać nie chce. Znamy się dobrze od lat bardzo wielu; przyjeżdżał tu już niegdyś po żonę dla siebie, lecz mu umarła. Była córką króla pobliskich skał kredowych, mówiono też o nim, że wziął sobie żonę z kredy. Niezmiernie się cieszę, że go zobaczę znowu! Tęskno mi już za nim, za starym przyjacielem. Mówią o chłopcach jego, że źle wychowani, krnąbrni i wścibscy, ale może to nieprawda, a choćby i tak było, to się poprawią z czasem.

— Kiedyż przyjadą? — pytała królowa.

— To zależy od wiatru i pogody. Bardzo to oszczędny i mądry staruszek, toteż podróżuje przy sposobności, ze statkami. Radziłem mu, żeby przyjechał przez Szwecję, ale nie chce — uparty jest i uprzedzony bardzo do sąsiadów.

Wtem dwa ogniki błędne wbiegły jeden za drugim, gdyż jeden wyprzedzał drugiego.

— Jadą już, jadą! — krzyczały obydwa.

— Podaj mi koronę i usuń się z drogi, abym stanął w blasku księżycy — rzekł śpiesznie król Olch do córki.

Stary kobold wjeżdżał właśnie na pagórek, córki królewskie witały go tańcem i zrzucając nań szal księżycowy, kłaniały się do samej ziemi.

Kobold z Dovre zamiast czerwonej czapeczki miał koronę z lodu i lakierowanych sosnowych szyszek; zresztą był ubrany ciepło i wspaniale, ciężkie niedźwiedzie spływały mu z ramion, futrzane buty do kolan sięgały. Za to synowie byli bez kaftanów, koszule mieli rozpięte u szyi, a szelek nie używali zupełnie; oznaczało to wszystko, że są zdrowi i wytrwali.

— Czy to ma być wyżyna? — spytał młodszy, palcem wskazując olszowy pagórek. — U nas, w Norwegii takie kretowisko nazywamy po prostu dziurą.

— Chłopcy, chłopcy! — strofował<sup>46</sup> ojciec. — Dziura przecież jest wklęsła, a każda wypukłość nazywa się wyżyna. Czyż oczu nie macie?

Ale synowie nie byli skruszeni — jedno tylko podobało im się tutaj, że z każdym rozumieli się od razu i rozmawiać mogli swobodnie.

<sup>45</sup>kościelnego karła ani upiora-konia, ani upiora-świni — W Danii istnieje przesąd, że w miejscu, na którym mają zbudować kościół, zakopują żywego konia albo żywą świnię, a upiory tych zwierząt błędzą następnie po świecie. [przypis redakcyjny]

<sup>46</sup>strofować — upominać, przywoływać do porządku. [przypis edytorski]

— Dlatego też lepiej nie gadajcie wiele — przezornie napominał stary ojciec — po co wszyscy mają wiedzieć, żeście głupi?

W tej właśnie chwili weszli do grotty królewskiej, gdzie całe towarzystwo już było zebrane, a zgromadziło się z taką szybkością, jak gdyby wiatr je przyniósł na swych bystrych skrzydłach.

Lecz wszystko dla każdego było już przygotowane i nikt na brak wygody uskarżać się nie mógł. Wodnika z córką umieszczono w wielkich kubłach pełnych wody, ustawionych dla nich przy stole zamiast krzesel, i twierdzili oboje z wielkim zadowoleniem, że czują się jak w domu.

Wszyscy zresztą siedzieli bardzo przyzwoicie, jak przystoi poważnym i dostojnym gościom, i jedli podług najlepszych przepisów; tylko norwescy obaj królewicze kładli nogi na stole i śmiali się głośno, myśląc, że im wszystko wolno.

— Nogi pod stół! — krzyknął ojciec groźnym głosem i posłuchali, ale nie od razu.

Kłuli swoje sąsiadki ostrymi szyszkami, których mieli pełne kieszenie, a potem zdjęli buty dla wygody i kazali piastować<sup>47</sup> je córkom królewskim lub innym pannom, które obok nich siedziały.

Wszyscy patrzyli na nich z oburzeniem.

Ojciec tymczasem, stary kobold z Dovre, w koronie z lodu i szyszek sosnowych, dowcipny i wesoły, opowiadał o swej ojczyźnie, a wszyscy go słuchali z niezmiernym zajęciem. Bo też i umiał mówić, zwłaszcza o tym, co kochał. To opisywał dumne, nagie skały krain północnych wznoszące ku niebu lodem okryte czoła, to jasne kaskady wód spadających z łoskotem w przepaście i pryskających w słońce śnieżną pianą; to o lososiach mówił w łusce złotej, za głosem harf cudownych płynących pod wodę; to o zimowej nocy bez świtu poranka, białej jak śnieżne puchy i cichej, i długiej, gdy dzwonki sanek dźwięczą gdzieś w oddali, a ludzie biegają na łyżwach po lodzie, przezroczystym jak woda, tak że pod spodem widać rybki drobne, lękające się światła ruchomych i cieni.

O, stary kobold umiał opowiadać! Zdało się, że widzisz to, o czym on mówi. Ot i zabawa wiejska na tartaku, tańczą dziewczęta, parobcy śpiewają, słychać turkot, tupanie, krzyki: hu! ha! Porwał swoją sąsiadkę, poważną Olszankę i jak chłopak wiejski pocałował głośno.

Hu, ha! Wszyscy z miejsc wstali, rozpoczął się taniec. Córki królewskie tańczyły najpierwsze. Bo i któż im dorówna? Taniec był lekki, prosty, niby kołysanie na falach wiatru, a nikt z zaproszonych nie mógł się dość napatrzeć na to czarodziejstwo.

Potem nastąpiły tańce sztuczne i solowe, różne popisy. Do kroćset! Stary karzeł pojąć nie mógł, co się robi z ich rękami i nogami. Wszystko rozstrzela się na wszystkie strony, zgina, prostuje, krąży, leci, spada, tylko w oczach migoce. A teraz kręcą się w kółko tak szybko, że koń-upiór i upiór-świnia patrzeć nie mogli na to, wstali od stołu, gdyż dostali mdłości.

— Prrr! — zawołał kobold — dosyć tego! Rękami i nogami wywijać umiecie, tego wam nikt nie ujmie, ale chciałbym wiedzieć, na coście więcej zdadne?

— Zaraz to zobaczysz — odrzekł król Olch poważnie i skinął na najmłodszą z córek.

Była ona przejrzysta jak promień księżycy, ze wszystkich siostr najlżejsza, najdelikatniejsza: kiedy szła, wcale ziemi nie dotykała stopą, a kiedy wzięła w usta biały wiórek, zniknęła z oczu. To była jej sztuka.

Ale nie podobała się staremu. Twierdził stanowczo, że nie chciałby takiej żony, a zapewne i żaden z jego synów.

Druga córka umiała chodzić bokiem, leżąc jak cień ludzki, którego Olszanki nie mają.

Trzecia miała inny talent: u wodnicy z błota uczyła się gospodarstwa i umiała przyrządzać sęki olszowe, nadziewane i szpilkiowane robaczkami świętojańskimi.

— Z tej będzie mąż miał w domu dobrą gospodynię — rzekł stary kobold, potrząsając głową na znak, że pić więcej nie chce.

Po niej wystąpiła czwarta. Ta miała wielką harfę: gdy dotknęła pierwszej struny, wszyscy w grotcie podnieśli naraz lewą nogę, gdyż koboldy w ogóle są mańkutami; a skoro uderzyła w drugą strunę, wszyscy musieli robić, co jej się podobało.

<sup>47</sup> piastować — opiekować się (jak małym dzieckiem: nosząc na rękach itp.). [przypis edytorski]

— To niebezpieczna żona — zauważył stary, a obaj królewicze z wielkim krzykiem wybiegli na pagórek, bo sztuk już mieli dosyć i znudziło im się w sali.

— A piąta? — spytał znowu kobold z Dovre.

— Ja nauczyłam się kochać Norwegię — rzekła śmiało Olszanka — i nie wyjdę za mąż inaczej, tylko do Norwegii.

— Hm, hm! — rzekł stary król w koronie z lodu.

Ale najmłodsza siostra szepnęła mu zaraz:

— To dlatego, że dowiedziała się ze starej pieśni norweskiej, iż kiedy świat się skończy, skały norweskie jedne pozostaną na pamiątkę tego, co było. Więc i ona chce się udać do Norwegii, bo się okropnie boi końca świata.

— Ho, ho! — rzekł teraz głośno stary kobold i zapytał zaraz o siódmą.

— Pierwej<sup>48</sup> szósta — poprawił go król Olch poważnie, ponieważ umiał liczyć.

Ale szósta nie chciała wcale wyjść do gości.

— Mam dość roboty, żeby mówić ludziom prawdę — powiedziała niechętnie. — Nikt się nie troszczy o mnie, wolę siedzieć tu w kącie i szyć sobie szatę śmiertelną.

Wystąpiła więc siódma i ostatnia. Ta umiała opowiadać. Ile chciała!

— Oto moje pięć palców — rzekł stary kobold z Dovre — opowiedz mi o każdym z nich coś ciekawego.

A Olszanka ujęła wesoło dłoń króla w koronie z lodu i szyszek sosnowych i zaczęła opowiadać mu o każdym palcu. Kobold śmiał się i kiwał głową, a kiedy wreszcie doszła do czwartego w złotej obrączce, jakby czekał tylko na zaręczyny, starzec rzekł wesoło:

— Trzymaj go mocno, bo twój jest. Ciebie chcę wziąć za żonę!

— Jeszcze dwóch bajek nie dopowiedziałam — broniła się Olszanka.

— Dosłuchamy ich w zimie — odparł kobold. — Musisz nam opowiedzieć jeszcze bardzo wiele; o zielonej sośnie i o brzozie białej, o duchach i o mrozie trzaskającym! Ho, ho, będziesz musiała opowiadać, bo znasz się na tej sztuce, jak niewielu! Zasiądziemy sobie dokoła ogniska w kamiennym zamku moim, wióry sosnowe płoną i strzelają, a my słuchamy i miód popijamy ze złoczonego rogu starych norweskich królów. Czasem odwiedza nas rusalka wodna i śpiewa nam pieśni pastusze górali. Wesoło wtedy. Łosoś rzuca się w potoku, uderza z siłą o kamienne ściany i jasno, cicho, biało. Tak, pięknie tam bardzo w mojej starej Norwegii. — Ale gdzie chłopaki?

Ach, gdzie chłopaki?

Bez szelek i kaftanów, w rozpiętych koszulach, jak przystoi na młode i zdrowe koboldy, biegali obaj po szerokim polu, goniąc ogniki błędne, ażeby je zdmuchnąć. Biedne ogniki, które z taką chęcią przybyły na wezwanie króla Olch i chciały uświetnić jego ucztę swymi światełkami.

— Cóż to znów za bieganie! — strofował ich ojciec. — Nie wiecie nawet, że wam matkę wzięłem. Możecie i wy także wybrać po jednej z ciotek.

Ale młodzi oświadczyli, że wolą się gonić, bić, klócić, pić zdrowie, ale do małżeństwa żadnej nie czują chęci.

Więc krzyczeli, gadali i wznosili zdrowie, aż się zmęczyli w końcu. Wtedy, zdjawszy ubrania, położyli się na stole i zasnęli. Nic ich nie obchodziło, co myślą o tym inni.

Stary kobold w koronie z lodu tańczył z młodą narzeczoną dokoła grotty, a potem zamienili z sobą obuwie, co jest daleko właściwiej niż zamienić obrączki.

— Kogut pieje! — zawołała stara Olszanka, która czuwała nad bezpieczeństwem zgromadzonych.

— Zamykać okiennice, bo nas słońce spali! — rozległo się trwożne wołanie.

I w mgnieniu oka zamknął się pagórek.

Po starym drzewie znowu biegały jaszczurki prędko tam i na powrót i mówiły jedna do drugiej:

— Ach, jak mi się podobał stary gość norweski!

— Mnie lepiej<sup>49</sup> podobali się chłopcy — rzekł robak ziemny.

Ale ten biedak nie ma oczu i nie widzi.

<sup>48</sup>pierwej — najpierw. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>lepiej — dziś popr.: bardziej. [przypis edytorski]

# Wszystko na swoim miejscu

Dawno już, sto lat temu — może więcej — stało się, co wam opowiem.

Za ciemnym lasem, na wielkim jeziorze stał wspaniały zamek; dokoła oblewała go woda, zarosła koło brzegów trzcina i sitowiem. Tuż przy moście zwodzonym rosła stara wierzba i schylała giętkie gałęzie ku trzcinie i niżej jeszcze, aż do samej wody.

Piękny był dzień słoneczny, kiedy w pobliskim wąwozie rozległ się tętent koni i dźwięk myśliwskich rogów: świetne towarzystwo, goście jaśnie pana, powracali widocznie z łowów.

Mała gęsiareczka szła przez most z gęsiami, więc przestraszona, szybko zaczęła je spędzać, lecz nie zdążyła. Na widok koni pędzących galopem gęsi rzuciły się z krzykiem do wody, a dziewczynka stanęła z boku na kamieniu, żeby jak najbardziej usunąć się z drogi.

Ładne to było dziecko — szczupła, lecz wysoka, o twarzyczce opalanej i jasnym spojrzeniu dużych, niewinnych oczu. Lecz jaśnie pan nie przyglądał się małej gęsiarce, tylko ze śmiechem uderzył ją rączką batożka, aż się zachwiała i wpadła do wody.

— Na swoje miejsce — zawołał wesolo i roześmiał się głośno, a myśliwi śmiali się także. Całe towarzystwo z hałasem i tętentem przebiegło most i skierowało się do bramy zamku.

Przestraszona dziewczynka na szczęście upadła niedaleko od brzegu, pomiędzy sitowie i zdołała uchwycić gałązkę wierzbową. Przeczekała z drżeniem, aż państwo zniknęli poza drzewami, ucichło szczekanie psów i tętent koni, a wtedy zapragnęła wydostać się na brzeg. Ale gałąź oderwała się od drzewa i biedna gęsiareczka znów wpadła do wody.

Wtem usłyszała nad sobą głos jakiś:

— Odważnie! Śmiało! Daj mi tylko rękę.

Był to wędrowny kramarz, który widział z dala całe zdarzenie i pośpieszył teraz na pomoc dziecku. Wspiąwszy się na drzewo, wyciągnął rękę, którą ujęła dziewczynka i tym sposobem wydostała się na ziemię.

— Na swoje miejsce! — rzekł kramarz z uśmiechem. — Wszystko na swoje miejsce!

I podniósłszy z wody gałąź złamaną, chciał ją przytwierdzić do drzewa. To się nie dało jednak, więc po niedługim namyśle wetknął ją w miękką ziemię.

— Rośnij tu sobie — rzekł — dla jaśnie państwa i niech im twoje fujarki zagrają kiedyś piosenkę sprawiedliwości.

To mówiąc, potrząsnął głową, popatrzył na mokrą i bladą dziewczynkę, po czym zarzucił na plecy tłumoczek i skierował się ku zamkowi.

Nie szedł naturalnie na pańskie pokoje, lecz do czeladnej izby; tu go otoczono, oglądano towar, kupowano chętnie i pozwolono wypocząć po drodze.

Spokoju jednak nie było i w kuchni: z góry, z komnat zamkowych rozlegały się krzyki, śmiech i wrzawa, szczekanie psów i śpiewy, brzęk szkła, wybuchy przekleństw i wiwaty, które wstrząsały mury starego, burego budynku. Panowie bawili się i uctowali, miesiące trwała podobna hulanka, a potem przenoszono się do miasta lub do którego z sąsiadów, aby pić i hulać znowu. Wino i piwo lało się strugami, psy wraz z gośćmi żywiono z wystawnego stołu, a rozweseleni zabawą myśliwi całowali je w pyski, otarliży je pierwej serwetą.

Coś usłyszano o biednym kramarzu i musiał stanąć przed pańskim obliczem, rozumie się dla żartu: cóż on mógł mieć takiego, coby kupić warto? Ale wino wypędza z głowy rozum, jak wiadomo, więc i weseli goście po tyłu kieliszkach nie byli podobni do rozumnych ludzi. Kazali mu wino pić z pończochy, tak prędko, żeby nie uciekło. Co za dowcip! Śmiali się z tego wszyscy jak z najmądrzejszej rzeczy.

Potem podano im kości i karty. A jakie były stawki! Cały inwentarz żywy albo chatę chłopską stawiano na jedną kartę.

Wędrowny kramarz odetchnął dopiero, kiedy się z tego piekła wydostał na drogę.

— Na swoje miejsce! — jak sam się wyraził. — Prosta droga, to moje miejsce. Tam w pysznym zamku nie czułem się dobrze.

Nad jeziorem siedziała blada gęsiareczka i życzliwie skinęła mu na pożegnanie.

Upłynęły dni i tygodnie. Złamana gałąź wierzby zasadzona w ziemię wypuściła świeże listki i gałązki, widocznie się przyjęła. Mała gęsiareczka oglądała ją co dzień i cieszyła się bardzo, nazywając ją „drzewkiem dobrego człowieka”.

Po kilku latach „drzewo dobrego człowieka” stało się drzewem, ale w pańskim zamku źle się tymczasem działo. Zabawą tylko człowiek żyć nie może; śmiech pusty, karty, wino — to złe duchy, które pustoszą zamki i pałace, jeśli żaden stróż anioł nie stoi na straży ich właścicieli.

Widać, że jasnie pan z zamku na wyspie nie miał anioła stróża, który by go bronił, nie miał żadnego czynu dobrego za sobą, gdyż nadeszła godzina, że wszystko utracił i jak żebrak opuszczał ziemię ojców swoich, swój dach rodzinny.

Nabył go zamożny kupiec, a był to ten sam kramarz, któremu przed laty wesołe towarzystwo dla zabawy z pończochy pić kazało. Uczciwością i pracą doszedł do majątku i nabył ziemię, żeby sobie na niej własne założyć gniazdo.

Potem się ożenił. A wiecie z kim? Z ubogą małą gęsiareczką, która wyrosła na śliczną dziewczynę o jasnych oczach, a przy tym została cicha, skromna i pracowita.

Jak się to wszystko stało? — Długa byłaby historia, wolę wam opowiedzieć, co nastąpiło potem, bo to ciekawsze. Otóż posłuchajcie:

Szczęśliwie dni płynęły teraz w starym zamku: pani się zajmowała gospodarstwem, służbą, pan — wioską; wszyscy czuli się zadowoleni, błogosławieństwo boże zamieszkało wśród dobrych ludzi. W komnatach starych znów było wesoło, lecz nikt nie słyszał tu pijanych krzyków, śmiechu głupiego, chociaż się bawiono, śmiano się często. W ogrodzie zakwitły drzewa owocowe i śliczne kwiaty, jaskółki zagnieździły się znowu pod dachem, bociany klekotały na topoli.

A w zimie pani przędła w wielkiej sali z dziewczętami wiejskimi, pan liczył, rachował, układał plany. W niedzielę wszyscy zbierali się razem na czytanie pobożne i modlitwy. Zaczęto pana szanowali i sąsiedzi, a on spełniał sumiennie boże przykazanie: kochaj bliźniego, jak siebie samego.

Został na koniec sędzią w okolicy i było mu to przyjemne i drogie, jako dowód uznania i szacunku. Dzieci chowały się też szczęśliwie, bo rozumie się, że nowi dziedzice mieli dzieci. Ojciec dbał bardzo o ich wykształcenie, ale nie wszystkie miały równie dobre głowy.

Tak się zdarza na świecie.

Przy moście młoda wierzba rozrosła się pięknie i zdrowo. Starzy i młodzi znali dobrze jej początek i szanowali tę żywą pamiątkę ci nawet w rodzinie, którzy mieli mniej dobre głowy. Tak już ich wychowano.

— To nasz herb — mówili młodzi.

Sto lat od tego czasu upłynęło.

Dawne jezioro wyschło i zamieniło się w części na bagno, ze starego zamku została ruina, z jednej strony jeszcze głęboką wodą otoczona i tu nad brzegiem rosła stara wierzba.

Piękne to było drzewo. Wprawdzie w ciągu wieku przeszło niejedną burzę i piorun rozłupał je od samego szczytu do korzeni, lecz z każdej szparki i z każdej szczeliny wyrastała trawa zielona i kwiaty, a na szczycie, gdzie rozdzielały się gałęzie na wszystkie strony, był cały wiszący ogródek. Nawet dzikie maliny wyrastały tutaj; a wierzba przeglądała się w wodzie ciekawie, czy dobrze wygląda w tym stroju.

Była piękna i szanowana. Z nowej siedziby pańskiej wiodła do niej droga prosto przez pola i nie zarastała trawą; widocznie drzewo było odwiedzane — nie zapomniano o nim.

Nowy pałac znajdował się w lesie, na wzgórzu, skąd widok był wspaniały. Szerokie marmurowe schody prowadziły na wielki taras, gustownie przybrany rzadkimi roślinami; wielkie szyby w oknach były tak przejrzyste, iż zdawało się, że ich nie ma wcale; jasnozielony trawnik przed pałacem wyglądał, jakby co dzień obmywano każde źdźbło trawy. W salach zdobiły ściany kosztowne obrazy, meble pokrywał jedwab, aksamit i złoto, na marmurowych stołach leżały książki i albumy w kosztownych, wyłaczanych okładkach — nie można było wątpić, że w tym domu mieszkają ludzie bogaci, wykwintni, pełni wymagań — pan baron z rodziną.

Naturalnie w tym otoczeniu wszystko musiało być „na swoim miejscu” toteż stare obrazy ze starego zamku tu wisiały na korytarzu, wiodącym do czeladnej izby. „Stare



graty” — jak się o nich wyrażano. Były pomiędzy nimi dwa portrety: mężczyzny w czerwonym fraku i peruce oraz kobiety z różą w pudrowanych włosach, obydwie otoczone zielonymi gałązkami wierzby. Przedstawiały one praojców rodziny, sędziego z żoną, ale były dzisiaj zniszczone i podziurawione w wielu miejscach, ponieważ młode baroniątka lubiły strzelać do nich z łuku jak do celu.

— Oni naprawdę nie należą do rodziny — zapewniały — on był przecież kramarzem, a ona gęsiarką, nie wielcy państwo, jak papa i mama.

Tym sposobem na zasadzie: wszystko na swoim miejscu! — „stare graty” znalazły się na korytarzu, prowadzącym do czeladnej izby.

Dnia jednego domowy nauczyciel wyszedł na przechadzkę z uczniem swym, młodym baronem, i jego starszą siostrą. Szli przez pola drogą, wiodącą do ruin i starej wierzby nad resztką jeziora. Baronówna zrywała trawki, polne kwiaty i wiązała z nich bukiet, słuchając zarazem, co mówił nauczyciel o siłach natury, o jej prawach, o wielkich, znakomitych ludziach. Lubiła słuchać takich opowiadań, gdyż była to natura zdrowa i bogata, o duszy szlachetnej i gorącym sercu, które kochało wszystko, co Bóg stworzył.

Zatrzymali się dopiero u wierzby i młody baron zaczął prosić, aby mu nauczyciel wykręcił fujarkę.

— Nie rób pan tego! — zawołała baronówna, lecz młody człowiek już ułamał gałąź.

— To nasze herbowe drzewo — rzekło dziewczę. — Lubię je bardzo i czuję, że powinniśmy je szanować wszyscy. Śmieję się za to ze mnie, ale cóż to szkodzi? To pamiątka pięknej legendy rodzinnej.

I opowiedziała znaną nam historię kramarza, gęsiareczki, starego zamczyska i początku wiekowej wierzby.

— Czyż nie ładne podanie? — rzekła wreszcie. — Bardzo nawet prawdopodobne. Zaczny sędzia nie chciał szlachectwa, mówiąc, że ono mu nie przystoi. Mieli oni przysłowie: „Wszystko na swoim miejscu” i do tego się stosowali. Za pieniądze nabywa się majątek, lecz nie przeszłość. Nasz pradziadek był podobno ich rodzonym synem — otrzymał tytuł barona, gdyż był człowiekiem wielkich zasług i nauki, cenionym i ulubionym przez samego księcia. Jego też uważamy za praojca rodu; co do mnie jednak, dziwnie lubię tamtą bajeczną parę, po której została ta wierzba. Chciałabym razem z nimi mieszkać w starym zamku, prząść kądziel w długie wieczory zimowe lub słuchać, jak pan sędzia, czyta Pismo święte.

— Byli to dobrzy i rozsądni ludzie — rzekł nauczyciel. — Wszystko o tym mówi, co pozostało po nich. Miał słuszną pan sędzia, że nie chciał szlachectwa, jak cudzej szaty, kiedy jego własna najzupełniej mu wystarczała. A nie była mniej warta. Jak cenimy chlubne po przodkach pamiątki, które nam przypominają zarazem obowiązki nasze względem kraju i współbraci, tak szanować możemy herby i nazwiska praojców naszych, bo one nam mówią, jak oni swoją powinność pełnili i zachęcają, by wytrwać na czele, prowadząc innych naprzód, do wszystkiego co dobre i szlachetne. I tak pojęte szlachectwo trwa wiecznie, ale je często ludzie pojmują inaczej: jak próżność, błyskotkę, strój maskaradowy, w który się ubierają, aby błyszczeć, nie wiedząc nic o obowiązkach, nie rozumiejąc, że ten jest szlachcicem, kto szlachetnie myśli, kto szlachetnie czuje, kto własnym czynem na to zasługuje imię.

Dość długo jeszcze mówił nauczyciel, na przykładach wskazując przymioty prawdziwie szlachetnej duszy. Wystawiał pychę ludzi bogatych i próżnych, którym się zdaje, że cały świat dla nich został stworzony i urządzony następnie i że ludzie ubożsi istnieją dlatego, aby im służyć i dogadzać.

— Czyżby taki pyszałek mógł zdobyć się kiedy na prostą dobroć serca, której byłem świadkiem w domu poprzedniego mego wychowawca? Stary hrabia, pan licznych dóbr i licznej służby, siedział w otwartym oknie z książką w ręku i spostrzegł idącego przez dziedziniec nieznanego człowieka o kuli. Na dole w przedsiönku szwajcar go zatrzymał, lecz on wymienił nazwisko swoje, utrzymując, iż przyszedł tu w imieniu matki, która stale otrzymuje wsparcie miesięczne, a dzisiaj leży chora i przyjsć — nie mogła. Lokaj pokazał mu drogę na górę, ale pan hrabia już sam był w przedsiönku, chcąc oszczędzić kalece uciążliwej drogi po schodach do swojego gabinetu.

Szlachcic

To była rzecz bardzo prosta, bardzo prosta, ale mówiąca wiele. Zastosujcie ten przykład dla swoich znajomych, a pomoże wam nieraz ocenić prawdziwie stopień ich szlachetności.

Tymczasem fujarka była gotowa i małe towarzystwo wróciło do domu.

Tutaj zastali gości. Zjechali się sąsiedzi, przybyło kilka osób ze stolicy, damy w kosztownych strojach i klejnotach, młodzież i starsi. Rozmawiano o muzyce, postanowiono urządzić w salonie wielki koncert amatorski; młody baron wystąpił też z nową fujarką, ale ta grać nie chciała. Próbował syn i ojciec i żadnego tonu wydobyć z niej nie mogli.

Zdziwiony nauczyciel zaczął oglądać instrument, ażeby się przekonać, co to znaczy.

Przez ten czas goście grali i śpiewali, i każdy sam najbardziej zachwycał się swoją sztuką.

— Pan grasz na flecie? — zwrócił się nagle nieznajomy młodzieniec do nauczyciela. — I sam przygotowałeś pan sobie instrument? — ależ to genialne! Prosimy, prosimy! Szanowne panie i panowie, oto mistrz, który nas zabawić zechce grą oryginalną na prawdziwie wiejskim instrumencie! Tęgo w naszym programie brakowało, więc prosimy uprzejmie! Uprzejmie prosimy!

Otoczono go trochę przez ciekawość, trochę dla żartu. Młody człowiek grać nie chciał, choć lubił fujarkę i umiał wydobywać z niej tony serdeczne, lecz sam pan baron zbliżył się do niego i prosił w ten sposób, który przypomina rozkaz.

Wtedy prawie bezwiednie nauczyciel podniósł fujarkę do ust.

I nagle — co to? Z gałązki wierzbowej wyrwał się dźwięk potężny, niby świst lokomotywy, tylko daleko głośniejszy, silniejszy: „*Wszystko na swoim miejscu!*” Jak burza, jak huragan, zmiotły te słowa wszystko po drodze, wstrząsnęły murami pałacu, przebiegły ogród, w lesie zaszumiały echem i rozplynęły się na okolicę jak grom daleki.

Jedna sekunda, a ileż zmian wokoło! Z gości mało kto został w wielkiej sali. Pan baron zniknął! Znalazł się w owczarni. A owczarz obok służby w jedwabnych pończochach przy wspólnym stole. Bokiem patrzano na niego, ale nikt mruknąć nie śmiał po świeżej nauce. W sali została tylko młoda baronówna, stary sąsiad, pan możny, ale bardzo zacny, młode małżeństwo z bliskiej okolicy i nauczyciel domowy.

Resztę gości trudno było odnaleźć.

Lecz burza błyskawiczna nie tylko w pałacu baronostwa sprawiła takie zamieszanie: na kilka mil dokoła trudno było poznać mieszkańców pańskich siedzib, chat i dworców. Jakaś bogata bankierska rodzina, jadąca czwórką<sup>50</sup>, na prostym gościńcu wydmuchnięta została z własnego powozu; bogatego chłopca, któremu z szacunkiem kłaniali się sąsiedzi, znaleziono w rowie; dowcipnego młodzieńca, co tak natarczywie prosił nauczyciela o grę na fujarce — w kurniku, z całą paczką wesołej młodzieży.

Tak, to była fujarka bardzo niebezpieczna; na szczęście pękła, wydając dźwięk straszny i można było schować ją znów do kieszeni: wszystko na swoim miejscu!

Przez kilka dni nikt nie śmiał nawet się odezwać o tym, co zaszło, później szeptało cichutko. W wielkiej sali pałacu pozostały dwa portrety, które burza przeniosła tutaj z korytarza: mężczyzny w peruce i czerwonym fraku oraz kobiety z różą w pudrowanych włosach. Nikt ich poruszać nie śmiał, ale jakiś znawca ocenił, że są ręką mistrza malowane, więc je pozostawiono i kazano nawet pięknie odnowić.

Wszystko na swoim miejscu!

Mówią, że przyjdzie do tego kiedyś na świecie, który trwać będzie trochę dłużej od tej baśni.

## Stowik

Wiele lat upłynęło od zdarzenia, które wam chcę opowiedzieć, więc posłuchajcie, zanim ludzie całkiem o nim zapomną.

Wicie zapewne, że cesarz chiński jest Chińczykiem, zarówno jak jego doradcy i w ogóle wszyscy mieszkańcy tego kraju.

<sup>50</sup>czwórką jechać — jechać powozem zaprzęgniętym w czwórkę koni. [przypis edytorski]

Otóż pałac tego cesarza należy do najpiękniejszych gmachów w całym świecie: olbrzymi, wspaniałe i z najcieńszej porcelany, tak kruchej i delikatnej, że prawie dotknąć się jej nie można.

Dokoła pałacu rozciąga się ogród, pełen najrzadszych, najpiękniejszych kwiatów. Do tych ostatnich przywiązane są małe dzwoneczki ze szkła i srebra, które dzwonią, kiedy kto przychodzi, a to dlatego, aby nie zapomniał nikt spojrzeć na nie.

Tak mądrze wszystko było urządzone w ogrodzie chińskiego cesarza. A ogród ciągnął się bardzo daleko i sam ogrodnik nie wiedział na pewno, gdzie się kończy. Bo też naprawdę nie kończył się wcale, ale łączył z lasem ogrodowym, pełnym głębokich jezior i drzew starych, który dochodził aż do brzegów morza. Morze było błękitne i bardzo głębokie — do samego brzegu przypływać mogły wielkie statki i zatrzymywać się pod gałęziami drzew olbrzymich, prastarych.

Na jednym z nich, na niskiej zielonej gałązce, słowik uwił gniazdko i śpiewał co noc tak cudownie, iż ubodzy rybacy, którzy wypływali na morze dla zarobku, opuszczali sieci i siedzieli beczynn timer, zasłuchani w pieśń czarodziejską.

— Boże, jakież to piękne!... Boże, jak on śpiewa...

Z całego świata zjeżdżali się do Chin podróżni, aby obejrzeć cesarską stolicę, wspaniałe pałac i ogród cudowny, lecz kto z nich tylko usłyszał słowika, powtarzał bez namysłu:

— To najpiękniejsze ze wszystkiego.

Powróciwszy do ojczyzny, podróżni opowiadali o cesarzu, o jego pałacu i ogrodzie, o wszystkich cudach, które oglądali. Uczni pisali o tym wiele książek, w których podziwiali rzeczy piękne, „lecz słowik najpiękniejszy ze wszystkiego” — zapewniał każdy po kolei. Poeci układali nawet śliczne wiersze, chwając leśnego śpiewaka.

Książki te rozchodziły się szeroko po świecie, a niektóre zawędrowały do rąk samego cesarza chińskiego. Zasiadł w złocistej koronie na kosztownym krześle i kiwając głową z wielkiego zadowolenia, czytał o przepysznych pałacu swoim i ogrodzie.

„Ale słowik najpiękniejszy ze wszystkiego” — powtarzało się na każdej kartce.

— Co to ma znaczyć? — spytał cesarz zdziwiony. — Słowik? Cóż to takiego? W ogrodzie moim jest coś tak pięknego, że zachwycają się wszyscy podróżni, a ja dowiaduję się o tym z ich książek?

I zawołał natychmiast szambelana.

Był to dygnitarz tak dumny, że jeśli który z niższych od niego urzędników śmiał mu zadać jakie pytanie, odpowiadał tylko: — Hm! — co i po chińsku nic nie znaczy.

— Dowiaduję się z książek — rzekł cesarz — że w moim ogrodzie mieszka słowik, ptak cudowny, najpiękniejszy ze wszystkiego, co się w moim państwie znajduje. Dlaczego ja o nim dotychczas nic nie wiem?

— I ja nic o nim nie słyszałem — odparł pokornie szambelan. — Nie był dotąd u dworu przedstawiony.

— Więc żądam, aby dzisiaj został przedstawiony — rzekł monarcha. — Świat cały wie o skarbie, jaki posiadam, a ja jeden nic o nim nie wiem!

— Pierwszy raz o tym słyszę — powtórzył szambelan — ale się postaram odszukać go zaraz.

Odszukać? Gdzie go szukać? Biedny szambelan biegał bez wytchnienia po wszystkich salach, schodach, korytarzach, z dołu na górę i z góry na dół, wypytywał wszystkich — ale mu nikt nie umiał odpowiedzieć: nikt w pałacu nic nie słyszał o słowiku i nikt nie wiedział.

Wrócił więc do cesarza, zapewniając, że słowika nie ma na świecie, a w książce napisali widocznie nieprawdę.

— Wasza cesarska moc niechaj nie wierzy temu, co piszą w książkach — mówił z przekonaniem — wszystko to baśnie bez żadnego sensu i niebezpieczne kłamstwa.

— Ależ tę książkę przysłał mi sam Dalajlama — zawołał cesarz — więc baśni w niej nie ma, a kłamstwa być nie może. Chcę usłyszeć słowika. Żądam, aby dziś jeszcze został mi przedstawiony; obdarzę go najwyższą łaską. A jeżeli go nie znajdziecie, cały dwór po wieczery zostanie skazany na bambusową chłostę.

— Tsing-pe — odparł szambelan i zaczął na nowo przebiegać korytarze, sale, galerie i schody. Za nim biegł cały szereg dworzan i urzędników, gdyż nikt nie miał ochoty na bambusową chłostę.

Lecz nic nie mogli dowiedzieć się o słowiku, którego wielbił świat cały. W pałacu cesarskim nie wiedzano o jego istnieniu.

Na koniec zapytali o niego ubogą dziewczynkę, pomywaczkę u cesarskiego kuchcika, którą przypadkiem spotkano na drodze.

— Jakże bym mogła nie znać słowika? — odparła. — Jakże bym mogła nie znać jego śpiewu! Słyszę go co dzień, gdy niosę wieczorem resztki z kuchni dla chorej matki. Siadam wtedy w lesie albo nad brzegiem morza i słucham, słucham go bez końca i nie mogę odejść, bo tak mi przyjemnie i słodko, że łzy płyną z oczu, jak gdyby mnie matuchna całowała.

— Słuchaj — przerwał szambelan — dostaniesz miejsce nadwornej kucharki, i wyrobię ci prawo patrzenia przez szparę, jak cesarz obiaduje, jeśli nas zaprowadzisz do słowika, który musi być dziś wieczorem przedstawiony u dworu.

I natychmiast ruszyli wszyscy za dziewczynką do lasu, gdzie śpiewał słowik.

Uszli już dość daleko, kiedy ryknęła krowa.

— Oho! — zawołał z radością szambelan. — Słyszycie go? Co za siła w małym ptaszku. Istotnie, to zadziwiająco! Ale zdaje mi się, że go już słyszałem kiedyś.

— To krowa ryczy — rzekła mała pomywaczka. Do miejsca, gdzie mieszka słowik, jeszcze bardzo daleko.

Wkrótce w pobliskim błocie zarechotały żaby.

— Ach, jak ślicznie! — zawołał kapelmistrz nadworny. — Zupełnie jak szklane dzwonki!

— To żaby — odezwała się znowu dziewczynka — ale teraz zapewne usłyszymy go już niedługo.

Rzeczywiście niebawem rozległa się pieśń słowika.

— To on! — zawołała z radością dziewczynka. — Ach, słuchajcie, słuchajcie! Patrzcie, siedzi na gałązce!

I wskazała szarą ptaszynę pośród zielonych liści.

— Czyż to być może? — spytał zdumiony szambelan. — Nigdy nie przypuszczałem, aby słowik mógł mieć tak pospolitą powierzchowność. Chyba że stracił barwy pod wpływem wzruszenia, na widok tylu osób znakomitych.

— Słowiczku! — zawołała radośnie dziewczynka. — Nasz cesarz życzy sobie, abyś mu zaśpiewał.

— Z największą chęcią — odpowiedział słowik i zaśpiewał, jak mógł najlepiej.

— Jak dzwoneczki! Jak srebro! — powtórzył szambelan. — Bardzo pięknie, prześlicznie! Patrzcie tylko, jak to gardziołko pracuje! Przepowiadam, że u dworu będzie miał niesłychane powodzenie.

— Czy mam jeszcze zaśpiewać dla cesarza? — zapytał słowik, przekonany, że sam monarcha słucha jego pieśni.

— Najmilszy słowiku — przemówił szambelan — mam zaszczyt w imieniu cesarza zaprosić cię na dziś wieczór do pałacu, abyś mógł cudownym śpiewem zachwycić samego monarchę.

— Najlepiej lubię śpiewać w lesie — odparł słowik — lecz skoro cesarz żąda, stawię się wieczorem w pałacu.

W głównej sali porcelanowej przygotowano wspaniałe przyjęcie; ściany, sufit i podłoga, błyszczwały od świateł, w korytarzach ustawiono najpiękniejsze kwiaty, a dzwoneczki na nich dzwoniły tak głośno, że trudno było rozmawiać swobodnie.

Na środku sali, przed tronem cesarskim, umieszczono złoty pręcik dla słowika. Dwór cały był zebrany, mandaryni w galowych strojach, damy w toaletach balowych, nawet małej pomywaczce, która znalazła słowika, pozwolono patrzeć przez szparę, gdyż mianowaną została obecnie nadworną kucharką jego cesarskiej mości.

Wszystkie spojrzenia były zwrócone na ptaszka w szarych piórkach, siedzącego na złotym pręciku; sam monarcha skinął mu głową łaskawie.

Wtem słowik zaczął śpiewać. Śpiewał tak cudownie, że łzy błysnęły w oczach chińskiego cesarza i spłynęły mu z wolna po policzkach. Widząc to, słowik śpiewał jeszcze piękniej, głos jego przenikał serca i napępiał je weselem. Rozpromieniło się oblicze władcy i w uniesieniu radości obdarował śpiewaka własnym swym złotym pantoflem, który ptaszek odtąd mógł nosić na szyi.

Ale słowik podziękował za dar tak wspaniały.

— Jestem wynagrodzony dostatecznie — mówił — widziałem łzy w twoich oczach, o monarcho: to najwyższa nagroda dla śpiewaka. Łzy twoje mają cenę i wartość niezwykłą. Sam Bóg widzi, że hojnie zostałem wynagrodzony.

I znowu zaczął śpiewać, jeszcze rzewniej, jeszcze piękniej.

Cały dwór był w zachwycie. Damy w balowych strojach nabierały w usta wody i głośno przelewały ją w gardziółkach, co miało naśladować głos słowika; mandaryni i dworzanie kiwali głowami; nawet służba wyrażała zupełne zadowolenie, a to znaczy bardzo wiele, bo jej dogodzić — jak wiadomo — trudniej, niż najwyższym dygnitarzom.

Słowem, powodzenie śpiewaka było nieporównane.

Miał odtąd zostać na cesarskim dworze i zamieszkać w pałacu, w klatce złoconej, z której wolno mu było wylatywać na przechadzkę dwa razy dziennie i raz każdej nocy. Do posługi dano mu dwunastu lokai, a każdy do nóżki ptaka przywiązywał jedwabny sznurek, aby mu lepiej było latać.

W całym mieście nie rozmawiano o niczym, tylko o cudownym ptaku, i jeśli dwie osoby spotkały się na ulicy, to zamiast powitania, jedna z nich natychmiast wymawiała „sło” — druga kończyła „wik”. Dwunastu kupców imieniem słowika nazwało dzieci swoje, choć z tych „Słowików” żaden nie miał w gardle struny słowiczej.

Dnia pewnego cesarz otrzymał pakiecik z napisem: „Słowik”.

— Pewno nowe dzieło o naszym śpiewaku — rzekł zadowolony.

Lecz w pakiecie nie było książki, tylko słowik sztuczny, zrobiony bardzo dziwnie i misternie, a cały osypany brylantami, rubinami i szafirami.

Gdy nakręcono tę maszynkę, sztuczny słowik zaśpiewał zaraz pieśń długą i uczoną. Przy tym bardzo wspaniale poruszył ogonem, który się mienił blaskiem kosztownych kamieni. Na szyi miał jedwabną wstążeczkę z napisem: „Czymże jest słowik Dalajlamy w porównaniu ze słowikiem cesarza chińskiego!”

— Cudowny! Wspaniały! — wołali dworacy i ten, kto doręczył pakiet cesarzowi, otrzymał zaraz tytuł „Nadwornego Obersłowicznika jego cesarskiej mości”.

— A teraz niechaj razem zaśpiewają — rozkazał cesarz — będzie wspaniały duet.

Nakręcono sztucznego ptaka i miały śpiewać razem, lecz duet się nie udał, gdyż słowik sztuczny śpiewał podług przepisanej miary, a leśny śpiewak z serca i natchnienia.

— Ten nic nie winien — zdecydował kapelmistrz nadworny, wskazując sztucznego ptaka — doskonale trzyma się taktu, jak gdyby się wykształca w mojej szkole.

Nakręcono go więc do śpiewania solo i miał powodzenie nie mniejsze od słowika prawdziwego, a kosztownym, błyszczącym strojem bardziej zachwycał wszystkich.

Jedną i tę samą sztukę śpiewał trzydzieści trzy razy i nie zmęczył się wcale. Wszyscy słuchali go z wielkim zajęciem, lecz nie umieli jeszcze melodii na pamięć, gdyż była bardzo trudna. Chcieli nakręcić go raz trzydziesty czwarty, ale cesarz zażądał, aby teraz zaśpiewał słowik żywy.

...Lecz gdzież się podział?...

Niespostrzeżony wyfrunął przez okno i uciekł do swojego lasu zielonego.

— A to co? — pytał cesarz z niezadowolaniem.

— A to co? — powtórzyli natychmiast dworacy i zaczęli szemrać z głośnym oburzeniem, wyrzucając niewdzięczność słowikowi.

— Na szczęście lepszy ptak nam został — zdecydowali wreszcie.

Kazano go nakręcić po raz trzydziesty czwarty i wysłuchano znowu z poważnym skupieniem doskonałej i trudnej pieśni, której nikt jeszcze nie mógł się nauczyć.

Kapelmistrz nie miał dość słów na pochwałę misternego śpiewaka, który, jego zdaniem, wart był nieskończenie więcej od słowika prawdziwego, nie tylko z powodu pięknej i kosztownej powierzchowności, lecz głównie ze względu na znakomity wewnętrzny mechanizm.

— Raccie panowie tylko sami ocenić tę różnicę — mówił — ze słowikiem prawdziwym nigdy nie wiadomo, co zaśpiewa? jak zaśpiewa? Jest się na jego łasce. A w sztucznym wszystko stałe, jasno określone i wiadome. Można go otworzyć, obejrzeć walce i sztyfciki, zrozumieć, skąd się głos bierze i jakim sposobem.

I wszyscy byli tego zdania, a Nadworny Obersłowicznik otrzymał pozwolenie pokazania ptaka ludowi w najbliższe święto.

Wszyscy słuchali go z wielkim zachwytem i podnosili w górę palec wskazujący, wołając: — O! — potem się rozchodzili, kiwając głowami.

Tylko biedni rybacy, którzy słyszeli nieraz śpiew słowika, inaczej myśleli sobie.

— Ładnie śpiewa — mówili — ale czegoś mu brakuje. A czego? Sami nie wiemy.

Na słowika zapadł wyrok wygnania z granic państwa chińskiego.

Sztucznego ptaka umieszczono na jedwabnej poduszce u wezglowia cesarza. Otaczają go wszystkie kosztowności i dary, które otrzymał za pieśni; przyznano mu też tytuł: „Wielkiego śpiewaka jego cesarskiej mości” i pierwsze miejsce obok cesarza przy stole po lewej stronie, jako po stronie serca, to jest ważniejszej, gdyż i chiński cesarz ma też serce po lewej stronie.

Kapelmistrz nadworny napisał o nim dzieło bardzo uczone i pełne niezwykłych wyrazów w dwudziestu pięciu tomach; każdy je też kupował, wychwalał, aby o nim nie pomyślano, że jest nieukiem, który podobnych rzeczy nie rozumie.

Tak upłynął rok cały. Nie tylko dwór i cesarz, ale wszyscy mieszkańcy stolicy umieli już piosenkę słowika na pamięć, słuchano jej wszakże z coraz większą przyjemnością, gdyż każdy mógł wtórować teraz śpiewakowi. Przyśpiewywali też wszyscy: thiu, thiu, thiu! glu, glu, glu! śpiewali ulicznicy na ulicach, śpiewał i sam monarcha.

Ale pewnego wieczora, kiedy cesarz, leżąc w łóżku, słuchał znanej pieśni, nagle coś w ptaku brzęknęło, trzasnęło, zakręciło się, zawarczało trrr! i — umilkło.

Monarcha wyskoczył z łóżka i posłał natychmiast po nadwornego doktora. Cóż tu jednak poradzić mógł doktor? Udano się do zegarmistrza i ten, obejrawszy bardzo uważnie maszynkę i pokiwawszy głową w rozmaite strony, zdecydował, że ptaka naprawić jeszcze można, lecz zarazem zapowiedział, że trzeba oszczędzać go bardzo, gdyż śrubki się wytarły, a zastąpić je nowymi niepodobna.

Rozpacz! Tylko raz na rok można było teraz nakręcić słowika, a i ta próba zawsze była dla niego niebezpieczna. Toteż po każdej pieśni kapelmistrz nadworny ocierał spocone czoło i wygłaszał mowę, bardzo piękną i pełną najniezwykłych wyrazów, w której zapewniał, że śpiew sztucznego ptaka doskonalszy jest niż kiedykolwiek.

I znowu pięć lat upłynęło, kiedy niespodzianie na kraj spadło już teraz prawdziwe nieszczęście: cesarz zachorował ciężko i doktorzy zapewniali, że nie ma dla niego ratunku. Wybrano więc następcę i tylko lud, przywiązany szczerze do monarchy, gromadził się przed pałacem, dopytując o jego zdrowie.

— Hm! — odpowiadał mu tylko szambelan i potrząsał głową znacząco.

A cesarz leżał na wspaniałym łożu bładym i zimnym. Dwór cały miał go już za umarłego, więc pusto było w tej części pałacu; urzędnicy i mandaryni spieszyli do nowego władcy, bo on teraz rozdawać mógł łaski i skarby. Ze służby także przy nim nie było nikogo: lokaje i pokojówki, korzystając z chwilowego bezkrólewia, urządzili u siebie wspaniałe przyjęcie i rozpowiadali ciekawym o wszystkim, co wiedzieli i o czym nie wiedzieli wcale.

Wysłano dywanami wielkie sale i korytarze, aby kroków słyhać nie było, więc w pałacu panowała dziwna cisza, żadnym szmerem nie zakłócona.

Ale cesarz nie zmarł, choć leżał bezwładny na purpurowym łożu, osłonięty ciężką kotarą z purpurowego aksamitu ze złotymi łańcuchami. Przez otwarte okno w padał do pokoju jasny blask księżycy i oświetlał salę, postać cesarza i sztucznego ptaka na jedwabnej poduszce u wezglowia.

Pierś monarchy podnosiła się zaledwie słabym i męczącym oddechem, gdyż czuł na niej ciężar, niby kamień olbrzymi. Otworzył oczy, ażeby zobaczyć, co go tak okropnie przygniata i ujrzał — śmierć. Na jego sercu siedziała, koścista, w jego własnej koronie, z jego mieczem w dłoni, sztandarem w drugiej. Wszystkie cesarskie skarby mu zabrała, teraz odbierze życie.

A spoza fałd kotary ciężkiej, aksamitnej, wysuwały się dziwaczne postaci: jedne uśmiech-  
nięte, pogodne i jasne, inne okropne, straszne. Były to złe i dobre uczynki cesarza, które  
wróciły doń w godzinę śmierci, aby z nim razem opuścić tę ziemię.

Co chwila wychylały się spoza firanek i mówiły do niego.

— A pamiętasz o tym? — A to pamiętasz? — A nie zapomniałeś tamtej godziny?  
A tamto? A tamto?

I mówiły tak wiele, że choremu pot śmiertelny okrył czoło i nie wiedział, co począć,  
aby nie słyszeć ich więcej.

— Nigdy w życiu nie doznawałem takiej męki! — szeptał. — Ja nie chcę tego słyszeć!  
Muzyki! Muzyki! Bicie w wielki bęben chiński, abym nie słyszał ich głosów! Nie chcę  
słyszeć, co one mówią!

Lecz postaci spoza kotary śmiały się i mówiły ciągle, ciągle, bez ustanku, a śmierć jak  
Chińczyk, wciąż kiwała głową w złotej koronie.

— Muzyki! Muzyki! — powtarzał zmęczony monarcha. — Słowiczku mój złoty, ty  
mi zaśpiewaj! Ja cię tak kochałem! Obsypywałem cię podarunkami, własny pantofel na  
twojej szyi zawiesiłem! Zaśpiewajże mi teraz! Czyż mi nie zaśpiewasz?...

Ale ptak milczał. Nie było nikogo, kto by go nakręcił, więc bezduszna maszyna  
zaśpiewać nie mogła.

I śmierć tylko patrzyła na chorego pustymi otworami w czaszce, a dokoła panowała  
straszna i dręcząca cisza...

Wtem na zielonej gałązce za oknem rozległa się pieśń cudna; to prawdziwy słowik!

Dowiedział się o chorobie cesarza i zaraz przyleciał do niego z pieśnią nadziei i ukoje-  
nia. I śpiewał tak cudownie, że straszne widziadła pobladły i znikły, a krew coraz szybciej  
krążyła w sztywnych i stygnących członkach umierającego. Śmierć nawet sama kiwać się  
przestała i zasluchana, powtarzała tylko:

— Ach, śpiewaj jeszcze, śpiewaj!

— A oddasz mi cesarski miecz?... Cesarski sztandar?... Oddasz złotą koronę? — pytał  
słowik.

I śmierć oddawała zagrabione skarby jeden po drugim za pieśni cudowne.

A słowik śpiewał dalej, coraz rzewniej, piękniej. Śpiewał o nocy i ciszy cmentarza,  
gdzie kwitną białe róże na świeżej mogile, gdzie czeremcha rozlewa woń upajającą, a rosa  
leż ludzkich pada na trawę i kwiaty.

I porwana tęsknotą do ziemi ojczystej, śmierć się rozwiła w mgłę jasną i, lekka jak  
obłoczek, uleciała przez otwarte okno.

— O dzięki ci! — rzekł cesarz. — Dzięki ci, ptaku niebiański! Poznałem cię. Ja ciebie  
wygnałem z królestwa i granic państwa mego, a ty rozproszyłeś okropne widma, które  
mnie dręczyły i śmierć samą oderwałeś od mojego łoża. Jakże cię wynagrodzę?

— Już jestem wynagrodzony — odparł słowik. — Widziałem łzy w twych oczach,  
kiedy po raz pierwszy zaśpiewałem dla ciebie i tego nigdy w życiu nie zapomnę. Łza —  
to najdroższy klejnot dla śpiewaka, większej nagrody nikt mu dać nie może. — A teraz  
uśnij; sen powraca zdrowie; ja ukołyszę cię do snu piosenką.

I zasnął chory cesarz, uśpiony czarowną, słodką melodią pieśni, co płynęła z serca.

Promienie słońca zajrzały przez okno do sali porcelanowej i cesarz zbudził się silny,  
zdrowy.

Przy nim nie było nikogo: służba myślała, że nie potrzebuje już od niej posług —  
tylko na gałązce za oknem śpiewał słowik, prawdziwy przyjaciel, który nie szukał nagrody  
i sławy, lecz umiał kochać wiernie.

— Zostań przy mnie na zawsze — rzekł do niego cesarz — będziesz śpiewał wtedy  
tylko, gdy sam zechcesz, a sztucznego ptaka rozbiję na drobne kawałki.

— Pozostaw go — prosił śpiewak — wszak służył ci wiernie, o ile było w jego mocy.  
Ja w pałacu żyć nie umiem, nie mogę tu wic gniazda; ja potrzebuję swobody i lasu. Jestem  
śpiewakiem Bożym i nie mogę na tym świecie być niczym niewolnikiem, ani służyć na-  
wet najpotężniejszemu i najlepszemu z monarchów. Mogę być jednak jego przyjacielem.  
Co dzień wieczorem siadę na gałązce u twego okna i śpiewać ci będę, aby cię rozweselić  
i ukoić; moja piosenka zbudzi w twoim sercu przyjaciół prawdy, uczucia szlachetne, które  
dworacy sztucznie usypiają. Będę ci śpiewał o wszystkim, co ukrywają przed tobą. Mały

ptaszek lata wszędzie, wszystko widzi, zna ubogie chatki rybaków nad morzem i pracujących w pocie i znoju rolników, których ty, panie, nie widziałeś nigdy. Nad koronę twoją przekładam twe serce i do niego przemawiać będę w moich pieśniach. Przyrzec mi tylko jedno.

— Wszystko, czego zapagniesz! — odrzekł, wstając, cesarz i na znak przysięgi miecz złoty przycisnął do serca.

Wyglądał znowu wspaniale w bogatym cesarskim stroju, który sam dziś przywdział, słuchając głosu ptaka-przyjaciela.

— Nie mów nikomu o tym — dodał słowik — że jest ptaszek małej, który tobie tylko śpiewa pieśni miłości i prawdy. Wierz mi: tak będzie lepiej.

I słowik odleciał.

Do komnaty cesarskiej weszli dworacy i służba, urzędnicy i mandaryni; wszyscy przyszli pożegnać zmarłego monarchę, po raz ostatni spojrzeć na twarz jego.

Wtem stanęli zdumieni: cesarz stał ubrany, z mieczem, w koronie, zdrow, silny i wesoły.

— Witam was! — rzekł uprzejmie.

## Ślimak i róża

Nad rowem wyrósł szpaler leszczynowy, poza nim rozciągały się łąki i pola, a z drugiej strony był ogród, a w ogrodzie zakwitł krzak róży.

Pod krzakiem siedział ślimak i myślał o sobie.

— Zaczekaj — mówił — przyjdzie czas i na mnie, a wtedy się okaże moja wartość. Na coś lepszego jestem przeznaczony, niż dawać światu róże lub orzechy, a choćby mleko, jak krowy i owce.

— Bardzo bym chciała widzieć — rzekła róża — co pan da światu. Kiedyż to nastąpi?

— Nie potrzebuję się śpieszyć — odparł ślimak. — Wam tylko zawsze pilno. Zaczekajcie.

W następnym roku ślimak siedział znowu pod krzakiem róży, wygrzewając się na słońcu. Nad nim zwieszały się pączki i róże, pełne, świeże, pachnące. Ślimak wysunął się ze swego domku, wyciągnął różki i schował je znowu.

— Wszystko jak w zeszłym roku — rzekł niechętnie — żadnej zmiany ani postępu. Krzak różany wydaje róże i nic więcej!

Róże kwitły przez lato, do późnej jesieni, dopóki śnieg nie upadł. Wtedy krzaczek zasnął, a ślimak skrył się w ziemi.

Znów zawitał rok nowy, róże się rozwinęły, ślimak usiadł na słońcu, pod różanym krzakiem.

— Zestarzałeś się — rzekł, kiwając głową. — Zapewne uschniesz wkrótce, bo oddałeś światu wszystko, co mu dać mogłeś. Nie mam czasu się zastanawiać, czy twoje dary miały jakąś wartość, to tylko jasne jest dla mnie, że sam z siebie nie zrobiłeś nic nowego, pozostałeś tym samym kijem, jakim byłeś. Żadnej zmiany, ani postępu. Czy mię rozumiesz dobrze?

— Przerażasz mnie, ślimaku! — rzekła róża. — Nigdy się jeszcze nad tem nie zastanawiałam.

— Zdaje mi się, że w ogóle nie zastanawiasz się nigdy nad niczym — zauważył ślimak obojętnie. — Czy np. pomyślałaś kiedy o tym, po co kwitniesz? Jakim sposobem kwitniesz? I dlaczego w taki sposób, a nie inny?

— Nie — rzekła róża. — Kwitnę, bo kwitnąć muszę, bo to jest szczęściem, życiem. Słońce świeci i grzeje, powietrze mnie żywi, deszcz i rosa poi. Oddycham, czuję, żyję! Z ziemi płynie we mnie jakaś nowa siła, ożywcza i potężna; czuję się coraz szczęśliwsza i muszę kwitnąć. Inaczej bym nie żyła.

— Być może. Widzę, że ci dość wygodnie żyć w taki sposób, nic nie rozumiejąc.

— Dobrze mi — rzekła róża — tak wiele mi dano! Choć panu dano więcej. Zdaje mi się, że należysz do tych genialnych istot, których myśli świat zdumiewają.



— Mało sobie z tego robię — odparł ślimak. — Cóż mnie ten świat obchodzi? W sobie samym mam dosyć skarbów.

— Tak, zapewne — szepnęła róża — ale czyż wszyscy nie dajemy światu, co w nas jest najlepszego, na co możemy się zdobyć? Ja dawałam mu tylko różę, bo nic innego nie mam. Ale pan, który posiadasz tak wiele, co oddasz światu?

— Ja? Ja mu nic nie dam. A cóż on mnie obchodzi? Oddawaj sobie, moja droga, swoje różę, a leszczyna — orzechy, a owce — mleko; każde z was pragnie pochwał i wdzięczności, każde chce sobie zdobyć wielbicieli. A ja tym gardzę. Ja jestem sam w sobie. Co mam, to dla siebie i sam to ocenić najlepiej potrafię. Świat dla mnie nie istnieje i nie obchodzi mnie wcale.

To powiedziawszy, schował się do swego domku i otwór zasłonił śliną.

— Jaki on mądry! — rzekła róża w zamyśleniu. Szkoda, że nie bardzo go rozumiem. Ale to nic dziwnego, nie mam przecież takiej głowy. Nie mogę się też schować jak on do swego domku i muszę tu stać ciągle pod otwartym niebem i oddawać światu różę. Biedne różę! Więdną, tracą wonne płatki i wiatr nimi pomiata. Ale jedną śliczną dziewczyna włożyła do książki o złoconych brzegach, w której muszą być także piękne kwiaty, bo kiedy ją czytała, widziałam uśmiech na jej twarzy, a łzy przejrzyste w oczach. A drugą różę przypięła do piersi i dobrze jej tam było na gorącym sercu. A trzecią różę całowało dziecię i oddało ją matce. Czwartą złożono na trumnie staruszka, co kochał kwiaty. To wszystko daje mi radość i szczęście, krąży koło mnie jak błogosławieństwo. Lubię wspominać o tym — to jest życie!

Róża kwitła co roku i oddawała światu kwiaty swoje, tylko myśleć nie mogła, bo nie miała głowy, jak ślimak. A ślimak siedział w swoim ciasnym domku i rozmyślał o sobie. Świat nic go nie obchodził.

Wiele lat upłynęło.

Ślimak żyć przestał i w proch się zamienił. Przestała żyć i róża, a jej krzaczek także spróchniał, w proch się zamienił. Została po nim jedna tylko róża w książce ze złoconymi brzegami.

W ogrodzie jednak kwitną inne różę, a ślimaki wygrzewają się na słońcu i rozmyślają o swojej wartości. Świat nic ich nie obchodzi.

## Cień

W gorących krajach słońce pali tak okropnie, że skóra ludzka od jego promieni ciemnieje, aż staje się zupełnie czarna jak u murzynów.

Pewien młody uczonek z naszych stron północnych udał się w kraje gorące. O różnicy klimatu wiedział bardzo dobrze z książek, ale się wielu rzeczy nie domyślał. Nie przypuszczał na przykład, że w ciągu dnia, kiedy słońce świeci jasno, będzie musiał jak wszyscy tamtejsi mieszkańcy siedzieć zamknięty w domu. Wyglądało to, jakby wszyscy w mieście spali: zamykano okiennice, drzwi i bramy, zapuszczano ciężkie rolety. Na ulicach było pusto. Na tej ulicy zwłaszcza, gdzie zamieszkał nasz młody uczonek, niepodobna było wytrzymać: słońce świeciło na niej od rana do nocy i zdawało się biedakowi, że siedzi w rozpalonym piecu.

To gniewało go i męczyło, schudł i pobladł: nawet cień jego się skurczył i krył, jak mógł, przed słońcem czekając, aż zajdzie, aby odżyć znowu. Przyjemnie i zabawnie było patrzeć na to: ledwo wniesiono światło do pokoju, cień prostował się, wydłużał, grubiał, rozpościerał po ścianie i suficie. Musiał się wyciągać, aby nabrać sił i rozmiarów.

I uczonek młodzieniec też oddychał. Otwierał okna, siadał na balkonie, a gdy zgasły ostatnie zorze i gwiazdy zamigotały na niebie, zdawało mu się, że wraca do życia. Całe miasto także budziło się ze snu: na balkonach, które przy każdym mieszkaniu znajdują się w tych krajach, ukazywali się ludzie, ażeby odetchnąć trochę chłodniejszym powietrzem; ulica się zaludniała. Krawcy i szewcy siadali przed swymi sklepami, wynoszono krzesła, stoliki i światła, rozlegały się śmiechy i rozmowy. Tu idą na przechadzki wesołe gromady, strojne panie, panowie, tam ubożsi, spracowani robotnicy. Słychać śpiewy i krzyki. Cisną

Słońce

Cień

Miasto

się powozy, dzwonią dzwonki osłów. Tam prowadzą nieboszczyka z muzyką, śpiewami, biją w kościele dzwony. Pełno życia i wrzawy na ulicy.

W jednym tylko domu, właśnie naprzeciw mieszkania uczonego młodzieńca, dziwnie było cicho. A przecież ktoś tam mieszkał: stały kwitnące kwiaty na balkonie, musiał je ktoś podlewać, skoro nie pomdlały od słonecznego żaru; drzwi uchylano także przed wieczorem, choć w pokoju było ciemno, przynajmniej w tym od ulicy; a z głębi domu dochodziły ciche, słodkie dźwięki muzyki.

Młodzieńcowi wydawało się to cudownie piękne, być może jednak, że tylko mu się tak zdawało, gdyż wszystko podobało mu się w ciepłych krajach prócz palącego słońca. Chcąc się czegoś dowiedzieć o sąsiadach, dopytywał gospodarza swego domu, ale ten nic nie wiedział. Ktoś niezawodnie mieszkał naprzeciwko, kto — nie wiadomo. A co do muzyki, uważał ją za bardzo nudną.

— Ktoś się uczy jednej i tej samej sztuki; jedno i jedno w kółko. To nieznośnie nudne.

Razu pewnego uczonego młodzieniec zbudził się w nocy. Spał przy otwartym oknie i kiedy wiatr lekko unióś firankę, wydawało mu się, że na balkonie sąsiedniego domu widzi szczególne światło. Podniósł się na łóżku i spojrzął naprzeciwko: kwiaty na balkonie jaśniały dziwnym blaskiem, jak płomyki, a pomiędzy nimi stała prześliczna dziewczyna. I spostrzegł nagle, że to od niej bije ten blask cudowny, który go olśniewa.

Czy to nie senne złudzenie? Zerwał się z postania, odsunął firankę — ale dziewczyna zniknęła natychmiast, zniknęło dziwne światło, kwiaty nie płonęły niby żywe ogniki, choć wydawały się piękne jak zawsze. Drzwi do pokoju były uchylone i z wnętrza domu płynęła muzyka tak cicha, słodka, iż można było przy niej zapomnieć o rzeczywistości i marzyć, marzyć bez końca.

Prawdziwe czary. Ale kto tam mieszka? I którędy się wchodzi do tego mieszkania, bo od ulicy ani z boku domu nie ma bramy ani furtki, a dół zajmują same sklepy.

W kilka dni potem pewnego wieczora usiadł młodzieniec znowu na balkonie. Za nim w pokoju paliło się światło, więc też cień jego padał na dom przeciwległy. I siedział sam na balkonie pośród kwiatów, a gdy się uczonego poruszył, cień wykonywał takie same ruchy na tajemniczym balkonie.

— Zdaje mi się — pomyślał patrząc na to młody człowiek — że cień mój jest jedyną żyjącą istotą, która przebywa w tym szczególnym domu. Siedzi sobie między kwiatami, niby ich pan i właściciel, a ponieważ drzwi od pokoju uchylone, mógłby się zręcznie wsunąć i do środka, obejrzeć wszystko, co się tam znajduje i za powrotem opowiedzieć mi dokładnie.

— Tak, tak — rzekł żartobliwie — mój kochany cieniu, choć raz w życiu powinienesz przydać mi się na co. No, cóż? Idziesz? Dalej, śmiało, do środka!

I skinął głową. Cień skinął także.

— No, to idź, tylko nie baw tam za długo. Czekam na pana.

Podniósł się z krzesła, cień podniósł się także na przeciwległym balkonie; a kto by patrzył wtedy uważnie na wszystko, łatwo by dostrzegł, że w tej samej chwili, kiedy młodzieniec wchodził do swego pokoju i zapuszczał firankę, cień przez drzwi uchylone wsunął się do tajemniczego mieszkania.

Kiedy nazajutrz z rana młody człowiek wyszedł jak zwykle, aby przeczytać gazetę i wypić szklankę kawy, ze zdziwieniem spostrzegł, przechodząc ulicą, że nie ma wcale cienia.

— A to co? — rzeki zdziwiony. — Nie mam cienia? Czyżby wczoraj poszedł naprawdę i nie powrócił dotąd?

I rozniewało go takie zuchwalstwo.

Wieczorem usiadł znowu na balkonie i postawił światło za sobą w pokoju wiedząc dobrze że cień musi mieć przed nim tarczę ze swego pana. Ale cienia nie było. Podnosił się i siał, przeciągał, kurczył — nic nie pomagało. Chrząknął kilka razy głośno i to na nic.

To mogło go rozniewać.

Lecz że w gorących krajach wszystko szybko rośnie, więc po tygodniu zauważył z przyjemnością, że nowy cień zaczyna mu spod nóg wyrastać, kiedy idzie po słońcu; widocznie korzenie zostały. Po trzech tygodniach cień był całkiem przyzwoity, a gdy

Cień

Cień

wrócił z podróży do ojczyzny, nieodstępny towarzysz każdego człowieka był tak duży, że mógłby oddać połowę jego bliźniemu.

Powróciwszy do domu, uczony pisał książki o wszystkim, co na świecie poznał, co jest prawdą, co jest piękne i drogie. Tak upłynęło dni wiele, lat wiele.

Wiele lat upłynęło.

Uczony, już niemłody, siedział raz w swoim pokoju; wtem zapukano do drzwi.

— Proszę! — rzekł. Ale nikt jakoś nie wchodził.

Więc wstał, drzwi otworzył. Przed nim stał człowiek nadzwyczajnie chudy, który dziwnie mu się podobał. Zresztą był ubrany bardzo przyzwoicie i wyglądał na niepospolitą osobę.

— Z kim mam honor? — spytał uczony.

— Wiedziałem, że mnie pan nie pozna — odparł z uśmiechem obcy. — Bo też stałem się o tyle człowiekiem, że już mogę nosić ubranie. Nie spodziewał się naturalnie pan spotkać mnie w takim stanie? Czyż nie poznaje pan swojego cienia? Pewno pan nie przypuszczał, że powrócę kiedy? Ale powiodło mi się nadzwyczajnie, jestem dzisiaj bogaty i chciałem się wykupić.

Zadzzwonił kosztownymi brelokami, na palcu błysnął mu pierścion z brylantem, gruby, złoty łańcuch wisiał u zegarka.

— Nie mogę przyjść do siebie — rzekł uczony. — Co to ma wszystko znaczyć?

— Naturalnie, że to niezwykła historia — odrzekł cień z całą powagą — ale pan jesteś także człowiekiem niezwykłym, a ja od pierwszej chwili mego życia uczyłem się wstępować w twoje ślady. Nic też dziwnego, że skoro uznałeś, iż jestem zdolny iść o własnej sile, sam mnie w świat wyprawiłeś. Dziś mam świetne stosunki i majątek. Ale opanowała mnie tęsknota zobaczenia pana raz jeszcze nim umrzesz i odwiedzenia zarazem ojczyzny. Każdy ma przywiązanie do swojego kraju. Wiem, że masz pan cień inny, więc czy jemu, czy też panu mam dług spłacić? Racz powiedzieć mi bez ceremonii.

— Czy to naprawdę ty jesteś? — mówił tymczasem uczony. — To nie do uwierzenia! Nigdy bym nie przypuścił, że można swój własny cień spotkać jako człowieka!

— Powiedz mi tylko, ile mam zapłacić — nalegał gość — długów nienawidzę.

— Jak możesz o tym mówić? — rzekł uczony. — Nie wiem o żadnym długu. Jesteś wolny, jak każdy. Cieszę się niezmiernie, że ci się tak powiodło. Siadaj, stary przyjacielu, i opowiedz mi coś o sobie. I cóż tam zobaczył w tym domu zaczarowanym, który mi cię odebrał?

— Najchętniej to panu opowiem — rzekł cień, siadając — musisz mi jednakże przyrzec, że nikomu nie powiesz tutaj w mieście, iż byłem twoim cieniem. Widzisz pan, chcę się żenić. Stać mnie na to.

— Ależ bądźże spokojny, mój kochany — rzekł uczony serdecznie — nikomu ani słówka nie powiem, kim jesteś rzeczywiście. Masz na to moje słowo.

— Słowo — cień... — szepnął gość z dziwnym uśmiechem.

Można jednak było poznać, że on sam rzeczywiście nie jest już cieniem, ale prawdziwym człowiekiem. Ubrany był doskonale: miał czarny, wykwintny garnitur, krawat ciemny w najlepszym guście, cienkie lakierki, modny kapelusz, nie mówiąc o brelokach, brylantach w pierścieniu i kosztownym łańcuszku. Taki strój nie mógł przecież należeć do cienia.

— Więc posłuchaj pan — rzekł, wygodnie opierając swoje lakierki na ramionach nowego cienia, który niby pies wierny spoczywał u nóg swego pana. Gość chciał mu przez to może okazać swą wyższość, a może przykuć go mocniej do ziemi; ale cień nowy zniósł to pokornie, bez ruchu, nasłuchując w milczeniu, jakim to sposobem można się stać niezależnym.

— Wiesz pan, kto mieszkał w domu naprzeciwko? — przemówił wreszcie gość z uśmiechem. — To było najciekawsze. Wyobraź pan sobie — Poezja! Zabawiłem u niej trzy tygodnie, a to znaczy to samo, co żyć lat trzy tysiące i przeczytać wszystko, co stworzono i napisano. Mogę też powiedzieć śmiało: znam wszystko i wszystko widziałem na świecie.

— Poezja! — cicho powtórzył uczony. — Tak, ona często bywa samotnicą w wielkich i ludnych miastach. Poezja!... Tak, widziałem ją na mgnienie oka, choć sen mi ciążył

Cień

Sobowtór

Cień

Poezja

Poezja

jeszcze na powiekach. Widziałem jednak: stała na balkonie i jaśniała jak zorza północna, kwiaty ją otaczały, jak żywe płomienie. Opowiadaj, mój drogi, opowiadaj! Jakież to zajmujące! Więc co? Skoro wszedłeś przez drzwi wpółotwarte do pierwszego pokoju...

— To był przedpokój, panie. Mieliśmy jej przedpokój naprzeciw naszego balkonu. Tam nie było światła, tylko półmrok bardzo przyjemny, ale przez cały szereg drzwi otwartych widziałem mnóstwo komnat oświetlonych, coraz jaśniej, coraz wspanialej. Światło zabiłoby mnie niezawodnie, gdybym był lekkomyślny i chciał się zbliżyć do dziewicy, stanowiącej punkt, środkowy tego blasku. Ale jestem przezorny. Człowiek przede wszystkim musi być cierpliwy i przezorny.

— Więc cóżś w końcu ujrzał? — zapytał uczony.

— Wszystko, panie, i to ci pragnę opowiedzieć, ale... doprawdy to nie duma z mojej strony, lecz jako człowiek, z moim wykształceniem, nie mówiąc o stanowisku, majątku, stosunkach, doprawdy, chyba mam prawo wymagać, abys mi pan „ty” nie mówił?

— Ach, przepraszam! — rzekł uczony. — Rzeczywiście! To stare przyzwyczajenie, na które nie zwracałem uwagi. Masz pan zupełną słuszność, postaram się pamiętać o tym, tylko mi opowiedz wszystko, co widziałeś u Poezji.

— Najchętniej — rzekł cień — wszystko, bo wszystko wiem przecież i wszystko sam widziałem.

— Więc jakże tam było dalej? — Jak wyglądało jej mieszkanie? — pytał uczony z niezmiernym zajęciem. — Czy przypominało cichy gaj cienisty, czy świątynię? Czy niebo gwiaździste widziałeś nad sobą z tym uczuciem, że stoisz na wysokiej górze?

— Wszystko to, wszystko razem — rzekł cień. — Wprawdzie nie poszedłem dalej, bo, jak panu wiadomo, światło tam oślepia, lecz z przedpokoju wszystko widać bardzo dobrze. Wygodnie mi tam było w tym półmroku; widziałem wszystko i wiem teraz wszystko. Nie darmo przebywałem na dworze Poezji.

— Ale cóżś pan widział na nim? Czy bogowie przeszłości przechadzają się po wielkich salach? Czy przebywają w nich bohaterowie otoczeni blaskiem sławy? Czy niewinne dzieci igrają wesoło, opowiadając sobie sny cudowne?

— Zapewniam pana przecież, że tam byłem, więc musiałem widzieć wszystko, co godne było zobaczenia i dzisiaj wiem to wszystko. Pan na moim miejscu przestałbyś tam zapewne być człowiekiem, ale ja nim właśnie zostałem. Tam dopiero zrozumiałem swoją wartość i poznałem bardzo bliskie pokrewieństwo, jakie mnie łączy z Poezją. Służąc panu nigdy nie myślałem o tym, nie zwróciłem uwagi, jak dziwnie rosnę zawsze przy zachodzie lub wschodzie słońca, jak wyraźnie występuje moja postać w księżycowym oświetleniu. Teraz dopiero wszystko to stało się jasne i zrozumiałe dla mnie, tam też postanowiłem zostać człowiekiem.

Z tym postanowieniem wróciłem do pana, ale już wyjechałeś, porzucając mnie bez żadnej pomocy. Było to bardzo przykre; wstydzilem się jako człowiek chodzić bez obuwia i tych wszystkich dodatków, po których się ludzie poznają. Ale cóż było robić? Musiałem się puścić w drogę — mówię to panu w zaufaniu, wierząc, iż nie pomieścisz mojej tajemnicy w żadnej ze swoich książek — otóż wyruszyłem wreszcie pod fartuchem pewnej kucharki, która nie domyślała się nawet, kogo kryje w fałdach swej szaty.

Wychodziłem zresztą tylko wieczorami i przy blasku księżyca przebiegałem ulicę miasta. Rozciągałem się wtedy wygodnie po murach, wspinałem w górę, zaglądałem w okna, do parterowych mieszkań, na piętra, poddasza. Widziałem rzeczy, których nikt nie widział i doszedłem do przekonania, iż człowiek jest tak nędzną i lichą istotą, że nie warto ubiegać się o jego imię.

Nie jestem jednak zmienny, więc gdy raz zdecydowałem się wejść pomiędzy ludzi jako istota im równa, nie chciałem zrzekać się tego zamiaru. Widziałem i wiedziałem teraz wszystko, co się dzieje na świecie, więc mogłem z wiedzy tej korzystać. Gdybym zaczął wydawać pismo, byłbym się stał bogaczem w mgnieniu oka, bo wszyscy rozchwytaliby je na wyścigi, ażeby poznać tajemnice bliźnich. Lecz nie lubię skandalu, inną też obrałem drogę: pisałem prosto do tych, których tajemnice przeniknąłem i otoczyli mnie wszystkim, czego pożądałem. Przez obawę stali się mymi przyjaciółmi. Drżeli przede mną, lecz opowiadali, że mnie kochają. Fe, pogardzam kłamstwem, kazałem sobie też dobrze zapłacić za to, że raczyłem znosić ich obłudę. I krawcy dostarczali mi ubrania (jestem świetnie

Pozycja społeczna, Strach

zaopatrzone), uczeni i profesorowie wszelkich możliwych tytułów, odznaczeń, bogactw złota. Tym sposobem stałem się tym, czym dziś jestem.

A teraz do widzenia! Oto bilet wizytowy; mieszkam po słonecznej stronie, a podczas deszczu bywam stale w domu.

I wyszedł.

— Dziwne, dziwne zdarzenie! — powtarzał uczony.

I znowu upływały dni i lata.

Cień zjawił się powtórnie.

— Jak się pan miewa? — spytał.

— Ach — odparł uczony — źle mi się wiedzie. Piszę o wszystkim, co prawdą jest na świecie, co jest piękne i dobre, a nikogo to nie obchodzi. Doprawdy, jestem w rozpacz. To boli!

— Złą pan obrałeś drogę — rzekł cień z wielką powagą — patrz: ja tyję i mnie dobrze, a przecież o to chodzi. Nie umiesz żyć na świecie i dlatego jesteś chory. Trzeba się przejechać, podróż panu dobrze zrobi. Właśnie się wybieram w dalszą trochę drogę, może zechcesz mi towarzyszyć jako cień mój. Zgoda? Koszta biorę na siebie. Będzie nam bardzo przyjemnie.

— Pańska podróż długo potrwa? — zapytał uczony.

— To zależy. W każdym razie dla pana byłaby z pożytkiem. Zostań moim cieniem, a nic cię kosztować nie będzie.

— Ależ to szaleństwo!

— Tak bywa na świecie i tak będzie zawsze — rzekł cień na pożegnanie.

Coraz gorzej się działo uczonemu: gnębiły go zmartwienia i kłopoty, a jego piękne myśli, które oddawał ludziom, nie zwracały nawet uwagi. Ot — groch na ścianę.

W końcu zachorował.

— Wyglądasz pan jak cień — mówili ludzie, nie domyślając się, że przy tych słowach dreszcz przebiegał po ciele biednego człowieka.

— Trzeba się leczyć, jechać do wód, do kąpieli — powtarzał dawny cień, który go znowu odwiedzał. — To konieczne. Inaczej nie powrócisz pan do zdrowia. Po starej znajomości zabiorę cię z sobą, opiszesz za to naszą podróż i będzie nam we dwóch przyjemniej. Sam muszę jechać do wód, bo mi broda rosnąć nie chce, a to przecie choroba. Muszę koniecznie mieć brodę. Bądź pan rozsądny i przyjmij moją propozycję, jesteśmy przecież stworzeni dla siebie.

I pojechali razem. Cień był panem, a pan cieniem, lecz nikt się tego nie domyślał. Jeździli razem konno i powozem, przechadzali się, a zawsze uczony musiał iść obok, za albo przed cieniem, stosownie do położenia słońca. Cień zajmował miejsce główne, honorowe, ale uczony na to nie zwracał uwagi; był to człowiek dobrego serca i łagodny.

Raz przemówił serdecznie:

— Wzrosliśmy razem i jesteśmy dzisiaj nierozłączni, po co ten „pan” między nami? Czy nie lepiej jak przyjaciele mówić po imieniu?

— Mówisz pan rzeczywiście rozumnie i szczerze — rzekł cień — i powinienem równie szczerze ci odpowiedzieć. Jako człowiek uczony, wiesz najlepiej, jak szczególnie bywają usposobienia. Są ludzie, co nie mogą znieść zapachu róży, mdleją od tego, innych dreszcz przebiega na samo wspomnienie zgrzytu żelaza po szkłe; ja podobnego doznaję wrażenia, gdy ktoś do mnie „ty” mówi. Ten krótki wyraz wciska mnie do ziemi. To nie duma, jak pan widzisz, ale nadwrażliwość. Nie mogę. Dlatego tylko nie mogę się zgodzić, abys pan mi „ty” mówił, ale sam chętnie będę nazywał cię po imieniu i tym sposobem spełnię choć połowę twego życzenia.

I odtąd dawny cień mówił „ty” do swego pana.

— To jednak trochę za wiele! — pomyślał sobie uczony, ale nic nie odpowiedział i tak pozostało.

W miejscu kąpielowym pełno było gości, a pomiędzy innymi prześliczna królowna, która była chora na wzrok zbyt przenikliwy, co ją czyniło bardzo niespokojną.

Ujrawszy nowo przybyłych, poznała natychmiast, że różnią się od innych ludzi.

— Mówią, że tu przyjechał, aby mu broda wyrosła — rzekła sama do siebie — ale ja widzę jego prawdziwą chorobę: ten człowiek nie ma cienia.

To ją zaciekawiło, a że była królowną, więc nie robiła sobie z ludźmi ceremonii i na

Podróż

Cień

Pozycja społeczna

przechadźce pierwsza zagadnęła nieznanego.

— Pańska choroba polega na tym, że nie masz cienia — rzekła.

— Z radością widzę — odparł cień spokojnie — znaczne polepszenie w zdrowiu waszej królewskiej mości i cieszę się z tego niezmiernie. O wzroku chorobliwie przenikliwym nie może być już mowy, jeśli nie widzisz pani mego cienia. To bardzo pocieszające. Prawda, że cień ten także jest dość oryginalny, ale gdybyś była chora, poznałabyś go w jednej chwili.

— Jak to? — rzekła królowna, zadziwiona i ucieszona zarazem.

— Czy nie widzisz pani osoby, która nie odstępuje mnie ani na chwilę i zawsze jest po stronie przeciwległej słońcu? To mój cień. Różni się trochę od cienia innych ludzi, ale to jego zaleta. Lubię rzeczy oryginalne, pospolitych nie znoszę. Jeśli więc ubieramy służbę w kosztowną liberię, dlaczego nie miałbym ubrać cienia swego, jak człowieka? Pozwalam nawet, aby miał jeszcze cień własny. To są rzeczy kosztowne, ale stać mnie na to, a lubię oryginalność.

— Czyżbym rzeczywiście była uleczone? — pomyślała królowna. — Wprawdzie te wody mają cudowne własności, ale w każdym razie jeszcze nie wyjadę, gdyż podoba mi się tutaj towarzystwo, i czas mi wesoło upływa. Ten obcy książę — (bo musi to być książę!) — także bardzo zajmujący. Żeby mu tylko broda nie urosła, bo zaraz by wyjechał.

Wieczorem był bal świetny i królowna tańczyła z cieniem. Ona tańczyła lekko, lecz on lżej bez porównania; takiego tancerza jeszcze nie widziała. Rozmawiała z nim potem o swojej ojczyźnie, którą on zwiedzał podczas jej nieobecności; a że wszędzie ciekawie zaglądał przez okna, zarówno do pałaców, jak do zwykłych domów, więc mógł jej opowiedzieć wiele rzeczy, które ją ubawiły i zdziwiły.

— Musi to być niezmiernie wykształcony człowiek — pomyślała i zaczęła zwracać się do niego z nadzwyczajnym szacunkiem.

Tańczyli z sobą znowu i królowna zakochała się w cieniu zupełnie; chciała mu nawet powiedzieć, że wybiera go sobie na męża, ale się jeszcze powstrzymała. Była to osoba przezorna.

— Jest wykształcony — rzekła rozważając wszystko — to dobrze; tańczy cudownie — to też wielki przymiot; ale czy ma gruntowne wiadomości z nauk ścisłych? Pod tym względem trzeba go przeegzaminować.

I zadała mu zaraz tak trudne pytanie, że sama nie umiała na nie odpowiedzieć. Ale cień tylko uśmiechnął się dziwnie.

— Nie możesz mi pan na to odpowiedzieć? — dopytywała ciekawie królowna.

— Uczyłem się tego, będąc dzieckiem — odparł — i myślę, że cień mój nawet, który tam przy drzwiach stoi, odpowie ci, pani, zadowolająco.

— Cień pański? — powtórzyła zdumiona królowna. — To byłoby ciekawe!

— Nie rękę za to — rzekł cień — lecz przypuszczam. Od tylu lat nie rozłączamy się z sobą, słyszy wszystko, co mówię, więc mam prawo się spodziewać, że coś przy nim zostało. Zresztą możemy się przekonać. Tylko niech wasza królewska mość zwróci uwagę, że to nie cień zwyczajny, ale osobistość, która jest bardzo dumna z podobieństwa swego do człowieka; więc jeżeli mieć chcemy dobre odpowiedzi, musimy go wprowadzić w dobry humor, obchodząc się z nim jak z człowiekiem.

— Ależ to mi się niezmiernie podoba! — zaśmiała się królowna.

Podeszli razem do uczonego męża, który stał spokojnie we drzwiach i królowna rozpoczęła z nim rozmowę o księżycu, słońcu i pięknej naturze, o człowieku, jego życiu, duszy i dążeniach, a uczony odpowiadał pięknie i rozumnie.

— Co to być musi za człowiek, kiedy ma cień taki mądry! — pomyślała królowna. Prawdziwe, szczęście i błogosławieństwo dla kraju mego i poddanych, że wybiorę takiego męża.

Tak też uczyniła, lecz umówili się z cieniem zachować pod tym względem tajemnicę, póki królowna do swego państwa nie powróci.

— Tajemnicę zachowam nawet przed własnym cieniem — przyrzekał cień uroczyście i miał do tego poważne powody.

Wkrótce przybyli razem do ojczyzny narzeczonej.

— Posłuchaj, przyjacielu — rzekł wówczas cień do uczonego — jestem dzisiaj szczęśliwy i potężny, jak mało kto na tym świecie — chcę też coś zrobić i dla ciebie. Zrobię

Cień

Taniec

Taniec

Cień

nawet bardzo wiele. Daję ci w moim pałacu mieszkanie, będziesz jeździł ze mną w królewskim powozie i wyznaczam ci pensji sto tysięcy talarów rocznie; ale musisz za tę cenę nazywać się moim cieniem i nikt wiedzieć nie powinien, że niegdyś byłeś człowiekiem. Oprócz tego musisz raz na rok, kiedy będę z balkonu ukazywał się memu ludowi, leżeć u nóg moich niby cień prawdziwy. Bo widzisz, dzisiaj zaślubiam królową. Wieczorem nasze wesele.

— Ależ to szaleństwo! — zawołał uczony. — Na to się nie zgadzam i nie zgodzę nigdy! Chcesz oszukać królową i cały jej naród, a ja mam ci dopomagać! Nie, nie! Całą prawdę powiem jej natychmiast, powiem, że jest człowiekiem, a ty tylko cieniem, w suknie przebranym.

— Nikt ci nie uwierzy. Zupełnie szczerze radzę: bądź rozsądny, przyjacielu, nie zmuszaj mnie, ażebym wezwał pomocy straży.

— Idę wprost do królowy!

— To ja, mój kochany, a ty tylko do więzienia.

Tak się też stało rzeczywiście, gdyż straż była posłuszna narzeczonemu królowy.

Cień udał się do pokoju przyszłej żony.

— Drżysz? — zapytała go królowa. — Co się stało? Nie rozchoruje się dzisiaj, w dzień naszego ślubu!

— Straszna chwilę przeżyłem — odparł cień siadając — nic dziwnego, że nie mogę zapanować jeszcze nad wzruszeniem. Wyobraź sobie tylko: biedny mój cień zwariował! Co za przykrość! Zdaje mu się, że się stał człowiekiem i nie dość na tym — że ja jestem jego cieniem!

— Ależ to okropne! — szepnęła królowa. — Czy go uwięziono?

— Rozumie się. Biedny cień mój! Wątpię, czy kiedy odzyska przytomność.

— Biedny! — powtórzyła ze współczuciem królowa. — Co za nieszczęście! Dobrodziejstwem byłoby dla niego, gdyby mu teraz odebrano życie. I z drugiej strony... dla spokoju państwa... kto wie... ludzie nieraz tak łatwo się łudzą. Tak, zdaje mi się, że jest naszym obowiązkiem skazać go na śmierć dla spokoju państwa i jego własnego dobra.

— Smutna konieczność! Wierny sługa od lat tyłu — wdychał cień, niby głęboko zmartwiony.

— Jesteś szlachetny! — rzekła wzruszona królowa.

Wieczorem miasto było iluminowane, działa grzmiąły na wiwat, wojsko stało pod bronią, wesele było, co się zowie! Nowy król z piękną żoną ukazali się na balkonie, by dziękować ludowi za radosne okrzyki.

Nieszczęśliwy uczony ich nie słyszał. Więzienie było puste... Nie wiadomo, gdzie go pochowano.

## Dzwony

W wielkim mieście, wśród gwaru i wrzawy ulicznej, w chwili, gdy słońce kryło się za domy i tylko niebo jaśniało jak złote pomiędzy kominami, słychać było czasem dźwięk szczególny, podobny do odgłosu dzwonu. Zdarzało się to rzadko i na krótką chwilę, gdyż turkot głużył tajemnicze tony, a ludzie tak byli zajęci różnymi sprawami, iż nie zawsze zwracali uwagę na wszystko, co dokoła nich brzmiało. Dziś ten usłyszał ów dzwon, jutro inny, każdy spoglądał w górę i powtarzał: — Słońce zachodzi.

Ci jednak, którzy mieszkali za miastem lub byli przed wieczorem na przechadzce między małymi wiejskimi domkami, pośród pól i ogrodów, ci lepiej widzieli prześliczne niebo złoto-purpurowe i wyraźniej słyszeli odgłos dzwonu. I zdawało się wszystkim, że to dzwon kościelny, płynący z głębi lasu, który czernił się w oddali, i w tę stronę zwracali się wszystkie spojrzenia.

Na koniec ludzie zaczęli rozmawiać o tajemniczym dźwięku, który nie był przecież złudzeniem, choć nie wiadomo, skąd pochodził, skoro go słyszało tylu. Bardzo wiele osób żartowało z tej historii, dowodząc, że nigdy, pomimo uwagi, nigdy nie słyszeli podobnego głosu ani o zachodzie, ani o wschodzie słońca.

Cień, Szantaż

Państwo, Szaleństwo

Dźwięk

Dźwięk

— A jednakże coś dźwięczy — odpowiadali inni. — Tylko — czy to dzwony? Czy kościelne? Czy naprawdę płyną z tego cichego lasu? Dźwięk jest jakiś dziwny, dziwnie potężny, silny, chociaż niby daleki.

Można by to sprawdzić.

Bogaci i biedni zapragnęli jednocześnie udać się do lasu, jedni wyruszyli powozami, piechotą drudzy. Droga okazała się jednak daleka i wielu powróciło zniechęconych, a inni, znalazłszy się pośród zieloności i rozkosznego cienia, poprzestali na wypoczynku. Przyjemnie było leżeć na mchu miękkim, pod giętkimi gałązkami brzoź płaczących, przez które przedierały się promienie słońca. Jakiś cukiernik z miasta rozpiął tu swój namiot i sprowadził słodki towar. Drugi zrobił to samo, ale nad namiotem zawiesił dzwonek, bardzo zgrabny i świecący, aby mu wabił gości.

Po powrocie do domu wszyscy zapewniali, że wycieczka do lasu jest przyjemna; trzy osoby utrzymywały, że przebyły go aż do końca, nie zważając na utrudzenie i przeszkody; dźwięk dzwonu słyszały ciągle i wyraźnie, lecz tam zdawało im się, że pochodzi z miasta. Ktoś napisał nawet bardzo ładną piosenkę, porównując dzwon do głosu matki, śpiewającej dla swego dziecka.

Dowiedział się na koniec i król tego kraju o tajemniczym dzwonie, więc kazał ogłosić, że kto naprawdę wykryje, skąd płyną cudowne dźwięki, ten otrzyma tytuł „Najwyższego dzwonnika” nawet w takim razie, gdyby się okazało, że dzwonu nie ma wcale.

I znowu podążyło wielu w stronę lasu, lecz jeden tylko przyniósł pewne wyjaśnienie. Nikt nie przeniknął w puszcze dość głęboko i wielki wynalazca nie zbadał jej wnętrza, twierdził jednakże, iż słyszał głos dzwonu i poznał jego źródło. Jest to wielka sowa, jak utrzymywał, która zamieszkała w pustym pniu drzewa; stąd drzewo potęguje głos jej silnym echem. Trudno wszakże rozwiązać ciekawe pytanie, co mu nadaje takie podobieństwo do kościelnego dzwonu? Czy to przymiot sowy, czy też drzewa?

Sumienny badacz otrzymał tytuł zasłużony „Najwyższego dzwonnika”, i od tego czasu co rok wydawał dzieło uczone o sowie. Lecz wszyscy tyle wiedzieli, co przedtem.

Była wiosna. Dzień piękny, jasny i słoneczny. Gromadka dzieci, wesołych, niewinnych, biegła za miasto. Ukończyły trudny rok szkolny, rodzice byli z nich zadowoleni, nauczyciele także, więc czuli w duszy pogodę i błogosławieństwo, były szczęśliwe.

Wtem słońce pochyliło się nad widnokretem, a zza lasu wyraźnie dał się słyszeć dzwonek, donośny, czysty, dźwięczny.

— Chodźmy tam wszyscy razem! — zawołały dzieci. — Może go dziś znajdziemy.

Troje tylko nie chciało należeć do wyprawy: dziewczynka, która śpieszyła do domu, gdyż dziś przymierzyć miała pierwszą sukienkę balową; chłopczyk, który pożyczył szkolny mundur od przyjaciela, gdyż własnego nie miał, a teraz musiał zwrócić go przyjacielowi i drugi chłopczyk, który się tłumaczył, że nie może iść nigdzie bez pozwolenia rodziców.

Reszta wesoło ruszyła do lasu. Trzymali się za ręce i śpiewali głośno, na wyścigi z ptaszkami; chłopcy i dziewczęta, wszyscy się czuli równi w szkolnym koleżeństwie i wobec Boga; dusze mieli czyste, niewinne serca, więc byli tak szczęśliwi, jak może nigdy już potem na świecie.

Lecz dwie młodsze dziewczynki zmęczyły się wkrótce i wróciły do miasta; dwoje innych dzieci na brzegu lasu wołało pleść wieńce; inne skusił wreszcie namiot cukiernika.

— Jesteśmy w lesie, czyż nam tu nie dobrze? Po co się męczyć dłużej? Naprawdę przecież dzwonu żadnego nie ma, tylko sobie ludzie tak wyobrażają.

Wtem zabrzmiał uroczysty dźwięk taki potężny i tak cudownie czysty, że kilkoro dzieci wyrzekło się spoczynku, ażeby iść dalej za tym głosem. Było ich niewiele; w sercach trojga lub czworga ten dźwięk dziwny i tajemniczy przemówił silniej, niż wszystkie pokusy.

I poszli znowu.

Ale droga teraz była trudniejsza, a właściwie nie było nawet ścieżki. Musiały się przedzierać przez leśną gęstwinę, przez masę drzew splecionych kolczastą jeżyną, dzikimi malinami i powojem. Konwalie i storczyki rozlewały zapach upajający, słowiki śpiewały, a promienie słoneczne, niby złote strzały, padały przez gałęzie. Wspaniale tu było, uroczyste, świąteczne i dziko zarazem, bo wszystko rozwijało się swobodnie, bez woli i pomocy ręki ludzkiej.

Ptak

Dziecko, Szkoła

Dziecko, Uczeń

Dźwięk



W jednym miejscu leżały kamienie ogromne, mchem różnobarwnym niby kobiercem okryte. Czyste źródółko wytryskało z ziemi i jasna woda pluskała po głazach jak dzwonek szklany.

— I to także dzwonek — rzekł jeden z chłopców, kładąc się na ziemi. — Warto posłuchać.

Nie chciał iść już dalej, był zmęczony. Koledzy odeszli bez niego.

Bardzo daleko w lesie, na jednej polance, znaleźli dziwny domek z kory drzewnej i gałęzi, zbudowany dokoła rozłożystej, starej jabłoni. Wielkie konary drzewa rozpostarły się nad dachem jak ręce opiekuńcze, pełne błogosławieństwa i owocu; dzikie róże pięły po ścianach kolczaste, lecz kwieciste gałązki, a na szczycie drzewa zawieszony był mały dzwonek.

— Czyżbyśmy ten słyszeli tak daleko?

Wszyscy byli tego zdania, jeden tylko twierdził, że to być nie może. Dzwonek jest za mały, aby go słyszać było w takim oddaleniu i nie wydaje takich wzruszających dźwięków, jakie głos tajemniczy budził w sercach ludzi.

Ten, który utrzymywał tak, był królewiczem, więc inni powiedzieli, że dlatego chce być mądrzejszy od towarzyszy i mieć swoje zdanie.

Znowu się rozłączono. Wszyscy pozostali przy małym dzwonku na dzikiej jabłoni, ciesząc się szczerze ze swego okrycia, a królewicz sam jeden poszedł dalej. Otoczyła go cisza i samotność lasu i nappełniła mu serce uczuciem, którego nie znał dotąd. Z daleka słyszał lekki, przyjemny dźwięk dzwonka na jabłoni; czasem wiatr przynosił mu ton daleki, delikatny, cukiernickiego dzwonka z namiotu pod lasem, ale oba te głosy nie miały nic wspólnego z dźwiękiem oddalonym, silnym i potężnym, który w lesie brzmiał chwilami, niby organy, gdzieś na lewo, po stronie serca.

Nagle coś poruszyło się między krzakami i wysunął się ubogi chłopczyzna w krótkiej kurteczce i ciężkich sabotach. Był to ten sam, co nie mógł iść razem do lasu, bo musiał odnieść pierwaj pożyczony mundurak szkolny i skórzane buty. Nie wytrzymał jednak w domu, dzwon leśny wzywał go dzisiaj z niezwykłą potęgą.

— Chodźmy razem — rzekł królewicz do kolegi.

Ale ubogi małek wstydził się swego ubrania, więc powiedział, że nie może chodzić prędko, przy tym zdawało mu się, że dzwon brzmi na prawo.

— W takim razie nie spotkamy się zapewne — powiedział syn królewski i życzliwie skinął mu głową. Chłopiec szybko skierował się pomiędzy ciernie i najgęstsze zarośla i szedł za głosem serca, chociaż ostre kolce szarpały mu suknie, kaleczyły twarz i ręce.

I królewicz niejedną miał kresę na twarzy, ręce i nogi nosiły też ślady trudnej podróży, ale jasne słońce rzuciło mu promienie na obraną ścieżkę, więc dążył za nim śmiało.

— Muszę dzwon odnaleźć, choćbym zaszedł na koniec świata — mówił sobie. — Odnajdę go. Prędzej nie wrócę do domu.

Niestrudzony szedł dalej i dalej, powoli otaczały go dziwy nieznanne, niespotykane dotąd. Wielkie ptaki krążyły ponad jego głową, nawołując się głosem donośnym i przykrym; do małych podobne zwierzęta krzyczały z konarów drzew, groźnie wstrząsały pięściami, albo rzucały nań twarde owoce.

Dokoła znowu najdziwniejsze kwiaty: błękitne tulipany, purpurowe lilie, różowe narcyzy, jabłonie, okryte owocem przezroczystym i błyszczącym, niby mydlane bańki. A wszystko błyszczący, jaśnieje i pachnie. Na aksamitnej trawce igrają jelenie i sarny płocze, dęby i buki wznoszą dumne czoła, niby królowie lasu; tu ciche jezioro drzemie pod cienistymi konarami drzew starych, białe łabędzie mkną po nim leciuchno, podniósłszy skrzydła, jak żagle wydeptę.

I nieraz zatrzymywał się królewicz oczarowany pięknościami lasu i nasłuchiwał, czy nie znad jeziora płynie głos dzwonu?

— Nie, nie, jeszcze dalej — het, het z głębi lasu.

Wtem zgasły złote promienie słoneczne, wierzchołki drzew stanęły w ognistej purpurze, blask czerwony, jak ogień, rozlał się w powietrzu. W lesie zapanowała dziwna cisza.

— Słońce zachodzi! — szepnął wzruszony królewicz i upadł na kolana, ażeby zaśpiewać pieśń wieczorną na chwałę Pana.

Potem wstał smutny.

— Słońce się już skryło i noc nadchodzi. Nie znalazłem, czego szukam nadaremnie, może nie znajdę nigdy! Lecz słońce jasne jeszcze chcę zobaczyć chociaż na chwilę. Z tej wysokiej skały ujrzę je, zanim skryje się pod widnokrzem, pośpieszmy tylko.

Czepiając się korzeni i roślin kolących, wdiera się szybko na wilgotne skały, gdzie woda sączy się przez mech zielony, a ropuchy i żmije kryją pośród liści i popłątanych lodyg.

Śpieszy się, ale zdążył, zanim okrąg słońca zniknął pod horyzontem. I z piersi dziecka wyrwał się okrzyk zachwytu.

Przed nim, jak oko daleko zasięgnie, morze niezmierne, wspaniałe, bez końca, łśni purpurą i złotem, dąży do wybrzeży falą spienioną. A tam hen, daleko, gdzie błękitne niebo opiera swe brzegi na przejrzystej wodzie jak ołtarz purpurowy i złocisty, stoi płomienne słońce.

Morze, Słońce

I wszystko korzy się, niby w świątyni: niebo i ziemia, las śpiewa pieśń chwały, a w sercu dziecka brzmi potężnie druga, jak wichurująca się pod Boże stopy. Cała natura stała się nagle kościołem, wysłanym kobiercami żywych kwiatów, podpartym kolumnami drzew zielonych, o sklepieniu płonącym niby stos ofiarny, na którym blaski gasnące za chwilę nowe zastąpią światła, gwiazd miliardy.

Natura

Syn królewski wyciągnął ku niebu ramiona, a głos dzwonu słyszał wyraźnie nad sobą i w głębi serca. Teraz go zrozumiał! Teraz wie, skąd pochodzi i wie, że nie w każdym sercu ma echo równie silne i potężne, które iść każe za nim!

Obok siebie usłyszał jakby ciche łkanie i zwrócił się w tę stronę. Nie sam był tutaj: obok niego na kamieniu stoi ubogi chłopiec w krótkiej kurtce i drewnianych sabotach: po twarzy mu spływają łzy wielkiego szczęścia. I on wie, i on pojął!

Łzy

Uścisk serdeczny złączył ręce dzieci i stali tak, jak bracia, syn królewski obok uboższego chłopca w świątyni Bożej, gdzie jeden głos dzwonu wzywa wybrane serca.

Brat, Serce

## *Pod starą wierzbą*

Duńskie miasteczko Kjøge leży nad brzegiem morza na równinie piaszczystej, jednostajnej; las duży widać wprawdzie w oddaleniu, ale droga do niego ciężka i daleka, a za miasteczkiem ciągną się pola i łąki, ot, jak zwyczajnie na wsi.

Każdy wie jednak, że wszędzie można znaleźć coś ładnego, gdzie nam dobrze i miło i nieraz potem w najpiękniejszych krajach tęsknimy do zakątka, gdzieśmy się chowali szczęśliwie jako dzieci i wydaje się on nam piękniejszym od wspaniałych krajobrazów i ludnych stolic.

To samo można powiedzieć Kjøge. Mieszkańcom podobało się czyste miasteczko, z szeregiem małych ogródków nad rzeczką, tu właśnie wpadającą do zatoki. Kochali je, bo tu im upłynęło życie przyjemnie i szczęśliwie, jak dziecięce lata dzieciom sąsiadów, o których właśnie chcemy opowiedzieć.

Ogródki ich leżały tuż nad rzeczką; w jednym był bez wysoki, w drugim stara wierzba, trochę wypróchniała, lecz tutaj właśnie dzieci najlepiej bawić się lubiły, chociaż rosła nad wodą i łatwo któremu mógł się zdarzyć wypadek.

Ale nad dziećmi Bóg czuwa, bez tego któż by je upilnował?

Zresztą były ostrożne, a szczególnie mały Kanut, który tak lękał się wody, że nawet podczas lata nie można go było namówić, aby wszedł w morze. Inne dzieci lubiły pluskać się przy brzegu, wyśmiewały się też z niego, ale Kanut znosił cierpliwie ich żarty i nie przewycięzał trwogi.

Raz Joasi, córce sąsiada, śniło się, że sama płynęła czółenkiem, ale bała się i wzywała pomocy, a wtedy Kanut chciał się do niej dostać i wszedł odważnie w morze. Łódka była dosyć daleko od brzegu, więc woda dochodziła mu wkrótce do pasa, potem była po szyję, aż na koniec cały zniknął w niej z głową.

Sen Joasi w Kanucie dziwną obudził ambicję: nie pozwalał odtąd dzieciom wyśmiewać się ze swego strachu i dowodził, że tak samo zrobiliby, jak we śnie, gdyby Joasia na niego wołała. Nie próbowano sprawdzić tego zapewnienia, ale Kanut był dumny, jak gdyby naprawę spełnił czyn bohaterski.

Rodzice dwojga tych dzieci żyli z sobą w sąsiedzkiej zgodzie i przyjaźni, schodzili się też często w jednym lub drugim ogródku i rozmawiając patrzyli na pociechy bawiące się na ulicy lub nad rzeką, pod starą wierzbą. Tutaj najlepiej bawić się lubiły.

Środek miasteczka zajmował rynek dość obszerny, na którym podczas jarmarków ustawiano budy i kramy z trzewikami, wstążkami i wszelkim towarem. Tłok bywał wtedy straszny, a wedle zwyczaju zarazem deszcz i błoto, zapach koni, chłopskich kozuchów i smoły, lecz obok tego i zapach miodowy pierników, które rozkładano na wielkim straganie.

A najprzyjemniejsze było to, że człowiek, który sprzedawał owe prześliczne pierniki, corocznie podczas jarmarku wynajmował sobie izdebkę u rodziców Kanuta. Rozumie się, że przy okazji chłopczyk zarabiał na tym niejedną przysmaczek, a zawsze dzielił się tym podarunkiem z przyjaciółką swoją, Joasią.

Najbardziej jednak cieszyły się dzieci z przyjazdu „piernikarza” dlatego, że umiał opowiadać niezmiernie ciekawe historie o każdej rzeczy, nawet o piernikach. Raz wieczorem opowiedział obojgu prześliczną, której przez czas długi zapomnieć nie mogły.

Bo też nie była to zwykła historia, sami posłuchajcie tylko:

Na straganie leżały dwa śliczne pierniki: żółty chłopiec w kapeluszu i różowa pasterka bez kapelusza. Twarze miały zwrócone na bok i mogły się na siebie patrzeć, chociaż trochę zezem; ale oprócz tego chłopiec miał z lewego boku gorzki migdał, zamiast serca, dziewczynka za to była z najczystszeo miodu. Rozumie się, że wyglądali tak wspaniale tylko z tej strony, na którą się patrzy, bo drugiej i tak nie widać.

Chłopiec i pasterka leżeli obok siebie na straganie bardzo długo: nie sprzedawano ich, gdyż przeznaczone były na wystawę, jako najpiękniejsze. A ponieważ leżały obok, patrzyły wciąż na siebie i były bardzo piękne, więc się podobały sobie i pokochały się nawzajem. Tylko żaden z pierników nic nie mówił o tym drugiemu.

— On powinien odezwać się pierwszy, bo jest chłopcem — mówiła do siebie dziewczyna, ale nie wymagałaby nawet wyrazów, gdyby tylko wiedziała, że jest kochana nawzajem.

Chłopiec myślał inaczej: różowa sąsiadka bardzo mu się podobała i marzył, że jest bogatym paniczem, ma pełną kieszeń złota, więc ją kupuje dla siebie i zjada.

Kilka tygodni leżały pierniki na stole i bardzo wyschły; ale kochały się zawsze, tylko nic nie mówiły, co było całym nieszczęściem.

— Dobrze, że chociaż leżę koło niego i mogę na niego patrzeć — myślała pasterka.

Wtem — knak! — bardzo po cichu — i złamała się w pasie, gdzie była najcieńsza.

— Gdyby wiedziała, jak bardzo ją kocham, nie byłaby się może złamała tak prędko — pomyślał chłopiec.

— Taka była historia, a oto są oba pierniki — rzekł dobry kupiec i dał Joasi chłopca, który był jeszcze cały, a złamaną pasterkę Kanutowi.

Ale dzieci były tak bardzo wzruszone, że nie miały serca zjeść zakochanej pary.

Nazajutrz zabrały oba prześliczne pierniki i całą gromadą powędrowały aż na cmentarz. Tu ustawiły chłopca i dziewczynkę pod murem, który osłaniał kobierzec wiecznie zielonego bluszczu, i zaczęły opowiadanie. Dziewczyna, zaczepiona rękami o liście, wyglądała, jakby nie była złamana. Słońce padało na oba pierniki i cała powieść zdawała się jeszcze piękniejszą niż wczoraj wieczorem w domu.

Wszystkie dzieci słuchały zachwycone i milczące, a wtem spostrzegły, że najstarszy chłopiec — zapewne przez złośliwość — zjadł oba kawałki pasterki. Płakały po niej z żalu, a potem — z litości naturalnie, ażeby biedaka nie zostawić samego na tym świecie — zjadły i chłopca.

Historii jednak o wiernej miłości bez słów tej pięknej pary piernikowej nie zapomniwały nigdy.

Kanut i Joasia byli zawsze razem, nie umieli nawet bawić się oddzielnie, pod bzm lub starą wierzbą opowiadali sobie codziennie przygody, śpiewali i biegali. Joasia miała głosik niby srebrny dzwonek, Kanut śpiewać nie umiał, ale zawsze dobrze pamiętał słowa. I to coś znaczy przecie, a głos Joasi podziwiała sama właścicielka sklepu galanteryjnego i bardzo lubiła słuchać jej śpiewu z daleka.

Były to dni szczęśliwe. Ale nie mogły trwać wiecznie, bo wszystko się zmienia na świecie. Trzeba się było rozstać. Matka Joasi umarła, a ojciec zamierzał się ożenić powtórnie w stolicy, gdzie mu obiecywano korzystne zajęcie. Dzieci przy pożegnaniu płakały serdecznie, a rodzice przyrzekli sobie pisywać przynajmniej raz na rok.

Kanuta oddano także na naukę do szewca w Kjöge; za duży był chłopiec, aby mógł zbijać baki całymi dniami po ulicy.

Przy pracy często myślał o Joasi. Jakże by ją chętnie odwiedził w stolicy, która o pięć mil tylko była oddalona! W dni pogodne mógł nawet widzieć kościelne wieże, a złoty krzyż wyraźnie połyskiwał w słońcu.

Czy też Joasia o nim myślała nawzajem?

Na Boże Narodzenie rodzice Kanuta odebrali list ze stolicy. Dawny sąsiad zupełnie zadowolony był z miejsca, a Joasi powodziło się wybornie: jej piękny głos zwrócił uwagę i dostała miejsce w teatrze, a doświadczeni ludzie obiecują jej tam świetną przyszłość; i teraz nawet już trochę zarabia. Ze swoich oszczędności przysłała sąsiadom srebrnego talara, aby wypili jej zdrowie. Dopisała tę prośbę sama i dołączyła jeszcze „pozdrowienie dla Kanuta”.

Wszyscy płakali z radości i pili za zdrowie Joasi i jej ojca. Odtąd Kanut myślał o niej jeszcze więcej i pracował z takim zapałem, że igła nieraz kłuła mu palce głęboko. Ale to nic nie znaczy, głupstwo! Joasia o nim pamięta serdecznie, a on ją kocha i pragnie ją pojąć za żonę, skoro się tylko wyuczy rzemiosła i zostanie czeladnikiem. Wtedy powędruje prosto do stolicy i opowie jej o swych zamiarach, żeby nie powtórzyła się historia nieszczęśliwej pary pierników.

Nadszedł na koniec czas oczekiwany: Kanut był czeladnikiem i szedł po raz pierwszy w życiu do stolicy, do znajomego majstra. Co to będzie za radość zobaczyć Joasię! Już nie są dziećmi: ona ma lat 17, on o dwa lata starszy.

Chciał jeszcze w Kjöge kupić dla niej złoty pierścionek, ale się zastanowił, że w Kopenhadze muszą być ładniejsze.

Pożegnał więc rodziców, zarzucił na plecy niewielki tłumoczek i ruszył w drogę późnym wieczorem jesiennym, mimo drobnego i chłodnego deszczu. Porzucił swoje rodzinne miasteczko może na długo, lecz nie myślał o tym; liście spadały z drzew z cichym szelestem, błoto było na gościńcu, niebo szare.

Przybył do nowego majstra mokry i zablocony, ale z tym sobie poradził bez trudu, a nazajutrz dał się poznać przy robocie.

W niedzielę dopiero jednak mógł odwiedzić rodziców Joasi. Ubrał się też starannie, w nowy garnitur i kapelusz, chociaż dotąd chodził w czapce. Ale przecież był już teraz czeladnikiem. Znalazł dom, ulicę i po wielu schodach wszedł tak wysoko, że w głowie mu się zakręciło. Jak ci ludzie w stolicy mieszkają tak jedni na drugich!

W pokoju, do którego uszedł po zapukaniu, było czysto i dostatnio, ojciec Joasi przyjął go bardzo serdecznie, a żona jego, choć obca osoba, poczęstowała gościa szklanką kawy.

— To się Joanna ucieszy! — rzekł ojciec. — Tęgi chłopak wyrósł z ciebie i przystojny. No, i ty zobaczysz, co się z niej zrobiło. Niejedną już pociechę miałem z tej dziewczyny, a da Bóg, więcej się jeszcze doczekam. Teraz, choć mieszka przy nas, ma swój osobny pokoik i sama za niego płaci.

Zapukał do córki, jakby człowiek obcy, i wszedł razem z Kanutem. Tu dopiero było prześlicznie. Takiego pokoiku nikt by nie znalazł w Kjöge, i królowa piękniejszego mieć nie mogła. Na podłodze leżał dywan, okno zasłaniały długie, białe franki, kwiaty, na ścianach obrazy i lustro wielkie, jak drzwi. Przy stole fotel aksamitny — niby w pałacu.

Kanut objął to wszystko jednym rzutem oka, gdyż naprawdę nic nie widział prócz Joasi. Była zupełnie inna, niż ją sobie wyobrażał, lecz daleko piękniejsza. Żadna dziewczyna w Kjöge z nią się porównać nie mogła. W pierwszej chwili wydała mu się strasznie obca, ale to trwało tylko mgnienie oka i zniknęło zupełnie, kiedy z okrzykiem radości rzuciła się ku niemu. O mało co go nie pocałowała — powstrzymała się jednak: nie są przecież dziećmi. Och, ale ucieszyła się niezmiernie! Oboje lży mieli w oczach, kiedy stali naprzeciw siebie, trzymając się za ręce.

A potem tyle pytań! Tyle do opowiadania! O rodzicach, o starej wierzbie. O niczym nie zapomnieli. Nawet o piernikowych lalkach rozmawiali, ich starej miłości i okrutnym losie.

Joasia się śmiała, ale Kanutowi serce biło bardzo mocno. W każdym razie nie była dumna: na jej życzenie rodzice zatrzymali Kanuta na wieczór. Joasia sama nalewała mu herbatę, rozmawiała wesoło. Potem czytała głośno taką piękną książkę, jak gdyby ją wyjęła z jego serca. Na koniec zaśpiewała. Słuchając Kanut nie mógł się od łez powstrzymać, ale Joasia uścisnęła go za rękę i powiedziała:

— Jesteś dobrym chłopcem, masz serce. Takim zostań.

A ojciec przy pożegnaniu rzekł do niego:

— No, teraz nie powinieneś o nas zapominać. Spodziewam się, że zobaczymy cię niedługo.

— Aż za tydzień! — pomyślał Kanut, ale co dzień wieczorem, gdy skończył robotę, szedł na przechadzkę, naturalnie na ulicę, gdzie mieszkała Joasia. Miło mu było patrzeć na jej oświetlone okno, a raz nawet wyraźnie widział jej główkę przez szybę.

— W niedzielę jej powiem, że musi zostać moją żoną — myślał sobie. — Nie chcę, żebyśmy zmarnowali życie, jak piernikowe lalki. Jestem wprawdzie dopiero czeladnikiem, ale nie lękam się pracy i niedługo zostanę majstrem, a wtedy się pobierzemy.

Ale w niedzielę Joasia była zaproszona z rodzicami na wizytę i musiała mu o tym powiedzieć. Jaka szkoda! Miał widać bardzo smutną minę i Joasi żal się zrobiło biedaka.

— Zobaczymy się wkrótce — rzekła. — Pewno nigdy w życiu nie byłeś w teatrze? Czekaj, śpiewam we środe, więc przyślę ci bilet. Ojciec wie, gdzie mieszka majster, u którego pracujesz.

Dobra Joasia. We środe rzeczywiście przysłała mu bilet jak list w kopercie i Kanut po raz pierwszy był tego wieczora w teatrze.

Co tam widział, nie umiałby nawet opowiedzieć, ale Joasia śpiewała prześlicznie, choć była żoną jakiegoś obcego człowieka. Na żarty, naturalnie. Kanut dobrze to rozumiał, toteż razem z innymi krzyczał i klaskał w dłonie, okazując jej przez to, jak mu się podoba.

Podobała się wszystkim. Sam król uśmiechał się do niej w swej łoży i Kanut uczył się strasznie nieśmiały, taki oddalony i maleńki.

Odzyskał jednak prędko śmiałość i odwagę: przecież ją kochał najbardziej na świecie i gotów dla niej pracować do śmierci, żeby jej było dobrze. I ona kocha go też niezawodnie, tylko muszą rozmówić się zupełnie szczerze, żeby znów tak nie było, jak z owymi piernikami. On jest mężczyzną i powinien odezwać się pierwszy.

Z takim postanowieniem wybrał się w niedzielę. Szedł jak do kościoła. Joasię zastał samą i to go bardzo ucieszyło.

— Dobrze, żeś przyszedł — rzekła — chciałam nawet posłać po ciebie, ale się spodziewałam, że dziś będziesz. Muszę powiedzieć ci o ważnej rzeczy: wyjeżdżam w piątek do Paryża. Muszę się uczyć, żeby coś ze mnie było.

Biedny Kanut oniemiał z żalu i zdziwienia, lecz Joasia serdecznie wzięła go za rękę i zaczęła pocieszać. Mówiła, że się uczyć musi, aby być wielką śpiewaczką i zarabiać dużo pieniędzy, i żeby wszyscy zawsze ją chwalili.

Wtedy Kanut przemówił także, powiedział, jak ją kocha i jak bardzo pragnie, żeby została jego żoną. Nie potrzebuje wcale zarabiać pieniędzy, bo on dla niej pracować będzie życie całe, a pochwały obcych ludzi — cóż to warte?

Joasia zasmuciła się tym bardzo, a kiedy skończył, rzekła:

— Nie myśl o tym, Kanucie. Bylibyśmy oboje nieszczęśliwi. Ja cię bardzo, bardzo kocham, jak rodzona siostra, ale nie chcę być twoją żoną, bo wcale nie pójdę za mąż: chcę być tylko sławną, śpiewaczką, żeby mnie na całym świecie wszyscy podziwiali.

Wtem weszła do pokoju macocha Joasi i spojrzała, ze zdumieniem na bladą twarz Kanuta.

— Kanut tak się zmartwił, że wyjeżdżam — rzekła Joasia, jakby o niczym innym nie mówili. — No, bądź rozsądny, mój poczciwy chłopcze, jak zawsze byłeś w Kjöge, czy pamiętasz? Pod naszą starą wierzbą!

Nie pozwoliła mu odejść do domu, sama nalewała herbatę i podawała ją gościowi; potem śpiewała dla niego.

— Zegnam cię, dobry, kochany braciszku — rzekła na pożegnanie — najlepszy towarzyszu moich lat dziecięcych!

I łzy popłynęły jej po twarzy.

W piątek odpłynęła do Francji, a Kanut został w Kopenhadze.

Koledzy się dziwili, że taki posępny, wyśmiewali się z niego, namawiali do zabawy, do rozrywki.

Więc poszedł z nimi raz jednego do sali, gdzie się zbierano na tańce. Wszyscy się weselili, ale on był smutny, męczyła go zabawa i drażniła, widział Joasię ciągle koło siebie i na koniec uciekł do domu.

I w domu było smutno. Cały świat wyglądał okropnie i ponuro. Kanutowi się zdawało, że jest na pustyni.

Była zima. Ziemia i wody zamrzły, świat stał się białą i cichą mogiłą.

Lecz gdy wróciła wiosna, ogarnęła chłopca wielka tęsknota i silne pragnienie iść w świat daleki. Spakował swój tłumoczek i wyruszył w drogę. Tylko nie do Francji!

Udał się na zachód i szedł od miasta do miasta, coraz dalej i dalej, bez wytchnienia, aż zaszedł do starożytnej, pięknej Norymbergi. Tu zapragnął odpocząć.

Zachwyciło go miasto malownicze, jak wycięte z obrazka, niepodobne do żadnego, które widział dotąd. Prostej ulicy nie było tu wcale, domy ani myślały stać w równych szeregach, ganki, wieżyczki, gzymsy, posągi, filary wyskakiwały z nich na wszystkie strony, a wysoko rozpościerały się rynny i zlewy, niby bajeczne smoki, aż do środka ulic.

Na rynku jakaś dziewczyna czerpała wodę ze studni otoczonej kamiennymi figurami i podała zmęczonemu chłopcu czysty napój: pęk róż miała w ręku, więc dała mu jedną. To wydawało się Kanutowi dobrą wróżbą.

W kościele odezwały się nagle organy takim znajomym dźwiękiem, jakby pochodziły z Kjöge. Kanut wszedł do świątyni. Cicho tutaj było i uroczyste: promienie słoneczne przez różnobarwne szyby wpadały smugami i krzyżowały się pośród wysmukłych, w górę strzelających kolumn. I wielka, uroczysta cisza przeniknęła aż do serca Kanuta. Został w Norymberdze.

Majster jego mieszkał w małym, malowniczym domku, za starymi murami, które stoją dotąd nad kanałem, oblewającym piękne miasto: bzy rozrastały się nad niskim domkiem i zagłądały do małego okna, w którym pracował Kanut.

Tutaj przebył lato i zimę, lecz na wiosnę powędrował znowu dalej. Bez był winien wszystkiemu: pachniał tak zupełnie, jak w ogrodach w Kjöge i zanadto przypominał mu ojczyznę. Przeniósł się więc w głąb miasta, gdzie bżów nie było wcale i u innego majstra znalazł pracę.

Warsztat jego teraz znajdował się blisko starego, kamiennego mostu, koło wodnego młyna, wiecznie szumiącego bystro spadającą falą. Wszystkie domy skupiały się tutaj w gromadkę i wysunęły naprzód swoje ganki i figury, jakby je chciały rzucić w nurty rzeki. Tu nie było ogrodów ani zieloności, nawet kwiatka w doniczce w żadnym oknie, ale naprzeciw szewskiego warsztatu rośla nad wodą wielka, stara wierzba, tuląc się do ścian domu, jak gdyby się bała, aby nie porwały jej szumiące fale. Giętkie gałęzie drzewa zwieszały się na dół i przeglądały w chłodnej, czystej wodzie, zupełnie tak samo, jak w Kjöge.

Prześladowały go widocznie drzewa; wieczorem zwłaszcza, przy świetle księżyca, stara wierzba wyraźnie zwracała ku niemu swoje zielone i wiotkie gałęzie. Coś nieokreślonego płynęło z niej wtedy prosto do serca.

Kanut jej nie cierpiał. Nie mógł patrzeć na nią dłużej i pożegnał majstra. Powędrował w świat dalej.

O Joasi nigdy nie mówił nikomu, ale nie mógł zapomnieć o niej. I stara historia piernikowej pary dziwnie często snuła się przed nim. Zdawało mu się teraz, że ją rozumie lepiej. Chłopiec miał gorzki migdał zamiast serca, a czyż jego serce nie było też gorzkie? Żle mu było na świecie, nie mógł znaleźć kąta, gdzie by odpoczął spokojnie, gdzie by go nie ścigały wspomnienia i drzewa. Duszno mu było; rozluźniał rzemienie swego tłumoczka, lecz to nic nie pomagało.

Dopiero widok gór sprawił mu ulgę. Leżały przed nim, niby skrzydła ziemi, złożone do spoczynku. Czy je rozpostarła kiedy? Czy próbowała na nich wlecieć aż do nieba, ale opadła jak bańka mydlana?

I patrzył na szeroki, rozległy krajobraz gór, lasów, chmur i jezior, szczytów i przepaści!

Szedł wciąż dalej; doliny wydawały mu się jednym szeregiem owocowych sadów; gdy przechodził, dziewczęta zajęte robotą, przyjaźnie pozdrowiały go skinieniem głowy,

śnieżne szczyty płonęły o zachodzie słońca; a gdy wśród ciemnych lasów ujrzał błękitne jezioro, wydawało mu się, że czar jakiś przeniósł go nad brzeg morza w Kjöge.

I ogarnęła go znowu tęsknota, ale bez bólu.

Gdzie Ren szumiące fale rzuca w przepaść, która zamienia je w mgłę przezroczystą, w śnieżne obłoki i w świat je wysyła, jakby tu było ich gniazdo rodzinne — gdzie tęcza siedmiobarwne wstęgi rozwiesza nad przepaściami: tam Kanut widział młyn na rzece w Kjöge, gdzie woda także burzy się i szumi.

Zostałby może chętnie w tej pięknej dolinie, ale za wiele wierzb i bzów tu rosło — więc poszedł dalej. Wdzierał się wytrwale na szczyty śnieżne, na urwiste skały, przebywał drogi, jak gniazda jaskółek nad przepaściami czarnymi wiszące. W głębi szumiały potoki srebrzyste, chmury się przesuwają pod jego stopami, deptał po ostach górskich i różach, i śniegu, aż z północnego skłonu przedarł się na stoki gór południowe i wstąpił w krainę wiecznie zielonych drzew, winnic i słońca. Powitały go wonią kwitnące kasztany, pola kukurydzowe i żyzne doliny. Góry zostały za nim, niby mur wysoki, który oddzielał go od wspomnień dawnych.

Zatrzymał się przed wielkim i wspaniałym miastem, które zowią Mediolanem. Robotę znalazł łatwo u dobrych staruszków, którzy się przywiązali prędko do cichego i pobożnego chłopca. Niewiele on mówił, lecz pracował dzielnie, gdyż jakiś wielki ciężar spadł mu tutaj z serca.

Wszystko tu było nowe, a takie odmienne, że w nim budziło podziw i zdumienie. Marmurowe kościoły, wieżycy, posągi zdawały się ze śniegu czystego wykute; nad nim błękitne niebo, a dalej zielona, nieskończona równina, od północy tylko zasłonięta szeregiem niebotycznych szczytów.

I przychodził mu na myśl kościół z czerwonej cegły, obwieszony festonami zielonego bluszczu — tam, na północy, w Kjöge. Nie tęsknił do niego, woli być pochowany tutaj, w górach.

Rok upłynął w ten sposób. Od trzech lat opuścił już kraj rodzinny, lecz nie myślał o tym; nie powróci tam nigdy.

Razu jednego majster, poczciwy staruszek, który serdecznie polubił Kanuta, zabrał go z sobą na wielką operę. I w teatrze jest sala, którą poznać warto!

Prawda, że warto! Jasno, jak w dzień biały, piętra się wznoszą jedne nad drugimi, aż pod sklepienie, a dokoła w łóżach damy strojne, z kwiatami, panowie, muzyka — wszystko jak w Kopenhadze, tylko daleko piękniejsze; lecz tam — była Joasia...

I tu jest Joasia! Czy to czary?... Podniosła się wielka zasłona i stoi przed nim w jedwabiach i złocie, w złotej koronie, a śpiewa! — tak chyba w niebie Boże anioły śpiewają! To ona, ona! Uśmiecha się, patrzy prosto na niego.

— Joasia! — krzyknął Kanut, chwytając za rękę starego majstra.

Szewc spojrzął na afisz.

— Tak, Joanna — rzekł cicho, pokazując palcem jej imię i nazwisko.

Ludzie krzyczeli i klaskali w dłonie, rzucali wieńce i kwiaty na scenę, wywoływali ją, skoro odeszła — musiała wracać znowu.

Na ulicy tłum cały otoczył jej powóz, ciągnął go zamiast koni. Kanut ciągnął także i krzyczał wraz z innymi; krzyczał głośniejszemu od nich; a, kiedy zatrzymano się wreszcie przed domem wspaniałym, oświetlonym, on otworzył drzwiczki, przez które wyskoczyła lekka, jasna, uśmiechnięta... Joasia. Dziękowała spojrzeniem i skinieniem głowy, była wzruszona. Kanut stał tak blisko, patrzył jej prosto w oczy; i ona spojrzała na niego, uśmiechnęła się wdzięcznie — lecz go nie poznała!

Jakiś pan z gwiazdą błyszczącą na piersi podał jej rękę i zniknęli razem na marmurowych schodach, wśród blasku i kwiatów.

Kanut wrócił do domu, spakował tłumoczek i zebrał się do drogi. Powróci do ojczyzny, do bzów, do starej wierzby. Przeżył już całe życie.

Poczciwi staruszkowie chcieli go zatrzymać, prosili, aby został, zwracali uwagę na bliską zimą; śnieg upadł już w górach.

Lecz Kanut się nie lękał: drogę znajdzie zawsze, a kij w rękę to przyjaciel.

I poszedł.

Szedł znowu długo przez góry i skały, po ciężkich drogach; sił ubywa prędko, ale przed sobą nie widzi miasteczka, ani osady ludzkiej. I nikogo. Tylko gwiazdy nań patrzą

z wysokiego nieba. A spoczynku już pragnie: nogi mu odmawiają posłuszeństwa, w głowie się kręci. Nagle w dolinie pod nim błysnęły gwiazdy. Czy to w jeziorze niebo się przegląda? Coraz ich więcej i coraz jaśniejsze; zmieniają miejsca. To małe miasteczko!

Ta pewność sił dodaje Kanutowi. Już niedaleko! Otóż i oberża: mała, uboga, ale dla niego wystarczy.

Noc i dzień w niej przepędził, gdyż potrzebował wypoczynku. Był chory, a deszcz padał, drogi się popsuły, ciężko iść dalej.

Lecz na trzeci dzień rano przyszedł wędrowny muzykant z katarynką i zagrał melodię, która tak żywo przypominała mu ojczyznę, że tu dłużej wytrzymać nie mógł.

I znowu ruszył na północ, a szedł z takim pośpiechem, jak gdyby się obawiał, że zanim powróci, wszystkich mu śmierć zabierze. Nie mówił do nikogo o swojej tęsknocie, i nikt nie wiedział, co się działo w jego sercu, szedł przecież obcy pomiędzy obcymi, do swoich, do swej wioski dalekiej nad morzem, tam na północy.

Wieczór się zbliżał. Mróz wzmagał się z wolna, kraj był coraz równiejszy: pola, łąki, drogi. Przy gościńcu rosła wielka, stara wierzba; wyglądała tak dziwnie swojsko — jakby tamta.

Kanut był znużony, więc usiadł pod drzewem; potrzebował odpocząć — głowa mu ciążyła, oczy się zamykały. Zauważył jednak, jak troskliwie stara wierzba otuliła go swymi gałązkami — jak najtroskliwszy ojciec!

Bo też to była tamta! Wzięła go na ręce i niosła teraz jak małe dziecko do ojczyzny, do Kjöge, na znajome, piaszczyste wybrzeże, gdzie biegał dzieckiem. Tak, to była ona, ta sama wierzba. Wyszła naprzeciw niego, bo długo nie wracał i znalazła go wreszcie i przyniosła sama do małego ogródka nad rzeczką, gdzie czeka już Joasia w złocistej koronie i wita go z daleka radosnym okrzykiem.

A oto znowu jakieś dwie postaci, podobniejsze do ludzi, niż przed laty. Szczególniej się zmieniły! To chłopiec z piernika i jego ukochana. Piękną stroną odwrócili się do niego, trzymając się za ręce.

— Dziękujemy ci — rzekli — nauczyłeś nas mówić i otośmy zaręczeni!

Idą przez ulicę razem, ręka w rękę, wprost do kościoła w Kjöge. Kanut i Joasia idą tuż za nimi, trzymając się także za ręce. Widać czerwone mury, bluszczem obwieszzone, drzwi otwarte szeroko, słychać organy, światła płoną na ołtarzu.

Orszak przez główne wejście wchodzi do kościoła.

— Państwo naprzód! — odzywa się chłopiec z piernika i ustępują miejsca Kanutowi, który z Joasią klęka przed ołtarzem. Joasia schyla wdzięcznie śliczną główkę, a z oczu jej spływają łzy, jak perły szronu. To lód, który niegdyś zamroził jej serce, a teraz stopniał pod tchnieniem wytrwałej, wiernej miłości. Te łzy zimne...

W tej chwili Kanut się obudził. Siedział pod starą wierzbą, w obcym kraju, w chłodny, zimowy wieczór. Z chmur zimne krople na twarz mu padały.

— To sen! — szepnął ze smutkiem. — Najpiękniejsza chwila mego życia! Pozwól mi jeszcze tak marzyć, o Boże!

I zamknął oczy.

I znów zasnął — i marzy.

Nad ranem śnieg spadł duży, wiatr miotał nim mroźny... Kanut spał.

Szeroką drogą ludzie idą do kościoła; pod starą wierzbą siedzi czeladnik wędrowny. Zmarzył, nie żyje. Pod starą wierzbą usnął, jak w dzieciństwie, ale na — wieki.

## *Śpiewak spod strzechy*

Zima. Zima śnieżną okryta zasłoną wygląda jak wykuta z marmurowej skały; powietrze jasne, czyste, wiatr kołący, ostry, niby miecz obosieczny; drzewa bezlistne, jak białe korale, jak migdałowe gaje w pełnym kwiecie; widok daleki, jak z wierzchołka góry.

I noce piękne pod niebem, usłanym gwiazd miliardami, przy blaskach północnej zorzy.



Nadchodzi burza i z chmur ciemnych sypie puchy łabędzie; białe, lekkie płatki kołyszą się w powietrzu, pokrywają dachy, ulice, pola, drogi i gościńce. Białe, cicho i chłodno.

Lecz nam ciepło w izbie, przy płonącym kominku; wesoło w gromadce słuchać i opowiadać o czasach minionych, minionych dawno. Posłuchajmy baśni.

Na morzu, hen daleko, na szerokim, grób olbrzymi na skale. O północy siada na nim bohaterski duch pogrzebanego w tej mogile króla. Siada i ciężko wzdycha. Złocisty diadem świeci mu na skroni, wiatr włosy rozwiewa; pierś ma w stal zakutą, lecz głowa ciężko spada mu na piersi, a z ust wyrывa się głuche westchnienie, westchnienie bólu.

Duch bohatera nie ma w mogile spokoju...

Okręt o białych żaglach płynie po morzu z daleka, przy grobowej skale zarzucił kotwicę, żeglarze na łąd wyszli. Pomiędzy nimi idzie pieśniarz stary, ten zbliża się do króla stopą śmiałą.

— Dlaczegoś smutny? — pyta. — Jaki ból cię tłoczy?

— Smutny jestem — odpowiada duch pognębitego — bo czyny moje umarły wraz ze mną, zostały zapomniane, jak ja pod tą skałą. Żaden śpiew o nich nie rozbrzmiewał po świecie, żadna pieśń w sercach ludzkich nie zbudziła żalu, nie pozostała w pamięci mych wnuków. Więc smutny jestem — zniknąłem bez śladu i ja, i życie moje. Dlatego nie znam w mogile spoczynku. Duch bohatera świecić winien wiecznie, a mój zasłonił obłok niepamięci. Pieśń tylko takie zasłony rozdziera.

I mówił długo o swych wielkich czynach, które współcześni wielbili i czcili, lecz nie miał kto opiewać, gdyż pomiędzy nimi nie było ani jednego śpiewaka.

Wtedy położył pieśniarz dłoń natchnioną na struny harfy i pieśń się rozległa potężna i wspaniała. Opiewał odwagę młodzieńczą bohatera, jego śmiałe czyny, gorące serce i ducha wzniosłego. Śpiewał w miłości i wierze, i prawdzie.

Na grobowcu podniosła się postać królewska, a twarz jej zajaśniała, jak chmurka srebrzysta w blasku miesiąca. I rozplynęła się w blasku jak zorza, duch bohatera zniknął we własnych promieniach, rozwiął się razem z pieśnią.

Na samotnej skale pozostał tylko zielony pagórek, a na nim kamień grobowy bez znaku.

Ale z ostatnim tonem wieszczej harfy ze strun jej zerwał się ptaszek małej, ptaszek o cudnym głosie, w którym drżą na przemian wszystkie tony serca ludzkiego: radości, bólu, tęsknoty i szczęścia. Ptaszek wzniósł się wysoko i leciał nad morzem ku oddalonym łądom, ku górcom i lasom, ponad polami i ponad łąkami, gdzie go witano serdecznie, radośnie. Śpiewak to znany, śpiewak pieśni gminnej, co nigdy nie umiera.

I dziś go słyszymy, tu, koło kominka, kiedy puchy białe bujają w powietrzu, i pod niebem burza się sroży. On śpiewa nam, co było, pieśni wesołe i smutne, o surowych krajach dalekiej północy i rozkosznych dolinach południowych; on ma słowa i tony, ma łzy i uśmiechy i w sercach ludzkich budzi wiosnę młodą, albo okrywa je szronem jesieni.

Ptak pieśni gminnej nigdy nie umiera, a żyje dawno i wszystko pamięta: i wielkich bohaterów, i klęski okropne, wszystkie nadzieje i wszystkie zawody, i język ojców naszych zapomniany, i zapomniane prastare pamiątki on nam tłumaczyć umie słowem żywym.

A kiedy śpiewa, to burza nadchodzi, biją pioruny, lód pęka, świat płonie, i drży w posadach ziemia — bo on potęgę ma i władzę wielką i królem jest i twórcą — choć nie bogiem.

Zima. Wiatr ostry jak miecz obosieczny niesie tumany śniegu, góry całe. I wszystko sypie na miasto, skazane, aby zniknęło z ziemi. Dziwny sen zimowy. Skryły się domy i krzyże kościołów; góra śnieżna jaśnieje w przejrzystym powietrzu i odbija promienie słońca.

Nad pogrzebanym miastem krąży ptaństwo, świergocze, krzyczy, śpiewa.

Wróble chmurą całą przysiadły na śniegu; wzrusza je każda drobnostka; opowiadają tak wiele, tak wiele o tym, co było w kuchni, na podwórzu. Wszystko wiedzą, wszystko wiedzą. Pi, pi! My znamy pogrzebane miasto, znamy każdy zaułek, każdy kącik. Pi, pi! Wszystko, co żyło tam, leży pod śniegiem, wszystko, co żyło, pi, pi!

Czarne kruki i wrony unoszą się nad białym śniegiem, niby żałobne plamy. — Grab! Grab! — krzyczą co chwila. — Tyle rzeczy do jedzenia zostało pod śniegiem! Tyle rzeczy wybornych i pożywnych, kra, kra!

Lecą dzikie łabędzie, szumiąc wspaniałymi skrzydłami w górze, a pieśń ich mówi o tym, co wielkie i piękne w umarłym mieście było, w mieście pogrzebionym pod górą śniegu.

Ale ptaszek drobny głos podniósł także dźwięczny:

— O, nic nie umiera! Bo nie ma śmierci, a życie trwa wiecznie, choć się przelewa czasem w tony pieśni, słowa prorocze, w promienie światłości, w mądrość i wiarę. Lecz nie ginie życie, ono wstępuje tylko w nowe serca, i bicia ich przyspiesza, ono ożywia nasze myśli i wspomnienia i powstaje przed nami z każdego grobowca wieczne i nieśmiertelne. Co żyło, żyć będzie!

Tak śpiewał ptak natchniony pieśni gminnej, co nigdy nie umiera.

I w tej samej chwili spłynęło z nieba ciepłe tchnienie Boże, pękły śnieżne otchłanie, słońce je zwycięża, przenika wewnątrz góry, kruszy jej potęgę i nową wiosnę budzi na mogile, i nowe życie na starym pniu szczepi.

Bo nie ma śmierci; co żyło, żyć będzie. Zwiastunem prawdy tej ptaszek małeńki, ptak pieśni gminnej, który nigdy nie umiera.

## Towarzysz podróży

Biedny Janek! Ojciec jego umierał po długiej i ciężkiej chorobie, lampa gasła na stole w ubogiej izdebce i nikogo z nim tu nie było.

— Byłeś dobrym synem, Janku — rzekł umierający — i Bóg cię nie opuści, chociaż sam zostaniesz. Pamiętaj tylko zawsze kochać ludzi i czynić im tyle dobrego, ile będzie w twojej mocy.

Chory spojrzał na syna łagodnie, serdecznie i zamknął oczy — już na zawsze. Wyglądał, jakby zasnął. Janek płakał, bo nie miał nikogo na świecie, był zupełnie sierotą bez rodziny. Długo klęczał przy łóżku umarłego, całował rękę ojca, aż wreszcie znużony oparł głowę na twardej poręczy i zasnął.

Dziwny miał sen. Śniło mu się, że był w niebie, słońce i księżyc wyszły na jego spotkanie i witały go pięknie; ojciec zdrow śmiał się jak dawniej wesoło, a królowa w złotej koronie na głowie z uśmiechem podała mu rękę.

— Oto twoja narzeczona — rzekł mu ojciec — najpiękniejsza i najlepsza królowa na świecie. Ale trzeba na nią zasłużyć.

Wtem Janek się obudził i wszystko zniknęło; ojciec leżał zimny i martwy na łóżku, w ciemnym pokoju nie było nikogo.

W parę dni potem pochowano nieboszczyka. Biedny Janek szedł za trumną, gorzko płacząc; nie mógł się z tym pogodzić, że już nigdy w życiu nie zobaczy drogiego ojca. Trumnę złożono w głębokiej mogile i zasypano ziemią; Janek słyszał, jak ziemia padała na wieko, zakryła je i czuł tak wielki ból w sercu, jak gdyby pęknąć miało. Lecz zaśpiewano piękną pieśń pobożną, tak smutną, iż Jankowi łzy spłynęły z oczu i lżej mu było. Słońce świeciło na czystym błękitcie, a drzewa uśmiechały się do niego świeżą, jasną zielonością. Zdawały się mówić:

— Nie smuć się, Janku, nie płacz. Spójrz na niebo pogodne i czyste, jak tam pięknie! Twój ojciec już tam mieszka i patrzy na ciebie; jest szczęśliwy i prosi Boga, aby błogosławił ci w życiu.

A Janek otarł oczy i pomyślał:

— Będę się starał być dobry, aby ojciec widział, że pamiętam jego słowa. A kiedy umrę, pójdę do niego do nieba i spotkamy się znowu. Jakaż to będzie radość! Opowiem mu wtedy wszystko, co się ze mną działo tu na ziemi, a on mi wytłumaczy cuda rajy. Będzie mnie uczył i obaj będziemy szczęśliwi!

Uśmiechnął się do tych myśli, choć łzy spływały mu jeszcze po twarzy. Po gałązkach ptaszki skakały wesoło i szczebiotały: kiwit! kiwit! chociaż przed chwilą były świadkami pogrzebu. Ale one wiedziały, że umarli w niebie szczęśliwszy jest niż tutaj, że ma piękne skrzydła i śpiewa cudne pieśni razem z aniołami. Więc to je tak cieszyło. Potem odleciały daleko, daleko, a Janek patrzył za nimi z tęsknotą i także miał ochotę ruszyć w świat nieznan, tylko przedtem zapragnął zaznaczyć grób ojca choć prostym krzyżem. Zrobił

go starannie i zaniósł wieczorem na cmentarz. Mogiłę zastał pięknie usypaną i przybraną kwiatami. Widocznie obcy ludzie pamiętali, jak dobrym dla każdego był nieboszczyk.

Nazajutrz wczesnym rankiem Janek zwinął w mały tobolek swoje rzeczy, zabrał pięćdziesiąt talarów i kilka drobnych monet, które stanowiły cały jego majątek i wyruszył w drogę.

Przechodząc koło cmentarza, raz jeszcze wstąpił na grób ojca, aby się pomodlić i pożegnać go może na długo.

Na polu kwiaty świeciły perlami rosy porannej, grały się w słończku, kołysały główki na figlarnym wietrze i zdawały się mówić:

— Prawda, jak tu ślicznie? Jak zielono? Witaj nam, miły przechodniu.

Oto i koniec wioski, i stary kościółek, gdzie go niegdyś ochrzczono, gdzie przychodził z ojcem co niedziela na nabożeństwo i śpiewy. Przystanął, zdjął kapelusz i żegnał go wzrokiem. A wtem na wieży wysokiej zobaczył krasnoludka w czerwonej czapce, który zasłaniał twarz ręką od słońca, aby patrzeć na drogę. Janek mu skinął głową życzliwie, z uśmiechem, a małeńki człowieczek potrząsnął czapeczką, przycisnął obie ręce na chwilę do serca i przesłał mu tysiące pocałunków, aby okazać, jak szczerze mu życzy przyjemnej i szczęśliwej drogi.

I poszedł Janek dalej. Było mu rażno na duszy, myślał, jak wiele nowych, pięknych rzeczy zobaczyć może i szedł coraz dalej, tak daleko, jak nigdy jeszcze nie był w życiu. Nie znał też wcale miejsc, które przebywał, ani ludzi, których spotykał. Był już między obcymi.

Pierwszą noc przespał na otwartym polu, na świeżym stogu siana, ale to mu się bardzo podobało. — Sam król nie ma wspanialszej sypialni — pomyślał — niż to pole, zasiane zielonym kobiercem, przetykanym różnobarwnymi kwiatami, z błękitem nieba, zamiast zwykłego sufitu, z przezroczystym strumykiem zamiast umywalni i krzakami róż dzikich i czeremchy. Nad strumieniem sitowie i trzcina śpiewają mi ciche „Dobranoc”, a na niebie jasny księżyc zastępuje lampę. Nie potrzebuję jej gasić z obawy pożaru lub dla braku oleju, i mogę spać sobie spokojnie.

Spał też do samego rana. Dopiero słońce i ptaki wesołe zbudziły śpiocha, wołając: — Dzień dobry! Dzieli dobry, Janku! Czy dziś wstać nie myślisz?

Może by pospał dłużej gdyby nie te natrętniki, lecz nie gniewał się na nie. Dzwony się ozwały z bliskiego kościółka, gdyż była to niedziela i Janek pośpieszył, aby być na nabożeństwie. Śpiewał i modlił się z całego serca, jak w swoim starym wioskowym kościele, gdzie go ochrzczono, gdzie przychodził z ojcem.

Potem zaszedł na cmentarz. Wiele grobów było tutaj zaniedbanych, zarosłych zielonym, trawą. Pomyślał sobie, że tak może kiedyś wyglądać będzie i grób jego ojca, jeśli zabraknie mu synowskiej ręki. Więc powyrywał zielska, popoprawiał krzyże, które się pochyliły, poukładał wianki na swoje miejsca, przez wiatr rozrzucone, i westchnął cicho: — Może ktoś tak samo uporządkuje grób mojego ojca, kiedy mnie tam nie będzie!

Wychodząc z cmentarza, dał ubogiemu kilka sztuk monet i poszedł dalej.

Przed wieczorem pokryły niebo czarne chmury, deszcz zaczął padać. Janek przyśpieszał kroku, ażeby znaleźć schronienie pod dachem, lecz noc zapadła. Spostrzegł wreszcie małą kapliczkę na wzgórzu i tutaj postanowił przenocować.

— Usiądę sobie w kącie i odpocznę — rzekł do siebie — jestem bardzo zmęczony i to schronienie mi wystarczy; wygod nie potrzebuję.

Odmówił wszystkie modlitwy wieczorne, usiadł w kącie i zasnął. Na świecie tymczasem szalała burza, padały pioruny.

Północ była, gdy się obudził. Burza minęła, księżyc świecił jasno i zaglądał przez okno do kapliczki. Tu na środku stała trumna z nieboszczykiem, którego miano pochować nazajutrz.

Janek nie przestraszył się wcale. Miał czyste sumienie i wiedział, że umarli nic złego zrobić nie mogą żyjącym. Tylko żywi źli ludzie krzywdzą czasem innych. I właśnie takich dwóch złych ludzi chciało wyrzucić z trumny nieboszczyka.

— Co wy robicie? — zapytał ich Janek. — Dlaczego nie zostawicie go w spokoju? To wielki grzech i zbrodnia.

— Daj nam pokój — odpowiedzieli złoczyńcy — pleciesz głupstwa bez sensu. My mamy prawo wyrzucić go z trumny, bo nas oszukał. Winien nam pieniądze i umarł, żeby nie zapłacić długu. Ale nie darujemy; jak pies będzie leżał za progiem kościoła.

— Mam tylko pięćdziesiąt talarów — rzekł Janek — ale oddam je wam chętnie, jeśli mi przyrzeczenie zostawić tego biedaka w spokoju. Jestem zdrow i młody, mogę odejść bez pieniędzy, zresztą Bóg mi dopomoże, a bezbronno krzywdzić nie pozwolę.

— Dobrze — odrzekli źli ludzie — jeżeli nam zapłacisz dług nieboszczyka, możesz być spokojny, że mu nie wyrządzimy żadnej krzywdy.

Janek natychmiast oddał im pieniądze i poszli sobie, śmiejąc się z jego hojności. Ale poczciwy chłopiec nie uważał na to, sam ułożył na powrót w trumnie nieboszczyka, złożył mu ręce, pożegnał i poszedł dalej przez las wąską drogą.

Księżyc prześlicznie świecił przez gałęzie, a w jego jasnych, srebrzystych promieniach widać było drobne elfy igrające między drzewami, na zielonych listkach. Nie uciekły przed Jankiem — wiedziały, że to jest chłopiec niewinny i dobry, a tylko dla złych ludzi te śliczne małeńkie duchy stają się niewidzialnymi. Niektóre były mniejsze niż szerokość palca, a na główkach miały złociste grzebyki, którymi pospinały długie, jasne włosy. Jedne bujały się na kropkach rosy albo na ździebelkach trawy, inne tańczyły, skakały; czasem rosa spadała na ziemię jak kula, a z nią i mały figlarz. Wtedy wybuchał chór śmiechu i wrzawa w tym małym, wesołym świątku. Wszystko to było śliczne. Elfy śpiewały cieniutkimi głosy i Janek poznawał z radością piosenki, których się uczył niegdyś, będąc dzieckiem. Wielkie pająki w srebrzystych koronach przerzucały wiszące mosty między gałęziami, budowały pałace z kryształowych nici; a kiedy rosa skropiła je lekko i błysnął promyk księżycy, jaśniały te budynki fantastyczne brylantowymi blaski.

Wszystko to trwało aż do wschodu słońca. Kiedy rozpierzchnęły się nocne ciemności, płocze elfy zasnęły w kielichach kwiatowych, a wiatr porozrywał ich wiszące mosty i tęczowe pałace.

Janek wyszedł z lasu i szedł teraz drogą, kiedy usłyszał za sobą wołanie:

— Hej, towarzyszu, dokąd, jeśli łaska?

— Przed siebie — odparł Janek. — Jestem sam na świecie, więc idę szukać szczęścia przy Boskiej pomocy.

— To możemy iść razem — odparł obcy — jeśli się zgodzisz.

Janek zgodził się chętnie i poszli dalej razem, a wkrótce polubili się szczerze. Nieznajomy był człowiekiem dobrym, a przy tym o wiele mądrzejszym od Janka, który podziwiał jego doświadczenie. Musiał on wiele podróżować w życiu, bo wszystko znał i wiedział, a opowiadać umiał bardzo zajmująco.

W południe znaleźli rozłożyste drzewo i usiedli, aby odpocząć i posilić się trochę. Rozmawiając, spostrzegli wychodzącą z lasu staruszkę, jakąś drzącą, pochyloną, wspartą na kijku. Na plecach niosła wiązkę suchych gałązek na opał, które zebrała w lesie, a z fartucha wyglądały jej trzy różgi. Szła, opierając się na krzywym kijku, krokiem niepewnym; wtem pośliznęła się, krzyknęła głośno i upadła. Biedna staruszka złamała nogę.

— Musimy ją odnieść do domu — rzekł Janek, zwracając się do towarzysza.

Lecz ten rozwiązał swój mały węzełek, wyjął z niego słoik niewielki i powiedział, że posiada taki balsam, pod którym złamana noga może się zrosnąć natychmiast i będzie jeszcze mocniejsza, niż przedtem. Ale za to cudowne lekarstwo żąda trzech różeg, które stara niosła w fartuchu.

— Mądryś! — rzekła babina i pokiwała głową z dziwnym uśmiechem. Nie miała ochoty pozbyć się różeg, lecz noga bolała ją bardzo i co robić, zanim się zrosnie zupełnie, zanim będzie mogła znowu na niej chodzić?

Więc po namyśle oddała trzy różgi, a podróżny wyjął balsam ze słoika i zaledwie dotknął nim złamanej nogi, kości się zrosły i starowina mogła iść dalej bez bólu, a nawet znacznie prędzej, niż poprzednio.

— Dobrze masz lekarstwo — rzekła też z uśmiechem — znam się na tym cokolwiek. Wiem też, iż w aptece dostać go nie można.

I poszła dalej, trzęsąc starą głową i uśmiechając się do siebie.

— Co ci po tych różgach? — spytał Janek towarzysza.

— Bardzo mi się podobały, a że jestem dziwakiem i lubię osobliwości, więc sobie pomyślałem, że mogą mi się przydać.

Janek nie bardzo mądry był z tej odpowiedzi, ale poszli dalej razem.

— Patrz — odezwał się Janek po jakimś czasie — jakie okropne chmury! Pewno będzie burza.

— Nie — odrzekł nieznajomy — to wcale nie chmury, to góry, mój kochany. Wspaniałe, wielkie góry, które wznoszą się ponad obłoki! Tam dopiero odetchniesz cudownym powietrzem. Stamtąd zobaczysz wielki kawał świata! Ale nieprędko się tam dostaniemy.

Rzeczywiście wędrowali cały dzień następny, nim dosięgli podnóża gór, pokrytych płaszczem czarnego lasu i składających się ze skał olbrzymich, jak całe miasta. Wszystko to było wielkie, wspaniałe i groźne i siłą potrzeba było, żeby się pięć śmiało po stromych urwiskach na te wysokości. Toteż nasi podróżni zatrzymali się na noc w oberży, aby wypocząć przed jutrzejszą drogą.

W największej izbie zajezdnego domu wędrowny właściciel teatru marionetek dawał wielkie przedstawienie. W jednym końcu pokoju ustawił swój mały teatrzyk, a w drugim zgromadzili się goście przejezdni, służba, sąsiedzi. Każdy był ciekawy. Na samym środku stanął gruby rzeźnik z buldogiem, który warczał, pokazywał zęby i wytrzeszczał strasznie ślepie na teatrzyk. Musiało to być zwierzę niezmiernie złośliwe.

Przedstawienie się rozpoczęło i było bardzo zajmujące. Śliczna sztuka! Król i królowa siedzieli na tronie, w złocistych koronach i sukniach z długimi trenami. Widać zaraz, że byli bardzo bogaci. Inne małe lalki z wąsami i szklanymi oczyma stały przy drzwiach, poruszając nimi bezustannie, zapewne aby utrzymać w pokoju świeże powietrze i przyjemny powiew. Śliczna to była sztuka!

Wtem królowa wstała i postąpiła kilka kroków na przód sceny. Nie wiadomo, co sobie pomyślała o tym buldog, dość, że warknął groźnie, poskoczył, schwycił nieszczęsną królową w swoją straszliwą paszczę... wrzasnęła — Ach!...

Biedny właściciel teatru rozpaczął; pies odgryzł głowę najpiękniejszej jego lalce! Wszyscy byli zmartwieni. Przerwano przedstawienie.

Gdy się ludzie rozeszli, nieznajomy towarzysz Janka zbliżył się do strapionego dyrektora teatru marionetek i powiedział, że mu naprawi tę szkodę. Wyjął swój słoik z cudownym balsamem, wziął lalkę, która była strasznie pokaleczona i opatrzył jej rany, posmarował, a w tej chwili wszystko się zrosło znowu, zagoiło, a nawet mogła teraz sama poruszać swobodnie rękami, nogami i głową i nie trzeba było ciągnąć jej za sznurek.

Można sobie wyobrazić radość lalki! Była jak żywy człowiek, tylko mówić nie mogła. Właściciel teatrzyku cieszył się także niezmiernie; królowa mogła chodzić sama! Naturalnie, żadna inna jego lalka tego nie potrafiła.

Ale późno w nocy, kiedy wszyscy spali, dały się słyszeć takie okropne westchnienia, że wszyscy się pozrywali przestraszeni. Dyrektor pośpieszył zaraz do swoich marionetek, gdyż z wielkiego pudła dochodziły te smutne jęki. Otworzono je i ujrzano wszystkie lalki poprzewracane i wdychające rozpaczliwie; wszystkie patrzyły szklanymi oczami na swego pana, gdyż wszystkie pragnęły być posmarowane cudownym balsamem, ażeby mogły poruszać się same.

Królowa padła na kolana i podniosła w górę złocistą koronę.

— Zabierz ją! — zawołała — ale posmaruj maścią mojego małżonka i dwór mój cały!

Właściciel teatrzyku nie mógł się wstrzymać od płaczu, tak mu żal było lalek. Ofiarował nieznajomemu cały swój zarobek z ostatniego przedstawienia, byle mu jeszcze kilka marionetek posmarował. Ale pocziwy człowiek odpowiedział, że jeśli mu dyrektor odda starą szablę, którą nosił u boku, to i bez pieniędzy posmaruje jeszcze sześć lalek.

Rozumie się, że umowa stanęła natychmiast, słoik znowu wyjęto, uszczęśliwione marionetki przewracały się z radości, aż sobie poobtlukiwały końce nosów, lecz nieznajomy i na to zaradził, a wkrótce potem wszystkich sześć tańczyło samych tak prześlicznie, że dziewczęta z oberży nie mogły patrzeć na to obojętnie i zaczęły także tańczyć razem z nimi. Stangret tańczył z kucharką, lokaj z pokojówką, wszyscy goście i obcy ludzie, nawet obcęgi z żelazną łopatką. Ale ta para przewróciła się przy pierwszym skoku.

W każdym razie noc była niezmiernie wesoła.

Nazajutrz rano Janek z swoim towarzyszem udali się w dalszą drogę. Szli przez snowe lasy coraz wyżej, aż stanęli na wierzchołku góry tak wysoko, że kościelne wieże wydawały im się w dole niby ciemne jagody na tle zieloności. I widzieli dokoła miasta,

wsie i kraje, w których nie byli nigdy, daleko, daleko! Janek nie miał pojęcia, że świat jest tak wielki, tak wspaniały i piękny! Jasne słońce świeciło na błękitnie, powietrze było czyste i orzeźwiająca, z lasów dolatywał głos rogów myśliwskich tak prześlicznie, że Jankowi lzy w oczach stanęły.

— O, dobry Boże! — zawołał z miłością. — Jakże bym Cię gorąco pragnął ucałować za to, żeś taki dobry, żeś stworzył dla nas ten świat taki piękny!

Nieznamy złożył ręce do modlitwy i w milczeniu patrzył na lasy i miasta, kąpiące się w ciepłych słonecznych promieniach.

Nagle nad ich głowami rozległ się śpiew dziwny, jakiego nigdy w życiu nie słyszeli, i zobaczyli w górze pod błękitem nieba płynącego wolno łabędzia. Łabędź śpiewał prześlicznie, ale coraz ciszej, coraz ciszej... Pochylił piękną głowę, skrzydła poruszały się słabo, i wreszcie upadł u nóg ich martwy.

Janek litościwie pochylił się nad nim, ale w królewskim ptaku śladów życia już nie było.

— Skrzydła mu teraz niepotrzebne — rzekł podróżny — a nam przydać się mogą: takie ogromne i silne! Widzisz, jak dobrze, że mam z sobą szablę dyrektora teatryku.

Jednym uderzeniem odciął łabędzie skrzydła i schował je do tłumoczek.

Minęli góry i szli bardzo długo po drugiej stronie przez nieznanne kraje, aż na koniec przyszedli do wielkiego miasta. Setki wież i kościołów błyszczało jak srebro w blasku słonecznym, pośrodku stał biały pałac marmurowy ze szczytami dachem. W pałacu król mieszkał.

Obaj podróżni zatrzymali się w małej oberży pod miastem, bo nie chcieli zakurzeni i zdrożni wejść do pięknej stolicy. Gospodarz, człowiek rozmowny, natychmiast zaczął im opowiadać bardzo ciekawe rzeczy. Król w tym państwie był stary, ale bardzo dobry, nikt się na niego nie uskarżał, bo nigdy żadnej krzywdy nie wyrządził nikomu. Ale za to córeczka! Boże zachowaj od takiej królowej. Piękna jak nikt na świecie, ale zła czarownica, która już wielu księży życia pozbawiła.

— Jakże to? — pytał Janek. — Za cóż?

— Każdemu pozwalała starać się o swoją rękę, wszystko jej było jedno: król czy żebrak. Ale musiał odgadnąć trzy razy jej myśli. Jeżeli mu się uda, zostanie jej mężem, a po śmierci jej ojca panem całego kraju; ale jeżeli nie zgadnie trzy razy, co ona pomyślała, pójdzie na śmierć — zetną mu głowę i kwita.

Stary król martwił się tym niesłychanie, lecz nic poradzić nie mógł. Raz jej pozwolił wybrać sobie męża, jakiego będzie chciała, i nie mógł cofnąć słowa; a na zgrzyotę jego córka nie zważała. Bardzo źle miała serce. Ile razy zjawiał się nowy konkurent, królowa przyjmowała go uprzejmie, a że nie umiał odgadnąć jej myśli, to nie jej wina. Wiedział przecież, o co chodzi i na co się naraża; po cóż był taki śmiały.

Biedny król każdego roku jeden dzień poświęcał na modły, aby królowie zmiękczyło się serce. Od poranka aż do nocy klęczał wtedy ze wszystkimi rycerzami, ale to nic a nic nie pomagało. Cały naród zresztą bardzo nad tym ubolewał i nawet stare babcie, które lubiły wódeczkę, na znak żałoby dolewały do niej czarnej farby. Cóż więcej zrobić mogły?

— O, szkaradna królowa! — zawołał Janek oburzony. — Gdybym był starym królem, dałbym jej porządne różgi! Zasłużyła na to doskonale.

Wtem na drodze usłyszeli okrzyk ludu:

— Wiwat! wiwat!

To królowa przejeżdżała. Była tak piękna, twarz miała tak dobrą i smutną, że ludzie zapominali o jej złości i nie mogli jej wierzyć, patrząc na nią. Otaczała ją dwanaście najpiękniejszych panien w białych sukniach, na czarnych prześlicznych wierzchowcach, każda ze złotym tulipanem w dłoni. Rumak królowej był biały, kosztownie przybrany w diamentowe i rubinowe ozdoby. Suknię miała złocistą, a w rękę szpicrutę, podobną do promienia słonecznego. Na głowie diadem, niby szereg drżących gwiazd w czarnych włosach, a płaszcz z motyli skrzydeł.

Twarz jej jednak była piękniejsza od stroju.

Janek spojrzął na nią i oniemiał ze zdziwienia: była to bowiem ta sama królowa, którą widział we śnie, gdy zasnął przy łóżku zmarłego ojca.

— Nie, nie, to nieprawda! Ona nie może być tak zła jak mówią — pomyślał zaraz. — Nie uwierzę temu. Jest piękna i dobra, a ponieważ każdemu pozwala się starać o swoją

rękę, spróbuję i ja szczęścia. Przekonamy się zresztą, co to wszystko znaczy. Ojciec nademną czuwa i nie lękam się niczego.

Oznajmił zaraz o swoim zamiarze, ale wszyscy mu odradzali: zginie jak tylu innych. Towarzysz podróży odradzał mu także, lecz to nic nie pomogło. Janek wierzył w swe szczęście i w dobroć królowny, przypuszczał, że jej okrutne postęпки muszą mieć jakąś ukrytą przyczynę i uparł się przy swoim.

Oczyścił sobie buty i ubranie, umył się czysto, uczesał i poszedł do pałacu królewskiego.

Zapukał do drzwi śmiało.

— Proszę wejść — dał się słyszeć głos starego króla, który wyszedł zaraz na jego spotkanie w szlafroku i wyszywanych pantoflach; na głowie miał koronę, berło w jednej ręce, a złote jabłko w drugiej.

— Zaczekaj — rzekł i czym prędzej włożył złote jabłko pod pachę, aby podać Jankowi prawicę.

Lecz skoro się dowiedział, że jest nowym konkurentem do ręki jego córki, zaczął tak mocno płakać, że upuścił berło i jabłko na ziemię i ocierał oczy połamami szlafroka, gdyż nie miał z sobą chustki.

Biedny, dobry, stary król!

— Daj temu pokój — rzekł wreszcie, kiedy się uspokoił tak, że mógł przemówić. — Nie chcę więcej patrzeć na te okropności! Zresztą chodź i sam zobacz.

I zaprowadził Janka do ogrodu królowny. Okropny widok! Na każdym drzewie wisały po dwa i trzy szkielety zamordowanych książąt, którzy się ubiegali o rękę księżniczki. Za każdym powiewem wiatru uderzały ich kości o siebie, a wystraszone ptaki nie śmiały się gnieździć w tym prawdziwym ogrodzie śmierci. W doniczkach nawet stały trupie główki zamiast świeżych, pachnących kwiatów. Rzeczywiście dziwny był ogród królowny.

— Sam widzisz — rzekł król stary — tak i z tobą będzie. Daj lepiej pokój. Dostyc mam już zgryzoty i zmartwienia, bo nie mogę o tym nie myśleć.

Janek pocałował w rękę dobrego króla i prosił go, żeby nie martwił się wcale, bo wszystko dobrze będzie.

Właśnie na dziedziniec zamkowy wjechała piękna królowna ze swymi damami, więc pośpieszyli, aby ją powitać. Uśmiechnęła się przyjaźnie do Janka i podała mu rękę z tak dobrym spojrzeniem, że od tej chwili ani myślał wierzyć, aby była złą czarownicą. Wszyscy następnie zasiedli do stołu, paziowie roznosili konfitury i migdałowe ciastka, ale król nie mógł nic jeść ze zmartwienia. Zresztą makaroniki były dla niego za twarde.

Postanowiono, że nazajutrz z rana Janek się stawi w królewskim pałacu, aby odgadnąć pierwszą myśl królowny. Sędziowie i rada stanu będą świadkami tego i jeśli mu się uda, musi dwa razy jeszcze powtórzyć taką próbę. Ale nie zdarzyło się dotąd nikomu przeżyć dnia podobnego.

Janek nie troszczył się o to zupełnie. — Pan Bóg mi dopomoże — myślał sobie — a księżniczka taka piękna, że obawiać jej się nie umiem. — I szedł wesoło przez ulice miasta aż do oberży, gdzie na niego oczekiwano z niepokojem.

Przez cały wieczór nie mógł się naopowiadać, jak dobra była dla niego księżniczka, jakie ma smutne i prześliczne oczy i jak mu pilno przekonać świat cały, że wcale nie jest ona tak okrutna, jak ludzie opowiadają.

Towarzysz jego smutno potrząsał na to głową.

— Coś w tym być musi jednak — mówił z niepokojem. — Żal by mi było stracić cię tak wcześnie, przywiązałem się do ciebie. No, ale zobaczymy. Próżna trwoga nic nie pomoże, bądźmy weseli, dopókiśmy razem. Jutro sobie zapłacę, gdy pójdziesz do zamku.

Wiść o nowym konkurencie rozeszła się w mgnieniu oka po stolicy, w której zapanowała obawa i smutek. Teatry pozamykano, w cukierniach zasłonięto ciastka czarną krepą, król klęczał przed ołtarzem, księża odprawiali żałobne nabożeństwa. Bo dla czegoż temu jednemu miałoby powieść się lepiej niż innym?

Lecz w oberży nieznajomy przygotował wazę ponczu i rzekł do Janka:

— Pijmy za zdrowie królowny i bawmy się wesoło.

Zaledwie jednak chłopiec wypił parę szklanek. Ogarnęła go sennaś, nie mógł otworzyć oczu i zapadł w sen głęboki. Wówczas nieznajomy położył go ostrożnie na łóżku, rozebrał i nakrył kołdrą, a kiedy się zupełnie ściemniło, przywiązał sobie mocno skrzydła

łabędzie do ramion, wybrał największą różgę z tych, które dostał w lesie od staruszki za to, że wyleczył jej złamaną nogę, otworzył okno i wyleciał. Wśród ciemności unosił się ponad domami i kierował prosto do okna królowny. Tu przytulony do muru czekał, co nastąpi.

Cisza głęboka panowała w mieście, tylko zegary od czasu do czasu odzywały się, wydzwaniając poważnie godziny. Gdy wybiło trzy kwadranse na dwunastą, okno królowny otworzyło się cichutko, a ona sama wyleciała z niego na wielkich, czarnych skrzydłach, w białym płaszczu i popłynęła szybko w stronę wielkiej góry. Lecz towarzysz podróży Janka w tej samej chwili stał się niewidzialny i, lecąc za nią, smagał ją różgą tak mocno, że krew płynęła z jej pleców. To była podróż! Wiatr unosił w górę biały płaszcz księżniczki jak żagiel i miotał nim na wszystkie strony, a księżyc świecił dziwnie.

— A to grad! Okropny grad! — narzekała księżniczka przy każdym uderzeniu i starała się lecieć coraz prędzej. Na koniec dopłynęła do ogromnej góry i zapukała trzy razy. Rozległ się grzmot przeciągły, góra otworzyła się szeroko i królowna z niewidzialnym swoim towarzyszem dostała się do środka.

Tutaj szli najpierw długim korytarzem, którego ściany dziwne wydawały światło: pełzało po nich we wszystkich kierunkach mnóstwo ogromnych, świecących pajaków, przez co wyglądały jak z żywego ognia. Następnie weszli do olbrzymiej sali, zbudowanej wspaniale ze srebra i złota. Ogromne kwiaty, niby słoneczniki, świeciły na jej ścianach purpurowym albo błękitnym blaskiem, ale nikt dotknąć ich nie mógł, ponieważ lodygi stanowiły wstrętne, jadowite żmije, które zionęły z paszczy ogień w kształcie kwiatów. Sufit też okrywały błyszczące robaczki świętojańskie i sine nietoperze, które wciąż były cienkimi skrzydłami.

Wszystko to było straszne.

Prawie na środku sali stał tron ze szkła mlecznego, oparty na kościach końskich, wysadzanych ogniście błyszczącymi pajakami. Poduszki stanowiły małe czarne myszy, gryzące się nawzajem w cieniutkie ogonki. Ponad tronem wznosił się kosztowny baldachim z purpurowej pajęczyny, przybranej zielonymi skrzydełkami, które jaśniały jak drogie kamienie.

Na tronie siedział stary, szkaradny czarownik w koronie, z berłem w dłoni. Gdy ujrzał królownę krwią oblaną, z oczyma pełnymi łez, pocałował ją w czoło, posadził na kosztownym tronie obok siebie i skinął na muzykę. Natychmiast odezwały się chóry szarańczy, umieszczone w rogu sali, a wielka sowa biła się po brzuchu, zastępując odgłos bębna. Szczególny to był koncert!

Małe czarne koboldy i karzelki z błędnymi ognikami na spiczastych czapkach rozpoczęły nadzwyczajny jakiś taniec, a we drzwiach ukazali się dworzanie w szatach wspaniałych, dumni i dystyngowani. Zresztą musieli oni trzymać się bardzo prosto, gdyż były to kije odmiotel z osadzonymi na nich głowami kapusty, które czarownik przybrał w piękne suknie i obdarzył pozornym życiem, aby się przyczyniały do świetności dworu.

Nieznajomy ukrył się teraz za tronem i nikt go widzieć nie mógł, on sam zaś wybornie widział i słyszał wszystko, co mówili czarnoksiężnik i królowna. Ta ostatnia uspokoiła się od chwili, kiedy władca tego państwa podziemnego pocałował ją w czoło. Uśmiechnęła się nawet, opowiadając mu o nowym konkurencie, a potem zapytała, o czym ma pomyśleć, gdy nazajutrz przed nią stanie.

— Słuchaj uważnie — rzekł do niej czarownik, mierząc ją straszonym, pałającym wzrokiem, jak gdyby chciał w nią przelać tym spojrzeniem własne uczucia i myśli. — Kiedy stanie przed tobą, powinnaś pomyśleć o czymś najprostszym, na przykład o twoim trzewiku. Tego nigdy nie zgadnie. Potem każesz uciąć mu głowę i przyniesiesz mi jutro jego oczy. Ha! Tak dawno nie jadłem już tego przysmaku! Więc pamiętaj o wszystkim i spełnij dokładnie.

Królowna wstała z tronu i schyliła głowę, oddając mu pokłon długi i głęboki, a oczy jej w tej chwili były znowu smutne. Czarownik skinął, góra otwarła się przed nią, i wyleciała razem z nieznanym, który tak samo bił ją całą drogę giętką i mocną różgą. Skarżyła się więc znowu na grad i śpieszyła, jak tylko mogła do swojego okna, które natychmiast zamknęło się za nią.

Wtedy podróżny wrócił do zajazdu, gdzie Janek spał spokojnie, odpiął łabędzie skrzydła i zmęczony z przyjemnością rzucił się na łóżko.



Janek obudził się wcześniej i zaczął wybierać w drogę. Nieznajomy wstał także, opowiadając wesoło, iż śniło mu się, że królowna pomyślała o swoim trzewiczku. Radził też Jankowi taką dać odpowiedź na dzisiejsze jej zapytanie.

— Dobrze — rzekł Janek — posłucham cię chętnie, może to ojciec natchnął cię tą myślą? Wierzę mocno, że mnie Pan Bóg nie opuści, lecz na wszelki wypadek żegnam cię serdecznie i dziękuję za wszystko, co zrobiłeś dla mnie. Może być, iż nie zobaczymy się więcej.

Uścisnęli się mocno, potem Janek pobiegł do zamku królewskiego.

W tronowej sali pełno było ludzi. Sędziowie zasiedli na wielkich fotelach i wsparli głowy o puchowe poduszeczki, gdyż bardzo wiele mieli dzisiaj do myślenia. Stary król wstał i otarł zapłakane oczy białą chustką od nosa (dziś miał ją przy sobie, nie zapomniał). Wtem weszła królowna. Wydała się Jankowi piękniejsza niż wczoraj, choć oczy miała dziwne, jak gdyby uśpione. Podąła mu uprzejmie rękę i powiedziała dzień dobry.

Teraz Janek miał zgadnąć, o czym pomyślała. Patrzała nań spokojnie, lecz kiedy wymówił słowo: trzewiczek, zbladła, zachwiała się jakby zbudzona, a na jej pięknej twarzy odmalowała się okropna trwoga.

Ale to wszystko jedno. Król z wielkiej radości podskoczył prawie do sufitu, aż złote jabłko upadło na ziemię i potoczyło się pomiędzy sędziów, że go musieli berłem wygarnąć spod fotela. Wszyscy klaskali w dłonie, cieszyli się i wieszowali Jankowi, któremu pierwszy raz tak się powiodło.

I nieznajomy się ucieszył, kiedy mu Janek wszystko opowiedział. Potem obydwaj dziękowali Bogu za okazaną pomoc, a Janek był już teraz zupełnie spokojny, choć wiedział, że nazajutrz ma znowu zgadywać.

Wieczór upłynął jak dnia poprzedniego. Gdy Janek zasnął, towarzysz podróży poleciał na skrzydłach łabędzia za księżniczką do czarownika, ale tym razem bił ją jeszcze mocniej, gdyż wziął z sobą dwie różgi. Nikt go nie widział, a on słyszał wszystko. Księżniczka miała jutro myśleć o rękawicze. Powtórzył to Jankowi niby sen i naturalnie chłopiec szczęśliwie odgadł po raz drugi.

Cały dwór skakał z radości i wywraçał koziolki za przykładem starego króla, który położył na fotelu berło, koronę i jabłko, żeby mu nie przeszkadzały w chwili tak wielkiego szczęścia. Księżniczka tylko omdlała prawie z przerażenia: złożono ją na sofie, ale słowa przemówić nie mogła. Nikt się nią zresztą dzisiaj bardzo nie zajmował, bo wszyscy myśleli o tym, że jeżeli Janek po raz trzeci wyjdzie zwycięsko z tej próby, to zostanie mężem królowny, a po śmierci ojca panem całego kraju.

— No, ale jeśli omyli się jutro — wszystko przepadło. A szkoda byłoby takiego zucha!

Wieczorem Janek wcześniej odmówił pacierze i udał się na spoczynek, ale przyjaciel jego przypasał do boku starą szablę, zabrał wszystkie trzy różgi i na łabędzich skrzydłach pośpieszył znowu do pałacu.

Noc była ciemna. Wichur dął tak przeraźliwie, iż zrywał dachy z domów, a drzewa w ogrodzie królowny jak trzcina zginały się do samej ziemi. Błyskawice krzyżowały się na czarnym niebie, grom huczał bezustannie, zdawało się, że chyba świat pęka na drobne szczątki.

Przed północą otworzyło się okno księżniczki i wyleciała z niego smutna, blada jak płaszcz biały, który natychmiast wichur porwał w górę i z wściekłością szamotał nim na wszystkie strony. A nieznajomy, lecąc tuż koło niej, bił ją różgami tak mocno, że krople krwi padały niby deszcz na ziemię. Osłabła też na koniec i już prawie lecieć nie mogła, gdy stanęła przed górą.

— Straszna burza i grad — rzekła, otrząsając się w progę — jak żyję, nie dokuczała mi tak niepogoda.

— I dobrego bywa za wiele — odparł tajemniczo czarnoksiężnik.

Wtedy opowiedziała mu o drugiej szczęśliwej próbie Janka. Jeśli jeszcze raz zgadnie, zostanie jej mężem, a wtedy... kto wie, co z nią zechce zrobić...

— Nie zgadnie — rzekł czarownik — już moja w tym głowa. Chyba że mocniejszy jest ode mnie. Ale tego się nie obawiam. Bawmy się więc wesoło.

Wziął królownę za ręce i zaczęli tańczyć pośród małych koboldów i karzelków z błędnymi ognikami na czapeczkach. Cały dwór tańczył także, ogniste pająki podskakiwały

wesoło na ścianach, z kąta brzmiała szarańcza, sowa biła się po brzuchu, nietoperze ude-  
rzały cienkimi skrzydłami, słowem, bal był, co się zowie.

Na koniec oznajmiła królowna, że czas na nią wracać do domu. Czarownik postanowił  
sam ją dzisiaj odprowadzić dla większego bezpieczeństwa.

Lecieli więc przez burzę i pioruny, a przyjaciel Janka bił ich tak gorliwie, że połamał  
wszystkie trzy różgi. Jeszcze takiego gradu nie kosztował i czarnoksiężnik.

Przed samym oknem pożegnał na koniec księżniczkę i szepnął jej do ucha: — Myśl  
o mojej głowie.

Lecz nieznamy usłyszał te słowa i gdy księżniczka zniknęła za oknem, pochwycił  
czarownika z całej siły za brodę i szablą uciął mu głowę tak prędko, że niegodziwiec sam  
nawet nie miał czasu spostrzec, kiedy się to wszystko stało. Szkaradny tułów rzucił potem  
w głąb jeziora rybom na pożarcie, a głowę opłukał w wodzie, związał w chustkę do nosa  
i zabrał z sobą do oberży, gdzie spokojnie spać się położył.

Nazajutrz oddał węzełek Jankowi i zapowiedział, aby go nie rozwiązywał, dopóki go  
królowna nie zapyta, o czym sobie pomyślała.

W królewskiej sali było dziś tak pełno, że dygnitarze państwa deptali sobie po odcis-  
kach i mimowolnie popychali się nawzajem. Radcy siedzieli na swoich fotelach z miękkimi  
poduszczkami pod głowę, król sam miał nową suknię, a złote berło i korona były  
świeżo wyczyszczone i błyszcząły z daleka.

Wszystko też wyglądało uroczyście, tylko królowna była strasznie blada i ubrała się  
w szaty żałobne.

— O czym myślę? — spytała Janka głosem drżącym.

On rozwiązał chusteczkę i sam się przestraszył szkaradnej głowy człowieka. Cały dwór  
zadrżał i zasłonił oczy, a księżniczka, jak skamieniała, długo jednego słowa przemówić nie  
mogła.

Podniosła się na koniec i podała rękę Jankowi.

— Zgadłeś — rzekła dziwnym głosem — jesteś moim panem. Dziś wieczorem nasze  
wesele.

— Dzięki Bogu — zawołał stary król uszczęśliwiony. — Dożyłem przecie tego dnia  
upragnionego!

Wszyscy krzyknęli: — Wiwat!

Na ulicach dała się słyszeć muzyka, odezwały się dzwony kościelne, cukiernicy pozdej-  
mowali czarną krepę z ciastek, wszędzie panowała radość i wesele. Na rynek wyniesiono  
trzy pieczone woły nadziewane kurczętami i kaczkami i każdy mógł sobie odkrajać kawa-  
łek i zjeść albo zabrać do domu. Fontanny napełniono winem, a piekarze każdemu, kto  
kupował bułkę za dwa grosze, dodawali sześć sucharów i ciastko z rodzynkami.

Wieczorem całe miasto oświetlono, żołnierze strzelali z armat, a mali chłopcy z kapi-  
szonów. Na zamku jedzono, pito, trącano pucharami, skakano i tańczono. Damy, księż-  
niczki i piękni dworzanie śpiewali na przemiany, nikt rozmawiać nie mógł spokojnie  
z powodu wielkiego hałasu.

Ale królowna nie kochała Janka, choć została jego żoną, i przyjaciel jego zauwa-  
żył zaraz, że czary z niej dotąd nie zostały zdjęte. Więc dał Jankowi kilka kropel płynu  
w kryształowej buteleczce i trzy małe piórka ze skrzydeł łabędzich.

— Każ przygotować przed jej łóżkiem dużą wannę z wodą — rzekł przy tym — włóż  
w nią piórka i wlej ten płyn przezroczysty, a kiedy rano żona twoja się obudzi, pchnij  
ją tak zręcznie, żeby wpadła prosto do wody. Niech się w niej z głową trzy razy zanurzy,  
a władza czarownika nad nią zniknie i będziecie oboje szczęśliwi.

Janek wykonał wszystko, co mu przyjaciel poradził. Królowna krzyczała głośno i po  
pierwszym zanurzeniu zamieniła się w czarnego łabędzia z oczyma błyszczącymi jak pło-  
mienię. Po drugim zanurzeniu łabędź stał się biały i tylko czarna obrączka pozostała mu  
na szyi. Janek przeżegnał się i po raz trzeci zanurzył ptaka w wodzie, a wtedy łabędź  
zmienił się w księżniczkę, stokroć piękniejszą, niż była poprzednio.

Ze łzami w oczach dziękowała ona Jankowi, że ją wybawił od czarów i powiedziała, że  
kocha go nad wszystko w świecie.

Nazajutrz ustanowiono dzień przyjęcia i państwo młodzi od samego rana przyjmowali  
życzenia i powinszowania. Pierwszy złożył je stary król ze swoim dworem, potem przy-

chodzili urzędnicy, obywatele, wojsko, kupcy i przemysłowcy, słowem, nie było końca tej procesji.

Towarzysz podróży Janka przyszedł także z małym tobołkiem i kijem podróжным, widocznie w dalszą drogę się wybierał. Ale Janek wzruszony rzucił mu się na szyję, prosząc, aby z nimi pozostał na zawsze, gdyż nigdy nie zapomni, ile mu zawdzięcza.

— Nie mogę — odrzekł wtedy nieznajomy, łagodnie potrząsając głową — czas mój minął. Spłaciłem dług i muszę powracać do siebie. Czy pamiętasz w kapliczce tego nieboszczyka, którego chcieli skrzywdzić dwaj niedobrzy ludzie? Oddałeś wszystko, coś miał, by zapewnić mu spokój w grobie. Ja tym nieboszczykiem jestem.

I w tejsze chwili zniknął.

Wesele królewne trwało cały miesiąc. Młodzi byli szczęśliwi i kochali się bardzo, a stary król dożył wielu dni przyjemnych, huśtając na kolanach małe wnuki i pozwalając im bawić się berłem i jabłkiem. Czasem tylko miał wielki kłopot, kiedy się napierały koniecznie korony.

Ale tego nie wolno się było dotykać.

A potem Janek został królem i panował szczęśliwie, długo, razem z żoną.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/andersen-basnie>

Tekst opracowany na podstawie: Hans Christian Andersen, *Baśnie*, tłum. Cecylia Niewiadomska, wyd. Gebethner i Wolff, Warszawa 1931

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Alicja Łakomska, Danuta Białowas, Dariusz Galecki, Dorota Bednarczyk, Iwona Cieciewicz, Izabela Erdmann, Krystyna Paczoska, Marta Kuszpit, Natalia Mazan, Olga Sutkowska, Sylwia Hornowska, Weronika Trzeciak.

ISBN 978-83-288-6666-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).